

NIEPOKORNI

VINCENT V. SEVERSKI



NIEPOKORNI

VINCENT V. SEVERSKI

Wydawnictwo Czarna Owca | Warszawa 2016

Redakcja
Miroslaw Grabowski

Projekt okładki
Magda Kuc

Zdjęcia na okładce
Panorama miasta © Pavel L Photo and Video / Shutterstock
Pozostałe zdjęcia © Magda Kuc

Korekta
Piotr Królak, Beata Wójcik

Redaktor prowadzący
Małgorzata Głodowska

Copyright © by Vincent V. Severski, 2016
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

Książka dostępna także w formie e-booka i audiobooka

ISBN 978-83-8015-433-9

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail:

sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

1

Dwuskrzydłowe okno zasłaniały aksamitne zielone zasłony z obszytymi listwami miękko spoczywającymi na ziemi. Sypialnia miała kształt podłużnego wysokiego sześcianu o zaburzonych proporcjach. Wypełniała ją poranna szarzyzna sporadycznie poprzecinana mlecznymi od kurzu strużkami światła, które dostawało się przez szpary między niestarannie dociągniętymi storami.

Pomieszczenie miało ponad trzydzieści metrów, ale było tak gęsto zastawione meblami, domową roślinnością i masą innych drobiazgów, jakie ludzie zbierają przez całe życie, by się później w nich topić, że sprawiało wrażenie znacznie mniejszego. Właściwie były tam tylko trzy ścieżki, którymi można było swobodnie się przemieszczać: do wielkiego łóżka, które stało na środku, do wysokiego okna obok i do szafy po przeciwnej stronie.

Poroże byka łosia, łeb dzika z błyszczącymi oczami i dwie skrzyżowane dubeltówki zawieszzone lufami w dół. Delikatny zapach starego, spleśniałego drewna i stopionej stearyny przydawał tej niewykształconej jeszcze kompozycji mistycznego posmaku łemkowskiej cerkiewki przerobionej na lamus.

Tak w styczniowy poranek wyglądał jeden pokój w dużym mieszkaniu na czwartym piętrze dziewiętnastowiecznej kamienicy stojącej niecałe sto metrów od Bulwaru Filadelfijskiego w Toruniu.

W tych komfortowych warunkach wylęgła się *Ephemeroptera*, czyli jętka jednodniówka, i natychmiast rozpoczęła krótki lot w poszukiwaniu dogodnego miejsca spoczynku. Wybór był duży, ale

mimo wielu uroczych i smacznych sypialnianych zakamarków zdecydowała się na to co najlepsze, czyli ucho śpiącego człowieka. Nie wiedziała, jak ryzykowny to pomysł. Czas uciekał jednak szybko, więc postanowiła spróbować i kiedy tylko przedarła się przez kępę włosów i wniknęła gładko do przewodu słuchowego, natychmiast zakończyła żywot, zgnieciona ludzkim palcem wskazującym.

Jętka jednodniówka zginęła, nie przeżywszy nawet pięciu minut.

Lucjan otworzył oczy, popatrzył na sufit, pogrzebał jeszcze chwilę w uchu i głęboko westchnął. Przewrócił się na plecy, złożył ręce na piersi i zamknął oczy. Nie zdawał sobie sprawy, że sprawcą jego przebudzenia była jętka.

Taki ważny sen miałem – pomyślał. Najważniejszy w życiu. Uff... Muszę go sobie przypomnieć, bo... zaraz, o co chodziło z tym Wacławem... Anioł Pański? To musi być bardzo ważne! I jak to teraz odtworzyć? A kongres już jutro...

Dla pięćdziesięcioletniego Lucjana sny nie były czasem poświęconym na odpoczynek czy regenerację organizmu. Sen to coś znacznie ważniejszego, to lustro świadomości Boga, dlatego Lucjan nie sypiał, tylko śnił. Bo była to jedyna możliwość spotkania anioła Pańskiego, z którym mógł porozmawiać, poradzić się, dowiedzieć, co się dzieje i – najważniejsze – co ma robić. Dotąd wszystkie rady anioła były celne, a przepowiednie się sprawdzały, czego w swojej skromności nigdy nie nazywał wolą boską. Jednak tym razem anioł przybrał postać Wacława.

Nagle senne sceny z fazy REM nabrały takiego realizmu, że Lucjan aż wstrzymał oddech. Otworzył oczy i spojrzał w głąb szarej poświaty, gdzie zobaczył Wacława przemawiającego z uniesionymi rękami. Słyszał wyraźnie każde jego słowo i nie miał wątpliwości, co Bóg chce mu przekazać. Gdy po chwili obraz się rozplynął, Lucjan usiadł w łóżku i wypuścił powietrze. Złożył ręce do modlitwy i zaczął recytować na głos:

– „Lecz kiedy uczynił to postanowienie, ukazał mu się we śnie anioł Pański i powiedział: Józefie, synu Dawida, nie bój się przyjąć do siebie Maryi, małżonki twojej; to bowiem, co się w niej poczęło,

pochodzi od Ducha Świętego. Właśnie ona porodzi Syna, któremu nadasz imię Jezus; On to bowiem uwolni lud swój od jego grzechów. A wszystko to stało się, aby się wypełniło słowo Pańskie wypowiedziane przez Proroka: Oto panna poczne i porodzi syna, któremu będzie nadane imię Emanuel, to znaczy: Bóg z nami”¹.

Kiedy skończył, przez moment czuł jakąś dziwną pustkę, jakby zapadł się w głąb studni, i nagle dotarło do niego z ogromną mocą, że nie jest już tym samym człowiekiem, jakim był jeszcze przed chwilą. Poczł ogromny przyływ wewnętrznej siły, a właściwie połączenie metafizycznej motywacji i mistycznej determinacji.

Poderwał się energicznie, podszedł do okna, rozsunął story i wpuścił do wnętrza lawinę światła, które wypełniło wszystkie najmroczniejsze zakamarki sypialni.

Zakończywszy w ten sposób fazę konsultacji z aniołem Pańskim, Lucjan z podniesionymi rękami stanął w oknie, wyciągnął szyję i mrużąc oczy, wyrecytował z powagą:

– Czy ty wiesz, Panie Boże, kogo obudziłeś? – Zwrócił twarz ku niebu i wstrzymał oddech, jakby czekał na odpowiedź, by po chwili pewnym siebie głosem dokończyć z dumą: – Mnie obudziłeś, Panie, mnie... swojego pomazańca. – I z przekonaniem pokiwał głową.

Włożył szlafrok i poszedł pomodlić się jeszcze na klęczniku.

2

Samolot z Kopenhagi wylądował pięć minut przed czasem i zacumował do rękawa numer 12. Mieli tylko bagaż podręczny, więc już o dziewiątej trzydzieści opuścili terminal. Przejazd na Wilczy Dół zajął im następne dziesięć minut i zanim minęła dziesiąta, taksówka zatrzymała się przed domem.

Sara wysiadła pierwsza i czekała na ulicy, gdy Konrad nerwowo szukał po kieszeniach piętnastu złotych, by w końcu zapłacić za przejazd kartą. Trwało to prawie trzy minuty, więc Sara zaczęła sprawdzać otoczenie. Znała tę ulicę na pamięć, wszystkie elementy, samochody, przechodniów, jej atmosferę traktowała jako zamkniętą kompozycję i była przekonana, że jest w stanie dostrzec, a przynajmniej wyczuć, każde naruszenie tej harmonii.

Od teraz, od tego momentu, Sara i Konrad mieli więcej niż uzasadnione podstawy, by stwierdzić, że wokół nie istnieje już żadna harmonia i że rozpoczął się w ich życiu etap, którego końca nie znają. Teherański potrzask i szalony lot antonowem były niczym w porównaniu z tym, czego spodziewali się w Polsce, i chwilami nie mogli uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Wierzyli jedynie w to, w co zawsze wierzą szpiegdy – że im się uda, że fakty ułożą się w porządku, jaki dyktuje natura, a oni będą musieli tylko pilnować zasad. Wierzyli, bo to dawało im komfort, ale wiedzieli też, jak bardzo są naiwni.

Właściwie wszystko wskazywało na to, że ich powrót do Polski jest najgorszym rozwiązaniem, bo tracą dystans do sprawy, a może

i swobodę ruchu, ale los kraju spoczywał w ich rękach, a dokładniej – na czarnym memory sticku, na którym zapisali czterdzieści godzin rozmów z Michałem Popowskim, dezerterskim z rosyjskiego wywiadu i byłym naczelnikiem Wydziału Polskiego. Nawet jeżeli tylko w szpiegowskiej próżności im się wydawało, że ratują świat, to tym razem aż za dobrze wiedzieli, jaki potężny ładunek wybuchowy przywieźli na maleńkiej karcie pamięci, którą Konrad ukrył w ścianie walizki.

– Już są – rzuciła cicho Sara, gdy Konrad się do niej zbliżył. – Dwa samochody betki... nawet numerów nie zmienili. – Uśmiechnęli się do siebie i ruszyli w kierunku wejścia. – Ekipa od naczelnika Gustawa.

– Nie kryją się – odparł Konrad. – Co to znaczy?

– Martwią się o nas?

– Otóż to... W końcu znikliśmy im na dwa tygodnie – dorzucił z nutką ironii.

– Siódme piętro już wie, że jesteśmy w Warszawie...

Z szarego opla wysiadł mężczyzna w krótkiej czarnej pilotce i ruszył energicznie w ich kierunku, machając ręką.

Od razu poznali, że to Władzio z agencji bezpieczeństwa. Uniwersalny Władzio do wszystkich zadań i od niedawna prawa ręka naczelnika Marka Belika. Wierny, posłuszny, wytrzymały i głupi. Idealny człowiek do policyjnej roboty w wywiadzie, czyli świecie ludzi inteligentnych.

– Panie naczelniku! Panie naczelniku! – wołał już z oddali, chociaż widział, że Konrad i Sara zatrzymali się przed bramą i na niego czekają. – Panie naczelniku! – Dobiegł z wyciągniętą ręką, w której trzymał telefon komórkowy. – Pan naczelnik Belik na linii.

Na chwilę wszyscy zamarli i słyhać było tylko przyspieszony oddech Władzia wydobywający się z szeroko otwartych ust.

Konrad powoli wyjął telefon z jego ręki i przyłożył do ucha.

– Słucham – odezwał się możliwie niskim głosem.

– W imieniu szefa Agencji przekazuję panu polecenie natychmiastowego stawienia się w gmachu na Miłobędzkiej. To samo

dotyczy pani naczelnik Korskiej. Szef oczekuje państwa o godzinie dwunastej. Od tej chwili zabraniam państwu podejmowania jakichkolwiek kontaktów zewnętrznych z kimkolwiek i cały czas towarzyszyć wam będzie...

– Posłuchaj, wszo pudrowana... – przerwał Belikowi Konrad. – Albo zjawi się tu ABW z prokuratorem, albo wal się! – Zauważył wymowne spojrzenie Sary. Doskonale odgadła, co powiedział Belik, bo przewidzieli tę sytuację i byli na nią przygotowani. – Pięknego Władzia możesz sobie zabrać do domu, żeby ci posprzątał, u nas nie ma nic do roboty. A szefowi zamelduj posłusznie na czworakach, że o dwunastej będziemy w Centrali. Poniał, bladź? – I nie czekając na odpowiedź, rozłączył się.

Oddał telefon zdezorientowanemu Władziowi i poklepał go po ramieniu.

– Nie denerwuj się, chłopie, nic do ciebie nie mam. Sam rozumiesz... to tylko polityka.

Władzio pokiwał niepewnie głową.

– Długo na nas czatujecie? – zapytał Konrad.

– Cztery dni, ale nie wolno mi panu o tym mówić.

– A co ci wolno? – zapytała Sara.

– Nooo... nie wiem właściwie... – zamruczał Władzio.

– To czekaj tutaj. To ci przecież wolno. Za pół godziny pojedziemy do Centrali, gdzie nas uroczyście aresztujecie – ironicznie dorzuciła Sara i weszła do bramy, a Konrad ruszył za nią. – A wiesz chociaż za co, Władziu?

Ale Władzio tylko przewrócił oczami i ruszył z powrotem do samochodu.

Weszli do windy. Konrad wcisnął czwarte piętro.

– Było do przewidzenia. – Sara wspięła się na palce i pocałowała Konrada w usta.

– Powiedziałbym raczej, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Przycisnął ją lewą ręką w talii i w tym momencie winda się zatrzymała.

Torby zostawili w przedpokoju, przeszli do salonu i od razu,

jeszcze w kurtkach, usiedli na kanapie. Przez chwilę milczeli, rozglądając się po pokoju, jakby szukali czegoś, co ich zaskoczy, co nie pasuje do porządku, łamie harmonię, której sami są częścią i źródłem. Robili to od lat w różnych miejscach na świecie, ostatnio w Teheranie, i nauczyli się z tym żyć, przywykli do świadomości, że zawsze jest ktoś, kto ich obserwuje.

Lecz tym razem było inaczej.

Big Brother nie był anonimowy, był nim szef AW, jego nowy zastępca do spraw operacyjnych Wacus, lepiej znany jako Klocek Lego, kierownik gabinetu, znajomi z obserwacji, Marek Belik i na końcu Władzio ze swoimi kolegami z WBW. I – co najgorsze – wszyscy oni musieli być świadomi, że nic w ten sposób nie uzyskają, bo Konrad i Sara po uroczystym przywitaniu pod domem będą więcej niż pewni, że ich mieszkanie jest na podsłuchu i podglądzie. Nie chodziło jednak o to, że Sara lub Konrad powiedzą coś istotnego, czymś się zdradzą, wysypią. Oboje byli zbyt wytrawnymi oficerami, by dać się złapać w tak naiwny sposób. Szefowi chodziło o coś zupełnie innego. Chciał ich w ten sposób poniżyć, złamać opór, zanim jeszcze pojawią się w Centrali, a przynajmniej zmusić do współpracy, dla świętego spokoju. Ale przeliczył się, bo ich nie znał.

Sara podniosła się i poszła do sypialni. Wiedziała, co tam zobaczy.

Na zasłanym beżową narzutą łóżku, na samym jego środku, leżała starannie ułożona jej bielizna osobista, biustonosz, skarpetki i okulary przeciwsłoneczne, tworząc imitację postaci.

– Jesteś zwykłym skurwysynem, Belik. Zawsze byłeś... pijaku wątrobowy – powiedziała na głos Sara. – Wal się! – Podniosła do góry palec serdeczny. – I do... zobaczenia... zboczeńcu. Już do ciebie jedziemy i dam ci po pysku. Jak wtedy w lesie, pamiętasz? Nie... to przypomnij sobie... ty...

Sara nienawidziła seksizmu w żadnej formie, ale to, co zrobił Belik – bo nie miała najmniejszych wątpliwości, że to jego robota – było bardziej poniżające niż cokolwiek, co ją dotąd spotkało jako kobietę i oficera wywiadu. Belik naruszył jej najintymniejszą sferę –

fizycznie, dotykając bielizny, i emocjonalnie, bo wszedł do jedyne­go miejsca na świecie, gdzie czuła się bezpiecznie i gdzie nie musiała być szpiegiem, tylko mogła być kobietą.

Jeszcze nigdy nie wypowiedziała na głos tak wulgarnych słów, chyba nawet nigdy tak nie pomyślała, i przez moment ją zaciekawiło, skąd może je znać, ale ostatecznie poczuła miłą satysfakcję, więc dorzuciła jeszcze głośniej:

– Musisz się leczyć, ty cienki chujku z łuszczycą wysiękową...

– Nie dosłyszałem... Co mówisz? – odezwał się Konrad z głębi mieszkania.

– Chodź. Zobacz to.

Kiedy w towarzystwie Władzia wchodzili do gmachu na Miłobędzkiej, było tak cicho, jakby wszyscy wiedzieli, że nadciąga tornado, i na wszelki wypadek pozabijali okna i drzwi deskami.

O Wydziale „Q” krążyły legendy i dla wielu młodych oficerów Sara i Konrad byli postaciami wręcz mitycznymi. Z reguły więc zakładano, że jeśli ktoś zadarł z wydziałem do zadań specjalnych, to takie starcie musi się dla niego zakończyć krwawo. Nie było oficera, który kończąc Kiejkuty, nie chciał pracować w tym wydziale, więc sympatie były po ich stronie, tym bardziej że o dokonaniach Szefa, jego zastępców, a szczególnie Belika, jakoś nigdy nie słyszano.

W rzeczywistości nikt nie wiedział, co się właściwie stało. Delikatny organizm, jakim jest wywiad, reaguje natychmiast na najdrobniejsze nawet zawirowania w swojej bioceno­zie, ale tym razem było inaczej. A nie ma dla szpiega bardziej denerwującej i frustrującej sytuacji, gdy coś się wokół niego dzieje, a on nie wie co.

Kiedy Sara i Konrad wyjeżdżali do Finlandii prawie dwa tygodnie wcześniej, nikogo nie poinformowali, dokąd i po co jadą. Nawet najbliższych współpracowników. Wzięli oficjalnie trzy dni wolnego, bo wydawało im się, że tyle wystarczy, by wyciągnąć Popowskiego. I rzeczywiście na wyciągnięcie go z Rosji wystarczyło, ale to, co się stało potem, spowodowało, że musieli

zmienić wszystkie plany. A właściwie zmienić swoje życie.

Sprawa przerosła by każdego, nawet najwyższego szpiega wszech czasów, jak powiedział Konrad, kiedy skończyli rozmawiać z Miszą. Nie mieli jednak nawet najmniejszych wątpliwości, że idą we właściwym kierunku, i jednocześnie zdawali sobie sprawę z konsekwencji, jakie ich czekają po przyjeździe do Warszawy. Kiedy przygotowywali się w pośpiechu do wyjazdu, sfalszowali dokumenty, szyfrogramy i wydali dyspozycje, do których nie mieli uprawnień, dlatego wiedzieli, że w razie niekorzystnego obrotu spraw, a szczególnie gdyby wpadli w Rosji – z czym się liczyli – cały personel Wydziału zostałby pociągnięty do odpowiedzialności. Zadbali więc o to, żeby inni ponieśli tylko konsekwencje dyscyplinarne, bez żadnych haków prawnych. Od początku mieli zaplanowane, że wszystko biorą na siebie, w związku z czym każdy szczegół musiał się zgadzać z rzeczywistością, by dać zespołowi niepodważalne alibi.

Wjechali na siódme piętro, przeszli korytarzem wzdłuż portretów szefów polskiego wywiadu i od razu skierowali się do sekretariatu, ale Władzio zgrabnie zaszedł im drogę, wskazując ręką na drzwi do krypty Faradaya. Zabezpieczona przed podsłuchami sala przeznaczona była do omawiania spraw objętych klauzulą najwyższej tajemnicy i Konrad przez moment poczuł niepokój. Szef bowiem najlepiej czuł się w swoim gabinecie.

Nieemożliwe, żeby już wiedzieli... – pomyślał niepewnie. Nooo... chyba że ten jeden już wie.

– Proszę wszystko zdać – przerwał mu znajomy głos.

Konrad dostrzegł bladego kierownika gabinetu stojącego przy drzwiach z wyciągniętą ręką.

Pomyślał, że tyle już razy brał udział w spotkaniach w krypcie, a kierownik nigdy nie wyciągał ręki. Wyglądał teraz jak strażnik przyjmujący nowego więźnia, ze stosowną miną pełną złośliwej satysfakcji, jakby chciał powiedzieć: „Mamy cię, łotrze, i teraz się tobą zajmujemy”. Konrad parsknął śmiechem, aż facet niepewnie cofnął rękę. Zdjął zegarek i włożył go do kasetki.

– Telefon? – zapytał kierownik.

– Nie mam – odparł krótko Konrad i wszedł do krypty.

Sara podążyła tuż za nim.

Zwykle wewnątrz paliło się ciepłe światło boczne, które dodawało spotkaniom tajemniczości, wymuszało atmosferę skupienia i powagi. W komorze zapadały decyzje ważne dla bezpieczeństwa państwa lub zgoła bezsensowne, uzgadniano plany działań operacyjnych w Iranie, Pakistanie czy Rosji lub od nich odstępowano, dyskutowano o przyszłości świata i Polski. Nawet jeśli te rozmowy nie miały żadnego wpływu na los kogokolwiek, zawsze towarzyszyła im atmosfera odpowiedzialności i powagi. Ale nie tym razem. Górne światło jarzeniowe, jak słońce w letni dzień, oświetlało całe pomieszczenie i Sarze się wydawało, jakby była w nim po raz pierwszy. Od razu dało się wyczuć, że spotkanie będzie inne niż wszystkie dotąd.

W rogu krypty skupiło się pięciu mężczyzn, którzy gorączkowo dyskutowali, ale Sarze przyszło na myśl, że spiskują. Na widok Konrada i Sary zamilkli i rozeszli się do swoich foteli. Od razu było widać, że każdy ma przydzielone miejsce, i Konrad zrozumiał, że role są już dokładnie rozpisane, a przedstawienie odpowiednio wyreżyserowane. Czuć było scenariusz Szefa, a wykonanie Marka Belika, czyli amatorszczyznę. Było tak, jak przypuszczał.

Przy długim stole pozostało dużo wolnych miejsc, więc Sara i Konrad usiedli tak, by wzajemnie się widzieć i jednocześnie kontrolować pozostałych. Nie było kawy ani wody, nie było ciasteczek. Żadnych dokumentów, kartek, teczek, żadnego długopisu. Zadbano o to, by ani jeden przedmiot na scenie nie zagrał fałszywie i nie przysłonił głównych bohaterów.

Przed Szefem, który zajął swoje miejsce na obracanym czarnym fotelu, nie było nawet szklanki z herbatą jabłkową. Konrad nie mógł uwierzyć własnym oczom i przez chwilę zastanawiał się, co to może znaczyć, ale zaraz zrozumiał absurdalność tej myśli i poczuł, że nie jest jeszcze wystarczająco wyluzowany przed pierwszym starciem, skoro rozpraszają go takie głupstwa.

– Panie pułkowniku Wolski i pani kapitan Korska... – zaczął Szeff głosem mesjasza. – Na podstawie decyzji numer zero zero siedemdziesiąt cztery z piątego bieżącego miesiąca zostaliście zawieszoni w czynnościach służbowych do czasu zbadania waszej sprawy przez specjalną komisję dyscyplinarno-śledczą. Wyniki prac komisji niezwłocznie zostaną przedstawione prokuraturze. Właściwie to uwzględniając już dokonane ustalenia, komisja ma wystarczające podstawy, by złożyć zawiadomienie do prokuratury o popełnieniu przez was szeregu nadużyć i przestępstw. Przygotowane mieliśmy też zawiadomienie o waszym zaginięciu i gdybyście nie pojawili się do jutra, zostałoby ono skierowane do ABW. Macie jednak szczęście w nieszczęściu. Czekaliśmy na wasz powrót, bo premier nie zgodził się na zawiadomienie prokuratora, jeśli wcześniej nie zostaniecie przesłuchani. – Szeff mówił całkiem zgrabnie, lekko i logicznie, widać było, że dobrze sobie rzecz przemyślał. – Wszystkie osoby znajdujące się w tym pomieszczeniu są członkami komisji, której ja przewodniczę. Znać każdego z obecnych oprócz majora Kempy z pionu śledczego ABW. – Przerwał i rozejrzał się po zebranych, po czym utkwiał wzrok w stole, tam gdzie zawsze stała szklanka z herbatą.

– Jakie są wobec nas zarzuty? – zapytała spokojnie Sara i wykrzywiła usta w naiwnym i dość bezczelnym geście zdziwienia, co musiało wszystkich poruszyć, bo dobrze znali jej sztukę grymasów i fochów, ale Konradowi to się podobało, bo we dwoje uzgodnili, że tak właśnie robi.

– Mogłabyś okazać przełożonych więcej szacunku – odezwał się Belik jak wezwany do odpowiedzi, bo to na nim Sara zatrzymała wzrok.

– A ty mógłbyś okazać więcej szacunku kobiecie i nie grzebać mi w majtkach – nie wytrzymała Sara i wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni. – Co...? Nie pamiętasz już, za co dostałeś po ryju na grillu... Gdzie pchałeś łapy?

Belik otworzył szeroko usta i oczy, ale nic nie powiedział, bo się zapowietrzył. Nawet gdyby chciał zareagować ostrzej, to i tak nie

miał szans w starciu z Sarą, bo wiedział, jak bardzo nienawidzi mizoginów i jak jest wrażliwa na punkcie mobbingu kobiet. Mogła przecież zachować się znacznie bardziej agresywnie, a to była ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebował. Załatwienie Konrada i Sary było jego życiową misją, więc nie mógł dać się sprowokować. Pożałował głupiego pomysłu z rozłożeniem jej bielizny na łóżku, ale nie mógł się wówczas powstrzymać.

– Proszę skończyć te bzdury – wtrącił się Szeff, westchnął głęboko i oświadczył: – Za chwilę przejdziecie do pokoju WBW i zostaniecie zapoznani z wynikami kontroli w Wydziale, ustaleniami komisji i zarzutami, jakie przeciwko wam wysunięto. Będziecie mogli się do nich ustosunkować – dodał surowym i znużonym głosem. – Chcemy jednak teraz... przed sporządzeniem protokołu... jeszcze z wami porozmawiać.

– Co z moimi ludźmi? – zapytał Konrad.

– O tym później...

– Co z moimi ludźmi? – powtórzył bardziej zdecydowanie.

– Wydział „Q” został rozwiązany, funkcjonariusze są w dyspozycji kadr z obowiązkiem stawiania się w pracy. Wszyscy złożyli wyjaśnienia do protokołu. W tej chwili komisja przegląda i zabezpiecza wszystkie dokumenty. Ma pan jeszcze jakieś pytania, panie pułkowniku?

– Nie mam pytań i nie będę teraz udzielał żadnych odpowiedzi. Musimy najpierw zapoznać się z wynikami kontroli i zarzutami...

– Dlaczego to zrobiliście i po co pojechaliście do Finlandii? – pierwszy raz odezwał się Lego.

– Nic z tego nie rozumiem – włączył się niespodziewanie Kempa z ABW. – Najlepsi oficerowie wywiadu fałszują ściśle tajne dokumenty, wykorzystują bez zgody szefa zaprzyjaźnioną służbę i znikają na tydzień gdzieś w Finlandii... Nooo... kurwa, nigdy nie uwierzę, że to jakaś prywata, bo głupota na pewno nie. Przecież to oczywiste, że musieliście się liczyć z konsekwencjami... nooo... kurwa, mamy tu tak teraz siedzieć i was sądzić? To jakieś przedstawienie... Czuję to! O co w tym wszystkim chodzi? Przecież

nie jesteście przestępcami... nooo... kurwa, nie jesteście złymi ludźmi...

– To pan nie wie, majorze, na jakim świecie żyje? – odezwała się Sara. – Przecież świat potrzebuje złych ludzi... żeby go strzegli przed jeszcze gorszymi. Przecież anioły nie upilnują diabłów, do tego my jesteśmy potrzebni. Tacy jak pan i ja...

– Dostyc tego! – przerwał twardo Szeff, bo zaniepokoiły go głośno wyrażane wątpliwości majora Kempy i wrażenie, że szuka zbliżenia z Sarą, a przynajmniej próbuje ją zrozumieć.

Szeff Agencji Wywiadu, zwykły człowiek z politycznego awansu, znający służbę dobrze, lecz wyłącznie teoretycznie, wiedział, że z takimi wyjadaczami jak Konrad i Sara nie ma szans i wdawanie się w jakąkolwiek walkę z nimi musi się dla niego zakończyć fatalnie.

W końcu rządu obecna koalicja nie może sobie już pozwolić na żadną wpadkę. Premier Bańkowski oraz minister Tadek powiedzieli mu to wprost. Musiał załatwić to tak, by z jednej strony zneutralizować całą grupę Konrada, a z drugiej – by nie było konieczności kierowania sprawy do prokuratury, bo w obecnej sytuacji politycznej wyciek był pewny. A wraz z nim kolejna katastrofa murowana.

Zastosowanie w tym przypadku skutecznych technik heurystycznych przerastało jego zdolności i dobrze o tym wiedział. Nie był też typem gromowładnym ani tym bardziej Gandhim. Zdał się zatem na intuicję, a ona podpowiadała mu, żeby przeciągać sprawę, jak długo się da, a potem się zobaczy. W ten prosty sposób udało mu się już kilka razy wyjść z poważnych tarapatów, a nawet awansować, więc postanowił spróbować jeszcze raz.

– Chcielibyśmy się zobaczyć z naszym zespołem – powiedziała Sara. – Są jakieś przeciwwskazania? Jeśli wszystkie dokumenty są zabezpieczone... i nie jesteśmy aresztowani...

– Nooo... nie mogę wam tego zabronić... – Szeff był wyraźnie zaskoczony życzeniem Sary, szczególnie tym, że wyraziła je tak otwarcie. – Ale zabraniam rozmawiać o sprawie... – Zmarszczył czoło, choć wyglądało to raczej komicznie niż groźnie. – Możecie

sobie tylko zaszkodzić... a i tak będę wiedział...

Chciał naiwnie zasugerować, że ktoś w grupie, kupiony obietnicą odpuszczenia winy, współpracuje z komisją śledczą, ale w oczach Sary i Konrada ten chwyt był po prostu śmieszny. Widać było, że Szeł nie panuje nad sprawą.

Zapoznanie się z protokołem komisji zajęło im ledwie piętnaście minut. Dobrze przecież wiedzieli, co zrobili. Ze zdziwieniem jednak odnotowali, że Belik nie wychwycił nawet połowy spraw, które można było spokojnie włączyć do tego swoistego aktu oskarżenia. Najistotniejsze jednak było to, że w dalszym ciągu nikt nie wiedział o ich wyprawie do Rosji. Albo fińscy koledzy tego nie wyłapali, albo Belik za mało się starał. Tak czy inaczej oznaczało to, że mają jeszcze czas, czyli to, czego – jak sądzili – najbardziej im brakowało.

Zdali legitymacje służbowe, karty magnetyczne i od tej chwili mogli wejść do gmachu wyłącznie w towarzystwie oficera WBW. Następne spotkanie zostało zaplanowane na jutro. Mieli wówczas złożyć swoje oświadczenia.

Sara pierwsza dostrzegła Marcina, chociaż przez moment miała wrażenie, że to tylko ktoś do niego podobny. W zielonym sweterku wyglądał na przygarbionego. Nerwowe ruchy, włosy przetłuszczone, cera poszarzała. To było tylko wspomnienie dawnego Marcina i Sara poczuła jakieś ukłucie w dołku, bo od początku wiedziała, że wydarzenia, które im zafundowali, dotkną go boleśnie, ale nie sądziła, że aż tak mocno. Marcin pod płaszczykiem twardego macho był bardzo wrażliwy i uczuciowy, jak John Coffey z *Zielonej mili* chłonał w siebie wszystkie nieszczęścia bliskich mu ludzi, był nieodporny jak dziecko.

Kiedy ich zobaczył idących długim korytarzem w towarzystwie Władzia, stanął jak zamurowany i wpatrywał się w nich, jakby liczył każdy krok, śledził każdy ruch, chciał coś wypatrzeć w ich twarzach, i choć trwało to ledwie kilkanaście sekund, to wydawało mu się, że Sara i Konrad stoją w miejscu.

– Cześć, Marcinku! – powiedziała Sara, a Konrad klepnął go

w ramię, ale Marcin wciąż był jakby nieobecny.

– *Is anybody home?* – Konrad klepnął go jeszcze raz, mocniej, i uśmiechnął się.

– Szeffie... szefie... Co się dzieje? – wydusił z siebie w końcu Marcin.

– Zbierz dzisiaj wszystkich na dwudziestą w naszym miejscu...

– Wszyscy czekamy... od kilku dni... Szeffie?! Co się dzieje... co my tu przeżywamy... jaki tam Iran, to zwykle śmiechy... Ten palant pudrowany Belik... tak, tak. – Marcin wyraźnie się ożywił i spojrzał wymownie na Władzia, który tego słuchał. – Idź i mu powiedz, że go tak nazwałem, i pozdrów Marychę... – zwinął dłoń i cmoknął w nią – i w kichę!

– Daj spokój – włączyła się Sara i pociągnęła mocno z e-papierosa, po czym wypuściła gęstą chmurę o zapachu cynamonu. – Zrób, co ci powiedzieliśmy, a wieczorem pogadamy. – Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów i dodała z przekąsem: – Wszystko jest w porządku, rozchmurz się i doprowadź do porządku, bo wyglądasz jak ostatnia wywłoka, a nie oficer wywiadu.

– A czy ja jeszcze jestem oficerem wywiadu?

3

Była odwilż. Nietypowa jak na zimę w Moskwie. Plus sześć stopni i ciepły wiatr znad Morza Kaspijskiego, wzmocniony potężnym wyżem z Bliskiego Wschodu. Ulice zamieniły się w rwące potoki i rzeka Moskwa nabrała wody. Było tak już od tygodnia i wszyscy się bali, że wkrótce przez miasto przejedzie syberyjska Królowa Śniegu i zabierze ze sobą Kaja. Przygotowywali się na ten dzień, gromadząc zapasy żywności, wódkę, słoninę, sól i łomy do kruszenia lodu, ale paniki nie było.

Padał ciężki zimowy deszcz, a to rzadkość o tej porze roku w Moskwie, więc Jagan nie mógł nie skorzystać z takiej okazji, bo niczego tak nie lubił jak właśnie deszczu.

Od trzech dni siedział na balkonie swojego mieszkania na jedenastym piętrze w dzielnicy Lublino. W nieprzemakalnym płaszczu specnazu, goglach i wojskowej wełnianej czapce ukrytej pod kapturem. Włożył nowe impregnowane botki szturmowe, a na dłonie naciągnął czarne rękawice narciarskie, bo wojskowych nie miał. Woda spływała po nim gęstymi strumieniami, ale ciało pod odzieniem było suche i ciepłe.

Przygotował sobie racje żywnościowe, trzy flaszki kozackiej wódki, a za pasek wcisnął złotą tetetkę i nóż Kizlyar. Pod płaszczem zawiesił na szyi lornetkę.

Trochę spał, trochę czuwał, trochę myślał, chwilami wspominał, sporo śpiewał.

*Na gorie stajał Szamil.
On Bogu molitsia,
Za swobodu, za narod,
Nizko poklonilsia.*

*Ojsia, ty ojsia,
Ty mienia nie bojsia,
Ja tiebia nie tronu,
Ty nie biespokojsia.
Ojsia, ty ojsia,
Ty mienia nie bojsia,
Ja tiebia nie tronu,
Ty nie biespokojsia.*

Racjonował żywność i wódkę. Wszystko było dokładnie zaplanowane, tak jak porwanie Muhamedowa czy akcja w aule Tarhan, o robocie w Szwecji nie pamiętał. Tak już miał, że nie pamiętał porażek, bo uczył się tylko na sukcesach, które wciąż powiększał. Dzięki takiemu podejściu wychodził żywy z każdej, nawet beznadziejnej sytuacji.

Tak było w dzień.

W nocy za pomocą lornetki kontrolował mieszkańców piętnastopiętrowego bloku naprzeciwko i robił notatki, chociaż i tak wszystko zapamiętywał. Właściwie czuł się wspaniale, bo choć misja, jaką sobie wyznaczył, dostarczyła mu sporo informacji o naruszaniu prawa i dobrych obyczajów przez licznych mieszkańców tego bloku, to jednak dostrzegł też przypadki godne pochwały i naśladowania. Niektóre o głębokim przesłaniu patriotycznym, co potwierdził nawet smok.

– Trzeba koniecznie zrobić coś z tym zakalcem w naszym zdrowym rosyjskim chlebie. W chlebie zaklęta jest dusza naszego narodu, siła, mądrość, wielkość... – Przerwał na moment, bo skończyły mu się słowa, więc odgryzł kawałek czarnego suchara, który sam przygotował, a gdy schrupał kęs i pociągnął łyk wódki,

dodał na głos: – Ten... Jezus Chrystus przecież jadł chleb... Ziemia, woda i chleb to ciało Rosji... Niech tylko przestanie padać.

Wyjął kartkę, na której miał długą listę z numerami mieszkań, krótkim opisem przestępstwa przeciwko ojczyźnie i rodzajem kary, jaką wyznaczył. Kilka pozycji zaznaczonych było na czerwono.

– Najgorsza bładź to szczacze i rzygacze... – Tak określał obywateli wymiotujących z balkonu albo oddających mocz przez okno. – No bo czy można bardziej obrazić ziemię, Matuszkę Rosję, niż waląc na nią z dziesiątego piętra swoje odchody? Przecież mają w domu kibel... a muszą, bładź, na ziemię! Co za ludzie! – Z niesmakiem, a może niedowierzaniem, pokręcił głową. Miał wyjątkowy stosunek do rosyjskiej ziemi.

– Andriusza! Na litość boską... – Usłyszał podniesiony głos Gali. – Co ty wyprawiasz? – Obejrzał się i przez gogle zobaczył ją stojącą w drzwiach balkonowych, z miną wyrażającą coś między wściekłością a rozpaczą. – Dzwonię od trzech dni...

– Jak weszłaś?

– Jak to jak? Przecież mam klucze. – Wyciągnęła dłoń, żeby mu pokazać. – Co z tobą, na Boga? Gdzie masz telefon? Dlaczego nie odbierasz? Od wczoraj włącza się tylko sekretarka. Myślałam, że coś ci się stało...

– Hmmmrrrr... – Jagan zamruczał jak niedźwiedź i strzelił śliną przez zęby. – Nie miałem wolnej ręki, żeby odebrać.

Już któryś raz się zdarzyło, że zawiodła go czujność i dał się zaskoczyć. Dla zwykłego żołnierza specnazu to jakby ktoś napluł mu w talerz, ale dla Jagana to było o wiele gorsze. Wstyd i hańba.

Na domiar złego zapomniał telefonu, a przecież od kilku tygodni nie robi nic innego, tylko czeka na wezwanie od kapitana Rudolfa Doronina. Wyjdzie na to, że wziął zaliczkę od Krugłowa za głowę Popowskiego i zwiął z kasą jak zwykły *wor* z Taganki. A przecież dla kogoś takiego jak on nie pieniądze są ważne, tylko umiłowanie ojczyzny i wierność zasadom. Wszyscy przecież o tym wiedzą.

Zawstydził się i zdziwił jednocześnie, bo jeszcze nigdy się tak nie czuł, a to było osobliwe doznanie, aż wstrząsnął nim dreszcz i smok

spiał się boleśnie.

Splunął jeszcze dwa razy, spojrzął na Galę, która wciąż stała w drzwiach, i pomyślał, że gogle były jak znalazł, bo nie mógłby jej teraz spojrzeć w oczy. Nie ze wstydu oczywiście, tylko ze złości.

A swoją drogą dlaczego nie ostrzegłeś mnie, że ktoś się zbliża? – zapytał smoka w myślach, jakby chciał przerzucić na niego odpowiedzialność. To jak mam teraz walczyć z wrogiem ojczyzny, kiedy nie czuję zbliżającego się niebezpieczeństwa, a ty mi jeszcze złośliwie nie pomagasz? – zadumał się przez moment, patrząc na Galę. No... ale przecież Galuszka to nie wróg... z taką tandetną żyrafą i jajkiem na plecach co ona może przy takim smoku jak ty... – próbował sobie wytłumaczyć. Nie trzeba było Aminy, tej diabolicznej kaukaskiej, puszczać wolno, tylko ubić ją zgodnie z porządkiem rzeczy. A teraz wszystko mi się pomieszało. Uff... Wypuścił powietrze nosem i ustami, podnosząc się z krzeselka, i po raz drugi w życiu poczuł ból głowy. Nic się nie układało tak, jak powinno.

Wszedł do mieszkania i zanim się rozebrał, odnalazł swój martwy telefon, który natychmiast podłączył do zasilania. Odczekał chwilę, aż złapał sieć, i spojrzął na wyświetlacz. Równocześnie rozniosły się po pokoju sygnały nieodebranych SMS-ów. Było trzydzieści pięć połączeń i dwanaście SMS-ów, w tym pięć wiadomości na sekretarce, a mimo to Jagan wiedział, którą wiadomość powinien odebrać najpierw.

Stał pośrodku pokoju, nadal w goglach, okryty ociekającą peleryną, i przez chwilę się zastanawiał, czy lepiej odsłuchać wiadomość od kapitana Doronina, czy przeczytać. Dobrze wiedział, że obie są takie same, więc ostatecznie wybrał SMS-a, bo wolał nie słyszeć głosu, który drażnił go od pierwszego spotkania.

Kapitan Rudolf Doronin miał trzydzieści pięć lat i wyglądał jak Nikołaj Olalin. Smukły blondyn średniego wzrostu, o klatce piersiowej jak u atlety i cienkich, wręcz wiotkich nogach zakończonych małymi stopami rozmiaru trzydzieści dziewięć, co Jagan od razu odnotował z niesmakiem. W żaden sposób nie mógł uwierzyć, by człowiek podobnej postury zniósł trudy pościgu za kimś

takim jak pułkownik Popowski. Jagan lubił pościgi, uważał wręcz, że polowanie to jego sprawa osobista, prawdziwa misja i każdy, kto próbuje się przyłączyć, w istocie utrudnia mu zadanie. Dlatego swoją niechęć kierował częściej na partnera niż na zwierzynę. Tym bardziej że zawsze to partner był dowódcą, a on miał tylko wykonywać rozkazy. Na samą myśl o tym idiotyzmie Jagan czuł, jak wstrząsa nim pusty śmiech.

Uważają, że jakiś robot jestem? Maszynka do zabijania, maxim, nożyk, kozik, korkociąg czy co? A z akcji wracam tylko ja – powtarzał w myślach nie bez racji.

Jagan miał jednak z kapitanem inny problem, na poły intelektualny, na poły dźwiękowy. Doronin mówił cicho, szybko, o nic nie pytał, miał chrapliwy głos, a co najgorsze – mówił tak niezrozumiale, że Jagan musiał się nieustannie dopytywać, o co mu chodzi. Uważał, że to uwłacza jego godności, bo wyglądało, jakby nie pojmował, co się do niego mówi. A to oficer przecież po Akademii Andropowa, inteligent zasrany, i właściwie to lepiej by było, gdyby nic nie mówił, bo i tak wszystko będzie tak, jak ja zaplanuję – uważał Jagan. No i to imię... Rudolf. Jak Rosjanin może dać dziecku takie durne imię? Tego Jagan nie mógł zrozumieć.

Chwilami nawet myślał, żeby odpuścić sobie tę misję, bo współpraca z Doroninem nie wróżyła niczego dobrego. Jeden Batyszkin był normalny, ale przepadł gdzieś w Polsce. Nowy szef wywiadu Krugłow mówił, że Popowski to zbieg i zdrajca niegodny litości, co w Rosji oznacza tylko jedno, a jednak Jagan bardziej lubił lisa niż ogary, chociaż nie potrafił pojąć dlaczego. I dodatkowo, kiedy patrzył na nagą Galę, to zawsze widział cycki pięknej drewnianej Echidny zdobiącej kredens Popowskiego. Uważał wręcz, że ktoś, kto ma taki ołtarz w domu, nie może być zwykłym człowiekiem.

Wziął jednak zaliczkę, która już się rozeszła. Na stypendium dla Gali i materiały na rzeźbę dla artysty Głogowa z Rublowki poszło czterdzieści tysięcy baksów. Ale do wyrównania był jeszcze rachunek za śmierć „piątki” na Kaukazie i nie pasował mu też wyjazd

na Ukrainę, gdzie ciągnęli wszyscy koledzy bez przydziału, więc nacisnął przycisk w telefonie i odczytał SMS-a.

4

Harriet Berghen wiedziała, co robi, decydując się na podróż do Teheranu. Kalkulacja była prosta: stawia wszystko na jedną kartę i albo wyciągnie Hasana z irańskiego więzienia i odnajdzie Antona, albo przegra wszystko. Liczyła się też z tym, że sama może już nigdy nie wyjechać z Iranu i przepaść w mrokach trzech tysięcy lat jego historii. Bo kim jest zwykła szwedzka dziewczyna w okularach i o białych jak śnieg włosach wobec losów milionów ludzi...

Naiwna miłość przeciw losom ludzkości? I choć doskonale wiedziała, że w walce człowieka ze światem trzeba stawiać na świat, to zrobiła dokładnie odwrotnie i postawiła na człowieka.

Generała Ahmada Harumiego, dowódcę Brygady Al-Kuds, widziała tylko jeden jedyny raz w hotelu Espinas. Zrobił na niej wrażenie silnego, charyzmatycznego człowieka z zasadami, o twarzy zimnej i mądrej. Ich spotkanie trudno było nazwać rozmową, ale jego efekt przerastał oczekiwania. Gdyby powiedziała o tym komuś obcemu, z pewnością by nie uwierzył. Ona i generał Harumi?

Nazajutrz rano do jej pokoju przyszli dwaj tajniacy, których poznała już wcześniej, wręczyli jej zdjęcia paszportowe Hasana i Antona i oświadczyli krótko, że obaj zostaną następnego dnia odstawieni do samolotu Lufthansy odlatującego o dwudziestej trzeciej do Frankfurtu. Musi więc szybko załatwić im bilety i dokumenty niezbędne do dalszej podróży. Jeśli nawali, drugiej okazji już nie będzie. Generał Harumi prosił też, by przekazać, że życzy sobie, aby władze szwedzkie zapomniały o całej sprawie, tak

jak on zapomniał.

Początkowo nie była w stanie uwierzyć w to, co słyszy, ale po chwili, kiedy zobaczyła zdjęcia, dotarło do niej, że wygrała. Wydawało się, że serce za chwilę wyrwie jej się z piersi, a ona z radością pozwoli mu lecieć. Zaciśnęła mocno dłonie, bo nie chciała okazywać uczuć w obecności tajniaków. Trzymała w drżących palcach zdjęcie Hasana, jakby dotykała jego twarzy, i chociaż był na nim niepodobny do tego, którego pamiętała, to wiedziała, że to on. Woląca nie myśleć, co przeszedł, wymazała ze swojej świadomości słowo „cierpienie”, ale czuła, że ich dawny świat znikł gdzieś w mrokach przeszłości i będą musieli stawić czoło nowemu.

Sprawy państwowe, wojna, pokój, przyszłość świata, Szwecji i Iranu, cała jej służba w FRA – wszystko to było jej teraz obojętne, kiedy trzymała w dłoni zdjęcie Hasana, więc deklaracja generała przeszła jej mimo uszu.

W chwilę po wyjściu tajniaków Harriet zadzwoniła do swojego szefa Hermanssona, dyrektora FRA, potem do Gunnara Selandera i na koniec do Lindy Lund z Säpo. Wszystkim opowiedziała mniej więcej to samo.

Hermansson nie mógł zrozumieć, co ona robi w Teheranie, dlaczego nie ma jej w pracy, kiedy wróci i w ogóle co się z nią dzieje. Tak się zatracił w pytaniach, że w końcu musiała przerwać rozmowę. Natomiast Selander tylko słuchał, jak przystało na policjanta, wszystko notował i mruczał: hmmm... Na koniec zapytał tylko, czy jest przekonana, że tego chce. A kiedy potwierdziła, oznajmił, że zaraz poinformuje premiera i oddzwoni. Nie pochwalił jej ani nie zganił, ale był miłszy niż kiedykolwiek wcześniej i Harriet to wystarczyło. Linda natomiast nie odzywała się ani słowem, słyhać było tylko jej przyspieszony oddech, aż w końcu wykrzyczała:

– Kocham cię, dziewczyno!

Wszystko, co się stało potem, Harriet pamiętała jak przez mgłę. Zdarzenia pędziły z prędkością światła, była skoncentrowana, napięta i wydawało jej się, że zamiast krwi ma w żyłach czystą adrenalinę.

Załatwianie spraw w ambasadzie szwedzkiej w Teheranie było jak droga przez mękę. Jakiś przerażony młody konsul robił wszystko, by uniknąć podejmowania jakiegokolwiek decyzji, więc Harriet nieustannie dzwoniła do Sztokholmu i popychała sprawy. O wszystko musiała się wyklócać, a wiedząc, że przez opieszałość jakiegoś urzędnika może nie zdążyć z dokumentami przed odlotem samolotu, wydawało jej się, że zaraz zemdleje albo kogoś zabije.

To wszystko było jednak tylko niewyraźnym tłem dla upartej myśli o chwili spotkania z Hasanem i Antonem. Układała sobie w głowie całe zdania, dobierała słowa, zmieniała je, planowała każdy ruch, gest, spojrzenie, uścisk, pocałunek. Jedynie łez nie mogła zaplanować. I kiedy go zobaczyła, małego, zgarbionego człowieka prowadzonego powoli przez dwóch tajniaków, nic z tego, co sobie zaplanowała, nie wypaliło. Pozostało tylko zaciśnięte gardło i potoki łez. Gdy zaś go objęła, a on dotknął jej – tak niepewnie, słabo, jakby się bał, z rozbieganym wzrokiem w zapadniętych oczach – myślała, że zacznie krzyczeć i że wszystko wokół nagle straciło barwy, a jej życie sens.

Nie pamiętała, czy w ogóle w samolocie rozmawiali. Hasan był osowiały, małomówny, odpowiadał krótko i bez zaangażowania, każdy ruch wykonywał na polecenie. Nawet nie reagował, kiedy go dotykała.

Anton dla odmiany był bardzo rozmowny i pogodny, ale Harriet nie potrafiła nawiązać z nim kontaktu, zwłaszcza że tak bardzo różnił się od Hasana, i chwilami nawet czuła do niego niechęć, chociaż wiedziała, że to tylko zła projekcja.

Na lotnisku we Frankfurcie czekali już na nich dwaj milczący oficerowie, jeden z Säpo i drugi z KSI, i potem razem z nimi polecieeli do Sztokholmu. Na Arlandzie przeprowadzili ich bocznym wyjściem do granatowego samochodu, którym przejechali na drugi koniec lotniska, wprost do hangaru przeznaczonego dla rządowych samolotów. Ale to i tak nie pomogło, bo wyjazd dla VIP-ów też był obstawiony przez ekipy telewizyjne. W szwedzkim MSZ prawie nic nie jest tajne, a jeśli nawet, to i tak nie ma winnych, więc informacja

o Hasanie i Antonie wypłynęła natychmiast, jako że media żywiły się nimi od początku.

Wjechali do środka, a tam obok rządowego gulfstreama G550 stała grupa osób, która na widok podjeżdżającego samochodu rozwinęła się jak wachlarz. Harriet poznała szefa Säpo Wallina, Kurta Lövenströma, generała Gustavssona, Gunnara i Lindę, ale tylko ci ostatni nieznacznie się uśmiechali. Wszyscy przywitani się przez podanie ręki, z wyjątkiem pochlipującej Lindy i utykającego Gunnara, którzy długo trzymali w ramionach Hasana i Antona.

– Proszę o uwagę! – Z grupy wystąpił wysoki młody człowiek w czarnym trenczu, jaki noszą tylko ludzie z Rosenbadu. – Nazywam się Carl Alstrem i jestem szefem gabinetu premiera, w imieniu którego chciałbym powitać... – zawahał się, jakby szukał słów – w Szwecji. Premier jest bardzo zatroskany stanem zdrowia obu naszych bohaterów i pragnie zaręczyć, że władze zapewnią im odpowiednią opiekę. – Dłonie trzymał splecione na brzuchu, jak mnich. – Dziękuję za uwagę i życzę jeszcze raz wszystkiego najlepszego. – Odwrócił się na pięcie i skierował do stojącej nieopodal limuzyny z kierowcą.

– Co to miało być? – zapytał całkiem głośno Gunnar.

– Premier jest wściekły – odparł cicho Kurt. – Harriet ośmieszyła go i całą jego sztukę dyplomacji. Chciał się wyprzeć Hasana i zamieść sprawę pod dywan, a tu... takie kuku! Jest teraz przerażony. Boi się mediów i następnego posiedzenia Riksdagu, ale mleko się rozlało i w żaden sposób nie mogą znaleźć rozsądnego rozwiązania, żeby się z tego wyślizgać. Chyba będą wybory.

– Nawet na pewno.

– A mogli to rozegrać inaczej... zawalczyć o Hasana, pokazać charakter i zdecydowanie... ludzie by to docenili, ale... za dużo słabych polityków w głupiej polityce.

– Najważniejsze, że Hasan i Anton żyją – skwitował w swoim prostym policyjnym stylu Gunnar i spojrzał na Harriet. – Popatrz na nią, Kurt. – I dodał z emfazą: – To nasza Harriet! Nie jesteś dumny?

Kurt pokiwał tylko głową i pociągnął wzrokiem za przejeżdżającą

obok limuzyną Carla Alstrema, która po chwili znikła za bramą hangaru. Spojrzał na Lindę, która znów objęła Hasana, i Harriet trzymającą za rękę Antona. Wallin stał obok i żywo o czymś dyskutował z generałem Gustavssonem. Wydawać się mogło, że ta dziwna uroczystość jakby powitania dobiega końca, wszyscy za chwilę się rozjadą, a Harriet zabierze Hasana do domu, ale Kurt doskonale wiedział, że to dopiero początek problemów. To, co się stanie, miało być dla całej trójki więcej niż przykre i mogło być bolesne, a na pewno będzie niesprawiedliwe. Dlatego słysząc Gunnara, Kurt pomyślał, że Harriet z pewnością tak łatwo się nie podda, a skoro potrafiła wygrać z generałem Harumim, powinna też sobie poradzić z generałem Gustavssonem, Wallinem i premierem, chociaż będzie to znacznie trudniejsze. Szwecja to nie Iran – skonstatował z sarkazmem i postanowił, że stanie po stronie prawdziwych bohaterów, nawet jeśli będzie musiał zakończyć swoją misję na Gotlandii.

Spojrzał na Gustavssona i Wallina, którzy dawali mu znaki, by do nich podszedł, lecz Kurt, jakby na przekór, chwycił za rękę Gunnara i obaj ruszyli w kierunku grupy, w której stali Harriet, Hasan, Linda i Anton.

– Za chwilę podejda tu do was Gustavsson i Wallin – powiedział, kiedy tylko się zatrzymał. – Zakomunikują wam, że z powodów zdrowotnych i dla bezpieczeństwa Hasan i Anton zostaną przewiezieni samolotem do bazy wojskowej w Piteå. W rzeczywistości chodzi o ukrycie was obu przed mediami i przeczekanie kilku miesięcy, aż sprawa ucichnie. Harriet nie uniknie zarzutów prokuratorskich za nielegalną akcję w Iranie, a tak naprawdę na kilka miesięcy śledztwa stanie się zakładniczką, by Hasan i Anton byli posłuszni i nie poszli do mediów. W tym czasie premier planuje rozwiązanie rządu i przedterminowe wybory, czyli ucieczkę do przodu.

Kiedy skończył, zaległa cisza. Wszyscy patrzyli na niego z tym samym wyrazem twarzy pełnym niedowierzania, może nawet osłupienia, a już na pewno zaskoczenia. I im dłużej trwała cisza, tym

bardziej do nich docierało, że Kurt mówi poważnie. Jedyne Hasan sprawiał wrażenie, że jest mu to obojętne.

Pierwszy odezwał się Gunnar.

– Co tu się dzieje?

– Zarzuty dla Harriet? – włączyła się Linda.

– Mamy lecieć do Piteå? – zapytał Anton. – Na przesłuchanie?

O co chodzi?

– Spodziewałam się tego – wtrąciła Harriet. – Mogą mnie wsadzić do więzienia, zniszczyć, opluć, skopać, spodziewałam się tego i nie jestem zaskoczona, jestem przygotowana, ale dlaczego robią to Hasanowi i Antonowi? – Spojrzała pytająco na Kurta.

– Jestem z wami – odparł. – Zrobimy tak...

5

Była osiemnasta, czwartek, imieniny Teodora i Larysy. Pub Bolek na Polu Mokotowskim świecił pustkami. Otwarta była jedynie główna sala z piecem do pizzy i tworzącym kąć prosty barem, nad którym świeciły różnokolorowe reklamy alkoholi.

Sara i Konrad przyjechali metrem i ostatnie dwieście metrów przeszli pieszo, kuląc się od zimnego wiatru i deszczu ze śniegiem, złośliwie zacinającego prosto w twarz.

Kiedy tylko weszli do pubu, odetchnęli z ulgą, jakby ten krótki odcinek kosztował ich ponadludzki wysiłek. Konrad strzepnął czapkę o rękaw, a Sara zdjęła kaptur, wyciągnęła chusteczkę i wytarła twarz. Mieli już wejść z holu do sali, gdy zatrzymał ich agresywny, skrzekliwy głos szatniarza, który z wyciągniętą ręką domagał się zdania ubrań. Bez słowa oddali mu ciężkie od wody kurtki i wzięli numerki. Szatniarz mógł się wydawać irytujący, ale nie tego wieczoru.

Konrad przytrzymał przed Sarą drzwi i w tym samym momencie dziewięć twarzy obróciło się w ich stronę, jak widownia śledząca dziwny lot tenisowej piłeczki. Na ten widok Sara uśmiechnęła się mimowolnie, bo wydawało jej się przez chwilę, że ma on w sobie coś z antycznego dramatu. Od razu jednak zdała sobie sprawę, że to przecież ona i Konrad byli przyczyną tego dramatu i przeżyć, które dostarczyli swoim współpracownikom, jakby nie liczyli się z ich przyjaźnią, braterstwem broni. Może uważają, że ich zdradziliśmy – pomyślała z bólem, bo sama chyba tego nie przeżyła. Pożałowała

uśmiechu, który natychmiast zasechł na jej twarzy jak stara zmarszczka, i poczuła, że musi wyglądać wyjątkowo idiotycznie.

Przy stole, który zawsze zajmowali w tym pubie, siedziało siedem osób. W środku gładko uczesany Marcin w granatowym garniturze, po jego lewej stronie M-Irek i Lutek w marynarskim golfie, a po prawej Ela w czarnym swetrze, Witek i Ewa w dżinsowej kurtce. Naprzeciwko nich, tyłem do wejścia, stała pusta ławka, jakby celowo zostawiona dla Sary i Konrada. Przyćmione światło, cisza, pusty stół, żadnego piwa ani wody, żadnych telefonów komórkowych. Przez chwilę Konrad pomyślał, że to ławka dla oskarżonych, którzy zasiądą przed trybunałem siedmiu sprawiedliwych, i poczuł się nieswojo, jakby z powodu jego niezaprzeczalnej winy cały ten proces był tylko zbędną farsą, która przysporzy wszystkim bólu.

Idąc o krok za Sarą, spojrział w lewo i dopiero teraz zauważył dwóch mężczyzn siedzących przy sąsiednim stole, tuż obok siódemki sędziów.

Wyglądali jak znudzeni widzowie z pierwszego rzędu, którzy przez pomyłkę trafili na spektakl chińskiego teatru cieni. Konrad nigdy ich wcześniej nie widział, chociaż znał prawie wszystkich ludzi z obserwacji ABW, bo przez lata zaliczył z nimi wiele wspólnych akcji. Wyłapywał betkarzy od pierwszego spojrzenia, bo emanowali dziwnym seledynowym fluidem, który roztaczał się nad nimi jak zawieszony obłok, ale tylko wtedy, kiedy byli na służbie. Jeden z mężczyzn pod obłokiem, jakby chciał utwierdzić Konrada w słusznym przekonaniu, że rzeczywiście są tymi, o których myśli, uniósł delikatnie dłoń nad blatem i puścił oko. Konrad odpowiedział mu dyskretnym skinieniem głowy i było już jasne, że zaplanowane spotkanie może się odbyć w spokoju. Na Miłobędzkiej wszyscy wiedzieli, że szef Agencji nie ma wielu przyjaciół w ABW, tylko jemu się wydawało, że jest dokładnie odwrotnie.

– Co słyhać? – zapytała Sara, siadając na ławce. – Coście tacy ponurzy? Stało się coś?

Jej ironia była aż nadto widoczna, ale nikogo nie drażniła, bo i tak wszyscy wiedzieli, że nieudolnie udaje. Sara zawsze miała z tym

problem, szczególnie kiedy musiała uzewnętrznić swoje uczucia wobec najbliższych.

– Podobno nie ma już Wydziału „Q” – zaczął Marcin tonem obrażonego dziecka. – Od kilku dni jesteśmy w dyspozycji kadr. Codziennie nas przesłuchują...

– Wydział „Q”... to my – spokojnie przerwał mu Konrad. – Przecież siedzimy tu, teraz, razem... tak jak zawsze... w naszym zapasowym biurze... i jak widać, nikt nas nie może rozwiązać.

Mówił cicho, powoli, z namysłem i przez moment wszyscy spoglądali na niego zaskoczeni, bo wyglądało to tak, jakby się z nich naigrywał. Ale przecież wiedzieli dobrze, że Konrad jest im oddany do ostatniej kropli krwi, jak dobry ojciec i przyjaciel, i ufali mu bardziej niż sobie, więc chwilowa niepewność szybko przemieniła się w zaciekawienie. A kiedy Sara się uśmiechnęła, byli już pewni, że dzieje się coś nadzwyczajnego i że za chwilę dowiedzą się co.

– Tak. Mamy kłopoty, ale to są nasze kłopoty i nie chcemy was w to wciągać. Winni jednak jesteśmy wam wyjaśnienie. – Sara przeszła do sedna. – Ponosicie konsekwencje nie swoich decyzji i czynów, więc musicie wiedzieć dlaczego, co się stało...

– Pani naczelnik, nie mamy chyba teraz większych kłopotów, niż mieliśmy w Iranie – odezwał się niewidzialny Witek. – Warszawa raczej nie jest trudniejszym terenem od Teheranu...

– Jest! – niemal krzyknął Marcin. – Tu wróg jest między nami, czai się wszędzie...

– Jak to między nami? – Ela rozejrzała się zdziwiona. – O czym ty mówisz?

– Nooo... nie tu... nie między nami tu przy stole... – Marcin poruszył się nerwowo. – Mam na myśli Firmę, a nie nas, nie Wydział „Q”. – Spojrzał w bok na mężczyzn pod obłokami. – A ci dwaj to co? Przyjaciele może?

– Wyłącz się, Marcin! – twardo wszedł Konrad. – Nie utrudniaj nam sprawy. Możesz? – Spojrzał na niego ostro, bo tylko w ten sposób mógł go spacyfikować.

– Ale, szefie... Ci betkarze przyleźli tu za mną i nawet o suchym

pysku siedzą!

– Zamknij się w końcu, do kurwy nędzy! – odezwał się Lutek i wszyscy zamarli ze zdumienia.

Lutek tak rzadko otwierał usta, że jego głos, wzbogacony równie rzadko używanymi słowami, zadziałał jak poważne ostrzeżenie, a Lutek nigdy nie żartował. Ale jeśli musiał walczyć słowem, to nigdy nie pudłował i zawsze trafiał w śmiertelną dziesiątkę. Tym razem jednak tembr jego głosu był na tyle niezwykły, że przyciągnął nawet uwagę betkarzy, którzy również utkwili w Lutku spojrzenie, słusznie podejrzewając, że ten człowiek musi być niebezpiecznie wkurzony. I rzeczywiście tego wieczoru Lutek z trudem panował nad sobą, bo jeszcze nigdy w życiu nie był przesłuchiwany, a dla specjalsa znaczyło to tyle, co dać się wziąć żywcem na polu walki.

– Czyści jesteście? – Sara przerwała ciszę i pociągnęła teatralnie wzrokiem po ich twarzach jak król Artur po obliczach swoich rycerzy.

– Nooo... nieee... Pani naczelnik... – zareagował natychmiast Mirek.

– Pani naczelnik... to nie fair... – dodał Irek.

– Okay... okay... – powtórzyła dla pewności. – Ja... tak na wszelki wypadek.

– Przecież wciąż jesteśmy Wydziałem „Q” – odezwała się milcząca dotąd Ewa. – Nic się pod tym względem chyba nie zmieniło... Nie zapomnieliśmy przecież o Igorze i Wasi, prawda? Zdjęcia są nam raczej niepotrzebne.

I na chwilę nad stołem zawisła cisza.

6

Jagan nie wiedział, gdzie mieszka Doronin, i wcale go to nie interesowało, ale kiedy poznał jego adres, bardzo się zdziwił. Wziął lornetkę i wyszedł na balkon. Jak wynikało z jego obliczeń, musiało to być mieszkanie w bloku, który obserwował przez ostatnie trzy dni. Z łatwością wytypował lokal na dziesiątym piętrze i dla pewności sprawdził swoje zapiski. „Mieszkanie konspiracyjne” – zapisał na liście czerwonym ołówkiem przy numerze 265, tym samym, który podał mu Doronin w SMS-ie.

Ja pierdole... ale ci nasi szpiedzy to bałwany! – pomyślał Jagan i uśmiechnął się w duchu, kiedy już wbiegał na dziewiąte piętro. Zasłonięte brudne okna, żadnych kwiatów, prania, żadnego rowerka ani beczek z ogórkami czy kapustą... Mieszkanie konspiracyjne rosyjskiego wywiadu, ale czystości to nie potrafią utrzymać. Prawdziwy Rosjanin kąpie się codziennie, bo higiena to sprawa patriotyzmu... No, chyba że jest na wojnie.

Przystanął i przyłożył ucho do drzwi. Wewnątrz było cicho, ale Jagan wyraźnie czuł czyjąś obecność, tym bardziej że smok zadrżał delikatnie. Odbezpieczył złotą tetetkę, chociaż wcale nie czuł zagrożenia. Instynkt zawodził go jednak coraz częściej, więc nie mógł zdać się wyłącznie na niego. To był jego największy problem: zaczynał tracić zaufanie do samego siebie.

Przełożył pistolet do prawej kieszeni kurtki, a lewą ręką delikatnie nacisnął klamkę. Nim doszedł do połowy, drzwi gwałtownie szarpnęły i otworzyły się na oścież.

– Wchodź – wyszeptał Rudolf, przynajmniej tak się Jaganowi wydawało.

– Aaa... skąd wiedziałeś... że ja...

– Znikłeś na dwa dni i szef chciał już się tobą zająć.

– Jak to zająć?

– Dezerterów strzela się jak psy.

– Nie jestem dezerterem – zaprotestował głośno Jagan i poczuł, jakby coś mu ugrzęzło w gardle, bo określenie „dezerter” było najgorszym przekleństwem dla żołnierza specnazu. – Zepsuł mi się telefon – dodał niepewnie, a Doronin z niedowierzaniem pokiwał głową.

Tak czy inaczej kapitan miał już na dobre przegwizdane u Jagana. I na dodatek to imię, Rudolf, które w żaden sposób nie mogło mu przejść przez gardło. Pomyślał nawet przez chwilę, że za tego „dezertera” mógłby mu dać z lewego buta w ryj, a za imię z prawego, ale wisiał w Jaseniewie na czterdzieści tysięcy baksów, które już się rozeszły, więc się powstrzymał. Będzie jeszcze okazja – pomyślał – dopilnuję.

W rzeczywistości kapitan Rudolf Doronin mówił normalnym głosem, był zrównoważony i zadawał pytania, kiedy chciał się czegoś dowiedzieć. Jagan był po prostu do niego uprzedzony, jak zresztą do wszystkich z wyjątkiem Gali.

Miał trzydzieści pięć lat, z czego dziesięć spędził w Meksyku, USA i Indiach. Gdyby Jagan to wiedział, inaczej spojrzalby na kapitana, bo to znaczyło, że zna fach i ma doświadczenie bojowe, jak mówili o pracy zagranicznej szpiedzy, a Jagan cenił tylko zawodowców. A gdyby wiedział jeszcze, że Doronin służył w jednostce do zadań specjalnych, z pewnością zmieniłby opinię. Nowy szef SWZ Krugłow wybrał Doronina właśnie dlatego, że ten cały czas działał za granicą i był prawie nieznaną w Centrali, nie miał powiązań z żadną koterią w Jaseniewie i pochodził z chłopskiej rodziny gdzieś zza Uralu. Kończył tajny indywidualny kurs oficerski, więc nie był uwikłany w układ towarzyski, w jakim tkwią wszyscy absolwenci Akademii Andropowa. Nigdy też nie spotkał się

z Popowskim, więc było prawie pewne, że nie jest związany z grupą Lebidzia znaną jako *bielaja komanda*, i bardzo prawdopodobne, że nie zdradzi.

– Herbaty? – zapytał Doronin, ale Jagan udał, że nie słyszy. – Nie to nie.

Usiedli w dużym pokoju na starej, zaplamionej wersalce i Doronin otworzył pokrywę laptopa.

– Zdejmij kurtkę – powiedział spokojnie. – Chwilę posiedzimy. Jest o czym pogadać. Zapocisz się. – Spojrzał na Jagana, który patrząc w okno, poprawił kurtkę i położył nogi na ławę. – Wystaje ci z kieszeni ta twoja złota tetetka. Nie sądzisz, że to siara chodzić z takim babskim pistolecikiem? – zapytał z uśmiechem, ale Jagan tylko wcisnął mocniej głowę w kołnierz i wciąż gapił się w okno. Pistoletu nie poprawił. – Coś taki najeżony? Stało się coś?

Jagan wzruszył ramionami.

– Mów, *komandir*, co się dzieje. Szkoda czasu. – Wsunął pistolet do kieszeni. – Mam nowiutką giurzę SPS, jak trzeba... więc nie bądź taki mądry, towarzyszu oficerze wywiadu.

– Oj, chorąży Trubow... – Doronin pokręcił głową z lekkim uśmiechem. – Lubię cię i już wiem, że ta nasza wyprawa będzie chyba najwspanialszym przeżyciem, jakie dotąd miałem. Naprawdę cię lubię, chociaż nie mam zielonego pojęcia, dlaczego akurat ciebie wyznaczono do tej roboty. Mówią, że jesteś nieśmiertelny... Nexus... Pewnie dlatego – powiedział bez cienia ironii i pokiwał z uznaniem głową. – Zobaczymy, czy z ciebie taki dzygit, jak mówią.

– Jaki Nexus? – obruszył się Jagan, ale poczuł się dziwnie z innego powodu. Do tej pory tylko Gala mówiła, że go lubi, i wiedział dokładnie, co to znaczy, bo słowa zamieniała w czyn. Kiedyś coś takiego powiedział chyba Tatar w Szwecji, nie był pewien, zresztą Tatar nie żyje. Ale Doronin? W każdym razie postanowił zdjąć kurtkę i zabrał nogi ze stołu.

– Napiję się tej herbaty – wykrztusił przez zaciśnięte gardło.

– A dlaczego mówią na ciebie Jagan? – Kapitan podniósł się z kanapy.

- Czy to ważne? A co... nie czytałeś moich akt?
- Nie – doleciało z kuchni.
- Dziwne – mruknął Jagan. – Wszyscy wcześniej czytali.
- Co mówisz?
- Nic.

- Żonaty jesteś? Masz dzieci? Jakąś rodzinę...
- A co cię to obchodzi?

– Chcę cię poznać. Będziemy przecież razem pracować. – Z kuchni dochodził stukot szkła. – Dopaść Popowskiego to prawdziwe wyzwanie dla takich kozaków jak my. Nie będzie łatwo...

– To weź sobie moje akta i poczytaj, jak tak bardzo chcesz mnie poznać. Tam wszystko jest. A Popowskiego mamy przecież zlikwidować, więc w czym problem? Prosta sprawa...

– Tylko gdzie on jest? – zapytał Doronin, niosąc dwie szklanki herbaty.

– Jeszcze tego nie wiesz? To po co mnie ściągnąłeś?

– O tym zaraz. – Usiadł na kanapie. – Nie chcę czytać twoich akt, chcę cię poznać takiego, jaki jesteś naprawdę. Podpytałem tu i tam i nikt nie potrafił powiedzieć o tobie nic konkretnego, tylko że jesteś Nexus, Robocop, nieśmiertelny Jagan, więc od razu zrozumiałem, że w żadnych aktach nie da się opisać kogoś takiego jak ty. Albo dasz się poznać i będziesz chciał ze mną pracować, albo nie. Tylko we dwóch damy radę Popowskiemu...

– Ty umiesz walczyć? – przerwał mu Jagan.

– Powiedzmy.

– Znasz Popowskiego?

– Nie, ale...

– Ja go znam. On nie da się zająć od tyłu, rozumiesz? – Jagan trzymał oburącz szklankę i patrzył kapitanowi prosto w oczy.

Doronin pokiwał głową i uciekł wzrokiem gdzieś w róg pokoju.

– Wiem – odparł po chwili milczenia, jakby się zastanawiał, co odpowiedzieć. – We dwóch damy radę? – zapytał powątpiewająco.

– Nie wiem. – Jagan po raz pierwszy przyznał się do tego na głos.

I to była prawda.

Energicznie odstawił szklankę na stół, przez moment wahał się, jakby nie był pewny, co ma zrobić, obiegnął wzrokiem pokój, spojrzął w okno, głęboko westchnął, zamknął oczy i zamarł. Doronin w pierwszej chwili pomyślał, że Jagan zmienił zdanie i chce wyjść z mieszkania, ale zaraz do niego dotarło, jak absurdalne jest to wrażenie. Siedzieli w bezruchu, a scena trwała. W końcu Doronin się zaniepokoił, bo czuwanie Jagana przeciągało się i przez chwilę miał wrażenie, że jego blada twarz przypomina raczej fakira w stanie medytacji, jakich widział w Indiach, niż chorążego specnazu.

Miał już coś powiedzieć, by przerwać ciszę, gdy Jagan otworzył oczy, spojrzął mu prosto w twarz, uniósł lekko brwi i wyciągnął w jego kierunku dłoń. Doronin z lekkim ociąganiem podał mu swoją. Uścisnęli sobie sparowane równo męskie dłonie, pasowały idealnie.

Doronin nie wiedział, że był pierwszą osobą, której Jagan kiedykolwiek podał dłoń, więc nie mógł docenić tego faktu, a miał on znaczenie równe wartości jego życia. Trzymając twardą dłoń Jagana, czuł, jak po plecach przechodzą mu ciarki, jakby tamten przekazywał mu jakąś tajemną siłę. To było doznanie odrobinę niepokojące, lecz miłe, i Doronin pomyślał, że to dobry znak. Jasne oczy Jagana były zimne, bez wyrazu, ale energia z jego dłoni jakby rozgrzewała całe ciało. Pomyślał nawet, że chorąży go zahipnotyzował, a kiedy jego dłoń odpłynęła, wszystko nagle prysnęło jak bańka, jakby nigdy się nie wydarzyło. Kapitan Rudolf Doronin od razu polubił nowego towarzysza i uśmiechnął się do niego po męsku, twarz Jagana jednak nie zmieniła wyrazu.

– Jaka jest twoja tajemnica? – zapytał kapitan, kręcąc głową.

– Nie mam żadnych tajemnic... Matka żyje na Syberii, ojciec rzucił nas, kiedy byłem dzieckiem, i podobno gdzieś w Kijowie zapił się na śmierć... Mam dziewczynę... taka Gala jedna... artystka, malarka. – Ostatnie słowo wypowiedział tonem dziecięcej dumy. – A służba? Normalka, nic ciekawego... patrony, mahorka, wódka... Znasz?

– Znam. *Konczył dieto, gulaj smielo* – rzucił Doronin. – Tak

będzie, a tymczasem bierzmy się do roboty. – Podciągnął laptopa. –
Zbliź się, Andriusza, coś ci pokażę.

7

Generał Gustavsson miał sześćdziesiąt cztery lata, nienaganną sylwetkę sportowca, gęste siwe włosy zaczesane do tyłu i nosił okulary bez oprawek. Nigdy nie trzymał rąk w kieszeniach, nie zakładał ich na piersi, nie spletał dłoni ani z przodu, ani z tyłu. Był urodzonym wojskowym w czwartym pokoleniu, więc lubił wykonywać i wydawać rozkazy i była to jego ulubiona forma komunikacji z otoczeniem. Pytań nie zadawał. Dzięki tym cechom zrobił szybką karierę sztabową i mógł przez wiele lat pełnić funkcję szefa wywiadu wojskowego MUST. Minister obrony i premier doceniali jego talenty, bo tezy i myśli konstruował krótko i jasno, a uzasadniał prosto i logicznie. Najważniejsze, że zawsze miał jakiś plan, za który gotów był wziąć odpowiedzialność, a to przecież najtrudniejszy moment dla każdego polityka.

Jego wystąpienie do zebranych w hangarze na lotnisku Arlanda trwało ledwie dwie minuty. Z dobrze wyćwiczoną generalską miną, sprawnie i szybko przedstawił plan działań. Wszystko uzasadniał obowiązkiem służby dla ojczyzny, dobrem państwa, honorem, bezpieczeństwem i zachowaniem tajemnicy. Czyli było dokładnie tak, jak Kurt przewidział, bo znał Gustavssona od lat.

Pierwszy odezwał się Anton.

– Ja nigdzie nie jadę, do żadnego ośrodka w Piteå. Chcę wracać do domu teraz, a wyjaśnienia chętnie złożę w prokuraturze, zgodnie z prawem...

– To jest polecenie... – przerwał mu mężczyzna stojący obok

generała.

– Jestem pracownikiem FRA i wojsko nic mi nie może kazać.

– Hasan też nigdzie nie pojedzie – włączyła się Linda mocno podniesionym głosem. – Potrzebuje teraz pomocy i przyjaciół... To nieludzkie! Jak możecie... Bydlaki! – Lindzie puściły nerwy, chociaż od śmierci Olafa była cały czas na środkach uspokajających. – Skurwysyny!

– Niech się pani opanuje i proszę uważać na słowa – uniósł się mężczyzna.

– Hasan Mardan dostanie w Piteå najlepszą pomoc i opiekę, na jaką stać państwo – dodał Gustavsson.

– A pan niech mnie nie straszy prokuratorem... – wtrąciła się Harriet. – To szantaż. Wiem, co zrobiłam, i za wszystko jestem gotowa odpowiedzieć, ale nie przed panem. Wszystko musi mieć swoje miejsce i czas.

Gustavsson zawsze był blady, ale teraz zrobił się biały jak papier. Zacisnął dłonie, bo zorientował się, że ma do czynienia z ewidentnym buntem wzbogaconym elementami zorganizowanej obrony, czego nie przewidział w swoim planie. Pojawiło się widmo klęski. Spojrzał na Wallina, któremu nozdrza chodziły jak u zdyszanego konia, i od razu zrozumiał, że nie może liczyć na żadną pomoc z jego strony.

– Swoim postępowaniem możecie doprowadzić do bardzo poważnych konsekwencji politycznych dla kraju, bezpieczeństwa, stosunków międzynarodowych, spowodować zagrożenie dla naszych interesów... – Wallin przerwał na chwilę i groźnie potoczył wzrokiem po zebranych, wysuwając nieznacznie do przodu dolną szczękę. – To nieodpowiedzialność i karygodna niesubordynacja. – Używał miłąkich słów, które wypowiadał bez przekonania, mimo to wyglądało, jakby próbował ich przed czymś ostrzec.

Kurt od razu zauważył jego charakterystyczny grymas i wiedział, że Wallin jest wściekły i jak zwykle w takiej sytuacji za chwilę straci równowagę i poczucie rzeczywistości. Uznał, że to najlepszy moment, by działać.

– Chodźcie... zabieram was do domu. Musicie odpocząć –

zwrócił się do grupy otaczającej Harriet. Wiedział, że przerywając Wallinowi, wytrąci go z rytmu. – Trzeba się wami zaopiekować... – Spojrzał na Hasana. – Szwecja jest ci coś winna.

Rzucił okiem w stronę Wallina i Gustavssona i wyciągając krótkie nogi w białych skarpetkach, ruszył w kierunku rzędu zaparkowanych nieopodal samochodów. Za nim podążyła Harriet, trzymając Hasana za rękę, obok Anton, a na końcu Linda z Gunnarem.

– Lövenström! – krzyknął za nim Wallin. – Lövenström! Co ty robisz? Jesteś skończony!

8

Od wyjazdu Popowskiego minął już miesiąc, więc Iwan Siemionow powoli przestawał odczuwać niepokój, a przynajmniej tak mu się wydawało. Nie mógł powiedzieć, że dotąd się bał, bo byłoby to stanowczo za mocne określenie jego stanu psychicznego, ale niepokój był wystarczająco męczący. Misza siedział mu w głowie niczym złośliwy robak i ciągle się wiercił, jakby chciał przypomnieć o swoim istnieniu. O tym, że nie pomógł mu w trudnej sytuacji, przynajmniej nie w takim stopniu, w jakim mógł, tylko zwyczajnie pozwolił mu odejść. Zrobił minimum i dał pieniądze, których nie żałował, bo w podświadomości kupował sobie za nie spokój sumienia. Okazało się jednak, że tego nie można sobie kupić. Dlatego niepokój o los Popowskiego mieszał się z poczuciem winy i niesubordynacji wobec państwa, a to wszystko razem powodowało, że wieczorami zaczął popijać, codziennie.

Tak było aż do chwili, kiedy przyszedł do niego na Durowa 4 Raskolnikow. Przepili wtedy tego i Iwan zrozumiał całą śmieszność swoich wyrzutów sumienia, które – podobnie jak poczucie winy – najczęściej mają nie ci, co powinni, tylko ludzie uczciwi. Dopiero Rodion uprzytomnił mu, że człowiek składa się z samych sprzeczności i to one decydują o jego wyborach.

Dotarło też do niego, że im więcej pije, tym więcej ludzi chodzi mu w nocy po mieszkaniu, a on musi ciągle wstawać i zapalać światło. Przyrzekał sobie wtedy, że się ożeni, by ożywić swój dom. Ale to nie było solidne zobowiązanie, bo rano wszystko zniknęło.

Iwan Siemionow nie był gwiazdą rosyjskiego wywiadu jak Michaił Popowski, nie był zaprawionym w bojach przystojniakiem, który zjeździł cały świat – od Teheranu przez Waszyngton do Johannesburga. Nie nosił garniturów od Bossa ani butów szytych na miarę. Nie miał nawet partnerki i nosił grube szkła korekcyjne. Był zaprzeczeniem Popowskiego. Piął się mozolnie po szczeblach kariery w Jaseniewie, aż doszedł do stanowiska naczelnika Wydziału Północnokoreańskiego. Był dobry w planowaniu, pomysłowy, solidny i inteligentny, a to całkiem sporo jak na oficera Centrali, więc naczelnikował z powodzeniem już od kilku lat.

Po Popowskim jednak ślad zaginął i im dłużej trwała wokół niego cisza, tym bardziej Siemionow się uspokajał, aż w końcu przestał pić. Po zamachu pałacowym i likwidacji „białej drużyny” został w Centrali już tylko przykry zapach, a na korytarzach – mnóstwo awansowanych właśnie miernot i spadów z GRU.

Następnego dnia miał się stawić na dziewiątą rano na dziewiątym piętrze, w zielonym gabinecie, który niegdyś należał do generała Lebiedzia, a który teraz zajmował nowy szef Służby Wywiadu Zagranicznego, Krugłow, od niedawna dwugwiazdkowy generał. Miała to być dopiero druga wizyta Siemionowa u nowego szefa. Do tej pory wszystkie sprawy załatwiał z generałem Kożewkinem, zastępcą szefa do spraw Dalekiego Wschodu.

Zwykle kiedy był wzywany, wiedział w jakiej sprawie i mógł się przygotować, bo na pytanie szefa „Co wiecie o tej sprawie, towarzyszu, i jaka jest nasza propozycja?” odpowiedź „Nie wiem, towarzyszu generale, muszę sprawdzić” mogła się zdarzyć tylko raz. Dlatego Siemionow czuł lekkie podniecenie i w głębi duszy liczył, że w końcu dostanie placówkę w Tokio, o którą nieustannie aplikował od trzech lat.

Jakież było jego zaskoczenie, kiedy zameldowawszy się, zobaczył, że w fotelu siedzi rozparty Krugłow, naprzeciw niego generał Fiodor Łopatin, szef GRU, a na blacie stoi herbata w tych samych miedzioniklowych podstakannikach księcia Jusupowa, których używał generał Lebiedź.

Jasne już było, że szef nie zaproponuje mu wyjazdu na placówkę. Stąd zaskoczenie, bo sama obecność Łopatina nie była czymś niezwykłym. Od stłumienia puczu „białej drużyny” ludzie z GRU pojawili się we wszystkich wydziałach i było powszechnie wiadomo, że Łopatin jest numerem dwa w drużynie Władimira Władimirowicza, zaraz po Pietryckim, i deklasuje Krugłowa intelektualnie. Łopatin dowodził wywiadem wojskowym od dwudziestu lat, a armia w Rosji zawsze była najważniejsza.

Dlatego wyglądało to tak, jakby Służba Wywiadu Zagranicznego została ubezwłasnowolniona, i wszyscy tak to czuli, z wyjątkiem Krugłowa. A może taka była jego rola? Siemionowa to jednak mało już obchodziło. Chciał jak najszybciej wyjechać do tej cholernej Japonii.

– Siadajcie, Iwanie Piotrowiczu – odezwał się miłym głosem Krugłow i Siemionow od razu zrozumiał, że szef SWZ jest świeżo po lekturze jego teczki personalnej, skoro pamięta otczestwo, więc niczym pruski oficer usiadł ostrożnie na skraju fotelu. Na coś się zanosilo.

– Jak tam sytuacja u Kimów? – zapytał szef i Siemionow wiedział już, że nie o Korei Północnej będą rozmawiać.

– Bez zmian, towarzyszu generale. Podtrzymujemy stan podenerwowania w Japonii i USA, ale program drugiego etapu rakiet dalekiego zasięgu jest wciąż w fazie kolekcjonowania źródeł i zasobów ludzkich. Nie jest z tym dobrze, więc na razie mamy czas...

– Świetnie, towarzyszu pułkowniku – przerwał mu Krugłow. – Od razu widać, że wydział pracuje dobrze... – Pokiwał z uznaniem głową bez szyi. – Kolegium służby... a i Władimir Władimirowicz pozytywnie oceniają wyniki waszej pracy. Gratuluję. Prawda, Fiedia? – zwrócił się do milczącego Łopatina.

– Tak, to prawda. Nasi specjaliści też wysoko cenią urobek pułkownika Siemionowa.

– Napije się pan herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Dobrze, towarzyszu pułkowniku, przejdźmy zatem do sedna. – Krugłow wypiął brzuch i nadał policzki, jakby miał zaraz wypuścić z siebie mistrala. – W porozumieniu z generałem Kożewkinem podjąłem decyzję o przeniesieniu was, towarzyszu pułkowniku, na zachód. – Uśmiechnął się ironicznie. – Na zachód znaczy do Polski. – Siemionow już miał otworzyć szeroko oczy, ale się powstrzymał i tylko zacisnął szczęki. – Wiecie o tym, że pułkownik Michaił Popowski zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach i śledztwo wciąż trwa... Hm... – Na moment jakby się zamyślił. – Sprawę oczywiście wyjaśnimy, ale Wydział Polski pozostaje już zbyt długo bez naczelnika, więc mamy na tym kierunku prawdziwą katastrofę, tym bardziej że były zaplanowane poważne operacje w Polsce... zatwierdzone przez prezydenta. Krótko mówiąc, towarzyszu pułkowniku, obejmiecie kierownictwo Wydziału Polskiego. Przyda wam się zmiana i rozszerzenie horyzontów, odświeżenie myśli i nowe pomysły. No i trzeba tam uporządkować sprawy po Popowskim. Co wy na to?

Ostatnie pytanie było oczywiście nieważne, bo Krugłow zadał je jedynie pro forma, zachowując przed Łopatinem pozory elementarnej kultury biurowej. Właściwie to Siemionow poczuł się, jakby mu ktoś podciął gardło i krew wylała się na pierś. Nie mógł złapać oddechu ani znaleźć odpowiednich słów. Szybko jednak zrozumiał, że żadna obrona nie ma sensu i że powinien się poddać.

I Tokio poszło w pizdu... – pomyślał, poprawił okulary, po czym odezwał się nieśmiało:

– Towarzyszu generale... ja nawet nie byłem na Białorusi... przecież całe życie... na kierunku koreańskim... język, kultura...

– Iwanie Piotrowiczu... – przyciął go Krugłow – jesteście bardzo dobrym oficerem wywiadu, a dobry oficer wywiadu powinien dać sobie radę na każdym kierunku, a szczególnie tam, gdzie postawi go kierownictwo służby. Zaufanie... rozumiecie? – Spojrzał chłodno spod krzaczastych brwi. – Jesteśmy przecież Rosjanami. Gratuluję, Iwanie Piotrowiczu, gratuluję też awansu. Wasze obowiązki obejmie z dniem dzisiejszym wasz zastępca.

Spotkanie trwało ledwie kilkanaście minut i prawie cały czas mówił Krugłow. Generał Łopatin przysłuchiwał się uważnie i nie odezwał się ani słowem, ale wzrok utkwiał w Siemionowie, jakby chciał go sprowokować albo przeświecić. Zawsze lubili się obnosić z tą swoją elitarnością i nieprzeniknionym etosem, szczelnością i tajnością. Siemionow jednak znał te zagrywki wojskowych szpiegów z GRU i nie dał się podejść, wytrzymując wzrok Łopatina.

Wrócił do swojego biura, gdzie czekał już na niego generał Kożewkin i wszyscy trzej zastępcy. Wyglądało to tak, jakby od dawna wiedzieli, co się dzieje, a on, Iwan Siemionow, naczelnik wydziału, właśnie został poinformowany jako ostatni. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Kiedy spojrzał na ich twarze pozbawione śladów sympatii, zaskoczenia, złości, rzucające spojrzenia bez wyrazu, pomyślał, jak to możliwe, że z tymi ludźmi przepracował tyle lat, przeżył tyle radości, porażek, przyjaźni, a teraz jedyne, co mają mu do zaoferowania, to pantomimiczna obojętność. Zrobiło mu się niedobrze. Jakby zawisł w ciemnej przestrzeni i nie mógł się zorientować, gdzie jest ziemia, a gdzie niebo.

Co ja tu jeszcze robię? – pomyślał, patrząc na zimne twarze zebranych, i zaraz zdał sobie sprawę, że to, niestety, Służba Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej, a nie bank spółdzielczy, i nie można stąd wyjść, kiedy się chce.

Choć w głębi duszy miotła nim wściekłość, uśmiechnął się szeroko do zebranych.

– Znaczy... już wiecie. Bardzo się cieszę, że mogliśmy razem pracować...

Powiedział jeszcze kilka zdań w tym stylu, bez entuzjazmu i bez sympatii do tych ludzi, a potem schylił się po swoją teczkę stojącą obok biurka, włożył ją pod pachę i wyszedł z gabinetu.

Krugłow wyjął z lodówki butelkę ormiańskiego koniaku, która została po generale Lebiedziu. Postawił dwa kieliszki i popielniczkę. Nalał po połowie, jakby wiedział, ile Łopatin lubi wypić przed

dziesiątą, po czym z kieliszkiem w dłoni zajął miejsce za biurkiem, moszcząc się na swoim zielonym fotelu, i zapalił papierosa.

– Wygląda na średnio rozgarniętego – zaczął Łopatin. – Czyli w sam raz. Nie zorientuje się?

– Nie powinien. Wybrałem go, bo to zaprzeczenie Popowskiego. Nie mogłem znaleźć nikogo, kto nie byłby z tym zbiegiem jakoś związany. Ludzie Lebedzia i jego cisi sympatycy kryją się jeszcze po kątach, tylko udają lojalnych. A ten się różni... widać gołym okiem, no i nigdy razem nie pracowali... no... poza jedną sprawą, ale i tak... Pochodzi ze wsi, nie jest z żadnej rodziny. – Krugłow jakby się zamyślił. – No bo co może mieć wspólnego Polska z Koreą Północną?

Łopatin uśmiechnął się dwuznacznie.

– Nas – wtrącił. – Rosję. Dzisiaj wszystko, co jest ważne, musi być powiązane z Rosją. Tak mówi prezydent. Nie słyszałeś? – zakończył ironicznym pytaniem, unosząc krzaczaste brwi.

Obaj się uśmiechnęli i wznieśli kieliszki.

– Słyszałem – odparł Krugłow. – Co robimy? Siemionow jest już gotowy.

– Władimir Władimirowicz uważa, że pomysł jest dobry i powinniśmy wdrożyć go jak najszybciej – pewnym siebie tonem oświadczył Łopatin. – Wkrótce w Polsce będą mieć przedterminowe wybory prezydenckie, a my musimy doprowadzić do przedterminowych wyborów parlamentarnych gdzieś za pół roku. Inaczej nie będziemy mogli działać na Ukrainie ani w Syrii. Władimir Władimirowicz uważa, że ta sprawa ma być napędem dla Polski, która powinna ruszyć jak nasz koń trojański.

– No tak...

– Nie możemy dłużej czekać z Brukselą, więc Popowski spadł nam z nieba i... – Łopatin urwał w pół zdania, zawiesił na chwilę głos i zaraz dodał: – Sytuacja międzynarodowa jest wprost wymarzona do rozpoczęcia operacji na wszystkich frontach... polskim szczególnie...

– Tak... sytuacja wewnętrzna w Polsce jest idealna i właściwie to

wystarczy czekać, aż wszystko im powie i sami zaczną działać.

– Należy założyć, że już to zrobił. Kwestia, kiedy wybuchnie bomba polityczna, teraz zależy już tylko od nas. A potem Polacy sami załatwią resztę. Najpierw nas znieawidzą, a potem jeszcze bardziej... – Obaj wybuchnęli śmiechem. – I nie o to chodzi, by nas lubili, tylko nienawidzili, szanowny generale Krugłow. Wy tego jeszcze nie wiecie? Im bardziej Polacy nas nienawidzą, tym bardziej Niemcy nas lubią, dlatego nie może być nic gorszego dla Rosji niż Polacy w niemieckich czołgach.

– Z tego, co ustaliliśmy, wynika, że Popowski nie wiedział o „Graalu”...

– Wiedział Lebedź! – ostro przypomniał Łopatin. – Więc jakieś ryzyko jest, choć to bardzo mało prawdopodobne. Mógł się domyślać, że coś jest nie tak na jego terenie, ale to trochę mało. Niemniej jednak trzeba go jak najszybciej uciszyć. Ty za to odpowiadasz.

– Ale za Popowskim puściłem już psy...

– I bardzo dobrze, w walce człowieka ze światem trzeba stawiać na świat, ale ta prawda ma sens tylko wtedy, kiedy to się robi na Kremlu. Władimir Władimirowicz chce go mieć w Moskwie, a jak się nie da, to ma być zlikwidowany. Nic tak przecież nie utwierdzi Polaków w przekonaniu, że mówił im prawdę, jak jego śmierć. Oni tam mają kompleks Litwinienki, więc trzeba to wykorzystać i oby żył jak najdłużej.

– Popowski? – zapytał zdziwiony Krugłow.

– Nie... kompleks.

Roześmiali się i przechylili kieliszki.

– No tak, Rosjanin nawet po śmierci powinien służyć ojczyźnie. To nie jest duża przeszkoda – rzucił Krugłow, wypuszczając dym przez nos.

– Tyle że jego prawda to już nie będzie nasza prawda ani cała prawda. Poza tym nie możemy Polakom i Amerykanom zostawić takiego doradcy, bo to będzie nasz kompleks... kompleks Gordijewskiego. Właściwie to przy pomocy Popowskiego

skopiujemy w jakimś sensie to, co zrobiliśmy Szwedom. – Łopatin pociągnął tęgi łyk zimnego koniaku i nawet się nie skrzywił. – Co z tą jego... kobietą?

– Zoję Tokiną?

– Właśnie. Jest coś nowego?

– Pracujemy nad nią, ale na razie... nic.

– Najważniejsze, żeby nam nie znikła. Bo to może być mocny argument w rozgrywce z Popowskim. Zakochany szpieg to pechowiec albo człowiek chory. Ludzka głupota jest najlepszym sprzymierzeńcem szpiegów, ale nie własna. Własna głupota to śmierć.

– Dopadniemy go, nie ukryje się. Nie ma takiego miejsca na świecie, którego by nie znał kapitan Rudolf Doronin...

– Jeszcze jedna sprawa, o której ci nie powiedziałem – wszedł mu w słowo Łopatin, podsuwając pusty kieliszek do napełnienia. – Decyzja prezydenta. Operację prowadzi GRU, a SWZ nas uzupełnia. Rozumiem, że nie muszę ci objaśniać dlaczego?

– Oczywiście, że nie – odparł pokornie Krugłow.

– Prezydent nie ma jeszcze zaufania do kadry. Dopóki nie wyczyszczysz szeregów ze złogów polebiedziowych, operacja musi pozostać w gestii GRU. Warszawską „złotą piątkę” trzeba chronić za wszelką cenę. Ponad trzydzieści lat ją budowaliśmy, dopieszczali i wpompowali w nią dziesiątki milionów, żeby teraz przyniosła Rosji korzyść. I nie może jakiś Popowski, zasmarkany lebiedziowy chuj, zniweczyć pracy pokolenia wywiadowców GRU. Rozumiecie, towarzyszu generale? Porażka nie jest zaplanowana, jeśli wiesz, co to znaczy. – Łopatin zrobił się niespodziewanie oschły, nawet nieprzyjemny. – Bo kompleks Gordijewskiego to macie wy... tutaj...

– Spojrzał świdrującym wzrokiem na czerwonego Krugłowa i dodał:

– Tu... w Jaseniewie. GRU nie przecieka.

Krugłow poczuł lekkie ukłucie w swoje ego, ale doskonale rozumiał i od samego początku nie miał złudzeń, kim jest generał Łopatin ani kto będzie dowodził. Zresztą nie czuł się na siłach, by tym zarządzać. A o warszawskiej „złotej piątce” nigdy wcześniej nie

słyszał, chociaż nadzorował wywiad. Operacja ta stanowczo przekraczała jego kompetencje i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Zależało mu tylko na gabinecie z widokiem z dziewiątego piętra. Jeśli jednak sprawa pieprznie, to konsekwencje poniesie ten, kto dowodzi, czyli Łopatin – kalkulował Krugłow.

Nie zdawał sobie jednak sprawy, że Łopatin przygotował się na wszelką okoliczność: miał już gotową listę przewinień Krugłowa i tylko czekał, aż operacja się zakończy.

– To co? Pewny jesteś tego Siemionowa? Dasz sobie za niego rękę uciąć? – Łopatin zmienił wyraz twarzy, uśmiechnął się sucho i spojrzał zimnym wzrokiem starego generała wywiadu wojskowego.

– Oczywiście – odparł pewnym głosem Krugłow, ale teraz nabrał wątpliwości, czy aby nie wykazuje za dużo inicjatywy. To ostatnie, dziecinne pytanie Łopatina zabrzmiało jakoś złowieszczo.

Ludzie z nadmiarem inicjatywy pierwsi giną – pomyślał i dołączył koniaku do kieliszków.

9

Tadeusz Konarzewski był przewodniczącym partii od chwili jej powstania. Był też jej założycielem. Dlatego kwestionowanie jego przywództwa nie było ani praktyczne, ani dobrze widziane, ani mądre i właściwie się nie zdarzało. Dzięki temu partia miała się dobrze i pod kierunkiem Tadeusza szycowała się do wielkiego przełomu. Objęcia władzy.

Sytuacja międzynarodowa wokół Polski, na Wschodzie, Zachodzie, Bliskim Wschodzie oraz w Chinach – wszystko układało się w logiczny, koherentny ciąg wydarzeń i Tadeusz wiedział aż nadto dobrze, że człowiek w obliczu zagrożenia szuka przede wszystkim bezpiecznego miejsca dla siebie i swojej rodziny. Ale jeszcze bardziej potrzebuje kogoś, kto się nim zaopiekuje, obroni i pokaże, gdzie się można schronić, weźmie pod swoje stalowe skrzydła.

Od wielu miesięcy badania opinii publicznej wskazywały, że Polacy tęsknią za silnym przywódcą i nieustannie wspominają marszałka Piłsudskiego, wolność i demokrację odsuwając na dalszy plan. Im lepsza była sytuacja gospodarcza Polski i większa niepewność jej bezpieczeństwa, tym bardziej ludzie bali się o swoją przyszłość i dorobek. A od pewnego poziomu strach napędza się już sam.

Taka była esencja myśli politycznej Tadeusza i w Gabinetcie Cygar Woskowych wszyscy się z nią zgadzali. Co więcej, panowało przekonanie, że ta prosta diagnoza, przy obojnactwie politycznym partii rządzącej, sama załatwi im przejście władzy i właściwie

trzeba tylko uważać, by nic nie zepsuć. A psują najczęściej zwykli głupcy i szpiedzy – uważał Tadeusz – dlatego zagrożenie jest realne i poważne.

Jednak wykrycie głupca i szpiega wrogiej partii we własnych szeregach było bardzo trudne, ba, prawie niemożliwe, i wymagało od przewodniczącego czegoś więcej niż talentu. Wymagało wizjonerstwa. Czasami zewnątrz szpieg i głupiec niczym się od siebie nie różnią. Jak jednak odróżnić szpiega udającego głupca od własnych pożytecznych głupców, bez których polityka nie może się obejść? Z tym Tadeusz miał problem. Wprawdzie nigdy nie złapał wewnętrznego szpiega, ale wiedział, że są wszędzie i knują razem z innymi szpiegami wrogiej partii. Wiedział, bo sam przecież miał takich szpiegów wszędzie.

Tak mu też podpowiadał Waclaw, który najlepiej się na tym znał, oraz logika i intuicja, tym bardziej że głupców rozpoznawał natychmiast, a było ich wokół mnóstwo. Tadeusz miał też problem z ustaleniem, który głupiec jest lojalny, który zaś nie. A lojalność cenił sobie najwyżej. Mówiło się nawet, że kiedy wchodził do polityki, to właśnie z powodu utraty zaufania rozszedł się z żoną. Wiedział też, że nie każdy, kto jest szczery, mówi prawdę i na odwrót. Inni też to wiedzieli, ale tylko on potrafił rozróżnić.

W partii, której przewodził, działały wszystkie demokratyczne instytucje, jakie powinny istnieć, by członkowie myśleli, że mają wpływ na jej funkcjonowanie. Były wybory, członkowie głosowali i decydowali, spierali się i podgryzali, ale i tak wszyscy wiedzieli, że najważniejszy jest Gabinet Cygar Woskowych, którego statut partii oczywiście nie przewidywał. A w Gabinetcie o wszystkim decydował Tadeusz, chociaż czasami można było podyskutować. A przynajmniej tak się wydawało.

W istocie nie było to ciało doradcze, lecz kontrolne, które pozwalało Tadeuszowi trzymać blisko siebie i pilnować potencjalnych puczystów, zdrajców, szpiegów i złodziei. Bo Konarzewski był doświadczonym politykiem i wizjonerem, więc najlepiej wiedział, że nic bardziej nie korumpuje ludzi niż polityka

właśnie.

Członkami Gabinetu było siedmiu najbliższych współpracowników Tadeusza, w tym Lucjan Górski z Torunia.

Tego dnia się zebrali, by przedyskutować kandydaturę partii w zbliżających się wyborach prezydenckich. Wiadomo już było, że obecny prezydent z powodów zdrowotnych ma ogłosić ustąpienie z urzędu, a wybory odbędą się w ciągu pół roku, więc trzeba było się spieszyć.

Tadeusz zdawał sobie sprawę, że po dwóch kolejnych skróconych i byle jakich prezydenturach wyborcy zażądadzą kogoś charyzmatycznego i zdecydowanego, zwłaszcza że poziom dezorientacji społeczeństwa osiągnął dno, co pokazywały wszystkie sondaże.

Lucjan bardzo liczył na tę nominację i miał podstawy przypuszczać, że tak właśnie się stanie. Wspierał go sam Waław Koszyk, etnograf i były szef ABW, najbardziej zaufana osoba Konarzewskiego.

Tadeusz i Waław byli rówieśnikami z pokolenia wielkiego powojennego wyżu demograficznego, które wykuwało przyjaźń na wyprawach do ruin miasta pachnącego jeszcze śmiercią.

Mieszkali w tej samej klatce schodowej na warszawskim Latawcu mokrym jeszcze od zaprawy murarskiej. Siedzieli w tej samej ławce w podstawówce numer 43 imienia Adama Próchnika na ulicy Stefanii Sempołowskiej, a drogę do szkoły przemierzali razem, wywijając workami z kapciami.

Ojciec Tadeusza był zwykłym murarzem, który otrzymał mieszkanie na budowanym przez siebie Latawcu, natomiast ojciec Waława zmarł zaraz po jego narodzinach i nie zachowały się żadne zdjęcia. A zatem syn właściwie go nie znał. Wychowywała go charyzmatyczna matka, znana dziennikarka, w czasie wojny łączniczka Komendy Głównej AK. Mimo braku domowej biblioteki Tadeusz uczył się lepiej od Waława, choć zazdrościł mu mamy z bohaterskim powstańczym życiorysem.

Tadeusz od początku miał zadatki na przywódcę, w czym nie

przeszkadzały mu spore trudności z właściwym planowaniem działań, określaniem priorytetów, a także – co najważniejsze – z identyfikacją wrogów, nie mówiąc o ich neutralizacji. Ale to był właśnie drugi szereg, wymarzone pole działania dla Wacława. I to dzięki niemu Tadeusz przez całą szkołę podstawową i liceum był przewodniczącym klasy. Tak rozpoczął się ich wspólny marsz ku polityce.

– Jaka sytuacja? – zapytał Tadeusz.

– Prezydent ma bardzo złe wyniki histopatologiczne i galopujący cukier. Nie poprawiły się od poprzedniego badania... – zaczął Wacław, tocząc wzrokiem po siedzących przy stole członkach Gabinetu.

– A to pewne? – przerwał mu przyjaciel. – Bo wiesz... jeśli nas podpuszczają, to możemy zrobić falstart. Twoje źródło w Pałacu jest wiarygodne? Czego od nas oczekuje?

– Wiarygodne. I drapieżne. Nazywam je „Sroka”, bo łapie w dzióbek wszystko, co błyszczy – odpowiedział spokojnie Wacław i delikatnie się uśmiechnął. – Chce zostać w kancelarii, jeśli nasz kandydat wygra. A poza tym proszę bardzo... – Wyjął dyktafon. – Sami możecie posłuchać, o czym rozmawia prezydent z premierem Bańkowskim. Zastanawiają się, czy sędzina wybierze prezesurę w Trybunale, czy jednak będzie kandydować.

– Najpierw ja przesłucham to nagranie – uciął Tadeusz. – Jak on to zrobił? Nooo... to nagranie.

– Mamy specjalistów na wolnym rynku, mamy. – Wacław uśmiechnął się porozumiewawczo, ale wszyscy członkowie Gabinetu wiedzieli, że chodzi o lojalnych wobec byłego szefa funkcjonariuszy służb. – Co więcej... – ciągnął – „Sroka” ma być zaufanym Bańkowskiego w sztabie wyborczym sędziny smędziny i zgodził się dla nas pracować. – Pokiwał głową, a wszyscy za stołem spojrzeli na niego z uznaniem.

– To świetnie! – odparł Tadeusz bez śladu emocji. – To rzeczywiście może nam otworzyć drzwi do Pałacu – dodał spokojnie, mrużąc naiwnie oczy, bo od początku wiedział o „Sroce”.

Kiedy zbliżały się poprzednie wybory i Wacław nie miał już wątpliwości, że wkrótce straci stanowisko szefa ABW, spotkał się z trzema najbardziej zaufanymi współpracownikami i zaproponował im plan „zamrożenia”. W zamian za dalszą cichą współpracę obiecał im szybkie awanse po następnych wyborach. Układ był prosty, bezpieczny, a dla „lojalnych” bardzo korzystny, bo swoją pracą z każdym dniem przybliżali powrót Wacława oraz wzmacniali nadzieję na dalszy rozwój własnej kariery i sute emerytury.

W rzeczywistości pod kryptonimem „Sroka” kryło się źródło Wacława zwerbowane już dawno temu przez „lojalnych” oficerów i Tadeusz doskonale wiedział, że ono niczego nie nagrywa, chociaż jest blisko prezydenta i Bańkowskiego.

Wycieki z obozu prezydenta były bardzo ważne, ale przed wyborami znacznie ważniejsza była dla Tadeusza szczelność Gabinetu i dlatego zanim oficjalnie zostanie wyznaczony kandydat, którego i tak już wybrał, należało przygotować kombinację sprawdzeniową, jak ją nazywał Wacław.

Zadaniem „Sroki” w Pałacu było teraz tylko przypilnować, czy pojawi się BOR i zacznie szukać podsłuchów. Proste, ale skuteczne – utrzymywał Wacław, który w odróżnieniu od Tadeusza nie uważał szpiegów za głupców, ale nie próbował nakłonić go do zmiany zdania. Miał ku temu dobre powody.

Sporządził listę punktacyjną, na której byli wszyscy członkowie Gabinetu. Co tydzień aktualizował ocenę każdej osoby, przyznając jej punkty od jednego do pięciu, co miało odzwierciedlać stopień zaawansowania podejrzeń.

Od miesięcy listę otwierał profesor Grabski z Krakowa, a zamykał Lucjan Górski z Torunia, który z natury lubił uległość. W ubiegłym roku najbardziej podejrzany był wiceprzewodniczący partii, więc został „odcięty od tlenu”, jak mówił Wacław, i na jego miejsce przyszedł Grabski z partii Bańkowskiego, zabierając ze sobą całą swoją krakowską frakcję.

– O ile znam Bańkowskiego, to jest bardzo prawdopodobne, że nam podstawił tego... „Srokę”. Tak, to taki właśnie człowiek. Trzeba

by się zastanowić, jak ich sprowokować, może się czymś zdradzą – zaczął profesor Grabski. – A ten „Sroka” to kim tam właściwie jest, skoro może tak łatwo zakładać podsłuchy w Pałacu? Przecież powinienem go znać i z pewnością mogę zweryfikować jego wiarygodność. Tak. Znam tam przecież wszystkich... Kurlandzki?

– To teraz nieistotne – odparł Tadeusz i spojrzał na przyjaciela.

Trzy punkty dla profesora... – pomyślał Wacław – znowu.

Bo to był Kurlandzki.

10

Doronin przez dwie minuty szukał czegoś w komputerze, aż w końcu na ekranie pojawiło się niewyraźne czarno-białe zdjęcie z jakimiś napisami i cyframi. Wyciągnął mały czarny notatnik Moleskine zapinany na gumkę i zielony długopis. Pochylił się niżej nad laptopem i otworzył notatnik.

– To jest plac Preobrażeński w Petersburgu – zaczął cicho.

– Co? – zapytał Jagan.

– Plac Preobrażeński... Nie słyszysz?

– Cicho mówisz.

– Cicho? – zdziwił się Doronin. – Pierwszy raz ktoś mi na to zwraca uwagę, ale dobrze, będę mówił głośniej. – Napił się herbaty i ciągnął: – To jest film z kamery w podstawce samochodowej na parkingu przed soborem. Dziesiąta rano. Jakość taka, jak widzisz, czyli do dupy. Zresztą pogoda też była kiepska. Jest też film z drugiej kamery, ale jakość jeszcze gorsza. Robiła miejscowa FSB, więc rozumiesz...

– Nie.

– Nieważne. Słuchaj pilnie, bo przed naszym wyjazdem jutro...

– Jutro? – Jagan nie krył zaskoczenia. – Dokąd? Muszę się przygotować...

– Do Finlandii jedziemy.

W plecy Jagana mocno wbiły się smocze pazury, aż syknął. Na sam dźwięk słowa „Finlandia” wezbrały w nim najgorsze myśli i chociaż nigdy nikogo tam nie zabił, to czuł do tego miejsca

wyjątkowy wstręt. Najpierw zdarzenie z Tatarem i ucieczka przez Wyspy Alandzkie, a potem nieudana akcja na fińskim promie z polskim konwertytą i Bogajewami. Wszystko razem tworzyło aurę klęski i poniżenia, a to była najgorsza kombinacja wrażeń, jaka mogła go dotknąć. Jagan z całego serca nienawidził przegrywać, a jeszcze bardziej – dawać sobie pluć na plecy. Finlandia, Szwecja... te nazwy sprawiały, że natychmiast zaciskał szczęki, a smoka przeszywał dreszcz. Chciał już splunąć, ale się powstrzymał, bo musiałby pójść do toalety, więc tylko powtórzył sobie w duchu trzy razy „bladź, bladź, bladź”, a potem jeszcze raz „pierdolona bladź”, i poczuł, jak smok znowu się spina.

Sytuacja nie wyglądała dobrze i choć był to dopiero początek, Jagan od razu pomyślał, że Doronin ze starcia z Popowskim nie wyjdzie żywy.

– Świetnie! – odparł. – Świetnie... bladź... Znam ten kraj. Kompletna dzicz.

– Według naszego SIGINT-u Popowski wysłał z Moskwy na numer telefonu w Polsce SMS-a, w którym wyznaczył komuś spotkanie na tym właśnie placu i podał kolejne zapasowe miejsce, za dwa dni, na Szpalernej pięćdziesiąt sześć. Potem jego telefon zamarł. FSB obstawiła oba miejsca, lecz Popowski w żadnym z nich się nie pojawił.

– Pułkownik nie wyłożyłby się tak łatwo. Jesteście na niego za cieni.

– Dobrze, chorąży, dobrze. – Doronin z uznaniem pokiwał głową.

– Dobrze myślisz. Ale nasi też potrafią dobrze myśleć.

– To się okaże.

– Albo było to zbyt naiwne, by mogło być prawdziwe, albo genialne w swojej prostocie. Nie można jednak okłamać kogoś, kto spodziewa się kłamstwa – ciągnął Doronin.

– Że co? – zdziwił się Jagan. – Nie rozumiem.

– Nieważne. – Kapitan nie zamierzał rozwijać myśli, bo nie miał na to czasu, niemniej doceniał przewrotną inteligencję Jagana. – Telefon do Polski to też mogła być zasłona, zaplanowana zmyłka.

Popowski przecież był naczelnikiem Wydziału Polskiego, więc musiał się spodziewać, że to trop, którym za nim pójdziemy. Numer mógł być w Polsce, ale rozmowa została przekierowana dalej... na przykład do Londynu...

– Popowski jest zdrajcą czy dezertorem? – zapytał niespodziewanie Jagan. – To dla mnie spora różnica, no bo jak zdradził, to miał powód, a jak zdezerterował, znaczy, że tchórz.

– Mniejsza o to, mamy na niego zlecenie i musimy je wykonać.

– I dlatego muszę wiedzieć, czy zwierzę będzie uciekać, czy przygotuje obronę.

– Wróćmy do sprawy – zbył go Doronin, ale usłyszana przed chwilą uwaga mocno go zastanowiła. W swojej prostocie była przenikliwa i inspirująca. – W Moskwie musiał mu ktoś pomagać, ale tym zajmuje się inny zespół. Popowski znikł w Petersburgu bez śladu. Właściwie to ślad jest, bardzo niewyraźny, ale to nasza jedyna nadzieja. Być może Jaseniewo wie coś jeszcze, czego ja nie wiem, i wcale bym się nie dziwił, gdyby tak było. Możliwe, że znamy tylko fragment większej całości, i to wcale nie najważniejszy. Złudzenie to brat halucynacji, a w wywiadzie jedno od drugiego jest czasem nie do odróżnienia, więc żeby nie oszaleć, nie warto się nad tym zastanawiać.

– Że co?

– Nieważne. Musimy zbadać nasz ślad, i tyle. Zobacz to... tutaj. – Doronin uderzył parę razy w klawiaturę i na ekranie pojawiło się nowe zdjęcie. – Widzisz ten samochód? To zdjęcie z przejścia granicznego Torfianowka–Vaalimaa, a to jeep cherokee na fińskich numerach dyplomatycznych. Samochód należy do szyfranta Stanisława Kostki z polskiej ambasady, ale podróżowali nim Robert i Anna Majewscy, polski konsul z Helsinek z żoną. Dziwne?

– Eee... nie wiem... Dziwne? – Jagan, pochylony, przyglądał się fotce.

– Samo w sobie może niekoniecznie, ale są kolejne ciekawostki, które zagęszczają obraz...

– Co robią?

– Ludzie z FSB przesłuchali pograniczników, którzy mieli służbę tego dnia i doskonale pamiętali tę parę Polaków. Oni sami mówili, że przyjechali zwiedzić Ermitaż, ale jak się później okazało, do muzeum nawet nie zajrzeli. W Ermitażu jest bardzo dobra kontrola i wiemy, że państwa Majewskich tam nie było, chociaż mieli ze sobą bilety wstępu. Na przejściu jest urządzenie do skanowania pojazdu, ale nie wykazało, by ktoś był w środku. Tyle że to stary system i można go obejść. I teraz najciekawsze. – Doronin ponownie uderzył w klawisze i na ekranie pojawił się film. – Oto co zarejestrowała kamera z naszej podstawki na placu Preobrażeńskim. – Przez kilka sekund obserwowali wysokiego mężczyznę w naciągniętej głęboko czapce, który przeszedł przed kamerą, rozglądając się dyskretnie. – Konsul Majewski, potwierdzili to pogranicznicy. Pojawił się dwukrotnie. O dziewiątej czterdzieści i punktualnie o dziesiątej, czyli wtedy, kiedy Popowski wyznaczył spotkanie. To polski szpieg. Wystarczy mi chwila obserwacji, by to stwierdzić. Szpieg zawsze rozpozna drugiego szpiega. To tak, jakbyśmy przekazywali sobie niewidzialny znak rozpoznawczy, nieśli aureolę nad głową albo emitowali światło.

– Nigdy nie zauważyłem niczego takiego, a znam wielu szpiegów – odparł Jagan, wpatrując się w ekran. – Daj mi ten komputer. – Wyciągnął rękę, chwycił go za brzeg, podciągnął bliżej i po chwili rzucił: – Wydaje mi się, że już go gdzieś widziałem, ale nie jestem pewien. Dziwne, mam idealną pamięć do twarzy, a teraz nie pamiętam.

– To przecież konsul Robert Majewski z Helsinek... Znasz go? Skąd?

– Dziwne to bardzo... znam go, ale nie wiem skąd i nie wiem, gdzie go widziałem. – Jagan się zaniepokoił. Zawsze dotąd pamiętał albo twarz, albo nazwisko. Teraz to nie działało. Im dłużej przyglądał się tej twarzy, tym bardziej był przekonany, że już gdzieś ją widział, ale bał się przyznać przed Doroninem, że nie potrafi powiedzieć nic więcej. Jakby chciał ukryć ułomność. – Ech, chyba mi się wydaje...

– Według naszych informacji – wszedł mu w słowo kapitan i Jagan

poczuł ulgę – Robert Majewski nie jest oficerem polskiego wywiadu ani jego współpracownikiem, czyli mamy ślepią ścieżkę, i do tego wąską.

– Jaką znowu ścieżkę?

– Ścieżkę do Finlandii. Jedziemy rozwikłać tę zagadkę i odnaleźć ślad Popowskiego, który najprawdopodobniej gdzieś tam się urywa. Zaczynamy od Roberta Majewskiego. Nasi ludzie w Helsinkach już się nim zajęli.

11

Spotkanie w Bolku trwało prawie dwie godziny. Konrad i Sara na zmianę opowiedzieli w najdrobniejszych szczegółach, co robili w Rosji, co zdarzyło się potem, co się stało z Popowskim i – najważniejsze – co chcą zrobić. Nie musieli jedynie wyjaśniać dlaczego. Na pytanie Konrada, czy w to wchodzi, współpracownicy odpowiedzieli tak jak zawsze – milczeniem. Nie potrafili dosadniej wyrazić swojej zgody. Nie musieli też rozmawiać o konsekwencjach, jakie poniosą, bo wszystko, co mieli zrobić, było pod prąd wszystkim, jak powiedział Konrad.

Sara popatrzyła jedynie dłużej na Witka i Elę, którzy od razu wyczuli, o co chce zapytać, a właściwie, co chce stwierdzić, i zgodnie oświadczyli, że są młodzi, dobrzy nie tylko w szpiegowskiej robocie, więc poradzą sobie nawet w cywilu.

– Lepiej z Widmem – jak ku uciesze wszystkich Witek nazywał Wydział „Q” – zrobić coś takiego i nawet dużo stracić, niż do końca życia nosić papiery na Miłobędzkiej. A poza tym po prostu trzeba to zrobić, nie?

Nim się podnieśli z krzeseł, Konrad dał znak betkarzom, żeby bez pośpiechu zdążyli zapłacić, i kiedy ci regulowali rachunek, razem z Sarą pierwszy ruszył w kierunku szatni.

Wciąż padało, więc zaczekał na obserwację przed wejściem. Pojawili się po minucie.

– Późno jest, jedziemy do domu metrem, więc możecie... – Konrad chciał im zaproponować, żeby już sobie dzisiaj odpuścili, ale

ten wyższy zrobił kwaśną minę i pokręcił głową.

– Dzięki, ale mamy na was zlecenie dwadzieścia cztery do odwołania, a zmiana przychodzi o pierwszej – odparł ten mniejszy i wcisnął głowę w kołnierz.

– Ale możemy was podrzucić samochodem do domu – dodał wyższy i zapalił papierosa. – Zaoszczędzimy czasu, i wy, i my. No i ta pogoda... Człowiek człowiekowi człowiekiem... nawet w naszym kręgu.

– Chętnie skorzystamy – zgodziła się Sara. – A tak w ogóle... znamy się? Pracowaliśmy razem?

– My akurat nie, chociaż ja chodziłem za panią na ćwiczeniach. Dobrze sobie pani radziła, pamiętam.

– W Kiejkutach?

– No tak, ale na ćwiczeniach byliście tutaj, w Warszawie. – Wyższy trzymał papierosa w dłoni i pociągał łapczywie raz za razem, aż Sara nabrała chęci, by zapalić. – Ale znamy was, kto by was nie znał...

– Od kogo jest zlecenie? – zapytał Konrad. – AW?

– Nie... z dwójki – odparł niższy, otwierając drzwi opla.

– Od Marcela?

– Tak.

– Po co całe to przedstawienie? Przecież to nie ma sensu...

– Marcel też tak powiedział i chciał, żebyśmy się po cichu z wami ułożyli. Dlatego daliśmy wam znak. Dla nas to też jest przykre i nikt się nie przykłada, bo to zadanie poniżej godności. Wiadomo było od początku, że wyłapiecie nas bez pudła, więc nie ma co się skradać. Chyba komuś chodzi o to, by było wam mniej miło w Warszawie w taką pogodę. No... to jedziemy na Kabaty. – Betkarz uśmiechnął się i wrzucił papierosa do kałuży. – Na pohybel... jak powiedział aktor Gajos, na pohybel wszystkim.

Dojechali na miejsce w piętnaście minut. Porozmawiali ogólnikowo o różnych sprawach z ostatnich lat i okazało się, że uczestniczyli w kilku wspólnych przedsięwzięciach. Betkarze jako ludzie z cienia muszą dbać o swój wizerunek, a właściwie o jego

brak, bo niewidzialność to ich narzędzie pracy i siła. I chociaż wielu oficerów operacyjnych uważa obserwację za rzemieślników, Konrad i Sara wiedzieli, że to prawdziwi mistrzowie mimikry i spostrzegawczości. W samochodzie szybko zapanowała atmosfera porozumienia, a nawet sympatii, kiedy zaś padło kilka dowcipów o przełożonych, Konrad zdecydowanie się rozluźnił i jeszcze bardziej umocnił w przekonaniu, że dobrze robi.

Spojrzał na Sarę, która przez całą drogę się nie odzywała. Siedziała bokiem, wpatrzona w szybę, jakby celowo chciała ukryć przed nim twarz, i puszczała cyjankową parę z e-papierosa, którą próbowała się od niego odgradzić.

Wiedział, z jakim wstrętem wraca do domu, więc pomyślał, że może powinien zaproponować jej nocleg gdzie indziej.

Od początku wiedzieli – i godzili się nato – że WBW zrobi im w domu kłopot, że najprawdopodobniej założy podsłuch i podgląd, ale reakcja Sary w krypcie Faradaya wskazywała, że Belik posunął się za daleko, przekroczył jej granicę intymności, a ona przeceniła swoje opanowanie.

W Teheranie mogła się kochać z Konradem na oczach irańskich służb i nawet sprawiało jej to pewną satysfakcję, a może było też dodatkowo podniecające. Zagrała sobie i wtedy była tylko ona, ukochany mężczyzna i anonimowa reszta świata, z którą musiała się mierzyć. Ale teraz obleśny Belik dotknął myślą i ręką jej najwrażliwszej sfery uczuć, świata, do którego miał wstęp tylko jeden wybrany przez nią mężczyzna – Konrad. Przepiętny złą wolą człowiek był w jej domu, chodził po jej sypialni, oddychał powietrzem, w którym unosi się jej zapach, brał do rąk jej bieliznę, był w jedynym miejscu na świecie, w którym ona nie jest oficerem wywiadu, tylko zwykłą kobietą. Wtargnął w świat jej marzeń i zniszczył szczęście, jakie zrodziło się w tym domu, w tym pokoju, w ciepłym łóżku. I zrobił to celowo lubieżnie, by ją zbrukać, splamić jej kobiecość i pokazać, że nie jest prawdziwym szpiegiem, jak on, że nie jest wystarczająco twarda i inteligentna, lecz tak naprawdę słaba i nadwrażliwa. Chciał pokazać, jak łatwo ją dotknąć.

Najgorsza jednak była dla niej świadomość, a właściwie wściekłość na siebie samą, że choć była przygotowana na to psychicznie, to jednak Belikowi udało się ją sprowokować.

– Może chcesz jechać na noc do hotelu? – zapytał Konrad, gdy tylko wysiedli z samochodu. – Albo do mojego ojca?

– Nie – odparła krótko i aż ją zabolalo, bo zrozumiała, że Konrad doskonale wie, co ona czuje.

Nie chciała się przed nim odkryć i nienawidziła już tego domu, mimo to musiała dokończyć, co zaplanowali. A już na pewno nie mogła dać satysfakcji Belikowi. Pomyślała nawet przez chwilę, że pójdzie teraz na górę, zrzuci ubranie już w przedpokoju i będzie się kochać z Konradem ostro jak nigdy wcześniej, tak żeby Belik skręcał się z zazdrości, i od razu zrobiło jej się lepiej.

Uśmiechnęła się do Konrada i ścisnęła go mocniej za ramię. Weszli na klatkę schodową, wsiedli do windy, ale nie pojechali na górę, lecz na dół, do garażu.

Zajęli miejsca we wnętrzu saaba. Konrad umieścił kartę SIM w aparacie i po chwili telefon zalogował się do sieci.

– Słaby zasięg w garażu... jedna kreska – oświadczył. – Wsiądę.

– Otwórz okno, wystarczy – rzuciła Sara.

Opuścił szybę, a na wyświetlaczu od razu przybyła dodatkowa kreska. Wyjął z kieszeni kartkę i wybrał dwunastocyfrowy numer. Przyłożył słuchawkę do ucha. Po kilkunastu sekundach nastąpiło połączenie.

– Cześć, Marcel – powiedział.

– Czekałem na twój telefon – usłyszał niski głos Marcela. – Stary z ciebie szpion, więc dobrze, że dzwonisz na bezpieczny telefon. Co wyście nawyprawiali? Rakowiecka i Miłobędzka dostają sraczkę na sam dźwięk waszych imion. Premier i minister Tadek podejrzewają, że montujecie jakiś zamach stanu... heheheeee... – zaśmiał się nieszczercze. – Co jest grane, Konrad?

– Rzeczywiście wygląda na to, że możemy mieć zamach stanu w Polsce, a przynajmniej potężną rozpierduchę. Ale to nie my ją spowodujemy, tylko oni sami. Wiesz przecież... specjaliści od

polityki w oborze, stodole i kurniku. – Konrad był trochę podenerwowany. – Ach... co ci będę mówił... tak czy inaczej dzwonię, bo musimy pogadać. Wszystko ci powiem, bez listka ściemy. Ty zadecydujesz. Ale bez ciebie cała ta sprawa nie ma sensu... sam zresztą ocenisz. Wiem, że nie powinienem tak mówić, ale powiem: nie mamy wyjścia i muszę ci zaufać.

– Groźnie to wszystko brzmi, a jeszcze gorzej wygląda – odparł Marcel i zamilkł, bo potrzebował chwili.

Wiedział, że Konrad wciąga go w swoją grę. Jeśli się z nim spotka, nie poinformowawszy wcześniej szefa ABW – który oczywiście natychmiast zadzwoni do wszystkich pozostałych graczy – to właściwie stanie się spiskowcem takim jak on. Jeśli powiadomi przełożonego, z pewnością otrzyma carte blanche na spotkanie, ale z dyktafonem w kieszeni. Chciał wiedzieć, jaką tajemnicę skrywają Konrad i Sara, ale żeby móc się zastanowić, co z nią począć i ile jest warta, musiał podjąć decyzję w tej chwili, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że Konrad wie, co oznaczałaby odpowiedź: „Muszę się zastanowić”. Rzykował przez całe życie, więc i ten kolejny raz musiał, chociaż rzucał na szalę własny los, którego nie był reżyserem.

– Dobrze – powiedział niepewnie. – Jutro?

– Jutro – potwierdził Konrad. – Dam znać gdzie. – I po chwili dodał: – Dobrze zrobiłeś, Marcel.

– Intuicja mówi mi...

– Intuicja nigdy się nie myli, bo to nasz pierwotny instynkt.

– Ech... Konrad, nie owijaj w bawełnę.

Choć nie mogli tego zobaczyć, obaj się uśmiechnęli.

– Musisz mi zdjąć obserwację na ten czas. Nikt nie może się dowiedzieć o naszym spotkaniu...

– Dobrze – przerwał mu Marcel. – Ale... widzisz... nie dam głowy, że to nie wycieknie.

– To wstaw na jutro zaufaną ekipę, a jak się dowiesz, o co chodzi, to wszystko się zmienia, i ty też zmienisz zdanie. Nic już nie będzie takie jak poprzednio. – Konrad pojechał na górnym c, ale wyświechtany frazes wcale nie zabrzmiał pusto.

– Dobrze.

– Powiedz jeszcze, kto dał na nas zlecenie.

– Apple Tea. I uważajcie w łóżku... – Zaśmiał się delikatnie, z sympatią, i Konrad to wyczuł. – Macie w domu oko i ucho, ale nie od nas, więc nie mogę wam pomóc.

– Dzięki, zdajemy sobie sprawę – odparł Konrad i rzucił: – Marcel?

– Co?

– Wytrzymaj do jutra.

Konrad się rozłączył, ale Marcel i tak nie miał zamiaru odpowiadać, doskonale wiedział, o co mu chodziło, i pomyślał, że intuicja rzeczywiście nie ma w ich życiu specjalnego zastosowania, szczególnie kiedy muszą rozstrzygać o własnym losie.

– No i co? – zapytała Sara.

– Zobaczymy.

– A co czujesz?

– Jak go znam, pewnie poszedł do baru i wlał w siebie tęgiego chivasa. Kalkuluje... żona, dzieci, brak pełnej wysługi. Też bym tak się czuł. Wpierdoliliśmy go i teraz dryfuje na wielkiej morskiej minie. Jesteśmy przestępcami, więc jaki ma wybór? W gruncie rzeczy zachowujemy się jak para oszustów, dlaczego ma nam uwierzyć...

– Ale co czujesz, do cholery?! – Sara zrobiła się bardziej ostra, bo Konrad zaczął przynudzać, i pożałowała, że to nie ona rozmawiała z Marcelem.

– W walce człowieka ze światem stawiam na człowieka... na Marcela. Zaufa nam.

– Nawet jeśli się mylimy, i tak nie ma to już znaczenia. Jutro wszystko się okaże. – Sara spuściła z tonu. – Zawsze lubiłam Marcela i zawsze czułam, że to porządny gość, a kobieta ma wyjątkową intuicję i nigdy się nie myli. – Jej twarz po raz pierwszy tego dnia się rozpozodziła i po chwili rozbłysła filuternym uśmiechem.

Konrad wyjął Sarze z ręki e-papierosa. Dotknął wnętrzem dłoni jej policzków, lekko ścisnął i delikatnie przyciągnął do siebie,

pocałował w wydęte usta, a ona natychmiast odpowiedziała mu wybuchem namiętności, jakiej już dawno nie zaznał. Poczłł, że powoli zalewa go fala ciepła, potem żaru, i zaczął odpływać gdzieś na zielony archipeląg szczęścia.

– Mamy... w domu... oko i ucho... – zdążył jeszcze wymruczeć przez zaciśnięte usta.

– Wiem... Dlatego zostajemy tutaj. Podciągnij szybę...

12

Od zniknięcia Michaiła minęły równo trzy tygodnie. Ale Zoja Tokina, na pozór twarda rosyjska *dietowaja ženszczina*, zatrudniona w niemieckiej firmie Gruber & Bach z siedzibą na trzydziestym szóstym piętrze wieżowca Mercury, jednego z najwyższych w Europie, nie potrafiła policzyć, ile od tamtego czasu upłynęło dni. Wiedziała jedynie, że wszystkie były złe, ale najgorszy był ten pierwszy.

W pracy nagle wszyscy zaczęli się jej przyglądać, znikły uśmiechy, koledzy i koleżanki zrobili się małomówni, a czasami opryskliwi, nikt nie przytrzymał drzwi, nie puszczał jej przodem, nie proponował herbaty. Gruber stał się jeszcze bardziej arogancki. Na ulicy przechodnie odwracali od niej wzrok, a sąsiedzi obserwowali ją zza firanek. Była niemal pewna, że świat wywrócił się do góry nogami.

Tylko dwóch tajniaków, towarzyszących jej nawet w damskiej toalecie, było całkowicie szczerych w swoich intencjach.

Kilka dni po wyjeździe Michaiła – tak bowiem określała jego zniknięcie – została zatrzymana przed swoim domem i przewieziona do willi na Zamoskworieczju.

Dwupiętrowy dom z lat trzydziestych, z łuszczącym się tynkiem, wywarł na Zoi jak najgorsze wrażenie, tym bardziej że trzech ponurzy mężczyźni z FSB, którzy jej towarzyszyli, przez całą drogę milczeli. Zresztą o nic nie pytała, bo doskonale wiedziała, dlaczego ją zatrzymano. Nie pokazali żadnego dokumentu ani nawet legitymacji,

nie powiedzieli, że jest aresztowana, tylko otworzyli drzwi czarnego samochodu nieznannej marki, z którego buchnęło przetrawionym tytoniem i męskim potem.

Przytrzymywana pod ramiona przez dwóch tęgich tajniaków, została poprowadzona szybkim krokiem przez obszerny hol w kierunku małych drzwi w rogu. Przez moment myślała, że prowadzą ją do celi, w której za chwilę kat strzeli jej w tył głowy, i mimowolnie się szarpnęła, spróbowała zaprzeczyć, ale tajniacy, nie rozluźniając stalowego uścisku, sprawnie unieśli ją lekko do góry i na kilka sekund straciła kontakt z posadzką. Natychmiast zdała sobie sprawę, że robią to nie pierwszy raz, i zrezygnowała z dalszego oporu.

Zresztą dlaczego mieliby mnie zabić? – dotarło do niej w końcu. Chyba mam obsesję.

Zdenerwowanie odplynęło na moment, kiedy tajniak z prawej kulturalnie zastukał trzy razy pękatym palcem w drzwi, ale powróciło wraz z tępą ciszą, która nastąpiła potem. Zoja zamarła, bo naiwnie uznała, że to jedyny sposób, by ukryć przerażenie.

Nie wiedziała, czy dobrze się maskuje, ale w końcu uzmysłowiła sobie, że przecież powinna wyglądać stosownie do okoliczności, w jakich się znalazła, być co najmniej zmartwiona, może zszokowana albo nawet spróbować histeryzować. Misza mówił przecież, że będą chcieli ją złamać, omotać, przeciągnąć na swoją stronę, i to w taki sposób, by uwierzyła w słuszność swojego wyboru. Wszystko starannie zaplanowane i wyreżyserowane.

Najbardziej niebezpieczny będzie jednak moment, kiedy odniesie wrażenie, że rezygnują ze współpracy. Powiedzą, że już wszystko wiedzą, poczęstują kawą, może ciastkiem, będą się uśmiechać, na przemian żartować i martwić się, w końcu podziękują za współpracę i zapewnią, że pierwsza się dowie, co się stało z pułkownikiem Popowskim. Moment, w którym poczuje się bezpieczna, nie będzie skutkiem jej wyboru, naturalnym wynikiem toku zdarzeń, będzie narzuconym elementem gry, przeciwiczonym do perfekcji. Dostosowane do jej psychiki potęgowanie napięcia spowoduje

z czasem uśpienie czujności, a stąd już tylko krok do porażki.

Misza jednak nie powiedział Zoi o najważniejszym. Nie powiedział całej prawdy. Firma odpuści mu tylko wtedy, gdy będzie wystawionym na pokaz martwym ścierwem. Tylko wtedy przestaną go ścigać. Do tego czasu wszystko wokół niej będzie tylko złudzeniem. W rosyjskim wywiadzie nie ma dla zdrajcy innego losu, bo takie jest prawo Sudopłatowa: wybierasz albo śmierć, albo życie w wiecznej tułaczce, ukryciu, w strachu zalewanym alkoholem i przepalonym narkotykami.

Nie powiedział jej o tym, bo zrozumiał, jak bardzo ją kocha, i choć zatajając ten fakt, ratował swoje uczucie i nadzieję na jakąś kruchą przyszłość, to zdawał sobie też sprawę, że ściąga na nią cierpienie, a może i śmierć. Zresztą i tak nie potrafiłby tego wytłumaczyć zakochanej kobiecie. Szpieczy czasami sami nie chcą wiedzieć, co robią i po co. Tylko udają, że jest inaczej.

W willi z łuszczycą na Zamoskworieczju Zoja była już trzykrotnie, za każdym razem w czwartek od dziewiątej rano do dwunastej. Czarny samochód cuchnący potem, ci sami milczący tajniacy, ten sam pokój, dwóch mężczyzn i kobieta z FSB, te same pytania, takie same odpowiedzi, takie same ostrzeżenia, prośby, groźby, obietnice. Herbata, kawa, dym z papierosów, ciasteczka sezamowe. W tym czasie ktoś chodził po jej mieszkaniu na Chimkach, bez zbędnej finezji zaglądał do rzeczy osobistych i za każdym razem zostawiał w sypialni cztery pety zgniecione na porcelanowym talerzyku.

Otyły Gruber był coraz bardziej wściekły i też zaczął jej grozić spojrzeniami zza okularów. Zoja chodziła do pracy wymalowana jak prostytutka z okolic Lumumby i chociaż sama nie mogła na siebie patrzeć, to jednak przepłakane noce zostawiały widoczny ślad i musiała coś ze sobą zrobić, a wyboru prawie nie miała.

Mimo to nawet przez chwilę nie zwątpiła i czuła, że musi być wierna Miszy. Wydawało jej się, że kocha go coraz mocniej, chociaż nie wiedziała, czy ta miłość w ogóle może dać jej szczęście. W oczekiwaniu na jej spełnienie stosowała się ściśle do poleceń Michaiła i starała nie myśleć o najgorszym.

To nie był czwartek, lecz piątek. Zaczynał się weekend z własnymi myślami i dwoma tajniakami w samochodzie pod domem, podsłuchem w domu i na telefonie. Zoja postanowiła zrobić sobie na kolację rybę w panierce i w drodze z pracy kupiła małą porcję polędwicy z dorsza. Gotowanie zawsze działało na nią uspokajająco. Oporządziła rybę, obrała ziemniaki, a resztki upchnęła w pełnym już koszu z odpadkami. Dopiero teraz się zorientowała, że od tygodnia nie wyrzucała śmieci i z kosza mocno zalatuje zdechłym szczurem. Nie mogła w takich warunkach zjeść kolacji i postanowiła wynieść wcześniej worek. Śmietnik był w garażu na poziomie zero, czyli wyżej niż jej stałe miejsce parkowania.

Włożyła buty, narzuciła na ramiona kurtkę. Drzwi nawet nie zamykała, bo i po co? W Moskwie chyba nie ma teraz lepiej strzeżonego mieszkania – pomyślała i trochę ją to rozbawiło. Chciała nawet powiedzieć na głos: „Idę ze śmieciami, zaraz wracam. Popilnujcie?”. Ale zrezygnowała, nie była aż tak cyniczna.

Zjechała windą i przez wypełniony półmrokiem garaż skierowała się do śmietnika, który otworzyła kartą magnetyczną. Automatycznie zapaliło się blade światło i Zoja, przytrzymując nogą stalowe drzwi, rzuciła pękaty worek na stos śmieci wypełniających kontener.

Puściła drzwi, które głośno trzasnęły, i już miała się obrócić, gdy tuż za plecami poczuła czyjaś obecność. Wydawało jej się nawet, że słyszy oddech, a przecież w garażu było cicho i pusto. Zamarła i poczuła, jak dreszcz przebiegł jej po plecach. Była pewna, że ktoś tu jest, stoi blisko i ma złe zamiary, chce ją skrzywdzić. Zaczepnęła już powietrza, żeby krzyknąć, gdy usłyszała za sobą spokojny męski głos.

– Nie denerwuj się, Zoju... jestem przyjacielem Miszy.

Odwróciła się i ujrzała mężczyznę średniego wzrostu, w granatowej kurtce i kapturze naciągniętym głęboko na głowę.

W garażu było mroczno, a nieznajomy usunął się na bok, w jeszcze bardziej zacienione miejsce, więc Zoja nie była w stanie dostrzec jego twarzy, ale po głosie mogła osądzić, że ma nie więcej niż trzydzieści parę lat. W szklach okularów w głębi ciemnego kaptura

delikatnie odbijały się refleksy słabego światła. Mężczyzna nie wyglądał groźnie.

– Mamy tylko chwilkę, nim się zorientują, że zbyt długo nie ma cię w domu.

Mówił spokojnie, powoli, z lekką chrapliwą wibracją w głosie, która dodawała mu jeszcze więcej tajemniczości, chociaż brzmiała sztucznie. Zoja знаła wielu przyjaciół Miszy, ale ten głos był wyjątkowo charakterystyczny i nie wątpiła, że słyszy go po raz pierwszy. Pamiętała, czego uczył ją Michaił: żeby nie wierzyła w nic, co zobaczy, usłyszy, przeczyta, żeby wszystko zapamiętywała i milczała tak długo, jak to możliwe.

W końcu jednak zapytała:

– Kim jesteś?

– To nie ma znaczenia. Jestem przyjacielem Miszy... to powinno wystarczyć, bo lepiej, żebyś nie wiedziała. Tak będzie bezpieczniej dla ciebie i dla mnie.

– Ale o co chodzi? – Nieudolnie udawała zaskoczenie. – Jeżeli jesteś przyjacielem Michaiła, możemy pójść do mnie na górę i porozmawiać. Po co...

– Zoju! – przerwał jej ostro. – Nie błażnij! Nigdy się nie spotkaliśmy, więc mnie nie znasz i w porządku. Oboje wiemy, że jesteś pod kontrolą FSB...

– No właśnie... – Ręką wskazała kamerę po drugiej stronie garażu.

– To atrapa. Dobrze o tym wiesz, więc przestań kręcić, nie przedłużaj i nie utrudniaj.

– Teraz każdy może się podszyć pod jego przyjaciela... A tak w ogóle to nie rozumiem tego... – Zrobiła ruch ręką, jakby chciała pokazać, że ma na myśli absurd spotkania w garażu, groteskową tajemniczość mężczyzny. – Po co ten kaptur, skoro jesteś jego przyjacielem? Przyszedłeś pomóc go odnaleźć? A co ty możesz... co ja mogę? Cała FSB go szuka. – Wzruszyła ramionami, by dodatkowo podkreślić swoje zdziwienie.

– Oboje dobrze wiemy, tak jak FSB, GRU, całe Jaseniewo

i wszyscy szpiedzy tego świata, że Misza nie zaginął, tylko zbiegł. Należał do „białej drużyny” generała Lebedzia i musiał uciekać. Przedtem był u ciebie i na mój nos dokładnie cię poinstruował, co masz robić, gdy zajmą się tobą ludzie z FSB i naszej kontry, a ja się nigdy nie mylę. I jestem pewny, że prędzej czy później odezwie się do ciebie... – przerwał na moment i rozejrzał się po garażu – i ludzie od nas też to wiedzą. Jesteś teraz jedynym śladem, jedyną drogą do niego...

– Ale ja przecież nic nie wiem...

– To oczywiste, że nie wiesz, gdzie on jest. Michaił to wyjątkowy oficer wywiadu i nie byłby tak głupi, by ci to powiedzieć, bo ludzie z FSB szybko by to z ciebie wyciągnęli.

– No więc? – zapytała z lekką ironią. – Czego ode mnie oczekujesz?

– Zoju... czy ty nie rozumiesz, co się dzieje? – Nieznajomy wyraźnie ściszył głos i przez chwilę Zoi się wydawało, że twarz we wnętrzu kaptura przygląda jej się z uwagą. – Tu nie chodzi o to, by odnaleźć Popowskiego, chodzi o to, by go zabić. On nie jest zaginiony, on jest ścigany. – I głośniej już dodał: – Zrozum, Zoju, jeśli mi nie pomożesz, to oni go zabiją. Zabijają! Rozumiesz? Jedyne, co możesz dla niego zrobić, to pomóc mnie. Twój heroizm i miłość na nic się nie zdadzą, jeśli nie zrobisz tego, co ci powiem. To jedyna szansa i bardzo... bardzo mała nadzieja, ale warto spróbować. Wchodzisz w to?

Zoja zamarła. Ostrzeżenie, że Miszy grozi śmierć, dotarło do niej jak uderzenie pioruna, chociaż gdzieś w głębi kobiecej duszy cały czas to czuła. Ale teraz te proste słowa wypowiedziane na głos z głębi kaptura zabrzmiały tak prosto, przekonująco i przerażająco, że zrozumiała sens propozycji mężczyzny i postanowiła się zgodzić, choć nie wiedziała jeszcze na co. Nawet wbrew temu, co mówił jej Misza, żeby pod żadnym pozorem nie dała się oszukać i w nic nie wierzyła, w żadne propozycje, przedstawienia, cudem odnalezioną rodzinę, teraz uznała, że dotarła do szklanej ściany i musi zdecydować, podjąć ryzyko.

Mężczyzna spojrział nerwowo na zegarek.

– Zoju, pospiesz się...

– Czego oczekujesz?

Zbliżył się do niej, wyjmując z kieszeni karteczkę.

– Weź to. Tu jest numer telefonu, na który Misza powinien jak najszybciej zadzwonić... To dla niego jedyny numer ratunkowy. Ukryj go dobrze, a najlepiej naucz się na pamięć. Misza będzie wiedział, co dalej robić.

– Ale ja nie mam z nim żadnego kontaktu. Naprawdę...

– On się z tobą skontaktuje. Ja to wiem i wiedzą psy gończe, ale mam nadzieję, że miłość do ciebie go nie zaślepi i będzie działał jak rasowy szpieg... – Mężczyzna wyciągnął rękę w czarnej rękawiczce. – I oszuka wszystkich. On to potrafi.

Gdy tylko uścisnęła jego dłoń, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył przez garaż.

– Skąd wiedziałeś, że wyjdę ze śmieciami? – zdążyła jeszcze zapytać, ale on tylko jej pomachał i zniknął za rogiem.

13

Doronin wyleciał z Moskwy w czwartek Aerofłotem o siódmej pięćdziesiąt pięć i po półtorej godziny lotu był w Rydze. Jagan przyleciał dwie godziny później liniami Air Baltic.

Zgodnie z planem wziął taksówkę i prosto z lotniska pojechał na Zvejnieku 9 na wyspie Kīpsala. Rosyjski taksówkarz przez kilka minut próbował nawiązać z nim rozmowę, ale w końcu zrezygnował i też zamilkł.

Kīpsala leżała po lewej stronie szerokiej tutaj Dźwiny, na wprost centrum miasta, które rozlokowało się na prawym brzegu. Południową część wyspy zajmowały tereny targowe, biurowce i parkingi, północna zaś była rzadko zabudowana, głównie rozpadającymi się postsowieckimi ruderami, odludna, z jałowymi połączeniami porośniętymi kępami krzaków. Tu właśnie wysiadł Jagan, odczekał, aż taksówka zniknie mu z pola widzenia, i dopiero potem rozejrzał się wokół. Był sam w ponurym szarośnieżnym łotewskim krajobrazie i nic nie czuł. To był dobry znak: może bezpiecznie ruszać na spotkanie z Doroninem.

– No to... zaczynamy! Początek niby udany – powiedział na głos Jagan, ale myśli miał jak najgorsze, bo wciąż nie mógł uwierzyć, by Doronin ze swoimi pomysłami i planem mógł pokonać Popowskiego. – Gdybym sam miał to zrobić, to co innego, ale z nim? Porządny kapitan, ale co on może? Ilu już takich widziałem...

Włożył do telefonu kartę SIM, włączył go, naciągnął czapkę wełnianą, przerzucił przez ramię zieloną torbę specnazu i z rękami

w kieszeniach ruszył przez wertepy na zachód. Doskonale wiedział, gdzie jest, dokąd ma iść i że – jak wcześniej obliczył – ma dziesięć minut w zapasie, więc nie musi się spieszyć.

Szedł powoli, nawet się nie sprawdzał, bo w zasięgu wzroku i jego intuicji nie było widać ani czuć żadnego zagrożenia. Patrzył pod nogi i zastanawiał się, czy dobrze zrobił, zgadzając się włożyć jakieś zachodnie traperki zamiast swoich wyrobionych rosyjskich sapogów.

Trochę pociły mu się nogi, bo było około zera i śnieg zamieniał się w lepką breję. Zgodnie z zasadami konspiracji wszystko, co miał na sobie, musiało być zagraniczne, tylko ciało w środku było rosyjskie i jakoś mu ta kombinacja nie pasowała. Zawsze tak było, kiedy jechał na ostrą robotę do obcego kraju, i zawsze zżymał się na myśl, że jeśli zginie, to nikt nawet nie rozpozna, że był Rosjaninem. Chciał zginąć w walce, dumnie, w rosyjskim mundurze, a nie jak jakiś anonimowy obszczymurek, zimne ciało w kostnicy, z kartką na palcu. Dlatego przynajmniej torba była rosyjska.

Zupełnie jak ta łotewska gubernia. Ciuchy zachodnie na dupie, a w środku rosyjski człowiek. Heheee... – pomyślał Jagan całkiem poważnie. Przecież kompania naszego specnazu rozgoni tę armię leśnych plemion w dwa dni.

Zrobiło mu się lżej na duszy, ale kroku nie przyspieszył, tylko zanucił:

*Bazar bolszoj,
a cziczenow mnogo.
Russku dziewku korobczy,
ustupi dorogu.*

*Ojsia, ty ojsia,
Ty mienia nie bojsia,
Ja tiebia nie tronu,
Ty nie biespokojsia.
Ojsia, ty ojsia,*

*Ty mienia nie bojsia,
Ja ciebia nie tronu,
Ty nie biespokojsia.*

Przeszedł mostkiem nad kanałem Zunda i zszedł na ulicę Mazā Ūdens. Zostało mu dwieście osiemdziesiąt pięć metrów do stacji benzynowej, na której miał czekać Doronin.

Ciemnozielony land rover discovery na estońskich numerach stał na poboczu drogi, w pobliżu zabudowań, które kiedyś mogły być stacją benzynową, ale teraz przypominały spaloną stodołę. Jagan od razu pomyślał, że nie można ufać temu, co mówią szpiedzy. Samochód biznesmenów, farmerów i gangsterów, z przyciemnionymi szybami, idealnie wkomponowywał się w postsowiecki krajobraz, więc Jagan w pierwszej chwili nie zwrócił na niego uwagi. Dopiero kiedy Doronin dał mu znak światłami, zrozumiał, że dotarł na miejsce.

- Jak podróż? Coś podejrzanego? – zapytał kapitan.
- Nie mieliście innego samochodu?
- A co?
- Nie lubię angielskich.
- Daj spokój, Andriusza...
- Ja będę prowadził.
- Dobrze.

Doronin popatrzył na Jagana ze zdziwieniem. Nie wiedział jeszcze, że chorąży nie lubi jeździć jako pasażer, bo uważa, że nie powinien oddawać swojego życia w niesprawdzone ręce. Jagan nikomu nie ufał.

– Najpierw załatwimy bieżące sprawy. – Doronin wyciągnął przezroczystą, zamykaną hermetycznie torebkę i wręczył ją Jaganowi, który otworzył zamek, wyjął czarny portfel i przejrzał jego zawartość. – Wszystko jest jak trzeba, estońskie ID, prawo jazdy, karty kredytowe, karta lekarska... zdjęcia... wizytówki. Pracujesz teraz w estońskiej firmie Securitas Eesti AS. Włóż do tej torebki swój rosyjski paszport. Wyczyściłeś dokładnie kieszenie, tak jak ci

mówiłem?

– Kapitanie... może bez tego pouczenia. Ja już nie pierwszy raz jestem na robocie za granicą – obruszył się Jagan i pomyślał, żeby powiedzieć mocniej, ale się powstrzymał, bo ich misja dopiero się zaczynała, więc nie chciał przedwcześnie psuć relacji.

– W porządku, w porządku, chorąży... Coś taki nerwowy?

– Nie jestem nerwowy, tylko lubię porządek, a pytasz, jakbyś mi nie ufał. Że niby o czymś zapomniałem? – Jagan zapiął kopertę. – Uważaj, żebyś ty o wszystkim pamiętał. Gdzie jest skrytka? Bo muszę wszystko sprawdzić.

Doronin otworzył drzwi, wysiadł i przeszedł na tylne siedzenie. W tym czasie Jagan przesunął się na miejsce kierowcy.

– Tutaj jest skrytka. – Kapitan podniósł siedzenie i otworzył metalową klapkę.

– Jak zwykle. Nie możecie wymyślić czegoś bardziej oryginalnego? Zawsze robicie ją pod tylnym siedzeniem, a potem, jak przychodzi co do czego, to ciężko się tam dostać. Będiesz jeździł na tylnym siedzeniu jak jakaś królowa kurew? Skrytka powinna być z przodu samochodu, bo po co dupie zęby? Powiedz to tym waszym zakichanym technikom. – Jagan mówił spokojnie, bez emocji, ale w rzeczywistości był wkurzony, no i chciał trochę Doronina ustawić. Dopiero zaczęli i musiał mu pokazać, kto tak naprawdę jest dowódcą. Nie zaszkodzi przecież, pomyślał i zapytał: – Jest wszystko, co spisałem w Moskwie? Bo stąd nie widzę.

– Jest.

– Na pewno?

– Na pewno – odparł z przekonaniem Doronin, więc Jagan zawahał się i pomyślał, że może jednak powinien sprawdzić, bo w końcu od zawartości tego schowka zależy powodzenie misji, ale wbrew sobie nic już nie powiedział, tylko uruchomił silnik.

Przed nimi było trzysta dziesięć kilometrów do Tallina, jakieś trzy i pół godziny jazdy, ale Jagan wyliczył, że trzy piętnaście. Prom Superstar do Helsinek odchodził o szesnastej trzydzieści, pozostał im więc spory zapas czasu. W Helsinkach mieli być o osiemnastej

trzydzieści.

Jechali w ciszy, każdy skupiony, ale nie nad swoją częścią planu, lecz nad tym, co miał zrobić partner: czy zawiedzie i – co najważniejsze – jak postępować, jeśli jednak zawiedzie, i każdy z nich miał na tę okoliczność inny plan.

Jagan ciągnął po autostradzie A3 równo dziewięćdziesiąt dziewięć kilometrów na godzinę i ani przez chwilę nie przekroczył setki.

Kiedy minęli kanał Jurgi, zaczął padać śnieg z deszczem i płaski, szarobiały krajobraz za oknem stał się jeszcze bardziej ponury i depresyjny. Jagan tego nie widział, ale kapitan Rudolf Doronin wpatrzony w horyzont poczuł, że powinien wziąć lekarstwo. Wyciągnął małe pudełeczko i bez popijania połknął tabletkę, już drugą tego dnia.

Początkowo nie chciał się podjąć misji pościgowej za Popowskim, bo rozkazy były jasne i nie pozostawiały wątpliwości, co ma zrobić. Kiedy jednak wszystko dokładnie przemyślał i podsumował argumenty za i przeciw, wynik nie pozostawiał mu wyboru. Od tego czasu zaczął brać coraz więcej prozacu, by wyraźniej czuć całe dobro i siłę zła, które mu się jawiło z każdą kolejną tabletką. Już od dawna nie mógł sobie poradzić sam ze sobą, ale teraz wiedział, że musi to zrobić i jeśli nie zapanuje nad swoimi emocjami, zginie.

O osiemnastej czterdzieści zjechali z promu w Helsinkach i udali się prosto na Kulosaari. W ciągu pół godziny zjeździli całą wyspę wzdłuż i wszerz, czasami przeciskając się wąskimi uliczkami i drogami. Zajrzeli w każdy zakątek, sprawdzili drogi wyjazdu, posterunek policji, zabezpieczenie ambasady irackiej i ukraińskiej. Na koniec Jagan zmierzył grubość lodu w fiordach i z zadowoleniem stwierdził, że w razie konieczności ucieczki ich samochód powinien bez przeszkód wydostać się z wyspy w dowolnym kierunku.

– Dobrze pół metra lodu... idealnie gładka tafla – powiedział do Rudolfa, uderzając mocno stopą w lód. – Ale mogą być dziury, więc

trzeba uważać. Samochód nie może stać na lodzie i musimy szybko przejechać... najlepiej tam... – ręką wskazał mającą w oddali ciemną linię upstrzoną światełkami – jak zaplanowaliśmy, ale może będziemy musieli improwizować. Dobrze, że jutro będzie pełne zachmurzenie i noc bezksiężycowa.

Nie licząc drobnych poprawek, wszystko zgadzało się idealnie z planem przygotowanym w Moskwie. Teraz musieli sprawdzić teren pieszo i znaleźć bezpieczne miejsce, w którym będą mogli wykonać zadanie.

Postanowili obejść wyspę po lodzie od strony morza, by znaleźć odpowiedni *safe house*, dokąd będą mogli przewieźć delikwenta. Jagan uznał, że dom nad brzegiem zamrożonego fiordu będzie najlepszym rozwiązaniem, szczególnie jeśli ma się do dyspozycji land rovera. Do takiego miejsca trudniej też byłoby podejść niezauważenie.

Jagan dobrze wiedział, czego chce. Kulosaari wyglądała jak wymarłe miejsce, wprost idealne do operacji, jaką mieli przeprowadzić, i właśnie to niepokoiło go najbardziej. Spokój usypia czujność i jest złudny, bo zawsze jest ktoś, kto cię obserwuje – uważał.

Posuwali się po lodzie jak dwa cienie w odległości stu metrów od brzegu. Co jakiś czas się zatrzymywali i Jagan lustrował przez lornetkę nadbrzeżne domy.

– Ten jest dobry – wskazał w końcu ręką i podał lornetkę Doroninowi. – Zaciemniony, wokół złożone są materiały budowlane. Pewnie jest w remoncie... albo jakiejś przebudowie. Byłby idealny. Trzeba tylko sprawdzić od strony lądu.

– Blisko polskiej ambasady... – odparł Doronin, nie odrywając lornetki od oczu.

– Sześćdziesiąt dwa metry.

– Wystarczy.

– Musimy mieć jeszcze jedno takie miejsce w zapasie – dodał Jagan i ruszyli dalej.

O wpół do pierwszej Jagan doszedł do wniosku, że wszystko jest

gotowe. Następnego dnia sprawdzą jeszcze raz i będą mogli przystąpić do akcji. Dziwiło go jedynie, że Doronin na wszystko się godził, nie oponował, zachowywał się, jakby oddał dowodzenie chorążemu i był gotów posłusznie wykonywać jego polecenia. Nie odzywał się prawie w ogóle, czasami jedynie gadał coś do siebie. Jagan nie lubił, jak ktoś dziwnie się zachowuje, a szczególnie mruczy pod nosem, więc zaczął się poważnie zastanawiać, co kombinuje kapitan.

Mieli zarezerwowany pokój w Forenom Aparthotel w Herttoniemi, niecały kilometr od Kulosaari. Hotel sprawdzony, bezpieczny, bez obsługi. Idealny dla szpiegów, jak powiedział Doronin, ale Jagan mimo wszystko wolał obejść budynek i sprawdzić osobiście wszystkie wyjścia i otoczenie. Plan ucieczki jest zawsze ważniejszy niż plan ataku – zwykł powtarzać. Wprawdzie nie było tak idealnie, jak mówił kapitan, ale nie mógł też powiedzieć, że jest źle, więc wrócił do pokoju częściowo usatysfakcjonowany.

Zjedli kupione na promie kanapki z tuńczykiem i salami, wzięli jeden po drugim prysznic i kiedy już leżeli w łózkach, Jagan wyciągnął z torby butelkę kozackiej wódki, odkręcił wprawnym ruchem i zaproponował Doroninowi szklaneczkę przed snem.

– A jednak przewiozłeś rosyjską wódkę... – Kapitan się zawahał.
– Jak to zrobiłeś?

– Są metody. Nie uczą was tego w szkole szpiegów? To jak wy chcecie ojczyznę bronić, skoro nie potraficie zrobić takich prostych rzeczy! Pijecie potem te zachodnie świństwa i w dupie wam się przewraca. Na robocie musi być rosyjska wódka, bo to nasza dusza w płynie. – Jagan chciał już nalać do drugiej szklanki, ale Doronin zakrył ją ręką. – Co? – zapytał chorąży zdziwiony, z szeroko otwartymi oczami. – Chory?

– Mam malarię... biorę leki – skłamał Doronin.

– Hm... malarię... Rosyjska wódka może tylko pomóc. Nie ma lepszego lekarstwa, szczególnie na ból rosyjskiej duszy. Może ty masz ból duszy, kapitanie, a nie tę... hm... – Jagan zabrał butelkę i skomentował: – Malaria... choroba dzikich.

Wypił swoją wódkę duszkiem i zgasił światło.

– Nie myjesz zębów? – zapytał Doronin z ciemności.

– Po kozackiej wódce? – odparł oburzony Jagan. – Zgłupiałeś? Nigdy. Nic gęby lepiej nie czyści... i duszy. – Po chwili dodał pewnym siebie tonem: – Przynajmniej potem człowiek nie głupieje i nie choruje.

Spodobała mu się ta metafora i nim zasnął, pomyślał, że warto się nad tym tematem jeszcze kiedyś zastanowić. Może powinienem zacząć pisać? Muszę porozmawiać z Galą.

14

Szybka akcja z Konradem w saabie jakby dodała jej siłę, a jednocześnie tak rozluźniła napięcie, które trzymało ją nieustannie przez ostatnie dni, że Sara przespiała całą noc równo i spokojnie, chociaż po raz pierwszy w życiu miała na sobie flanelową piżamę. Nigdy jej nie używała, bo nie lubiła pospieszenie rozbierać się w środku nocy i nie czuła przez nią Konrada.

Rano, kiedy się obudziła, wciąż była w doskonałym nastroju i pomyślała nawet, że Belik powinien był zobaczyć wczorajszy show w garażu. Zrozumiałby, jakim jest dupkiem, a nie mężczyzną.

To musi być dobry dzień – pomyślała, odrzucając na bok kołdrę. Wstała i uniosła do góry zaciśniętą dłoń z wystawionym małym palcem, bo pomyślała, że środkowy byłby dla tego cieniasa za duży.

– Zejdę do sklepu. Nie mamy nic na śniadanie... ani kefiru, ani chleba... – odezwał się z głębi mieszkania Konrad, który wstał wcześniej, i po chwili Sara usłyszała ciche trzaśnięcie drzwiami.

Zebrała swoje ubranie i poszła do łazienki. Doskonale zdawała sobie sprawę, że Belik jako operacyjny dyletant i erotoman musiał założyć tam oko, bo nie tylko chciał sobie popatrzeć, ale pewnie też uważał, że podejrzani, gdy chcą coś ukryć, rozmawiają przy odkręconych kranach. Zapaliła więc wszystkie światła, puściła prysznic i zrzuciła piżamę.

Konrad wrócił po pół godzinie. Z torby pełnej zakupów sterczała bagietka. Sara w białym szlafroku i ręczniku na głowie właśnie wychodziła z łazienki. Zeszli się w kuchni. Konrad włączył radio

i w pomieszczeniu zabrzmiała melodia z filmu *Łowca jeleni*. Sara urwała kawałek bagietki, stanęła przy oknie i wyglądając na zewnątrz, zaczęła kołysać się delikatnie na boki i mrużyć, podczas gdy Konrad rozpakowywał zakupy. Dochodziła ósma i na zewnątrz zaczęło się już rozwidniać.

– No i co? Stoją? – zapytała.

– Tak, raczej tak... – odparł Konrad niepewnie. – Tam, gdzie poprzednio. Popatrz. Granatowy opel... chyba ten sam co wczoraj. Nie mają dla nich litości czy co?

– Widzę ich.

– Pojedziesz do mojego ojca? – zapytał Konrad, pociągając kefir z butelki.

– Pojadę.

– Na dwunastą mamy być na Miłobędzkiej...

– Pamiętam.

– Pojadę do urzędu złożyć wniosek o nowy dowód, bo zobaczyłem wczoraj, że upłynął termin.

– Nie dostałeś zawiadomienia?

– Chyba nie, ale może coś przeoczyłem.

Po chwili na stole pojawiły się talerzyki, masło, francuski dżem morelowy i miód. Dwie szklaneczki soku pomarańczowego. Na kuchence bulgotała już opalona srebrna kawiarka, rozsiewając wokół słodkawy aromat kawy z cynamonem, więc Sara zamknęła na chwilę oczy i lekko wciągnęła powietrze. Wtuliła twarz w miękki kołnierz szlafroka i czuła, jak przez moment całe jej ciało doznaje miłego uniesienia, jakby zwykły zapach porannej kawy symbolizował ciszę, równowagę, spokój – wartości tak potrzebne i tak ulotne jak on sam, lecz zawsze pozostawiające wspomnienie. Ten zapach kojarzył jej się z Konradem, domowym porannym mężczyzną, który zawsze parzył dla niej kawę.

I ani przez chwilę nie pomyślała, że wkrótce to wszystko może się skończyć.

– Siadaj. – Głos Konrada wyrwał ją z aromatycznej podróży do krainy marzeń.

Sara zdjęła ręcznik z głowy i rozrzepała rękami włosy, które w swoim zabawnym nieładzie przypominały teraz czuprynę urwisa. To był ulubiony widok Konrada. To była Sara, jaką znał tylko on. I tylko on miał prawo widzieć ją taką, a ona tylko jemu chciała się taka pokazać. Usiadła na swoim miejscu, naprzeciwko, i spojrzeli na siebie. Uśmiechnęli się i delikatnie dali sobie znak głową.

Mogli jeszcze wszystko zmienić, powstrzymać się, powiedzieć Apple Tea całą prawdę, ponieść karę, która wraz ze skrucą zakończyłaby się wydaleniem ze służby. Ochroniliby cały zespół przed bolesnymi konsekwencjami nie swoich win, nie musieliby stawiać współpracowników przed wyborem, czy ważniejsza jest lojalność, czy własna przyszłość. Nawet przez chwilę nie pomyśleli, że robią to dla kraju, bo wszystko, co robili przez całe życie, robili dla Polski i było to tak trywialnie oczywiste, że tylko uśmiechnęli się do siebie jeszcze raz.

Konrad wlał kawę do zielonych kubków i przystąpili do zwykłego *petit déjeuner* w swoim mieszkaniu na Kabatach. Tym samym rozpoczęli „kolejny najważniejszy dzień życia”, jak powiedziała wczoraj Sara, kiedy wracali z garażu.

Z domu wyszli kilka minut przed dziewiątą. Konrad zamknął drzwi, a Sara ściągnęła windę. Zjechali do garażu, postawili siedzenia i po chwili czarny saab 900i wytoczył się na ulicę Wilczy Dół. Konrad zatrzymał samochód przy krawężniku i razem z Sarą rozejrzeli się wokół.

– Wygląda na to, że Marcel zdjął obserwację – odezwała się Sara.

– Nie byłbym taki pewny – odparł Konrad. – Musimy zrobić jeszcze trasę i się upewnić. Jeżeli nas wydał, to mógł ściągnąć w nocy ekipę z innego miasta i będziemy mieć problem, by ich rozkuć. A jak zaczniemy biegać po mieście, to się zorientują, że ich wyławiamy...

– Tak... – zadumała się Sara. – I będą się zastanawiać, dlaczego to robimy. Czyli uznają, że wpuściliśmy Marcela w maliny, i tym samym się zorientują, że my też już wiemy, że on gra na dwie strony.

– To byłoby zbyt skomplikowane i zbyt ryzykowne. Łatwo mogliby

się wyłożyć. Wtedy Marcel, jeśli nas wydał, nie dowie się, co chcemy mu powiedzieć. Nie będzie wiedział, jaka jest prawda ani czy dalej go nie wciągamy. – Konrad ruszył powoli i po chwili skręcił w Mielczarskiego.

Sara obserwowała tyły w lusterkach.

– Wolałabym, żeby jednak nas wydał – rzuciła po chwili i westchnęła. – Mielibyśmy przynajmniej jakąś pewność, wiedzieli, na czym stoimy...

– Też tak myślę, to dobry kumpel i byłoby mi go żal.

Konrad dojechał do Wąwozowej i skręcił powoli w prawo.

– Spokojnie – krótko skomentowała sytuację za nimi.

– Mamy mało czasu, by się sprawdzić, trzeba zrobić ostrą jazdę...

– A właściwie to musimy? – zapytała niespodziewanie i spojrzeli na siebie.

– Właściwie... to nie... – Konrad uniósł brwi.

– W takim razie wyrzuc mnie przy metrze. – Spojrzała na zegarek.

– Mam jeszcze sporo czasu.

Zatrzymał samochód na poboczu alei KEN, na wysokości północnego wejścia do stacji metra Kabaty. Sara musnęła go ustami w policzek i wyskoczyła z samochodu. Obserwował ją jeszcze przez chwilę w lusterku, aż – nawet się nie odwracając – pomachała mu ręką i znikła pod ziemią. Wiedziała, że Konrad nie odjedzie, dopóki nie straci jej z pola widzenia, a on wiedział, że tak trzeba robić. Święta, prosta zasada szpiegów i ludzi, którzy się kochają. Symboliczny znak pewności i zaufania do partnera oraz samego siebie i przepowiednia nieznannej przyszłości.

Bałtycki Klub Dziesięciu Konsulów w Helsinkach był nieformalną grupą zrzeszającą dyplomatów wszystkich krajów regionu. Istniał nieprzerwanie od pięćdziesięciu lat i ani upadek żelaznej kurtyny i Związku Radzieckiego, ani żadne inne zmiany geopolityczne nie miały wpływu na jego funkcjonowanie, bo wszyscy uważali, że Bałtyk trwa mimo politycznych zawirowań i powinien łączyć, a nie dzielić, zamieszkujące nad jego brzegiem narody.

Na tym właśnie polega dyplomacja i dlatego ambasadorowie zlecali swoim podwładnym aktywny udział w takich organizacjach jak Bałtycki Klub, lekką ręką rozliczając słone rachunki za kolacje w drogich helsińskich restauracjach.

Tego dnia kolację w restauracji Lappi na Annankatu 22 wydawał łotewski konsul Valdis Mantris, człowiek młody, dziwny i niewysoki.

W poprzednim miesiącu kolej wypadła na konsula litewskiego, a w następnym kolację miał wydać konsul Robert Majewski. Dlatego nie mógł się wykręcić od tego spotkania, tym bardziej że ambasador uważał protokół dyplomatyczny za najważniejszą część pracy polskiej placówki w Finlandii. Konsul Majewski nie lubił tych spotkań, bo męczyła go sztywna rozmowa o niczym, nie lubił Rosjanina, bo miał rozbiegane świńskie oczy, ani Niemca, któremu się ciągle odbijało. A jako że Polska leży nad Bałtykiem między Niemcami i Rosją, nie mógł zmienić swojego miejsca przy stole. Co gorsza, Niemiec i Rosjanin ciągle do siebie przepijali, jakby Majewskiego w ogóle nie było, rozmawiali po niemiecku i wciąż się

śmiali. A wiedzieli przecież, że polski konsul nie zna niemieckiego, co nadawało całej sytuacji posmak wyjątkowej złośliwości.

Dzisiejsza kolacja miała jeszcze jedną okoliczność, która wyjątkowo mocno zniechęcała Majewskiego. Miała się odbyć w centrum Helsinek w restauracji Lappi, która serwowała tradycyjną kuchnię fińską. Jak mówili wszyscy w ambasadzie, konsul Majewski przyjechał do Finlandii za karę, gdyż nie dopełnił jakichś obowiązków służbowych w swoim ukochanym Bangkoku, więc niczego nie znosił bardziej niż mdłego zapachu mięsa reniferów, ziemniaków purée, rozgotowanej kaszy i bruszniczy.

Ucieszyła go zatem nieoczekiwana informacja, że Mantris niespodziewanie zmienił miejsce kolacji i zaprosił wszystkich dziesięciu konsulów do siebie do domu na bufet azjatycki. Dodatkową korzyścią było to, że Łotysz miał swój apartament na Kulosaari, niecałe pół kilometra od polskiej ambasady. Majewski więc nie będzie musiał jeść mięsa renifera, nie będzie musiał słuchać języka niemieckiego, za to napije się wódki Mannerheim z litewskim konsulem, dobrze mówiącym po polsku, i wróci pieszo do ambasady.

Dzień, w którym miał się odbyć bufet u Mantrisa, był dla Roberta wyjątkowo nieudany. Właściwie to był chyba najgorszy dzień, odkąd przyjechał do Finlandii, i w połączeniu z samą świadomością pobytu w tym mrocznym kraju spowodował, że konsul wstał zza biurka i sięgnął do regału z aktami po niedopitą butelkę wódki Koskenkorva. Nigdy nie pił w godzinach pracy, bo musiał spłacić kredyt we frankach, ale minęła osiemnasta i w wydziale konsularnym nikogo już nie było.

W ciągu ostatnich dwóch dni trzy osoby zadzwoniły do MSZ ze skargą na niego, a tego dnia jeszcze dwie. To wystarczający powód, by się napić – pomyślał i wlał sobie do szklanki alkoholu na dwa palce. Butelkę schował na miejsce, bo na dziewiętnastą szedł do Mantrisa i musiał się jakoś trzymać, jeśli chciał się jeszcze napić z Litwinem.

Było za piętnaście siódma, zachmurzenie pełne, więc nad słabo oświetloną willową wyspą Kulosaari, choć położoną w środku

miasta, zaległa głęboka atramentowa ciemność poprzytкана światłem rzadkich ulicznych latarni. Temperatura spadła do minus pięciu, więc Robert postawił kołnierz płaszcza i zorientował się, że nie wziął rękawiczek. Szklaneczka koskenkorvy rozgrzała go na tyle i rozleniwiła jednocześnie, wyciszając wściekłość, że postanowił nie wracać. Włożył do kieszeni długie ręce zakończone cienkimi jak patyki dłońmi i spojrzał przez ramię.

W rezydencji ambasadora paliło się światło. Majewski pomyślał, że też może kiedyś będzie posłem Rzeczypospolitej, skończył już przecież czterdzieści pięć lat, był na trzech placówkach i ma duże dyplomatyczne doświadczenie, a wysoki wzrost i szczupła sylwetka powinny być dzisiaj zaletą.

Niech się tylko władza zmieni po wyborach. Stach na pewno wróci na dyrektora albo może nawet wiceministra – pomyślał z nadzieją i dodał na głos:

– A ja biorę jakieś ambasadorstwo... ale nie w tej paskudnej Finlandii... najlepiej Tajlandia... Tajlandia... no... może być też Grecja, albo nawet Indonezja.

Od razu zrobiło mu się lepiej.

Ruszył dziarsko w prawo, by po kilkunastu metrach odbić w lewo do Lars Sonckin tie, skąd miał już niemal prosto do Vapaamuurarinkuja, gdzie w domu na pierwszym piętrze mieszkał Mantris.

Robert był już u niego wcześniej z rodzinną wizytą i od początku nie mógł zrozumieć, skąd taka biedna Łotwa ma pieniądze na mieszkanie dla zwykłego konsula w takim miejscu, i na myśl o tym coś go ścisnęło w dołku, bo sam mieszkał na terenie ambasady.

Dom Łotysza stał niecałe sto metrów od uroczej zatoczki, skutej teraz lodem, otoczonej zadrzewionym letnim kąpieliskiem i parkiem Schaumana. Zatokę zamykał mały mostek, za którym była pusta o tej porze marina, a tuż obok, na skalnej opoce, górował klasyczny budynek kasyna z początku XX wieku. Widok uzupełniał monumentalny biały dom z dwiema wieżami pokrytymi spatynowanym dachem, zwany zamkiem Wihuri.

Robert dotarł do zatoki w ciągu dziesięciu minut cały spocony i zdyszany, bo przy jego wzroście i słabej kondycji fizycznej przejście nawet pięciuset metrów było nie lada wyczynem. Nikogo nie spotkał, nie minął go żaden samochód, nie dotarł do niego żaden dźwięk i miał dziwne wrażenie, że nikt go też nie widział. Zwyczajna wymarła wieczorna Kulosaari w środku zimowego tygodnia.

Nie był specjalnie spostrzegawczy, więc mógł nie zauważyć, że na małym parkingu przy kortach tenisowych, które przed chwilą minął, stoi zaparkowany ciemnozielony land rover discovery na estońskich numerach.

Szwed, Duńczyk i Norweg zjedli po talerzu wołowiny w indonezyjskim sosie curry, wypili po pół kieliszka białego wina, zrobili kilka obrotów wśród gości i około dziewiętej dyskretnie się ulotnili.

Od razu zrobiło się bardziej kameralnie i przyjemniej, bo Skandynawowie mieli osobliwe poczucie humoru i śmiali się ze wszystkich dowcipów, nawet tych najgłupszych, które opowiadał Fin z MSZ. Litwin uważał, że są tacy sztywni dlatego, że zawsze przyjeżdżają samochodami. Wykręcają się od picia, bo oszczędzają na taksówkach, a przecież nic tak nie łączy dyplomatów jak wspólnie przelana wódka – żartował Litwin.

– Tacy bogaci, a tacy chytry – skomentował cicho Mantris, kiedy zamknął za nimi drzwi. – Przecież mogli wziąć jedną taksówkę, byłoby taniej. Nie, Robercie? – Był wyraźnie wlany. – Chodź, przyjacielu, teraz się napijemy, jak przystało na prawdziwych dyplomatów. Ty nie musisz przecież brać taksówki. – Położył Majewskiemu rękę na ramieniu i razem ruszyli do salonu.

Robert nie lubił Mantrisa, podobnie jak Niemca i Rosjanina, ale z jego oceną Skandynawów musiał się zgodzić. Okropne zimne sztywniaki, jak cały ten półwysep – myślał od pierwszych chwil, gdy tylko wylądował w Helsinkach.

Usiadł w głębokim fotelu obok Litwina, który głośno dyskutował z chudym Estończykiem o wylupiastych oczach, i zaczął obserwować

Rosjanina, który wraz z Niemcem stał przy bufecie. Obaj podjadali prosto z półmisków i zaśmiewali się z pełnymi ustami. To było przykre doznanie, bo Robertowi wydawało się, że mówią o nim, a być może nawet żartują z jego sylwetki. Co gorsza, Rosjanin wciąż zerkał w jego stronę, puszczał oko i unosił szklaneczkę z whisky, najwyraźniej dając znak, by nie ociągał się z piciem. A przecież nie był tutaj gospodarzem, tylko gościem.

Oni wszędzie czują się jak u siebie... – pomyślał Robert. Wystarczy spojrzeć: Ribbentrop i Mołotow... i jacy weseli! Takiś cwany, kacapie jeden?

– Chciałeś tullamore? – usłyszał nagle z boku głos Mantrisa i zobaczył, że ten podsuwa mu kryształową szklaneczkę z jasnobursztynowym płynem.

– Tak – odparł, chociaż nie pamiętał, by o cokolwiek prosił, ale uznał to za całkiem prawdopodobne.

Rosjanin natychmiast dostrzegł, że Majewski wziął szklaneczkę, i uniósł swoją, puszcżając oko na znak, by do niego przepił.

A żebyś się, kacapie, zapił! – pomyślał w przypiływie złości Robert i uśmiechając się uprzejmie, wciągnął pół drinka, aż go zapiekło w krtani.

16

Konrad siedział w samochodzie z włączonym silnikiem. Położył ręce na kierownicy, oparł na nich głowę i zapatrzył się przed siebie w sznur czerwonych świateł ciągnących powoli do centrum. W tym samym miejscu trzy lata temu, na wysokości apteki przy alei KEN, gonił nieznanego Rosjanina i o mało nie potrącił go biały golf.

To było ich pierwsze starcie.

Michaił Popowski był wtedy pełen sił, pewny siebie, zdeterminowany i odważny. Oficer rosyjskiego wywiadu, któremu wolno było niemal wszystko, elegant w butach szytych na miarę i najdroższych garniturach. Ulubieniec generała Lebedzia, dumny i arogancki, a jednak jako przeciwnik – uczciwy i diabelnie inteligentny. Tyle lat ich losy nieustannie się ze sobą spletały, iskrząc i zgrzytając jak cała historia polsko-rosyjska, ale oni dwaj ani razu nie naruszyli niewidzialnej granicy wzajemnego zaufania i szacunku. I nigdy nie okazywali ich sobie za pomocą pustych słów, tanich frazesów, wszystkich tych zawodowych chwytów, których każdy szpieg ma potąd w swoim arsenale, lecz czynili to zwykłym gestem, wymownymi spojrzeniami czy nawet milczeniem, czytelnym tylko dla nich samych.

Teraz los Michaiła Popowskiego był w rękach Konrada, los Polski w rękach Michaiła, a wszystko to naznaczone przypadkiem i improwizacją, która może kosztować ludzkie życie. Paradoks, jaki mógł się zdarzyć tylko w świecie szpiegów, jedynym miejscu, gdzie nie obowiązują prawa matematyki, najczystszej z nauk, a o wszystkim

decyduje fantazja i abstrakcja.

Ludziom się wydaje, że przez dwa punkty przechodzi tylko jedna prosta – pomyślał z lekkim rozbawieniem Konrad i uznał, że to dobra metafora na początek rozmowy z Marcelem.

Wyjął telefon i kręcąc nim między palcami, obserwował, jak krople deszczu rozbijają się o przednią szybę. Włączył wycieraczki i jeszcze przez chwilę się zastanawiał. Doskonale wiedział, co ma mu powiedzieć, nie był jedynie pewien jego reakcji, w końcu sytuacja, w której go postawił, była więcej niż nietypowa. Zastanawiał się, czy będzie w stanie wyczuć jego rzeczywiste intencje, przejrzeć go na tyle, by dostosować do niego swoją grę. W końcu Marcel nie był pierwszym lepszym oficerem kontrwywiadu i znał zasady gry nie gorzej od niego.

Marcel odebrał telefon niemal natychmiast, tak jakby trzymał go w dłoni i czekał na sygnał. Konrad od razu to zauważył, ale było zbyt wcześnie, by uznać, że oznacza to coś konkretnego. Na razie był to niewyraźny jeszcze znak.

Następstwo drobnych błędów ma wartość, jeśli zbierze się je wszystkie i ułoży w logiczny ciąg – uważał Konrad i dlatego w swojej praktyce szpiegowskiej przykładał tak dużą wagę do drobiazgów. Wiedział o tym doskonale, bo to esencja szpiegowskiego modus operandi. Wystarczyła nieodpowiednia interpretacja kilku pozornie nic nieznaczących faktów, by równanie wydało się sprzeczne, a więc nie do rozwiązania. Ale Marcel był oficerem kontrwywiadu i dla niego równanie ciągu faktów zawsze musiało mieć jakieś rozwiązanie. Na to liczył Konrad.

Marcel bez słowa wahania zgodził się przyjechać na dziesiątą do cukierni Bliklego przy alei KEN. To był już fakt drugi do równania. Marcel nie tylko czekał na telefon, ale najwyraźniej musiał też odwołać wszystkie spotkania zaplanowane na ten dzień, bo przecież szef kontrwywiadu nigdy nie ma wolnego kalendarza.

Sara dojechała do stacji metra Świętokrzyska i przesiadła się do drugiej linii w kierunku Stadionu. W mieszkaniu Eli Argon przy

Grochowskiej na Pradze czekali na nią Lutek, M-Irek, Ewa i Marcin.

Na spotkaniu w Bolku Konrad ustalił zasadę, że wybrani do poszczególnych zadań będą się spotykać w godzinach pracy w mieszkaniu jednej z tych osób, która w tym czasie będzie przebywać w budynku na Miłobędzkiej i zarejestruje się w systemie identyfikacyjnym. Miało to przynajmniej na jakiś czas odwrócić uwagę WBW, ale też dać im komfort swobodnej i bezpiecznej rozmowy. A było o czym rozmawiać, bo plan działań był bardzo skomplikowany, więc musiał być dopracowany w najdrobniejszych szczegółach i wcześniej przećwiczony.

Sara przeszła na druga stronę Zielenieckiej, minęła po prawej Teatr Powszechny i szła dalej Grochowską. Postawiła wysoki kołnierz granatowej marynarskiej kurtki, przewiesiła torbę na skos i odczekała na światłach, aż dwie osoby ją wyprzedzą. Do środka jezdni dotarła już na żółtych światłach, więc ostanie metry musiała podbiec.

Na ulicy było pusto. Minęła fabrykę Wedla, rogatki praskie, katedrę i wkrótce po prawej stronie wyłonił się, nieco oddalony od ulicy, potężny dziesięciopiętrowy dom mieszkalny z lat osiemdziesiątych. Jeszcze raz sprawdziła się na ostro, więc była niemal pewna, że jest czysta, ale na wszelki wypadek od razu odbiła w prawo, przez parking, w kierunku budynku.

Konrad stał po drugiej stronie ulicy i obserwował Marcela, który kręcił się po parkingu, szukając odpowiedniego miejsca dla swojego granatowego służbowego passata. Dwukrotnie, raz tyłem, raz przodem, próbował się wcisnąć między stare volvo i kwietnik, ale w końcu zrezygnował. Manewrował nerwowo, niepewnie. Jakby dopiero wczoraj dostał prawo jazdy – pomyślał Konrad i zaliczył mu fakt trzeci do równania.

Ruszył dopiero, gdy Marcel znikł wewnątrz cukierni. W niedozwolonym miejscu przebiegł na drugą stronę alei KEN i dalej, spokojnym już krokiem, zmierzał na spotkanie. Od razu zauważył, że Marcel obserwuje go zza szyby, więc pomachał mu ręką

na przywitanie, ale ten nie odpowiedział mu żadnym gestem. Na Konrada spoglądała blada, smutna twarz, chociaż Marcel zwykle był pogodnym człowiekiem. Kolejny fakt do równania? Lepiej nie.

W cukierni było pusto, tylko za ladą krzątały się dwie ekspedientki. Jedna uśmiechnęła się do wchodzącego klienta. Miły cukrowy zapach świeżych wypieków i palonej kawy, wypełniający pomieszczenie, zupełnie nie pasował do sytuacji i Konrad pomyślał z autoironią, że nie mógł wybrać lepszego miejsca na spotkanie. No bo jak rozmawiać o przyszłości Polski przy cappuccino i szarlotce...?

Marcel siedział przy stoliku w rogu sali. Podniósł się, kiedy Konrad podszedł, i wyciągnął dłoń, dyskretnie otarłszy ją o spodnie. Konrad powiesił kurtkę na oparciu krzesła. Dopóki nie usiedli, nie padło żadne słowo. Dopiero wtedy popatrzyli sobie w oczy.

– No i co? – zapytał Marcel najprościej, jak potrafił.

– No i mamy problem...

– My mamy? Kto ma problem?

– Nie kręć, Marcel, i nie zgrywaj się. Obaj jesteśmy... – Konrad nie dokończył. – Nie czas na to. Posłuchasz i zdecydujesz, co robić. A właściwie co zrobić z tym, czego się dowiesz.

Podeszła kelnerka, która chwilę wcześniej obdarzyła Konrada uśmiechem. Obaj zamówili cappuccino i poleconą szarlotkę. Było im wszystko jedno, i tak nie mieli zamiaru jeść.

– No to dawaj – zarządził Marcel, gdy zostali sami.

– Pamiętasz Miszę Popowskiego?

– Złote dziecko rosyjskiego wywiadu? A kto by go nie pamiętał?! Nieźle przeciągnął, czyli przeszkolił, sporą grupę oficerów naszego kontrwywiadu. – Uśmiechnął się kwaśno, ale w jego oczach zabłyśły ogniki zainteresowania. – Najlepszych.

– Mam Popowskiego – rzucił Konrad.

– Jak to masz...?

– Prawie cztery tygodnie temu dostałem informację, że Popowski chce się wydostać z Rosji i potrzebuje mojej pomocy...

– Chce się wydostać z Rosji? – powtórzył Marcel. – Dlaczego?

– W Jaseniewie była potężna rozpierducha i wysadzili generała Lebedzia... Krugłow, Pietrycki, Łopatin...

– Czekaj! – Marcel się ożywił. – Była informacja z Agencji o odejściu Lebedzia, ale z powodów zdrowotnych czy coś takiego. Zresztą pisała o tym prasa.

– To też, ale sprawa ma drugie i trzecie dno. To był cichy zamach stanu. Lebedź sprzeciwiał się nowej wyprawie Kremla w świat, samemu Władimirowi, i z wiernych sobie oficerów zorganizował grupę spiskowców, którą nazywali *bielaja komanda*. I jak to bywa z każdym spiskiem w Rosji, ktoś ich wydał. Popowski był w tym czasie na robocie w Szwecji. Kiedy wrócił i zorientował się, co jest grane, ukrył się u przyjaciółki swojej narzeczonej pod Moskwą.

– Niesamowite! – Marcel wysoko uniósł brwi. Wyglądał na mocno przejętego. – Nieprawdopodobne! I wy go... z Rosji? – Wskazał palcem na Konrada. Wyraźnie był pod wrażeniem. – Jak? Kiedy?

– Trzy tygodnie temu. Nooo... mamy swoje metody, ale tak między nami... – Konrad uśmiechnął się niewyraźnie – to była czysta improwizacja. Robiliśmy to razem z Sarą. Jakoś się udało.

– To wspaniały sukces! Jestem pełen podziwu. No... no... pierś do orderów. Michaił Popowski, naczelnik Wydziału Polskiego, wysoki oficer rosyjskiego wywiadu... No, no! W Wirginii i nad Tamizą pękną z zazdrości. Taki defektor... – Nagle Marcel urwał i spoważniał, jakby dopiero teraz do niego dotarło, że przecież Konrad umówił z nim spotkanie w warunkach konspiracji. – To skąd to zlecenie na was? O co tu chodzi? Konrad!

– Dlatego powiedziałem, że to ja mam Popowskiego, ale problem mamy teraz my. Obaj. Przeprowadziliśmy eksfiltrację Popowskiego całkowicie nielegalnie, pełna samowolka, właściwie na wariata. Zrobiliśmy przy tym, całkowicie świadomie i celowo, sporo rzeczy, za które grozi kryminal. Uznaliśmy, że nie możemy czekać na oficjalną zgodę, bo Michaił wołał o pomoc, a przy wszechwiedzy i jedynej mądrości Apple Tea nigdy byśmy go z tej Rosji nie wyciągnęli. Krótko mówiąc, postawiliśmy wszystko na jedną kartę.

Jego los i swój. Na szczęście wszystko poszło gładko, ale trochę się przeliczyliśmy. Myśleliśmy, że wrócimy do kraju z Popowskim i jakoś sprawę załatwimy. Kiedy ruszaliśmy do Finlandii, nawet nie wiedzieliśmy jeszcze, co zrobimy potem. Plan powrotny był tak przejrzysty jak londyńska mgła. Przekroczyliśmy bezpiecznie granice i nieco otrzeźwiliśmy. A kiedy posłuchaliśmy Popowskiego, nawet ten mglisty plan się rozwiął i zobaczyliśmy horyzont jakiegoś morza, musieliśmy zacząć improwizować, co może nie jest trudne, ale mało skuteczne. Potrzebowaliśmy więcej czasu. Na Miłobędzkiej zorientowali się, że nas nie ma, i nasze przekrety natychmiast wyszły na jaw. Oczywiście wiedzą, że byliśmy w Finlandii, ale nie wiedzą po co. Stąd całe to śledztwo. Zanim wsadzą nas do pudła, chcą się dowiedzieć, dlaczego i po co zorganizowaliśmy ten cyrk. Premier, minister Tadek i to całe towarzystwo czują, że jest na rzeczy coś, co może ich potężnie kopnąć. I mają rację... niestety, jeśli tak myślą. Teraz rozumiesz?

Postawny Marcel siedział skulony jak skarczone dziecko i nerwowo obracając talerzyk z szarlotką, wiercił wzrokiem w spienionej kawie. Od razu było widać, że jest nabrzmiąły od emocji i za chwilę wybuchnie pytaniami.

– Nie rozumiem... – zaczął z wolna. – Co tu jest grane? Czyli... kierownictwo nic nie wie o Popowskim? Dobrze myślę? Dlaczego? A gdzie on jest? – Zadał wszystkie pytania, które Konrad przewidział, i zamknął tę serię najważniejszym: – Co Popowski wam powiedział?

Konrad spojrzał Marcelowi prosto w oczy, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że doszli do najważniejszego punktu rozmowy. A jednak się zawahał. Już chciał przygryźć wargę, lecz jedynie wstrzymał powietrze. Robił tak czasami mimowolnie i nie potrafił nad tym zapanować, szczególnie gdy musiał budować atmosferę operacyjnego misterium. Ale tym razem nie był pewien, czy rzeczywiście dobrze robi, wciągając do gry Marcela, a jeszcze bardziej wątpił, czy to, co wymyślili z Sarą, w ogóle ma szanse powodzenia, czy ich plan ma jakikolwiek sens.

Było jednak za późno. Czuł się jak pilot startującego samolotu, który zbliża się do punktu zero. Nadchodziła chwila, od której nie będzie już powrotu.

Land rover wciąż stał na parkingu przy korcie tenisowym, z dala od rzadko rozstawionych latarni ulicznych, których nie chcieli mieszkańcy okolicznych domów, bo uważali, że w długie ciemne miesiące zakłócają ich intymność, świecąc w niezastłonięte okna. Dla Jagana i Doronina była to jednak sprzyjająca okoliczność. W ciemności czuli się bezpieczniej i pewniej. Jagan zawsze wyczuwał niebezpieczeństwo, ale na robocie czuł się pewnie dlatego, że się nie bał i zawsze potrafił skalkulować zagrożenie. Zawsze też miał przygotowaną drogę odwrotu, ale tylko dla siebie. Uważał, że nie może wziąć odpowiedzialności za drugiego człowieka, bo nigdy nie ma pewności, czy on gotów jest wziąć ją za niego. Wyjątkiem była „piątka”, ale to byli towarzysze broni, coś zupełnie innego niż jakiś nedorobiony szpieg, którego ledwie poznał.

Tej nocy także Doronin czuł się bezpiecznie i pewnie, nie tyle z powodu ciemności, ile przede wszystkim z powodu potrójnej dawki prozacu, jaką przyjął za dnia. Zresztą zadanie, które mieli zaplanowane, dla obu nie było specjalnie trudne. Każdy z nich miał już sporo blizn i obaj dobrze wiedzieli, czym pachnie tchórz.

- Idzie – odezwał się Jagan i obaj natychmiast włożyli okulary.
- Widzę – odparł Rudolf. – Tak, to on...
- To nie może być on.
- Przecież świeci.
- Ale to nie on.
- Rzeczywiście... co jest?

– Dzwon! – nakazał Jagan uniesionym głosem. – Dzwon!
Natychmiast!

Siedemdziesiąt metrów od nich, powoli płynąc od brzegu do brzegu, zaśnieżoną wąską uliczką między drzewami posuwała się wysoka, chuda postać, która wydawała z siebie intensywne różowe światło.

Doronin wyciągnął dyżurną komórkę i wcisnął przycisk.

Postać zbliżała się coraz bardziej.

– On tu przechodził o osiemnastej pięćdziesiąt cztery... – rzucił Jagan, wyraźnie już podenerwowany.

Po raz pierwszy, odkąd wykonuje zadania specjalne, zdarzyło mu się coś podobnego. Nie przewidział sytuacji tak oczywistej w swojej banalności, że wręcz dziecinnie prostej. I wyłożyć się na koniec na czymś takim! – pomyślał, a smok spał się pazurami jak jeszcze nigdy wcześniej.

Od razu zaczął podejrzewać, że człowiek z wywiadu, który był na tym spotkaniu, musiał spaprać robotę i spryskał fluorescencyjnym „obłokiem” kurtkę nie tej osoby, co powinien. Trudno jednak było Jaganowi uwierzyć w takie dyletanctwo rosyjskich szpiegów. No... nieraz partaczyli robotę tu i tam – tłumaczył sobie w duchu, ale sam w to nie wierzył. Obserwując zbliżającą się postać, coraz bardziej tracił pewność siebie. Nic gorszego dotąd go nie spotkało.

– Czy na pewno oznaczyłeś właściwą osobę? – zapytał cicho Doronin przez telefon, jakby się bał podsłuchu.

W skupieniu wpatrywali się przez okulary w wysoką postać jak myśliwy w zwierzę i czekali na odpowiedź. Trwało to sekundy, lecz im się wydawało, że ciągnie się w nieskończoność.

– Pewny jesteś? – zapytał w końcu Rudolf. – Na sto procent? Nie ma pomyłki?

– Dawaj zdjęcia! – rzucił Jagan przez zaciśnięte zęby. – Dawaj natychmiast. Mamy osiem minut na decyzję. Jak wejdzie do ambasady, to koniec.

– To na sto procent konsul Robert Majewski! – wyłączył telefon i wyjął tablet. – Nie, to nie on! – rzucił po chwili, gdy wysoki

mężczyzna był już dziesięć metrów od nich.

– Mówię przecież, że to nie on – potwierdził stanowczo Jagan i wyjął tablet z jego rąk. – Decyduj, *komandir*. Teraz twój czas, byle szybko.

– Są tylko dwie możliwości. Albo nawalili ludzie z FSB, albo my...

– Nawaliła FSB i wy, bo trzeba było pokazać zdjęcia waszemu człowiekowi tutaj, ale jest też trzecia możliwość. Ktoś podszył się pod tego człowieczka... od razu widać, że to nie jest szpieg. – Jagan wskazał palcem na mijającego ich na miękkich nogach Majewskiego.

– Bierzemy go? – Zdjął okulary i spojrzał na Doronina, który siedział nieporuszony, z zaciśniętymi ustami. – To jedyny ślad za Popowskim... On może wiedzieć, kto się pod niego podszył. Decyduj, *komandir*! Szybko! – Jagan włączył silnik.

– Nic głupszego nie moglibyśmy zrobić... to wbrew logice i zasadom... narobimy burdelu jak stąd do Władywostoku. – Doronin zmrużył oczy, spojrzał w bok, potem na zaciętą twarz Jagana i zdecydował: – *Hospodi, pomiluj*... Bierzemy go! Popowski ważniejszy. Od tej chwili działamy na własny rachunek.

Jagan wrzucił jedynekę i ruszył.

– I dobrze, nigdy nie płacę cudzych – odparł i pomyślał, że Doronin ma u niego otwarty kredyt, i to całkiem spory.

18

Lutek stał przy oknie balkonowym oparty plecami o ścianę i wyglądał na zewnątrz. W swoim białym marynarskim golfie i z rękami złożonymi symetrycznie na piersi sprawiał wrażenie oczekującego na nowe rozkazy. Wszystko wyglądało tak, jakby byli na dwudziestym piętrze, a Wydział „Q” wciąż istniał.

Ten widok bardzo Sarę ucieszył. Od razu poczuła się pewniej, bo Lutek swoją pozorną obojętnością, wręcz cichą nonszalancją, potwierdzał, że cały zespół jest gotowy do akcji. I chociaż miejsce jest inne, to oni wciąż są tacy sami, można na nich polegać. A kiedy spojrzała na odnowionego Marcina z pomadą na włosach, w szarym garniturze i czarnym podkoszulku, coś ją ścisnęło za gardło i z wielkim trudem wydobyła z siebie zwyczajne:

– Cześć.

– Herbaty? – Ewa położyła jej dłoń na ramieniu. – Z kawałeczkiem cytryny? – bardziej stwierdziła, niż zapytała, tak było to oczywiste, i nie czekając na odpowiedź, udała się do kuchni.

– Dajcie paszporty. – Sara usiadła na kanapie, wyciągając z torby notatnik.

– Ja już wszystkie przejrzałem – rzucił Marcin, podając pakiet dokumentów. – Czyste. Tylko Ela, Witek i Irek mają tureckie i egipskie pieczętki. Kuracjusze... wiadomo. – Puścił do Sary oko. – Reszta czyste.

– Wolę sama sprawdzić. – Zaczęła uważnie przeglądać pierwszy paszport.

– Pani naczelnik jak zwykle mi nie ufa. No, który raz już to mówię... Czy ja kiedykolwiek zawiodłem, pomyliłem się... nooo... były różne tam tego... ale nigdy z mojej winy – próbował się bronić Marcin.

– Dlatego sprawdzam – odparła Sara i uśmiechnęła się, ale on tego nie widział. – Wszystko gra, Marcinku. *Dowieriaj, no powieriaj.* Tak się mówi?

– No... tak.

Z kuchni wróciła Ewa. Postawiła przed Sarą herbatę i przysiadła obok niej na kanapie.

– Paszport Ewy gotowy? – Sara zwróciła się do M-Irka.

– Jeszcze nie – obruszył się Irek.

– Nie jesteśmy cudotwórcami – dodał Mirek.

– Okay. Kiedy?

– Jutro?

– Lutek, Ewa, tak jak ustaliliśmy, pojedziecie pierwsi...

– A ja? – wtrącił się Marcin. – Też miałem jechać.

– Zmiana planów – odparła Sara. – Teraz będziesz potrzebny tutaj.

Dwie nienaruszone szarlotki i filiżanka z zimnym cappuccino stały na stoliku. Konrad swoją wypił i odsunął na bok. Marcel był wyraźnie spięty. Zadał pytania i czekał na odpowiedź, patrząc rozmówcy prosto w oczy. Może nawet był zbyt pewny siebie, zdeterminowany, a może po prostu przejęty tym, co usłyszał, więc Konrad postanowił go jeszcze trochę sprawdzić. W końcu odpowiedzi miał przygotowane.

– Wiesz przecież, jak jest – zaczął pustym frazesem. – Musimy postępować zgodnie z prawem, słusznie, ale... – przerwał na moment i dodał z lekką emfazą: – Ale czasem się nie da. I to jest ten przypadek.

– Konrad! – Marcel przerwał mu zdecydowanie. – Nie kręć kotem! Wiem, kim jest Popowski. On zna... musi znać... całą agencję SWZ u nas... – Nieco sztucznie zawiesił głos, jakby miał to słabo przećwiczone, i Konrad poczuł przez moment jakąś fałszywą

nutkę, więc zaliczył mu kolejny fakt. – Powiedział ci? Wiesz, kim oni są? Zdajesz sobie sprawę, że my jako kontrwywiad mamy tych agentów namierzonych? Ciekawe, czy nasze rozpoznanie zgadza się z tym, co ci powiedział Popowski. – Westchnął głośno. – To po prostu nieprawdopodobne. Powiedział ci? Ale dlaczego nie poinformowałeś kierownictwa?

– Jest ich sześciu – wyrzucił z siebie Konrad.

– W rozpracowaniu mam ośmiu – stwierdził Marcel. – Nazwiska?

– Nie znam. I w tym jest problem. – Konrad spojrzał na Marcela, który coraz mocniej mrużył oczy. – Oto powód, dlaczego kierownictwo o tym nie wie i dlaczego jesteś mi potrzebny.

– Nie powiedział ci? Czemu? To jaka była jego cena za eksfiltrację?

– W tym problem. Wiemy, że Popowski zna nazwiska sześciu głównych rosyjskich agentów w Polsce, ale nie mamy na to dowodów. Co więcej, on sam niczego nie jest w stanie potwierdzić, bo przewieźliśmy go przez granicę niemal gołego. Całą wiedzę opieramy na jego słowach, które mogą być...

– ...jakaś zaplanowaną dezinformacją?

– Tak.

– Ja pier...

– A może Popowski to kukułcze jajo, które ma rozwalić naszą scenę polityczną? Wyobraź sobie teraz premiera i ministra Tadka, kiedy Apple Tea ich poinformuje, że po kancelarii premiera, siedzibie opozycji na Główniej i sejmie biegają sobie wolno ruscy agenci i nikt nie ma pojęcia, kim są. Nie znamy nazwisk, więc nie wiemy tak naprawdę, co w tej naszej Polsce jest grane, kto jest kim, a to wszystko pochodzi od jakiegoś Rosjanina bez dokumentów, który zwał, bo coś nabroił albo coś mu groziło, i mówi, że jest szpiegiem. Kto w to uwierzy, kto to zrozumie?! Ci bardziej inteligentni pomyślą, że to misterna akcja rosyjska mająca na celu rozbicie naszej sceny politycznej. Ale tak czy inaczej każdy weźmie to do siebie, bo pomyśli, czy nie podpada pod jakąś wersję, kombinację, i na wszelki wypadek będzie chciał zamieść sprawę pod dywan. W takich

przypadkach o wszystkim decyduje strach. A jeśli tym rosyjskim szpiegiem jest kolega z klubu poselskiego albo ministerstwa, a jeśli razem z nim zamawiało się krewetki w cieście za służbowe pieniądze, że nie wspomnę już o wspólnych kochankach? Nie będą chcieli uwierzyć, że to jeden z tej wielkiej szóstki, ale będą żyć ze świadomością, że ich kontakty w końcu zostaną ujawnione. I co wtedy? Marcel, sam pomyśl... to nie tylko rozwali scenę polityczną, i żadne dowody nie będą tu potrzebne, ale też jeszcze głębiej rozkopie i tak już rozkopaną Polskę. Przez dziesięciolecia się z tego nie wygrzebiemy. Rzucą się sobie do gardeł jak wściekłe psy, a Władimir dokarmi nimi syberyjskie tygrysy. Na koniec, tak jak zawsze, w łeb dostaniemy my, tacy faceci bez prawa do głosu jak ty i ja. I dostaniemy po równo od wszystkich, z lewa i prawa. Nie będzie ani jednej gazety, która by nas nie przeczołgała, nie mówiąc o fajnych memach. Moskwa rozegra mecz w Warszawie walkowerem, a jak nie, to zawsze można kupić sędziego albo załatwić jakąś ruchawkę po meczu.

– Zaraz, zaraz, kolego, moment! – przerwał mu Marcel. – Ale dlaczego Popowski nie chciał ci podać nazwisk tych agentów?

– No właśnie. No właśnie! Popowski domaga się gwarancji bezpieczeństwa do końca życia, czyli ochrony. Ale nie ma do nas zaufania i chce gwarancji od CIA albo MI6. Pięć milionów dolarów na początek nowego życia. Twierdzi też, że poda adres w Moskwie, gdzie ma ukryte dokumenty dotyczące wielkiej szóstki z Warszawy.

– *Fuck!* – rzucił krótko Marcel.

– Właśnie tak... to odpowiednie słowo. I co miałbym zrobić? Mam iść powiedzieć o wszystkim Apple Tea, a może od razu premierowi? I jak sądzisz, co oni zrobią z tą informacją? A może lepiej z miejsca pójść do mediów?

– *Fuck!* – powtórzył Marcel, ale tym razem raczej bez przekonania, jakby żałował, że dał się w to wszystko wciągnąć. – Rzeczywiście sytuacja patowa... Klincz, kurwa, klincz!

– I w tym sęk. Jak znaleźć rozwiązanie? Wygląda na to, że żywy Popowski nie jest nikomu potrzebny, ani Moskwie, ani Warszawie,

a nawet, dopóki żyje, jest wręcz niebezpieczny. Jego prawdziwą wartość znamy tylko my dwaj, więc bez twojej pomocy nie rozwiążę tego cholernego problemu.

– Konrad? Robisz mnie w chuja? – Marcel znowu zmrużył oczy. – Po co ci to wszystko? Próbujesz przepłynąć w pław morze gówna. Zajmij się Sarą, zróbcie sobie dziecko, bo jej czas ucieknie. I odpuść sobie los ojczyzny. Zostaw to. Czy nie może być tak, jak było? Komu to przeszkadzało, nie pomyślałeś?

– Żeby uratować świat, trzeba zatrzymać Ziemię. – Konrad zaśmiał się ironicznie i położył Marcelowi rękę na ramieniu. – My musimy postępować słusznie, ale czasami się nie da. Pomożesz? – zapytał pełnym determinacji tonem, jakiego Marcel nigdy u niego nie słyszał.

– I to niby ode mnie zależą dalsze losy świata? – zakpił Marcel, choć patrząc na Konrada, wcale nie miał ochoty na żarty. – Powiem ci coś... – odezwał się po chwili niepewnie. – Choć absolutnie nie powinienem... – Znów zamilkł, po czym rzucił cicho: – Mamy doskonałe źródło w ich rezydenturze. *Fuck!* Co ja robię! – Pokręcił głową, jakby sam nie mógł uwierzyć, że to powiedział.

– Wiem, że macie – wtrącił Konrad. – I wiem, kto nim jest.

19

Jagan jechał bardzo powoli, z wygaszonymi światłami, a dwadzieścia metrów przed nim, lekko się zataczając, szedł Robert Majewski. Było siedem minut przed północą. Kulosaari wyglądała jak wymarła, żadnych świateł w domach, tylko koła land rovera chrzęściły na rozsypanej skałce przeciwpoślizgowej. Ale Majewski jakby wcale tego nie słyszał i przygarbiony, z rękami w kieszeniach, dreptał w kierunku ambasady.

Doronin przygotował sprej usypiający i czarny kaptur. Założyli maski ochronne.

Tym razem Jagan nie mógł użyć amunicji Wostok, która tak dobrze sprawdziła się w akcji przeciw Muhamedowowi, bo nie wolno było robić hałasu, więc technika z Jaseniewa dała im środek w spreju. Mimo to na wszelki wypadek mieli w skrytce dwa magazynki wostoka.

Samochód zbliżył się do Majewskiego na pięć metrów i wtedy Doronin wyskoczył na drogę. Konsul zorientował się, że coś jest nie tak, więc usunął się na bok i zatrzymał. Kiedy się odwrócił, Jagan włączył długie światła i go oślepił. W tym momencie zakryty poświatą Doronin z odległości metra puścił strumień z dozownika prosto w twarz Majewskiego i nim ten zdążył się zorientować, co się dzieje, zarzucił mu na głowę kaptur. Jagan wyłączył światła i podjechał jak najbliżej, żeby można było wrzucić ciało konsula prosto do bagażnika.

Dom, który wybrali, wznosił się nad brzegiem fiordu, tuż obok

polskiej ambasady. Był wyjątkowo okazały, najwyraźniej w trakcie generalnej przebudowy i chwilowo niezamieszany, ale ogrodzony solidną ścianą tui. Inne wille stały w wystarczająco bezpiecznej odległości, by można było poruszać się po terenie dyskretnie.

Jagan przejechał wzdłuż muru ambasady ulicą Bomansonintie do miejsca, gdzie zaczynał się łagodny zjazd do morza, zwykle wykorzystywany do spuszczenia łodzi. Skręcił w lewo i po kilkudziesięciu metrach podjechał po łodzi do willi.

Majewski był bardzo wysoki i chudy, więc Jagan i Doronin mieli sporo kłopotu z przeniesieniem go do piwnicy, bo ciągle im się wymykał, aż uderzył głową o podłogę i głośno zajęczał.

W końcu nie bez wysiłku położyli go na stole stolarskim i zwiążali plastikowymi spinaczami.

– I to miał być ten wasz polski szpieg? – zapytał Jagan nieco zdyszany. – Jak wór kartofli. Ci mądrale z FSB muszą się jeszcze sporo nauczyć. Polacy to nie są cieniasy... znam ich...

– Nie ja nawaliłem – przerwał mu Doronin. – Daj pakiet! – Wyciągnął rękę. – Trzeba go wybudzić. Nie mamy czasu.

W czarnym sztywnym futerale znajdował się zestaw „pierwszej pomocy egzorcysty”, jak szpiedzy do zadań specjalnych w Jaseniewie ironicznie nazywali zestaw chemikaliów, którego efekt działania przypominał rozmowę księdza z diabłem z filmu *Egzorcysta*.

Tylko nieliczni mieli okazję go używać, bo wymagał specjalistycznego szkolenia. Co ważniejsze, jego skład chemiczny był jedną z największych tajemnic rosyjskiego wywiadu i nie mógł dostać się w ręce przeciwnika. W wielu przypadkach ludzie nawet nie wiedzieli, że zostali poddani jego działaniu. To była najważniejsza i najtajniejsza broń Jaseniewa w XXI wieku i znacznie się przyczyniła do sukcesów rosyjskiego wywiadu. W kilku z nich Doronin odegrał istotną rolę.

Dlatego tylko oficer, który miał odpowiednią licencję, mógł otworzyć futerał, inaczej ulegał on samozniszczeniu.

Doronin taką licencję otrzymał już kilka lat wcześniej i wielokrotnie używał „pierwszej pomocy egzorcysty” w różnych

zakątkach świata.

– Zdejmij mu but i skarpetkę – polecił Jaganowi, a sam wyjął małą strzykawkę z zielonym płynem.

Nad kostką znalazł żyłę i delikatnie się w nią wkuł, podczas gdy Jagan przyświecał mu latarką. Powoli wycisnął całą zawartość strzykawki, a po wkłuciu prawie nie było śladu.

Spojrzał na zegarek.

– Wybudzi się za trzy, cztery minuty, a potem mamy około pięciu, żeby go odpytać, i znów zaśnie, a właściwie wróci do stanu upojenia alkoholowego. Nie będzie nic pamiętał, tylko to, że urwał mu się film. Takie чудо mamy – wyjaśnił Doronin i łyknął swoją tabletkę prozacu. – Malaria. – dodał.

– Używałem amunicji Wostok. Też dobrze działa...

– Ale nie daje efektu amnezji ani chwilowego paraliżu. W tym cała tajemnica.

– A co to jest?

– Nie wiem, i lepiej nie pytaj. W każdym razie będzie miał potężnego kaca i bardzo wysokie stężenie alkoholu we krwi. Ściągnij na tablet dane z jego telefonu komórkowego... Pospiesz się!

Majewski zamruczał i poruszył nieznacznie głową, wciąż zakrytą czarnym światłoszczelnym kapturem.

– Gdzie ja jestem? – odezwał się po polsku całkiem trzeźwym głosem Majewski. – Nic nie widzę... Gdzie ja jestem?

– Jak się nazywasz? – zapytał płynną angielszczyzną Doronin.

– Robert Majewski, a ty?

– Joe Black. Wiesz, kim jestem?

– Nie... ciemno tu strasznie, nic nie widzę i nie mogę się ruszyć – odparł po angielsku konsul. – Pomożesz mi stąd wyjść?

– Oczywiście, ale najpierw ty mi musisz pomóc.

– Bardzo chętnie, Joe.

– Kiedy ostatni raz byłeś w Rosji? Pamiętasz?

– Oczywiście. W dwa tysiące piątym w Moskwie, z ministrem Zielińskim, a co?

– A kilka tygodni temu... w Petersburgu?

– Nigdy nie byłem w Petersburgu, Joe. – Majewski odpowiadał z zabawną uprzejmością, ale był to skutek działania serum prawdy, a nie wyraz jego woli do współpracy.

– Na pewno?

– Na pewno, Joe. Byłem wtedy na wczasach w Egipcie. Nie lubię Rosji.

– Jaki masz samochód?

– Toyotę avensis... białą, z dwa tysiące dziesiątego.

– A nie masz srebrnego jeepa cherokee?

– Nie, Joe, nie mam.

– I nigdy nie miałeś?

– Nie, Joe, nie miałem.

– A kto jest szpiegiem w twojej ambasadzie?

– Nie wiem, Joe, chyba nie ma tam żadnego szpiega.

– To kto jeździ u was srebrnym jeepem cherokee?

– Stasio.

– Kto to?

– Stanisław Mroczek.

– Szpieg?

– Nie, to nasz szyfrant.

– Gdzie mieszka?

– W ambasadzie na drugim piętrze, wejście od dziedzińca.

– Mieszka sam?

– Teraz tak, bo żona wyjechała do Polski... Joe, pomożesz mi stąd wyjść? Ciemno tu strasznie i zimno. Boję się...

– Tak, zaraz ci pomogę, poczekaj chwilkę.

– Dobrze, Joe, zaczekam.

Doronin dał znak Jaganowi, żeby się nie odzywał, i spojrzął na zegarek. Po chwili Majewski zamilkł i zaczął głęboko oddychać.

– Trochę za wcześnie zasnął.

– Co robimy?

– Myślę...

– Ten jeep stoi na terenie polskiej ambasady. Widziałem go, jak jechaliśmy. Ile mamy czasu? Decyduj, *komandir!* – Jagan był

wyraźnie pobudzony.

– Godzinę... możemy dać mu jeszcze jedną dawkę usypiacza, ale serce może nie wytrzymać.

– Chuj z nim – rzucił Jagan. – Co z tym szyfrantem? On musiał być umoczony w tej sprawie, więc wie co i jak. To w końcu szyfrant, bładź, musi wiedzieć. *Komandir*, nie śpij! Decyduj...

– Nie wiem... co mielibyśmy zrobić... to za daleko.

Doronin był wyraźnie niezdecydowany, a Jagan czuł, że się czegoś boi, i wiedział, że im dłużej pozwoli mu tak stać w rozkroku, tym bardziej będzie pewne, że zrejteruje i się podda.

Jagan nie był szpiegiem, tylko żołnierzem, i wiedział, że najlepszą obroną jest atak – odwrotnie niż szpiedzy, którzy każdą akcję zaczynają planować od wybrania sposobu ucieczki i miejsca ukrycia. Stali teraz w świetle latarek nad ciałem Majewskiego i patrzyli na siebie. Każdy zastanawiał się, jaką powinien podjąć decyzję, i czekał na to, co powie partner. Doronin doskonale wiedział, do czego zmierza Jagan, i wzmagając psychiczne napięcie między nimi, postanowił zmusić go do działania, przerzucić na niego odpowiedzialność i dać mu silną motywację. Jagan był sprawny jak maszyna, nieustraszony i nieomylny, ale tylko wtedy, gdy musiał sam decydować. Kapitan już dawno to zauważył i postanowił wykorzystać te jego cudowne zdolności. W gruncie rzeczy zgadzał się na to, co chciał zrobić Jagan.

A Jagan chwycił pojemnik ze sprejem usypiającym, zaciągnął na twarz maskę, poprawił giurzę przy pasku, wciągnął rękawiczki i nic nie mówiąc, wyszedł. Doronin mógł mu przeszkodzić, powstrzymać go jednym słowem, ale nie chciał. Popowski był najważniejszy.

– Powodzenia, chorąży – powiedział cicho, gdy Jagan znikł już za drzwiami.

20

W zwalistym gmaszysku na ulicy Miłobędzkiej, które jeszcze niedawno było pogodnie zielone, paliło się w oknach ledwie kilka świateł. Od czasu objęcia stanowiska szefa AW przez Apple Tea budynek z roku na rok stawał się coraz mniej zielony i coraz bardziej ponury, a wieczorami coraz bardziej ciemny.

Wyjątkiem było siódme piętro z biurami dyrekcji i okna na pierwszym piętrze należące do Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego, gdzie urzędował Marek Belik.

Dochodziła dwudziesta, kiedy Konrad bez pukania wszedł do jego gabinetu. Belik siedział tyłem do wejścia i rozparty w fotelu oglądał w telewizji *Wiadomości*. Szklanę z herbacianym płynem schował pod stolikiem, ale intensywny zapach wypełniający pomieszczenie od razu zdradzał jej zawartość. Belik odwrócił się ociężale i spojrzał na Konrada wyraźnie zamglonym wzrokiem. Nawet nie udawał zaskoczonego, bo przed Konradem nie musiał się kryć. Znali się za dobrze.

Belik był urodzonym cynikiem, faryzeuszem i egoistą pełnym obsesji i fobii, jak uważała Sara, więc nadawał się idealnie na kiepską polską kopię Angletona albo przynajmniej rosyjskiego szpiega.

W pokoju poza zapachem whisky nie było nic, co mogło przyciągnąć czyjąkolwiek uwagę. Szary gabinet ponurego szefa dętych spraw – pomyślał Konrad. Nigdy wcześniej tu nie był, ale ten widok go nie zaskoczył. Żadnych dyplomów na ścianach, gadżetów

z zagranicznych podróży, żadnej roślinki, zdjęcia żony, dziecka, żadnej pamiątki po czymkolwiek, nie było choćby mapy, którą w wywiadzie mają nawet stróż i kierowca.

Szafa pancerna przymknięta, z kluczem w zamku, puste biurko, ani jednego dokumentu, martwy komputer. Belik wyglądał, jakby był na wczasach w jakimś tanim hotelu. Ale wyraźnie się denerwował, podobnie jak zapewne Szefer. Za chwilę obaj mieli się zapoznać z notatką Konrada i Sary, jedyną taką w historii polskiego wywiadu.

– Wychodzimy – oznajmił Konrad i rzucił na biurko niebieską kartonową okładkę z symbolem Agencji Wywiadu.

Belik nic nie odpowiedział. Podniósł się ociężale sprzed telewizora, przez moment łapiąc równowagę, bo pociemniało mu w oczach. Nie zauważył, że przewrócił szklankę pod stołem. Usiadł za biurkiem i zapalił lampkę. Przyciągnął do siebie teczkę i chciał jeszcze coś powiedzieć, rozejrzał się, ale Konrada już nie było.

Zaczął czytać.

Warszawa, 2015.04.15

Ścisłe tajne

Egz. pojedynczy

Notatka służbowa

dot. naczelnika Wydziału Polskiego SWZ FR podpułkownika Michała Popowskiego

24 marca br. około godz. 13 na swój telefon służbowy otrzymałem SMS-a, w którym podpułkownik Michał Popowski, naczelnik Wydziału Polskiego SWZ FR, prosił mnie o pomoc w wywiezieniu go z terytorium Rosji. Podał dwa miejsca oraz podstawowe i zapasowe terminy nawiązania kontaktu w Sankt Petersburgu. Przebywałem wówczas w swoim biurze w Wydziale „Q” wraz z kapitan Sarą Korską, którą poinformowałem o tym wydarzeniu. Byłem zaskoczony tą wiadomością i początkowo podejrzewałem prowokację, lecz numer telefonu, na który dostałem SMS-a, był używany wyłącznie jako linia awaryjna. Nie był znany ani przełożonym Popowskiego, ani nikomu z kierownictwa AW. Kilka lat temu umówiłem się z Michałem Popowskim, że powinniśmy mieć rodzaj prywatnej gorącej linii tylko między nami, która by nam zrekompensowała brak oficjalnej. Ustaliliśmy też, że taka linia będzie miała sens tylko wtedy, gdy obaj uszanujemy jej niezależność i oprzemy się na wzajemnym zaufaniu. Od tamtego czasu telefon ten wykorzystywany był trzy razy, po raz ostatni podczas sprawy „Urał” w ubiegłym roku.

W związku z powyższym po przeanalizowaniu wszystkich aspektów zaistniałej sytuacji, a w szczególności w kontekście osobistej wieloletniej znajomości z Popowskim i w miarę dobrego rozpoznania jego psychiki, zasad moralno-etycznych i cech charakteru, podjęliśmy wraz z kapitan Sarą Korską decyzję, żeby odpowiedzieć na jego wezwanie. Wyraźnie muszę podkreślić, że w pełni zdawaliśmy sobie sprawę z zagrożeń, które jego wezwanie mogło powodować, i ogromnego ryzyka, jakie dla naszego bezpieczeństwa niosła moja decyzja. Zdawaliśmy sobie też sprawę, że mogła to być prowokacja rosyjskiego wywiadu jako element inspiracyjnej gry operacyjnej. Mimo to uznaliśmy, że skoro wezwanie pochodzi od Michała Popowskiego, szefa Wydziału Polskiego SWZ, sprawa warta jest podjęcia nawet tak ryzykownego wyzwania, dlatego przystąpiliśmy do przygotowania procesu jego eksfiltracji.

Równocześnie podjęliśmy decyzję, że eksfiltrację Michała Popowskiego przeprowadzimy samodzielnie, bez zgody kierownictwa Agencji Wywiadu. Podkreślam, że podjęliśmy tę decyzję w pełni świadomi złamania prawa i wynikających z tego dla nas konsekwencji.

Podpułkownik Michał Popowski wywołał spotkanie 24 marca br. Natomiast datę spotkania w Petersburgu wyznaczył na 30 marca br. Mielśmy zatem tylko sześć dni na podjęcie decyzji i przygotowanie operacji. Biorąc pod uwagę obowiązujące obecnie procedury oraz wprowadzone przez kierownictwo Agencji Wywiadu nieformalne zasady, odznaczające się brakiem profesjonalizmu, wiedzieliśmy, że nie otrzymamy w tym czasie odpowiedniej akceptacji dla tego przedsięwzięcia, nie mówiąc już o jego technicznym przygotowaniu. Mielśmy też uzasadnione podstawy przypuszczać, że w bieżącej sytuacji politycznej kierownictwo Agencji w ogóle nie wyrazi zgody na eksfiltrację Popowskiego, oceniając ją jako zbyt ryzykowną. Także dlatego, że sami oceniliśmy zaistniałą sytuację jako wysoce ryzykowną, z jednej strony z powodu możliwej prowokacji rosyjskiej, a z drugiej – z obawy o bezpieczeństwo Popowskiego i nasze.

Popowski zwrócił się o pomoc właśnie do mnie, licząc, że zrozumie jego determinację.

Zakładał, że zrobimy to bez zgody przełożonych, bo jako szef Wydziału Polskiego wiedział, że ani ja, ani Sara nie jesteśmy współpracownikami rosyjskiego wywiadu. Tego mógł być pewien na sto procent.

O planowanym przedsięwzięciu poinformowaliśmy Wydział „Q”, ale nie ujawniliśmy nazwiska figuranta ani kraju realizacji. Dlatego jego pracownicy mieli prawo, wręcz obowiązek, wykonywać wszystkie moje polecenia.

Tak, dokonaliśmy nadużyć, fałszerstw i przestępstw zarzucanych nam w załączniku nr 124/75 i oświadczam, że jesteśmy jedynymi osobami odpowiedzialnymi za ich popełnienie.

W dn. 29 marca wylecieliśmy do Helsinek. Pomocy udzielił nam szyfrant Stanisław Mroczek, który działał w zgodzie z prawem. Udostępnił swój samochód do realizacji zadania. Dokumenty wystawili nam partnerzy fińscy, nieświadomi sytuacji. Podoszliśmy się pod dane konsula Roberta Majewskiego i jego żony.

W dn. 30 marca, po wykonaniu tras sprawdzeniowych w Petersburgu, podjęliśmy Michała Popowskiego w umówionym miejscu. Tego samego dnia przerwaliśmy go przez przejście graniczne Torfianowka–Vaalimaa do Finlandii. Zatrzymaliśmy się najpierw w hotelu w Virolahti, a potem wynajęliśmy domek pod Helsinkami.

Podpułkownik Michał Popowski poinformował nas, że musiał uciekać z Rosji, gdyż brał udział w spisku zwanym *bielaja komanda*, któremu przewodził gen. Aleksander Lebieź, mającym na celu powstrzymanie kremłowskich siłowników od przejęcia władzy nad służbami i skierowania polityki rosyjskiej na kurs konfrontacyjny z Zachodem. Puczystami dowodzili Krugłow, gen. Łopatin i Pietrycki. Spisek został wykryty, uczestnicy aresztowani, los gen. Lebieźa jest nieznany. W czasie czystki w SWZ Popowski przebywał za granicą i uniknął aresztowania. Zorientował się, co się stało, dopiero po powrocie do Moskwy. Przez prawie dwa tygodnie ukrywał się na terenie miasta, szukając sposobu na rozwiązanie swojej sytuacji. W końcu podjął decyzję o ucieczce za granicę. Wcześniej przy pomocy współpracownika, który udzielał mu schronienia, zrobił kopię części akt agentury SWZ w Polsce. Utworzył z nich plik, który zabezpieczył hasłem i ukrył.

Popowski poinformował, że SWZ posiada w Polsce sześciu wysoko uplasowanych agentów wpływu, w tym jednego bardzo wysoko – jak się wyraził. Zna wszystkie nazwiska i gotów jest udostępnić plik z dokumentami, które je potwierdzają, jeżeli otrzyma pełne gwarancje bezpieczeństwa od CIA lub MI6 oraz pięć milionów dolarów. Jak twierdził, jego zaufanie do mnie i kapitan Sary Korskiej nie przekłada się na zaufanie do naszych służb.

Przez kilka dni próbowaliśmy przekonać Popowskiego, by przekazał nam pełne dane rosyjskiej agentury w Polsce, i namówić go do współpracy w zamian za gwarancje bezpieczeństwa i odpowiednie wynagrodzenie, lecz figurant zdecydowanie odmawiał, argumentując, że władze polskie nie są w stanie go ochronić, a kierownictwo SWZ z całą pewnością wysłało za nim oddział likwidacyjny. Uznał, że do czasu podjęcia przez nas stosownych decyzji i zorganizowania jego ochrony przez CIA lub MI6 będzie próbował sam zadbać o swoje bezpieczeństwo. W ten sposób starał się wyrzucić na nas presję w celu szybkiego załatwienia sprawy.

Popowski pozostał w Finlandii, lecz nie wiemy, gdzie aktualnie przebywa. Taki był jego warunek. Utrzymujemy łączność jednokierunkową. To znaczy, że Popowski wysłał co dwa dni SMS-a z hasłem „Kittos?”, za każdym razem z innego numeru, który jest aktywny tylko przez następne dwie godziny. Każdą wiadomość wysyłać będzie w ustalonej kolejności na jeden z pięciu numerów prepaid, które kupiliśmy w Finlandii. Kontakt głosowy możliwy jest tylko w ostateczności, z uwagi na możliwość wyłapania go przez rosyjski nasłuch satelitarny.

Uwagi i wnioski

Analiza wszystkich okoliczności związanych z eksfiltracją Michała Popowskiego, sytuacji operacyjnej wokół tego zdarzenia i ocena psychologiczna figuranta wskazują, że prawdopodobnie mamy do czynienia z prawdziwym defektorem, a nie z początkiem gry operacyjnej ze strony Rosjan. Grę operacyjną będziemy mogli jednak wykluczyć dopiero wtedy, kiedy Popowski poda nam nazwiska agentów i przekaże dowody ich współpracy z SWZ. Pewność natomiast uzyskamy nie wcześniej, niż kiedy wskazani przyznają się do pracy dla Rosjan. Trudno przypuszczać, by Rosjanie ryzykowali dekonspirację swojej agencji w Polsce.

Przez prawie dwa tygodnie, które spędziliśmy razem, mieliśmy okazję przyjrzeć się uważnie Popowskiemu, i to w wyjątkowo ważnym momencie jego życia. Po krótkiej euforii związanej z bezpiecznym przekroczeniem granicy zaczął okazywać pewne oznaki załamania psychicznego, które tłumił, nadużywając alkoholu, a tym samym utrudniając rzeczowy dialog. Starał się ukrywać swój stan, przyjmując twardą negocjacyjną postawę, nieraz nieadekwatną do jego sytuacji, i uciekając od merytorycznej dyskusji. Znamy Michała Popowskiego od lat, zna go także nasz kontrwywiad i jasno trzeba stwierdzić, że to człowiek twardy i odważny i na swój sposób dosyć czytelny. Trudno zatem uznać, by jego zachowanie było wyreżyserowane jako element gry operacyjnej.

Popowski bardzo prosił (wręcz błagał, bo zdaje sobie sprawę, że nie ma na to wpływu, i wie, że to najslabszy element jego sprawy), żeby do czasu objęcia go programem ochronnym przez CIA lub MI6 nikt spoza służby nie dowiedział się o jego ucieczce z Rosji ani o szczegółach, które już przekazał. Uważa, że jeśli ta informacja wydostanie się przedwcześnie na zewnątrz, jego los będzie przesądzony, a rosyjscy agenci w Polsce mogą zostać wycofani bądź prewencyjnie zlikwidowani. Popowski powiedział bardzo wyraźnie, że SWZ ma wszystkie odpowiednie możliwości techniczno-operacyjne, by zatuszować prawdziwą przyczynę śmierci człowieka.

kpt. Sara Korska
plk Konrad Wolski

DEWD: 12398/IV/15

– Ja-pier-do-łę! – wyskandował Belik, kładąc na zamkniętej teczce rozczapierzoną dłoń.

Wypuścił powietrze jak z kowalskiego miecha, spojrzał w bok i dopiero teraz zobaczył, że pod stołem leży przewrócona szklanka. Pomyślał, że dobrze byłoby się teraz napić, ale nie mógł się skupić i podjąć decyzji, czuł jedynie, jak emocje zmieszane ze zwietrzałą whisky buzują mu w głowie i wciskają go w fotel. W końcu powoli wyciągnął ciężką rękę w kierunku białego telefonu biurowego i już miał podnieść słuchawkę... kiedy zmienił zdanie. Wziął najpierw swój smartfon, który leżał obok. Włączył funkcję Foto i ostrożnie zrobił zdjęcia notatki kartka po kartce, tak by blat biurka nie wchodził

w kadr. Sprawdził, czy zdjęcia się zapisały i są wystarczająco czytelne, i dopiero wtedy ponownie sięgnął po słuchawkę. Nacisnął przycisk z napisem „SzeF”.

– Mam notatkę Wolskiego i Korskiej – rzucił cicho i już głośniej dodał: – Czeka cię bezsenna noc... i nie tylko ciebie.

– Dawaj – odparł SzeF.

– Jadę na górę.

21

Wyspa Kulosaari, półtora kilometra na kilometr trzysta, o regularnym kształcie i mocno postrzępionym wybrzeżu z licznymi zatokami i cyplami, pełna pomostów i marin, klubów morskich i kąpielisk, miała też swoją reprezentację dyplomatyczną w postaci trzech ambasad – ukraińskiej, irackiej i polskiej.

Ambasada polska, usytuowana w eleganckiej południowej części wyspy, nad samym brzegiem, w gęstym sosnowym lesie, składała się z dwóch obiektów: rezydencji ambasadora, okazałej pięknej budowli, w której podczas wojny mieścił się sztab wywiadu Kriegsmarine, i wzniesionego na początku lat siedemdziesiątych piętrowego pawilonu biurowo-mieszkalnego.

Było piętnaście po dwunastej, gdy Jagan dotarł po łodzie do niewysokiego kamiennego muru chroniącego brzeg przed falami morskimi. Po drugiej stronie znajdował się teren ambasady.

Jagan przyczał się za murem i przez lornetkę zaczął lustrować teren. W niektórych oknach paliło się jeszcze światło, rzucając poświatę na zewnątrz, lecz żadnego ruchu nie zauważył. Nie zauważył też kamer, które zresztą niewiele mogłyby wychwycić w tak ciemną noc i w tak gęsto zalesionym terenie, nawet zimą. Jagan obawiał się tylko czujników ruchu włączających światła lub kamery, gotów był jednak zaryzykować. Miał silne przeczucie, że musi się udać: to, co zaplanował, było tak proste i logiczne jak jeszcze chyba żadne zadanie, które wykonywał za granicą. Dlatego był spokojny i smok był spokojny, a ta świadomość dodawała mu jeszcze więcej

determinacji.

Co prawda to nie Kaukaz, ale też jest całkiem ciekawie – pomyślał i sprawnie przerzucił ciało na drugą stronę muru.

Przebiegł siedemnaście metrów przez las i przywarł plecami do ściany domu. Światła się nie zapaliły. Wyrzwał zza rogu na parking wewnętrzny. Stały tam równo obok siebie, oświetlone bladą latarnią, cztery samochody osobowe, w tym na samym końcu przy bramie srebrny jeep cherokee. Jagan widział go z drogi, kiedy przejeżdżali obok ambasady, i zapamiętał, że za przednią szybą migiała czerwona dioda alarmu. To właśnie ta pulsująca dioda sprawiła, że prosty plan, który przyszedł mu do głowy podczas rozmowy z Majewskim, w ogóle miał sens.

Jagan rejestrował wszystkie dostrzeżone szczegóły, by natychmiast je syntezować, segregować i zapisywać w plikach. Tak też było z tym światełkiem. Wydawało się oczywiste, że teren ambasady nie jest chroniony, skoro pracownicy zostawiają samochody z włączonym alarmem. Ale Doronin nie mógł przecież o tym wiedzieć i Jagan dopiero teraz zrozumiał, że kapitan po prostu mu zaufał. Po raz pierwszy ktoś obcy mu zaufał! Kiedy Jagan to sobie uświadomił, poczuł się nieswojo.

Rudolf to nie jest rosyjskie imię, ale niekoniecznie musi być brzydkie – pomyślał.

Przeszedł skrajem parkingu, gdzie były pryzmy śniegu, i ukrył się za samochodami, tak by dobrze widzieć okna mieszkań i wejście do budynku. Wokół panowała zupełna cisza, a wszystkie światła od tej strony były wygaszone.

– Czas – powiedział do siebie i z całej siły pchnął jeepa.

Nocną ciszę rozdarł ostry dźwięk klaksonu i migające światła. W ciągu kilkunastu sekund rozjaśniły się dwa okna i Jagan zauważył w nich cienie postaci, w jednym kobiety, w drugim mężczyzny. Jeep wciąż wył. Światło w oknie, w którym stała kobieta, zgasło. Natomiast w drugim mężczyzna znikł, by po kilkunastu sekundach pojawić się ponownie – i w tym samym momencie alarm przestał wyć.

Bładź... Nie pomyślałem o tym.

Jagan już chciał splunąć, ale się powstrzymał. Pchnął samochód jeszcze raz i sytuacja się powtórzyła. Tym razem zapaliło się tylko światło w oknie, w którym wcześniej widział mężczyznę. Pojawił się znów, wyjrzał na moment, wyłączył alarm pilotem i natychmiast znikł. Ale tym razem światło nie zgasło.

Nooo... – ucieszył się Jagan. Dawaj, dawaj... nie mamy czasu.

Przykucnął za samochodem, w najlepszym miejscu, by mieć delikwenta na wyciągnięcie ręki, kiedy ten będzie otwierał drzwi. Przygotował sprej, worek na głowę i obserwował okna.

Po pięćdziesięciu dwóch sekundach usłyszał metaliczny chrzęst i zobaczył, jak z budynku wybiega truchtem skulony drobny mężczyzna w puchowej kurtce i spodniach od piżamy.

Pięćdziesiąt dwa–trzy kilo... – pomyślał z zadowoleniem. Jest dobrze!

Nie minęły trzy minuty i Jagan gnał po lodzie z przewieszonym przez ramię mężczyzną. Niespodziewanie noc się roz pogodziła i nad zatoką pojawiła się srebrna tarcza księżyca, ciężka i jasna, taka jaka może być tylko na Północy, więc Jagan przyspieszył. Pojmany nie był ciężki.

Konsula Majewskiego zmienił na stole stolarskim szyfrant Mroczek. Doronin zaaplikował mu mniejszą dawkę zielonego płynu, odpowiednią do wagi ciała. Mroczek jednak nie był pijany tak jak Majewski, więc przebudzenie mogło nastąpić znacznie wcześniej. Mieli kilkanaście minut na wydobywanie z niego informacji, chociaż nie wiedzieli właściwie, o co mają pytać. Wszystko potoczyło się tak szybko. Zresztą Jagan specjalnie nad tym się nie zastanawiał, bo to było zadanie dla Doronina.

W ciągu kilku godzin cały dokładny plan, który przygotowali w Moskwie, legł w gruzach tylko dlatego, że ktoś spartaczył robotę i nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, kim jest konsul Majewski i jak wygląda. Pomyłka była tak nieprawdopodobnie prozaiczna, że aż podejrzana w swojej prostocie, a jednocześnie łatwa do

wytłumaczenia, więc Doronin coraz usilniej rozważał, czy właściwie nie została obliczona na to, żeby na samym początku spalić operację i tym sposobem ostrzec Popowskiego.

No bo jak można było nie ustalić wyglądu konsula Majewskiego – zastanawiał się – przecież różnica jest widoczna gołym okiem. Poza tym Robert Majewski nie figurował w katalogu SWZ jako oficer polskiego wywiadu. Nawet jeżeli to był zaplanowany chwyt, to zbyt naiwny, by mógł się udać. Tak Popowskiego *bielaja komanda* nie ocali.

Doronin, który przez całe swoje operacyjne życie wykonywał zadania specjalne za granicą, wiedział aż nadto dobrze, że Jaseniewo nie puściło za Popowskim tylko jego i Jagana. Gdzieś w świecie działa przynajmniej jeszcze jeden zespół i wcale nie muszą się dublować. Jeden zespół może maskować drugi, by wywabić Popowskiego i być może jego cichych sojuszników, którzy przetrwali „kryształową noc” w Jaseniewie.

Właśnie dlatego kapitan Rudolf Doronin nie zdecydował się na przerwanie akcji i pozwolił Jaganowi działać. Chciał, żeby to oni pierwsi dopadli Popowskiego, i wyglądało na to, że z kimś takim jak Jagan może się to udać. Improwizowanie z chorążym Andriejem Trubowem miało głęboki sens.

To, co zrobili dotąd na wyspie Kulosaari, było właśnie najczystszą improwizacją. Doronin martwił się tylko, czy wytrzyma do końca, bo potrzebował coraz więcej prozacu i przez moment poczuł nawet głód amfetaminy, którego już jakiś czas temu się pozbył.

– Jak się nazywasz? – zapytał po angielsku.

– Stanisław Mroczek. Ciemno tu. Gdzie ja jestem? – odparł spokojnym, miłym głosem szyfrant.

– U przyjaciół. Zaraz jedziesz do domu. Pracujesz w polskim wywiadzie?

– Tak. Przecież jestem szyfrantem.

– Masz samochód Jeep Cherokee?

– Tak, srebrny.

– Co robiłeś w Petersburgu?

– Nigdy nie byłem w Petersburgu.

– To co robił tam twój samochód?

– Nie wiem.

– Pożyczałeś komuś samochód miesiąc temu?

– Tak. Byli tu Konrad Wolski i Sara Korska z Wydziału „Q”.

Wzięli samochód do jakiejś operacji, ale ja nic więcej nie wiem. Zwrócili po trzech dniach i wyjechali.

Jagan i Doronin spojrzeli na siebie, ale twarze mieli zakryte maskami, więc tylko mogli się domyślać, że się uśmiechają.

– Co to za wydział? – ciągnął kapitan.

– Operacji specjalnych. Wolski to naczelnik, a Korska to jego zastępca. Niedawno został rozwiązany, a kierownictwo zawieszono. Dostałem depezę z Centrali i była tu komisja śledcza badająca sprawę. Też się wypytywali o Wolskiego i Korską, co tu robili. Mówili, że będą mieć sprawę karną i pójdą siedzieć.

– Za co?

– Bo popełnili jakieś przestępstwa, oszukali fińskich partnerów.

– Skąd to wiesz?

– Szyfrowałem ich depezę do Centrali po rozmowach z Finami.

– W Warszawie nie wiedzą, że pojechali twoim samochodem do Petersburga?

– Nie, ja też nic o tym nie wiem.

– A Finowie?

– Nie wiem.

– W depeży nic o tym nie było?

– Nie.

– A co Finowie mają z tym wspólnego?

– Wolski i Korska używali paszportów dyplomatycznych na nazwisko konsula Majewskiego i jego żony. Potrzebowali wiz akredytacyjnych w paszportach i Finowie im je dali.

– Czyli to była oficjalna sprawa?

– Tak się wydawało, bo polecenia dostawałem z Centrali szyfrogramem. Ale teraz wiadomo, że oni robili to na własną rękę i...

– Szyfrant nagle przerwał i zaczął głęboko oddychać.

– Trzecia faza – oznajmił Doronin. – Musimy się ich pozbyć jak najszybciej. Ten... – wskazał na szyfranta – może się wybudzić za parę minut... tamten za paręnaście...

– Nie sądzisz, że lepiej byłoby ich dziabnąć po szyi? A jak te twoje egzorcyzmy nie zadziałają i będą pamiętać wszystko, o co pytałeś?

– Trupy dwóch dyplomatów narobią nam tylko kłopotów, bo zaraz zacznie się śledztwo i sparaliżuje nam swobodę działania. Polacy natychmiast się zorientują, że to my idziemy za Popowskim, a wojny nie chcemy. Nikt jeszcze nie zgłaszał reklamacji co do moich egzorcyzmów, więc bierz się do roboty.

– Tego krótkiego zaniosę sam i położę obok samochodu, a tego długiego podwieziemy pod bramę i tam go zostawimy – odparł Jagan.

Zakończenie akcji na Kulosaari było znacznie łatwiejsze niż jej początek. Nie stało się nic, co mogłoby im zagrozić dekonspiracją. Majewski i Mroczek będą mieć ciężki dzień i mnóstwo pytań do siebie samych, a żadnych odpowiedzi. Tak działa „zestaw pierwszej pomocy”. Chociaż cała akcja była ciągiem sprzecznych zdarzeń wymuszających decyzje pozbawione logiki, Doronin i Jagan byli zadowoleni z tego, co osiągnęli. Tyle że wszystko razem nie miało sensu, bo wyglądało na to, że Wolski i Korska działali na własną rękę, wbrew swoim szefom, a nawet łamiąc prawo.

Dwaj Rosjanie jechali teraz land roverem do hotelu, ale problem miał tylko Doronin. Gdzie w takim razie jest Popowski, kto go chroni i dlaczego? Jeśli nie jest pod opieką zachodnich służb, znacznie trudniej będzie go odnaleźć.

Jagan nie zaprzętał sobie tym głowy. Zastanawiał się jedynie, dlaczego na Kaukazie nie mieli takiego zestawu do przesłuchań. Zginęłoby mniej chłopaków. Nie musiałby przez godzinę bić tego capa Ahmetowa w Groznych, zaoszczędziłby wtedy dużo czasu, a Kosow, Zaricki i Gruzow żyliby do dzisiaj. Poczul, że wzbiera w nim złość. Dlaczego generałowie w Moskwie mają tak mało szacunku dla swoich żołnierzy? Rosyjskich żołnierzy.

Spojrzał na milczącego Doronina i wydało mu się, że ten się

zmienił, jakby się nagle postarzał – zrobił się mniejszy, twarz mu poszarzała, a oczy zapadły. Nic nie zostało z mężczyzny o sylwetce atlety. Jagan poważnie się zaniepokoił, ale nic nie powiedział.

Malaria – pomyślał.

22

Było pięć po dwudziestej pierwszej, kiedy Waclaw Marski wrócił do swojego mieszkania przy ulicy Natolińskiej 2. Wejście na czwarte piętro sprawiło mu tyle trudu, że dwa razy musiał się zatrzymywać na półpiętrze, by wyrównać oddech. Naiwnie założył, że mały wysiłek przed snem jest tym, czego najbardziej potrzebuje, i celowo zrezygnował z ciasnej windy, a teraz, zasapany i spocony, mocno tego żałował.

Od rana czuł się wyjątkowo źle, więc kiedy w końcu ogarnęła go miła wizja kanapy w salonie, poduszki pod głową, ukochanego głosu Marii Callas i szklaneczki calvadosu na piersi, zaczął intensywnie szukać kluczy w kieszeniach. W końcu przeklął, bo przypomniał sobie, że przełożył je do teczki.

Przygotowania do kampanii wyborczej zjadały go od wewnątrz i chwilami miał wrażenie, że traci nad sobą kontrolę, a przecież był to dopiero początek.

I jak na złość wśród tysiąca spraw, jakie miał teraz na głowie, pojawiła się nowa informacja, która od razu przyciągnęła jego uwagę. Im dłużej o niej myślał, tym większy budziła w nim niepokój. Nie wiedział jeszcze, czy to, co usłyszał dwie godziny wcześniej od swoich „lojalnych” z ABW, będzie mógł wykorzystać w kampanii wyborczej, czy też nie, ale intuicja mu podpowiadała, że to ważna sprawa i kryje się za nią jakaś tajemnica. A w polityce tajemnice przeciwników są najcenniejsze i najpiękniejsze, dopóki nie zostaną ujawnione.

Odwiesił kurtkę, przysiadł na metalowej ławeczce w przedpokoju i zdjął czarne półbuty z zawiniętymi noskami. Starannie wytarł je filcową ściereczką, do środka włożył prawidła i ustawił równo obok drugiej, identycznej pary.

Poszedł do łazienki. Oddał mocz, kawałeczkiem papieru toaletowego zebrał kroplę, która spadła na krawędź sedesu, dokładnie umył ręce, wytarł je w biały ręcznik frotté i spojrzał w lustro. Wyglądał źle, nawet gorzej niż źle. Tyle lat w nieustającym stresie, przemęczeniu, brak odpoczynku przeorały twarz, która wydawała mu się teraz bardziej obca niż kiedykolwiek wcześniej. Naciągnął palcami skórę na policzkach, ale ukazały mu się wytrzeszczone, przekrwione oczy, więc tylko przeklął cicho.

Czuł się przeżarty po obfitej proszonej kolacji z prezesem banku. Jak się okazało, facet nieźle wyczuwał obecną koniunkturę polityczną i nawet próbował delikatnie urabiać Waclawa, ten zaś nie tylko mu na to pozwalał, ale nawet go do tego zachęcał. Rozmowa była wyjątkowo ciekawa, pełna metafor, inteligentna, bogata w wyćwiczoną mimikę. Żadne nagranie nie oddałoby w pełni wszystkich tych subtelności.

Przebrał się w dres. Do odtwarzacza CD włożył płytę – *Otello* z Marią Callas – i podszedł do barku.

Pamiętam, pamiętam tego Wolskiego z Agencji Wywiadu – pomyślał, leżąc już na kanapie, tak jak najbardziej lubił, ze szklaneczką calvadosu na piersi. To przecież ten od archiwum brzeskiego, byłem wtedy jeszcze szefem ABW. Tak, tak... to ten sam. Potem miał coś wspólnego z tym terrorystą... jakaś akcja na Żoliborzu. No proszę...

Uniósł szklaneczkę i wlał sobie odrobinę calvadosu do ust.

Pan pułkownik Wolski? As polskiego wywiadu w kłopotach? Zdaje się, że mamy jakiś bardzo smakowity, a może nawet wybuchowy kąsek, skoro Agencja Wywiadu, ABW i – co najciekawsze – sam Bańkowski dostali sraczkę. Takie siły rzucili na jednego pułkownika? Bardzo ciekawe, bardzo! Wygląda na to, że Wolski wie coś, co może zaszkodzić rządowi, czyli to coś musi

pasować i do mojego planu. Nie, jeszcze za wcześnie, by informować Tadeusza, ale przeciągać nie mogę, bo czas startować z kampanią. Uff... Zresztą Tadeusz może tego nie zrozumieć i spali mi sprawę, nim się dowiem, co tak naprawdę się dzieje.

Wacław robił podsumowanie wszystkich informacji i próbował je uporządkować, bo wiedział, że za chwilę zaśnie, a rano ostrość spojrzenia się stępi, pojawią się nowe ważne wydarzenia i tajemnica pułkownika Wolskiego odpłynie na dalszy plan.

A to jest bardzo ważna sprawa i jutro muszę się nią pilnie zająć. Najpierw trzeba sprawdzić, czy nie ma tam jakiejś przykrej niespodzianki, bo pułapki są wszędzie, choć najczęściej zastawiamy je sami na siebie – pomyślał Wacław, uśmiechnął się delikatnie i sięgnął po pilota.

Pokój wypełnił mocny, aksamitny kobiecy głos – zaczynała się aria Desdemony, więc Wacław pospiesznie jednym haustem dopił calvados i postawił pustą szklaneczkę na podłodze, tak by nie nastąpić na nią rano. Musiał mieć teraz wolne ręce, które krzyżował na piersi, gdy chciał się zrelaksować przy muzyce. Zamknął oczy i wcale nie czuł dyskomfortu na myśl, że jego ciało wygląda jak złożone na katafalku, bo głos Marii Callas dodawał tej scenie prawdziwego pietyzmu, a to właśnie najbardziej mu odpowiadało. Potężny sopran zmieszany ze zmysłowym aromatem prawdziwego francuskiego calvadosu działał jak czyste laudanum, więc Wacław tylko westchnął głęboko i postanowił na chwilę odpuścić sobie Wolskiego.

Poluzował tasiemki w spodniach od dresu i wsunął tam rękę. Ostatnio był bardzo zajęty i nie miał czasu na żadne przyjemności, ale zawsze potrafił wygospodarować chwilkę, by pofantazjować o rudej Zosi z sekretariatu Tadeusza, jednej z trzech mężatek w partii, z którymi utrzymywał kontakty intymne, chociaż żadnej nie kochał. One jego też nie kochały, więc był to układ idealny, który działał sprawnie i wszystkim się opłacał. Ale Wacławowi najbardziej, bo oprócz relaksu i przyjemności dostarczał też nowych informacji.

Pierwszy dzień na stanowisku naczelnika Wydziału Polskiego minął jak jedna chwila, ale był tak intensywny, że Siemionow czuł się teraz, jakby cały jego system nerwowy przegrzał się i zgasł. Nowy zastępca, major Jewgienij Malinowski, zreferował mu stan aktywów wydziału i Siemionow nie mógł ukryć, że jest pod wrażeniem. Musiał szczerze przyznać, że Popowski był wyjątkowym oficerem wywiadu, znacznie lepszym, niż wcześniej przypuszczał.

Siedział teraz na ulicy Durowa w fotelu przykrytym narzutą zrobioną przez matkę i patrzył tępo w ścianę. Próbował uruchomić myślenie, nie uciekając się do pomocy wódki.

Raz po raz zadawał sobie te same pytania i wciąż tak samo na nie odpowiadał. A kiedy próbował określić swój aktualny stan, tylko jedno słowo przychodziło mu do głowy – bezsilność.

Na pytanie: „Dlaczego mianowano mnie naczelnikiem Wydziału Polskiego?”, odpowiadał: „Nie wiem”. A na kolejne: „Co mam teraz robić?” – „Nic”. U kogoś takiego jak Siemionow powodowało to zamęt w głowie. Przez chwilę miał nawet obawy, że popada w nerwicę natręctw, a niczego tak się nie obawiał jak utraty samokontroli. Wstał więc i poszedł do kuchni, otworzył lodówkę, wyjął zieloną butelkę i pociągnął potężny łyk koniaku. Zakręcił, odstawił na miejsce, zamknął lodówkę i oparł się rękami i głową o drzwi. Czekał, aż koniak zadziała.

Miał słabą odporność na alkohol i nie potrzebował dużej dawki, by poczuć kopa, ale od wizyty Popowskiego zwiększył częstotliwość

spożycia. Po chwili koniak spełnił zadanie, więc Siemionow mógł wrócić na fotel i zacząć myśleć.

W Jaseniewie jest tylu świetnych oficerów mających doskonałe rozeznanie w sprawach europejskich, polskich, niemieckich, więc dlaczego ja, specjalista od Korei? Dlaczego właśnie ja? I wraz z napływem ciepłej krwi do mózgu Siemionow niespodziewanie po raz pierwszy zrozumiał istotę owej tajemnicy, jej banalną i nadzwyczajną prostotę, której nie potrafił dostrzec przerażony dotychczasowym obrotem spraw. Poczul się pewniej.

– Właśnie dlatego, że to ja! – odpowiedział sobie na głos i na znak triumfu uniósł palec wskazujący.

Z tego samego powodu – pomyślał – dla którego Popowski wybrał sobie mnie na pomocnika, a mój dom na miejsce schronienia. I nie pomylił się, bo szukali go wszędzie, tylko nie u mnie. Popowski wiedział, co robi, bo to wyjątkowo przebiegły oficer, ale generał Łopatin przecież też lis wyborny. Z tych samych powodów wybrali mnie na naczelnika Wydziału Polskiego, bo uważają, że nie mam nic wspólnego z Miszą ani jego ludźmi. Ale przecież w każdym wywiadzie najbardziej podejrzani są ci najmniej winni. Czyżby Krugłow i spółka byli aż tak naiwni? Przecież po krótkiej reedukacji najbliżsi przyjaciele stają się największymi wrogami i są najefektywniejszymi sojusznikami nowych szefów. Na miejscu Łopatina kogoś takiego jak ja wziąłbym pierwszego pod lupę.

– Coś za cichy ten Siemionow, bladź jedna – powiedział, naśladując głos generała i jak szuler mrużąc jedno oko. – Podejrzana sobaka! Nooo... Wania!

To co się za tym kryje? Nooo... co? Przecież ja pasuję do tego wydziału jak nos do dupy, czyli coś jest grane. Jak można zrobić w jeden dzień naczelnikiem Wydziału Polskiego specjalistę od Korei i dać go do obsługi sześciu tęgich agentów w jakimś europejskim kraju, który istnieje dla niego tylko teoretycznie? Towarzyszu Siemionow, jesteś pionkiem w ważnej rozgrywce.

Tak gwałtownie poderwał się z fotela, że aż zaczepił guzikiem o kordonkową narzutę, i nie zważając na ciągnący się za nim welon,

pobiegł do kuchni. Otworzył lodówkę, wypił, zamknął i usiadł na krzeselku.

To gra generała Łopatina... – pomyślał z mocnym przekonaniem, że tak właśnie jest, ale bez cienia satysfakcji z tego odkrycia – czyli GRU, bo nie tego dzieciinniałego półgłówka Krugłowa... Wania... to gra, w której stawką jest twoje życie.

Westchnął głęboko i pomyślał, że może nie powinien był pić tyle koniaku.

24

Premier Bańkowski niczego nie nienawdził bardziej niż dzwonek telefonu po dwudziestej drugiej, a najbardziej kiedy na wyświetlaczu pojawiał się napis „Szef AW” lub „ABW”. Przez tyle lat robił wszystko, by służby specjalne siedziały cicho i nie stwarzały problemów. Nie chciał o nich stale myśleć, bo to przeszkadzało mu spokojnie budować własną karierę i siłę partii, ale politycznym nosem czuł, że jakaś katastrofa jest tylko kwestią czasu.

Kiedy więc o dwudziestej trzeciej zadzwonił kodowany telefon i wyświetlił się napis „Szef AW”, Bańkowski był pewny, że już wie, w jakiej sprawie dzwoni. W ostatnich latach nikt nie przysparzał mu swymi sukcesami tylu zmartwień co Konrad Wolski i jego Wydział „Q”, który w końcu udało mu się rozwiązać. I miał nadzieję, że do początku gorącego lata i jesieni już nic strasznego w polityce się nie stanie, ale teraz poczuł prawdziwy niepokój.

Przez chwilę pomyślał, że może lepiej przełożyć wizytę generała na następny dzień, ale – jak zdążył wyczuć po jego głosie – i tak miałby nieprzespaną noc.

Nie minęło piętnaście minut, a borowik wprowadził gościa do pozbawionego stylu i smaku obszernego salonu w dużej willi na Ochocie.

– Co się stało, panie generale? – zapytał z nutką skrywanego lęku premier ubrany w sprany zielony T-shirt z napisem „Legia” i spodnie od dresu.

– Niech pan to najpierw przeczyta, panie premierze, a potem

porozmawiamy – odparł Apple Tea i otworzył zamek szyfrowy w czarnej teczce.

– Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję... może potem...

– Co to jest? – zapytał Bańkowski, biorąc od generała niebieską teczkę.

– Notatka służbowa Wolskiego i Korskiej...

– I nie mogła poczekać do jutra? – Premier udawał nikłe zainteresowanie sprawą, ale na dźwięk tych nazwisk zrobiło mu się ciepło i wypuścił dyskretnie powietrze.

– Raczej nie mogła poczekać. Za chwilę sam pan zrozumie dlaczego.

Gospodarz usiadł w głębokim fotelu klubowym, czemu towarzyszył chrząst starej skóry, i włączył zwisającą nad głową zieloną lampkę. Otworzył teczkę i zaczął czytać.

Generał wciąż stał posłusznie pod kryształowym żyrandolem, więc premier, nawet nie podnosząc wzroku, z wyraźną nonszalancją machnął ręką i wskazał mu fotel, zupełnie jakby pokazywał miejsce swojemu psu. Dokładnie tak miało to wyglądać i generał też tak to odebrał.

Bańkowski dobrze wiedział, co znajdzie w tej notatce, więc nie mógł się powstrzymać, by nie dać generałowi odczuć swojej wściekłości, i to nie tylko jako posłańcowi przynoszącemu złe wiadomości, ale też jako człowiekowi, który tyle razy obiecywał mu spokój na Miłobędzkiej i nawalił w najważniejszym momencie. Wkrótce miał ustąpić prezydent.

Apple Tea był wielką pomyłką Bańkowskiego i mimo że było już zbyt późno, by go wymienić, to jednak zawsze mógł rzucić generała na pożarcie i zminimalizować straty. Trupy są bardzo pożyteczne w polityce – uważał premier i skutecznie stosował tę zasadę w praktyce.

Tymczasem generał ze zmartwioną miną, ale i z rozbawieniem w sercu obserwował, jak z każdą minutą twarz Bańkowskiego zmienia wyraz i nabiera coraz głębszej purpury. I tak jak

przypuszczał: gdy premier skończył czytać, natychmiast zaczął ponownie, od pierwszej strony.

W końcu zamknął teczkę i rzucił ją na stół. Purpura odpłynęła z jego smutnej twarzy. Patrzył przed siebie wodnistymi oczami bez wyrazu, tylko mięśnie szczęk pracowały intensywnie, regularnie się unosząc i opadając. Tak premier Bańkowski okazywał wściekłość, ale generał nie znał go zbyt dobrze i o tym nie wiedział, chociaż kiedy do niego zadzwonił, liczył, że tak właśnie będzie. Tak czy inaczej miał Bańkowskiego w garści, a to było najważniejsze. Zawsze o tym marzył. Wprawdzie nie było to wynikiem jego sprytnych działań, lecz stało się za sprawą przypadku, jednak najbardziej liczył się wynik końcowy. Ważne teraz, by tego nie spieprzyć – pomyślał.

– I co pan na to? – odezwał się premier. – Napijemy się koniaku?

– Wolałbym herbatę...

– W takiej chwili? – Bańkowski podniósł się z fotela. – Niech pan nie będzie cipą i w końcu napije się czegoś męskiego. Nie zaszkodzi panu, na pewno nie dzisiaj. Nie skoczyło panu jeszcze ciśnienie?

– No to poproszę ten koniak.

– Co pan na to? – powtórzył premier, nalewając potężne dawki alkoholu. – Nie wydaje się panu to wszystko mocno podejrzane? Pan ufa temu Wolskiemu? Korska miała przecież sprawę o niedopełnienie obowiązków.

– Wie pan, panie premierze, różnie można do tego podejść – odparł generał, odbierając kieliszek. – Wszystko zależy...

– Jest pan podobno fachowcem w tych sprawach – wtrącił kąśliwie premier.

– Ja bym tego nie bagatelizował.

– No to mi pan pomógł. Wie pan... – Bańkowski zamyślił się na moment. – Coś mi się zdaje, że Wolski próbuje nas wkręcać. Wcale bym się nie dziwił, gdyby wszedł w jakiś układ z opozycją i próbował wsadzić nas na minę. Właściwie to wydaje mi się to nawet bardzo prawdopodobne. Zbliżają się ważne wydarzenia w Polsce, a takich sześciu agentów może przetasować całą politykę.

– Premier jakby mówił do siebie, bo Apple Tea nijak się miał do polityki. – To byłoby tsunami połączone z Wezuwiuszem, czyli Pompeje w Warszawie gotowe.

– To może jednak zadzwonię do dyrektora CIA, albo MI6 – zasugerował SzeF. – Niech zapewnią Popowskiemu ten program ochronny i wtedy się dowiemy, kim są ci agenci. ABW ich zneutralizuje na jakiś czas, a potem się zobaczy.

– Muszę się zastanowić. Niech mi pan zostawi ten dokument...

– To niemożliwe, panie premierze – zaprotestował SzeF. – To wbrew przepisom, kopii też nie można robić.

– Co mi pan tu smędzi o jakichś przepisach – oburzył się Bańkowski. – Ten gnojek Wolski chce rozpiardolić porządek polityczny w kraju, być może na zlecenie rosyjskiego wywiadu, a pan mi tu wyjeżdża z przepisami! W takim razie zatrzymuję tę notatkę. – Wyjął dokument z teczki i spojrział na pierwszą stronę. – „Egzemplarz pojedynczy” – odczytał. – I bardzo dobrze! Proszę się jutro rano skontaktować z ABW i prokuraturą i ustalić warunki aresztowania Wolskiego i Korskiej. Już oni wyciągną z nich prawdę.

– Ależ, panie premierze, tylko Wolski ma kontakt z Popowskim. To jest w jego notatce. – SzeF wyglądał na mocno poruszonego. Odstawił koniak. – Może lepiej poczekać te parę dni, skontaktować się z partnerami, w końcu Wolski i Korska są pod stałą obserwacją ABW. A poza tym pod jakim zarzutem mamy ich zatrzymać?

– Jak to jakim?! Nadużyć! Sam mnie pan o tym informował. Niech pan nie robi ze mnie idioty! – Premier podniósł głos.

– Ale zanim skierujemy sprawę do prokuratury, musimy zakończyć postępowanie dyscyplinarne. Sam pan wydał takie zalecenia. Bez wyjaśnień podejrzanych komisja nie może zakończyć procesu i do tego potrzebna jest nam ta notatka. Panie premierze, w takim razie dostarczymy panu jutro rano poświadczoną kopię...

– Nie! – zdecydowanie przerwał rozmówcy Bańkowski. – Nie będzie robiona żadna kopia, a notatka zostaje u mnie. Nie jest panu potrzebna, bo nie jej treść jest w tej chwili istotna, lecz przestępstwa popełnione przez Wolskiego i Korską. – Jego dłoń spoczęła na

teczce. – To zbyt poważna sprawa, by decydowali o niej jacyś frajerzy. Niech komisja dyscyplinarna AW jak najszybciej zakończy pracę i przekażcie sprawę do prokuratury. ABW do tego czasu musi mieć tych dwoje na oku. A potem spuścimy ich jak gówieńko w kiblu. Tymczasem dziękuję panu – zakończył premier i podniósł się, odstawiając pusty kieliszek.

To był koniec spotkania.

Szef wstał, chciał coś jeszcze powiedzieć, nawet już otworzył usta, ale poczuł się jak zdeptana marionetka, którą można wyrzucić do śmieci, więc pokornie skinął głową i ruszył do wyjścia.

Pożałował tylu lat wiernej służby. Chociaż niejednym razem na życzenie Pałacu robił coś wbrew prawu i etyce, to dziś premier sprowadził go do roli łyżki do butów, a to troszeczkę za dużo, jak ocenił zawsze ostrożny Apple Tea. Najgorsze jednak było to, że nie miał praktycznie żadnego pola manewru. Mógł tylko kiwać pokornie głową i dalej brnąć w to, co sam stworzył.

Kierowca gnał na sygnale przez deszczową nocną Warszawę, a Szef na tylnym siedzeniu zastanawiał się, jak wybrnąć z sytuacji, w której niespodziewanie postawił go Bańkowski, jak zminimalizować straty, a może nawet coś na tym ugrać.

Najlepszym rozwiązaniem byłoby spełnić życzenie premiera i wsadzić Wolskiego do pudła, a odpowiedzialność zrzucić na podwładnych. Belik i Klocek Lego nadawali się do tego idealnie, można było nawet powiedzieć, że byli przez lata wprost hodowani na taką okazję. To prosta i sprawdzona metoda, w końcu z każdego można zrobić łyżkę do butów, tylko trzeba się trochę wysilić – pomyślał z nutką nadziei. Jednak determinacja, z jaką Bańkowski dążył do szybkiego aresztowania Konrada i Sary, była co najmniej zastanawiająca, a nawet nielogiczna. Ostatecznie Szef uznał, że nie będzie się spieszył z realizacją tego pomysłu.

Sytuacja jest zbyt dynamiczna, a premier w coś gra. Najwyraźniej chodzi mu przede wszystkim o Wolskiego, bo o Popowskim nie wspomniał, a o sześciu agentach nawet się nie zająknął.

Z każdej sytuacji zawsze jest jakieś dodatkowe wyjście –

przypomniawszy sobie starą prawdę. Wprawdzie wymaga ono charakteru i jest mocno ryzykowne, jak zawsze, kiedy stawia się wszystko na jedną kartę, lecz może nadszedł właśnie czas, by z niego skorzystać.

Od razu poczuł się lepiej. W końcu nikt nie jest zdrajcą, dopóki nie zdradzi – pomyślał i uśmiechnął się do swojego odbicia w mokrej szybie.

Wyciągnął telefon i wybrał numer. Zakrył dłonią usta, by kierowca nie słyszał, co mówi, i gdy tylko w słuchawce odezwał się znajomy męski głos, zapytał:

– Zrobiłeś kopię tej notatki?

25

– Nieoceniony, kochany Kurt – powtarzała Harriet za każdym razem, gdy odwiedzała Hasana.

Dzięki wstawiennictwu i kontaktom Lövenströma Hasan Mardan został przyjęty do szpitala Karolinska w Sztokholmie i objęty dyskretną opieką na oddziale psychiatrycznym. Dodatkową dyskrecję, a właściwie ochronę przed dziennikarzami, zapewniali mu tajniacy z Säpo.

Harriet wolałaby zatrzymać go w domu, ale okazało się, że jest z nim gorzej, niż wcześniej przypuszczała. O ile sprawność fizyczną odzyskiwał dość szybko, o tyle jego stan psychiczny budził coraz większy niepokój. Nasilały się stany depresyjne i pogłębiały skłonności samobójcze. Najgorsze było jednak to, że Hasan odmawiał współpracy z lekarzami, kłamał i najwyraźniej coś ukrywał. Minał jednak dopiero tydzień od jego powrotu i było zbyt wcześnie, by cokolwiek wyrokować – pocieszali Harriet lekarze.

Dni dzieliła na wizyty w szpitalu, gdzie spędzała większość czasu, i ciągnące się godzinami przesłuchania w prokuraturze, nastawione wyraźnie na to, by umęczyć ją psychicznie. Harriet nie miała wątpliwości, że Wallin, Gustavsson i premier chcą wyrzucić na nią presję, by w zamian za spokój powstrzymała się wraz z Hasanem i Antonem od upublicznienia irańskiej afery, przynajmniej do wyborów.

Harriet wcale nie miała zamiaru pisać książki o swoich przeżyciach, biegać do telewizji ani organizować konferencji

prasowych. Była już tak wyczerpana, że marzyła tylko o powrocie Hasana do zdrowia i wyjeździe w jakieś odludne miejsce.

Premier jednak o tym nie wiedział i zgodnie ze swoimi zasadami podejrzewał ją o dwulicowość, tym bardziej niebezpieczną, że wzmocnioną przez osobistą nienawiść. Z samą Harriet Berghen dałby sobie łatwo radę, ale najgorsze było to, że powstała grupa, której przewodził Kurt Lövenström, a tego nie mógł już bagatelizować. Zwłaszcza że Wallin i Gustavsson, którzy znali Kurta od lat i wiedzieli, jak groźnym jest przeciwnikiem, od początku przed nim ostrzegali. Sam fakt, że na lotnisku rzucił na szalę gubernatorstwo swojej ukochanej Gotlandii, może świadczyć, że ma jakieś większe ambicje. I właśnie te niejasne ambicje Lövenströma spędzały premierowi sen z powiek. Bo gdyby dotyczyły polityki, to podbudowane aferą irańską i wsparte przez oficerów służb mogłyby mu dać potężną siłę uderzeniową. Dlatego trzymanie Harriet w stanie permanentnego stresu było może nie najlepszym, ale jedynym sposobem neutralizacji grupy Lövenströma, przynajmniej na jakiś czas, dopóki nie znajdzie się inny sposób na zbuntowanego starego Kurta.

Linda Lund po śmierci Olafa nie doszła do siebie i cały czas była na zwolnieniu. Lekarze stwierdzili u niej początki cyklofrenii, ale ona uważała, że to jakieś brednie. Wprawdzie uczciwie przyjmowała co rano leki i chodziła regularnie na badania, jednak nie wierzyła w ich celowość. Twierdziła, że czuje się dobrze, chociaż gołym okiem było widać, że tak nie jest. Była zaniedbana, rozkojarzona, konfliktowa i płaczliwa. Po jednej z najpiękniejszych kobiet w Säpo pozostało ledwo wspomnienie i tylko nieliczni pamiętali, że była podobna do Sissel Kyrkjebø.

Powrót Hasana i Antona był dla niej kolejnym ogromnym przeżyciem i dodatkowo pogłębił jej problemy psychiczne. Początkowo nie mogła uwierzyć, że Harriet zdobyła się na tak szaleńczy czyn, ale kiedy na lotnisku zobaczyła ją, jak trzyma za rękę sponiewieranego Hasana, zrozumiała, że bardzo się myliła w jej ocenie. I do bolesnego pakietu depresji dołączył kolejny stres.

Zobaczyła kobietę, którą dotąd lekceważyła, uważając, że nie jest na tyle dojrzała, by mogła kochać Hasana prawdziwą miłością, taką, do jakiej prawo miała wyłącznie ona. Była więcej niż pewna, że na świecie nie ma kobiety, która kochałaby kogoś bardziej niż ona Olafa. W jeden wieczór wszystko legło w gruzach. Obdarzyła miłością człowieka, którego w rzeczywistości nie było, więc nie mogła nic zrobić, bo nie miała czego ratować. A Harriet? Wydawało się, że jest w beznadziejnej sytuacji, a jednak, powodowana miłością, potrafiła uratować kochanego mężczyznę. I nie była to opowiadka z harlequina. Przeciwnie – Linda czuła, że ta najpiękniejsza historia miłosna, jakiej była świadkiem, a nawet niemal aktorem, uwalnia ją od wściekłości na Olafa, człowieka, który zabił w niej kobietę. Czuła, że nie potrafiłaby już pokochać żadnego mężczyzny, dlatego postanowiła zaczerpnąć troszeczkę ciepła z miłości Harriet i Hasana i ogrzać nim swoją sponiewieraną duszę.

Była niedziela wieczorem, koniec marca, kiedy Linda siedziała w szlafroku na kanapie w nowo wynajętym mieszkaniu w Sundbybergu i próbowała się skupić na kolejnym odcinku *Becka*, który właśnie leciał w telewizji. Kiedyś bardzo lubiła Petera Habera w roli inspektora Martina Becka, ale teraz wyraźnie ją drażnił. Mimo to próbowała zmusić się do oglądania, traktując je jako formę terapii, i odszukać w tej postaci cechy, które kiedyś ceniła i lubiła.

Telefon trzymała w kuchni, bo sama świadomość, że jest gdzieś w pobliżu, już ją denerwowała, ale ponieważ zadzwonił po raz drugi z rzędu, zdecydowała się sprawdzić. Odbierała tylko telefony od znajomych, a i to nie wszystkich, jednak tym razem wyświetlił się obcy numer.

Kiedy dzwonek zamilkł, niemal natychmiast przyszedł SMS po angielsku: „Lindo, zadzwoń, to bardzo pilne!!!”. Żadnego podpisu, numer szwedzki. Ktoś, kto ją zna? Zawahała się, ale w końcu nacisnęła Oddzwoń.

- Hej! – odezwał się męski głos.
- Hej! – odparła niepewnie. – Z kim mam przyjemność?
- Przyjaciel zza miedzy i kolega po fachu.

– Nie bardzo... rozumiem... – Linda była zaskoczona, ale wydawało jej się, że zna ten głos, i po chwili zrozumiała, że to telefoniczna grypsera. – Midsommar na promie? – zapytała już prawie pewna.

– W rzeczy samej – odparł Konrad.

– Witaj! – Rozpogodziła się, ale nie wymieniła jego imienia, bo od razu zrozumiała, że to rozmowa operacyjna. – Co tu robisz?

– Możemy się spotkać?

– Jasne... – odpowiedziała, ale nie była pewna, czy tego chce, bo podejrzewała, że Konrad liczy na szybkie spotkanie. – To... czy ja wiem... może wpadnij do mnie. Już nie mieszkam na Söder...

– Nie podawaj adresu – przerwał jej Konrad. – Gdzie mam podjechać? Jakiś punkt...

– Okay, rozumiem. Stacja metra Duvbo.

– Dam znać, jak się będę zbliżał.

Wyłączył się.

Linda stała jeszcze przez chwilę z telefonem w dłoni i zastanawiała się, czy to zdarzyło się naprawdę, bo rozmowa trwała tak krótko. Konrad niespodziewanie w Sztokholmie? Grypsuje przez telefon? Od razu przyszło jej do głowy, że musiało się stać coś nadzwyczajnego, niezwykłego. Konrad ma pewnie kłopoty i z całą pewnością nie działa oficjalnie, skoro koduje rozmowę w Szwecji, zjawia się bez zapowiedzi i konspiruje miejsce spotkania.

Odłożyła telefon i wyciągnęła przed siebie ręce. Zamknęła oczy. Stała tak przez minutę, odliczając w myślach, po czym uniosła powieki i spojrzała na dłonie.

Nie drżą – stwierdziła. Ciekawe, a powinnam się przecież zdenerwować.

Przejrzała się uważnie w starym gustawiańskim lustrze, które wisiało w przedpokoju, i zobaczyła rozczochraną kobietę o podsiniątych oczach, w spranym szlafroku frotté. Poszarzałe, wytarte lustro i słabe światło jeszcze ten efekt wzmacniały.

Nagle uzmysłowiła sobie nie bez przyjemności, że przecież Konrad zawsze się jej podobał i czasami nawet wydawało się, że

wysłała do niej sygnały. Od razu pomyślała, że powinna się szybko ogarnąć, jeżeli ma się z nim spotkać, a może nawet zaprosić do siebie. Byłby pierwszym mężczyzną w jej nowym mieszkaniu, bo Gunnara oczywiście nie liczyła. Przystojny Polak, oficer wywiadu, zupełnie oderwany od tego koszmaru. Pewnie nawet nie wie, co tu się stało.

Na myśl o mężczyźnie poczuła, jak ciepła fala przepłynęła przez jej ciało. Rozejrzała się szybko i uznała, że powinna jeszcze zdążyć posprzątać mieszkanie.

Minęła doba, odkąd Konrad i Sara złożyli, a właściwie rzucili na biurko Belika swoją notatkę służbową. I jak się spodziewali, od tej chwili wszystko wokół nich jakby zamarło. Zamilkły telefony, żadnych pytań, wezwań na rozmowę. Wydawało się, że polityczna warszawka nagle struchlała z przerażenia.

I tak miało być. Doskonale zdawali sobie sprawę, jakie wrażenie musiała zrobić ta notatka na każdym, kto wziął ją do rąk. A listę odbiorców mogli z góry ustalić. Jedno było pewne: każdy zastanawiał się nad tym, co ta sprawa oznacza dla niego, co dla jego wrogów i jak to właściwie wykorzystać. Takie myśli, by dojrzały, potrzebują czasu i spokoju. I taki właśnie efekt miała wywołać ta notatka, bo nim dojdzie do atomowej erupcji, zawsze wcześniej musi nastąpić implozja i Konrad jako stary szpieg dobrze o tym wiedział. Najważniejsze, że implozja dawała im czas, którego mieli teraz najmniej, a którego potrzebowali najbardziej.

Tym razem zebrali się w mieszkaniu Witka i Eli na Ursynowie. Atmosfera była jak za studenckich czasów w akademiku na Żwirkach. Brakowało tylko butelek po piwie i siwego dymu z papierosów. Trzydziestodwumetrowe mieszkanie oferowało miejsca siedzące jedynie dla trzech osób, reszta musiała się zadowolić wąskim tapczanem lub podłogą. Tylko Lutek nie potrzebował miejsca siedzącego, bo jak zawsze stał przy oknie.

– Wy na tym śpicie? – zapytała Sara, spoglądając na tapczan, gdy tylko weszła do pokoju.

– Tak, a co? – odparła Ela.

– Nie ciasno wam?

– Nie, a dlaczego?

– No, chyba że tak – zakończyła szybko Sara, zawstydzona własną arogancją.

Spotkanie trwało ponad trzy godziny. Konrad, Sara i Ewa siedzieli na krzeselkach. Mirek i Irek na podłodze w kącie, wymieniając się w podnieceniu jakimiś zdjęciami, jakby nic innego ich nie obchodziło, aż Sara musiała zwrócić im uwagę, którą jak zawsze skwitowali wzruszeniem ramion. Ela, Witek i Marcin ścisnęli się jakoś na tapczanie, a Lutek pozostał na swoim miejscu.

– Jeszcze tylko jutro będziemy z Sarą bez obserwacji. – Konrad rozpoczął podsumowanie spotkania. – Czyli w takich warunkach już się wszyscy razem nie spotkamy. Jeśli betka namierzy nas teraz, to możemy zapomnieć o całym przedsięwzięciu. Jednym słowem, każdy z was, wychodząc stąd, nie tylko musi wiedzieć wszystko o swojej roli, ale też musi mieć obraz całości, rozumieć jej sens i cele, czyli tak jak zawsze. – Powtarzał to po raz trzeci tego wieczoru, lecz teraz z większym patosem niż zwykle.

Znali go dobrze i wiedzieli, że robi to w szczerym poczuciu oddania zespołowi, nawet jeśli odrobinę ich przy tym śmieszy. Konrad nie był trybunem, był ich niezawodnym dowódcą. Czasem przygryzał wargę, ale mylił się rzadko. I to im wystarczało.

– Przypominam, że w każdej naszej operacji najważniejsza jest łączność.

– Widać to w każdym holiłudzkim krapie... najpierw przestają działać telefony komórkowe, a dopiero potem zaczyna się horror – odezwał się Marcin i rozejrzał wokół, ale tylko M-Irek uśmiechnęli się porozumiewawczo. – Ludzie! Więcej luzu – dodał i zamilkł rozczarowany brakiem właściwej reakcji.

– Ale jeśli daliśmy sobie radę w Iranie, to damy i teraz – ciągnął Konrad. – Myle się? – rzucił do M-Irka. – Paszport Ewy gotowy?

– Gotowy – odparł Irek. – Pamiętajmy, że łączność opieramy na zwykłej telefonii komórkowej. Innego sposobu nie ma.

– Jeśli Rosjanie zaangażują odpowiednie siły i środki, a jest to prawdopodobne, to ich satelity będą skanować sygnały komórkowe w rejonach zainteresowania – wtrącił Mirek.

– Ustawią algorytm tak, że wyłowią wszystko, co im będzie potrzebne, i to bardzo szybko. Zidentyfikowanie naszego trójkąta Moskwa–Helsinki–Warszawa nie będzie dla nich trudne. Mamy tylko trzy sposoby obrony. Pierwszy to prosty język kodów i metafor, tak enigmatyczny i ogólny, jak to tylko możliwe. Rozpracowanie zajmuje zawsze trochę czasu i rzadko daje jednoznaczną odpowiedź.

Irek spojrział na Mirka, który przejął wykład.

– Drugi to częsta zmiana miejsca pobytu i wyjmowanie karty z telefonu. Czyli tak jak mówiliśmy, karty są aktywne tylko przez piętnaście minut, do każdej pełnej godziny, i najlepiej, gdy telefon za każdym razem loguje się w innym miejscu, oddalonym od poprzedniego. Między dwudziestą trzecią a szóstą rano zakładamy martwą kartę. A trzeci to używać łączności jak najrzadziej, mówić dobrze przemyślanym szyfrem i pamiętać o dwóch poprzednich sposobach.

– Przypominam zatem, że łączność komórkową traktujemy jako rozwiązanie awaryjne, nawet ostateczne – włączyła się Sara. – Jeżeli wszystko będzie szło tak, jak zaplanowaliśmy, to konieczność łączności będzie zminimalizowana, więc bezpieczeństwo operacji wzrośnie. Czyli tak jak zawsze: prostota, dyscyplina, zimna krew i pomysłowość są wprost proporcjonalne do naszego bezpieczeństwa i powodzenia akcji. Powtarzanie schematów to śmierć.

– Wszystko ma szansę się udać – ciągnął Konrad. – Tym razem ratujemy tylko Polskę.

Przerwał, nieco zawstydzony swoim koturnowym patriotyzmem. Nigdy mu to nie wychodziło, ale nie mógł się wyzbyć tego nawyku. Rozejrzał się wokół i jak zawsze zobaczył, że uśmiecha się tylko Marcin. Reszta spokojnie czekała na dalsze słowa dowódcy.

– Tym razem, szefie, trafiłeś w dziesiątkę – odezwał się niespodziewanie Lutek i oczy wszystkich zwróciły się na niego. – Wiemy, o co w tej sprawie chodzi, nawet o tym, o czym nam nie

powiedziałaś, żeby nie drażnić naszego ego i poczucia smaku, ale dziś akurat te proste słowa odpowiadają dokładnie temu, co czujemy. – Mówił cicho, wciąż patrząc w okno. Wyglądał naturalnie jak zwykle, może tylko trochę dramatyczniej. – Dlatego wchodzimy w to i... damy z siebie wszystko – zakończył nieco głośniej i mogło się wydawać, że występuje w imieniu całego zespołu.

Zaległa długa cisza, jakby każdy z nich bał się odezwać, by jednym nieodpowiednim słowem nie zniszczyć pięknej w swojej prostocie oracji Lutka.

– Skończył grać, a oklaskom nie było początku – pierwszy przerwał milczenie Marcin i pomieszczenie wypełnił gromki śmiech. – To może... *na pososzok*? Szefie, w końcu zaczynamy akcję o kryptonimie „Widmo”, najważniejszą w życiu naszym i Jamesa Bonda. Helsinki, Moskwa i Warszawa... to jest dzisiaj nasza sprawa.

– Słaby ten bon mot i oklepany, Marcinku. Ale tobie darujemy – skomentował Konrad. – Wprawdzie nigdy nie piliśmy przed, bo to źle wróży, ale może dziś... W końcu pierwszy raz idziemy naprawdę pod prąd.

– Nie jesteśmy przesądni i właśnie dlatego powinniśmy teraz wypić, żeby złamać to bzdurne tabu, które nie będzie nam już chyba nigdy potrzebne – wtrąciła się Sara, puszczając dym z e-papierosa. – Kto jest przeciw? Nikt? No... to dawajcie tego szampana – zarządziła.

Od dwóch dni nieprzerwanie lało i nie był to zwykły deszcz, jaki o tej porze roku pada w Helsinkach. Marzec i kwiecień to czas śniegolododeszczu, jak mówią tamtejsi mieszkańcy. Tymczasem ten był wyjątkowo gęsty: krople, duże i ciężkie, uderzały pionowo w ziemię z takim impetem, jakby chciały ją rozbić, i gdyby nie był taki zimny, można by powiedzieć, że to deszcz tropikalny.

Przyzwyczajeni do surowego klimatu, zdrowego trybu życia i zimnego chowu Finowie zwykle z obojętnością odnoszą się do takiego prozaicznego zjawiska jak deszcz i wydają się go nie dostrzegać. Dlatego wybór parasoli w Stockmannie jest niewielki, a te, które są dostępne, kupują głównie turyści i imigranci. Chodzenie pod parasolem uznawane jest w Finlandii za objaw słabości, ba, wręcz mazgajstwa, na pewno za oznakę niskiej kultury, a w oczach niektórych mężczyzn uchodzi nawet za dowód na brak patriotyzmu. No bo jak wygląda gość, któremu wiatr co chwila wyłamuje rękę z parasolem i szarpie nią na wszystkie strony? Tu człowiek musi być mocniejszy niż przyroda. To sens trwania Finów.

W Finlandii tolerowano natomiast płaszcze przeciwdeszczowe, mimo to w te dwa dni ulice były niemal puste. Jedyne na placu Senackim przesuwały się w zwartych grupach skulone, odziane w identyczne jaskrawożółte pelerynki grupki japońskich turystów, którzy na kilka godzin zeszli z promów krążących między Sztokholmem, Helsinkami i Tallinem.

Jagan kupił sobie i Rudolfowi zieloną nieprzemakalną pelerynę

z kapturem i płyn do impregnacji butów. Przez dwa dni schodził wzdłuż i wszerz niemal całe opustoszałe i zatopione w strugach wody Helsinki i był pewny, że mógłby spróbować je przejść z zamkniętymi oczami. Układ miasta, rodzaj zabudowy, punkty orientacyjne, zaułki, parki, linie wybrzeża – wszystko rejestrował automatycznie w pamięci z dokładnością większą niż na mapach Google, choć w gruncie rzeczy nie wiedział po co, bo nie miał zamiaru kiedykolwiek wracać do Helsinek. Wprawdzie bardzo podobał mu się tutejszy deszcz, ale miasto i ludzie już nie. Jagan w ogóle nie lubił miast.

Po zakończeniu akcji na wyspie Kulosaari przenieśli się ze względów bezpieczeństwa na zachód do Espoo, należącego do stołecznego zespołu miejskiego, i zamieszkali w czterogwiazdkowym hotelu Sokos w dzielnicy Tapiola, nazwanej tak na cześć fińskiego boga lasu.

Wysłali szczegółowy raport i już dwa dni czekali na instrukcję dalszego działania, bez której nie mogli ruszyć z miejsca. Dzięki tej ulewie mogło być wspaniale, ale milczenie Moskwy było podejrzane i denerwujące. Jagan doskonale wiedział, że umiejętność czekania i cierpliwość to fundament psychiki żołnierza specnazu, i dlatego z niepokojem obserwował Rudolfa, który to wykazywał nadpobudliwość, to znów popadał w apatię, a na dodatek obficie się pocił. Jagan nie do końca rozumiał, co się dzieje, i zaczynał mieć wątpliwości, czy to rzeczywiście jest malaria, jak go przekonywał Rudolf. Tak czy inaczej stan zdrowia Doronina wyraźnie się pogorszył, a to budziło coraz większe obawy o powodzenie misji.

Podczas akcji Jagan nie lubił się denerwować jakimiś głupotami czy innymi duperelami, bo psuły mu porządek rzeczy, i czasami miewał z tego powodu bóle głowy, co dodatkowo go irytowało. Nie wiedział, jak ma się zachowywać, co robić – po raz pierwszy na ostrej robocie miał chorego partnera. Gdyby Doronin został ranny w walce, sprawa byłaby jasna: życie towarzysza broni zawsze jest najważniejsze i trzeba się nim zająć, zaopiekować. Ale malaria? Ani to rana, ani dezercja. Takie nie wiadomo co... I dlatego Jagan chodził

w pelerynie po mieście, zachłystując się deszczem, byle tylko nie myśleć o Rudolffie, który w tym czasie leżał w pokoju hotelowym jak baba na piecu, a nie jak oficer wywiadu rosyjskiego, który ma misję za granicą.

A wyglądał na takiego tęgiego czekistę! – myślał Jagan.

Chodził po zaułkach Helsinek w deszczu i próbował tłumić w sobie coraz bardziej natrętne myśli, by pozbyć się uciążliwego Rudolffa. Zaczął już nawet planować, jak najlepiej to zrobić, ale kiedy sobie uzmysłowił, że tylko kapitan potrafi obsłużyć „zestaw pierwszej pomocy”, pomysł usunięcia go z zespołu stracił sens. Popowski był jednak najważniejszy.

Dochodziła dwudziesta druga i Jagan od godziny szukał sklepu, gdzie mógłby kupić wódkę. Uważał, że to najlepszy sposób, by podleczyć Rudolffa, ale nigdzie nie mógł znaleźć nic oprócz piwa. W końcu łamaną angielszczyzną zapytał dwóch przechodniów o jakiś sklep z alkoholem, ale nic nie rozumiał z ich zawiłego tłumaczenia i głupiego stukania palcem w zegarek albo w czoło. W końcu zrezygnował, bo przypomniał sobie, że mają przecież dobrze zaopatrzone minibary w pokoju.

– Jak się czujesz? – zapytał gromkim głosem, ściągając przez głowę deszczowiec. – Żyjesz, *komandir*? Przyszło coś z Moskwy?

Doronin leżał nieruchomo tyłem do drzwi. Jagan obszedł go z drugiej strony i zobaczył, że śpi.

Bładź – pomyślał z niepokojem – musi być z nim bardzo źle, skoro dał się tak zaskoczyć.

– Ech... *komandir*! – Szarpnął go za ramię. – Obudź się!

Doronin powoli otworzył oczy, po chwili zamknął i znów otworzył, bezmyślnie patrząc na chorążego. Nie był spocony i Jagan poczuł nieznaczny przypływ nadziei, chociaż mętny wzrok Doronina nie pozostawiał złudzeń, że wciąż nie jest z nim dobrze.

– Gdzie byłeś? – zapytał Rudolf, nie podnosząc głowy z poduszki.

– Chodziłem po mieście.

– I co widziałeś?

– Jakbyś ruszył dupę, *komandir*, to też byś zobaczył, że to ciekawe

miasto. A ty śpisz na okrągło jak baba pod pierzyną. – Jagan próbował w swoim stylu nawiązać kontakt z kapitanem, bo czuł, że najwyższy czas się rozmówić.

– Przecież leje – skomentował cicho Doronin i przewrócił się na plecy.

– I bardzo dobrze! – obruszył się Jagan. – Deszcz oczyszcza i daje życie ziemi. Od razu byś się lepiej poczuł. Zaraz przeszlaby ci ta maralia.

– Malaria.

– Jeden chuj. – Podeszedł do minibaru i wyciągnął osiem buteleczek. – Zaraz zrobię lekarstwo, które postawi cię na nogi.

Wlał do szklanki buteleczkę wódki, whisky, ginu i martini, po czym powtórzył ten sam zestaw w drugiej szklance.

– Nie wolno mieszać, jeśli przekładaniec ma zadziałać. – Podeszedł do Doronina, który przyglądał mu się w milczeniu, i wyciągnął w jego stronę rękę ze szklanką. – Trzeba na raz! Jeb! Fińska wódka może być, a te zachodnie perfumy dobre są tylko na pęcherz, ale wszystko razem ma kopyto. Tak się pije w specnazie i nikt nie ginie. – Wymyślał na poczekaniu rozmaite teorie, żeby tylko skłonić Doronina do wypicia, bo był przekonany, że to musi mu pomóc, na duszę przynajmniej. A miał do niego kilka spraw.

Kapitan usiadł na łóżku i wziął szklankę. Przełożył ją kilkakrotnie z ręki do ręki, przyjrzał się uważnie zawartości, po czym popatrzył na Jagana, który sztucznie szczerzył krótkie zęby i zachęcał do wypicia, wznosząc swoją szklankę.

W końcu stuknęli się tak mocno, że aż szkło zachrzęściło. Tym samym Jagan dał kapitanowi ostatni sygnał, wręcz ostrzeżenie, by nie igrał z rosyjską duszą i tradycją, bo nie ma takiej choroby, która zabraniałaby Rosjaninowi wypić dla towarzystwa.

Czekał z niecierpliwością, wpatrzony w twarz Rudolfa, i wyraźnie słyszał swój zegar, odmierzający każdą sekundę głośnym stuknięciem wskazówki. Przeszło mu nawet przez myśl, że jeżeli Doronin nie wypije, to będzie oznaczało, że przyznaje się do winy. Nie bardzo wiedział do jakiej konkretnie, ale i tak karę za utrudnianie misji

bojowej musiałby ponieść. Profilaktycznie. No i za utratę zaufania, która w warunkach zagrożenia życia jest równie groźna jak utrata broni. A u Jagana kara w warunkach wojennych, nawet tu, w Finlandii, była tylko jedna.

Nie odrywając wzroku od chorążego, Doronin wychylił szklankę do dna i nawet się nie skrzywił.

No, bladź, masz szczęście – pomyślał Jagan, nieco już uspokojony – ale zobaczymy, co będzie dalej.

I sam łyknął jednym haustem całą zawartość szklanki. W końcu porcja nie była duża, taka na początek.

– Wiesz co, Andriusza... – zaczął Doronin – tak sobie myślę, czy my możemy zostać przyjaciółmi... takimi prawdziwymi... jakich ma się tylko raz w życiu... Czy ty nie potrzebujesz przyjaciela?

Jagan pokręcił głową, jakby nie zrozumiał.

– Kogo?

– Przyjaciela.

– Czyli kogo? O czym ty mówisz?

– Nie wiesz, kto to jest przyjaciel?

– Oczywiście, że wiem. – Jagan udawał, że się obrusza, bo słowo „przyjaciel” brzmiało dla niego dosyć obco. – Miałem kilku, było nas pięciu, ale zginęli...

– A ty żyjesz? Dlaczego? – przerwał mu ostro Rudolf. – Jak to się stało? Zginęli za ciebie, dla ciebie czy przez ciebie? Orzeł, Dżyngis, Kola. A co z Tatarem, Kosowem, Gruzowem, Zarickim... – Urwał w pół zdania, bo Jagan skamieniał ze szklanką w dłoni zawieszoną w powietrzu.

Kapitan długo przygotowywał się do tej rozmowy i nim wyjechał, bardzo dokładnie przestudiował akta Jagana. Potrafił wyczytać z nich znacznie więcej niż inni pracownicy wywiadu, którzy dla świętego spokoju nie próbowali drążyć tematu, skoro zadanie zostało wykonane. Gdy giną ludzie, lepiej udawać, że wszystko było w porządku, bo nigdy nie wiadomo, kto za to odpowiada, więc najczęściej winę ponosił zabity.

Doronin przez prawie całe życie wykonywał w pojedynkę zadania

specjalne za granicą i potrafił zrozumieć psychikę człowieka walczącego o przetrwanie, a taki właśnie był Jagan, i dlatego wiedział o nim więcej niż on sam o sobie. Wiedział, co przeszedł na Kaukazie. Wiedział, że ma w głowie zegar i miarę, że pierwszy potrafi dostrzec śmierć i nawet ją oszukać, że wrogów zabija z poczucia żołnierskiego obowiązku, a nie z emocji, świat pojmuje prosto, ma swoje pojęcie zła i dobra, ale wbrew powszechnemu przekonaniu nie jest Nexusem, tylko człowiekiem niepozbawionym uczuć i wiernym zasadom. Kocha jak matkę Rosję i rosyjskie pieśni, chociaż nie miał ojca.

Teraz Doronin postanowił wykorzystać swoją wiedzę i zapanować nad cudem Jagana. Nie miał wyjścia, po prostu musiał.

– Pamiętasz ich, swoich przyjaciół, jak o nich mówisz? – ciągnął Doronin, a Jagan siedział wciąż zastygły, jakby uszło z niego życie. – Pamiętasz?

– Nooo...

– Pamiętasz? – powtórzył mocniej Doronin.

– Nooo... – Jagan budził się powoli. – Nooo... bo ja mam tak, że jak pamiętam twarz, to nie pamiętam nazwiska... i na odwrót.

– To nic nadzwyczajnego. Masz prozopagnozę, ma to dwa i pół procent ludzi, ale to nie przeszkadza mieć przyjaciół, nawet jeśli nie pamiętasz ich imion czy twarzy. Ty po prostu bałeś się mieć przyjaciół, bo w takim życiu jak twoje trudno jest przeżyć ich śmierć. Woląłeś wymazać towarzyszy z pamięci, tak ci kazała podświadomość. A Galę, z którą mieszkasz, wyłączyłeś ze swojego życia? Ona nie jest twoim przyjacielem, istnieje w jakimś innym wymiarze? Kochasz ją?

– Ja już nic nie rozumiem. – Jagan złapał się za głowę i pochylił do przodu. – Gala to co innego...

– Nic innego! – Rudolf podniósł głos. – Andriusza, pamiętaj... człowiek, znajdując przyjaciela, robi sobie prezent, więc musi o niego dbać. Dbasz o Galę?

– Dbam.

– Pozwoliłbyś, by zginęła?

– Nigdy... – Jagan poderwał się z krzesła.

– Zabiłbyś, żeby ją ratować?

– Tak.

– A nie zabiłbyś, by ją ocalić?

– Zabiłbym.

– Siadaj, Andriusza. – Doronin złagodził tembr głosu i Jagan opadł na krzesło. – To jest właśnie miłość, chłopie. A nie ma miłości bez przyjaźni, chociaż jest przyjaźń bez miłości.

Jagan patrzył szeroko otwartymi oczami jak zaskoczone dziecko i wyraźnie zbierał się, by coś powiedzieć, gdy Rudolf dodał:

– Jesteś normalnym człowiekiem, Andriusza, tylko o tym jeszcze nie wiesz. Widzisz, że życie może być piękne, nawet jak się je zabiera innym. Trochę śmierci jeszcze nikomu nie zaszkodziło. – Spojrzał w kierunku minibaru. – Wlej, co tam zostało.

Jagan błyskawicznie przygotował dwie kolejne mieszanki, podał Doroninowi szklankę i z miną dziecka czekającego na dalszą część opowieści o przygodach ukochanego bohatera zajął miejsce na krzeselku. Rudolf zauważył od razu, że – tak jak przypuszczał – nikt nigdy nie rozmawiał z Jaganem o nim samym. Dokładnie tak, jak było i w jego przypadku. No bo jak rozmawiać z pozbawionymi ojców dziećmi, których usynowiła ojczyzna?

– Ilu ludzi zabiłeś? – zapytał.

– A kto liczy zabitych wrogów! Nie pamiętam – odparł Jagan zgodnie z prawdą. – Pan Bóg też czasami zabija swoich wrogów i na pewno ich nie liczy, nie?

– Ja też nie liczyłem. Bo przecież nie zabijanie jest rozkoszą, tylko świadomość bezkarności.

Doronin wstał, przełożył szklankę do lewej dłoni i wyciągnął prawą rękę. Jagan bez zwłoki zrobił to samo.

– Za przyjaźń, za nas i za Rosję – rzucił kapitan i wciąż ściskając twardą dłoń Jagana, uniósł szklankę. Odczekali chwilę, po czym stuknęli się, patrząc sobie głęboko w oczy.

– Za Kaukaz i za specnaz – dorzucił chorąży i wychylili do dna.

Odstawili szklanki i padli sobie w ramiona. Jagan pierwszy raz

w życiu obejmował mężczyznę, którego nie zamierzał uśmiercić, i poczuł się dziwnie.

– Od razu wiedziałem, że jak walniesz stakańczyk, to ci pomoże – oznajmił z satysfakcją i trochę niepewnie dorzucił: – Przyjacielu.

– No to siadaj, Andriusza. Musimy pogadać... jak przyjaciele.

Lutek spojrział na siną tarczę zegarka Suunto. Była dokładnie dziewiąta zero dwie, kiedy samolot Aeroflotu twardo przysiadł na płycie lotniska Szeremietiewo.

Kołował jeszcze kilka minut i w końcu zacumował do rękawa. Silniki ucichły, zapaliło się światło, pasażerowie zaczęli krzątać się nerwowo, wyciągając bagaże i ubrania z luków, jakby chcieli jak najszybciej opuścić samolot. W kilku miejscach rozległy się pierwsze sygnały nieodebranych SMS-ów, po chwili zabrzmiała cała ich kanonada. Ludzie podłączali się do układu nerwowego świata.

Ewa siedziała pięć rzędów bliżej wyjścia. Byli chyba jedynymi osobami, które wciąż trwały na swoich miejscach, z martwymi telefonami w kieszeniach.

Wyszli z samolotu jedni z ostatnich.

Ewa szła pierwsza, w pomarańczowej puchowej kurtce, dzinsach i brązowych butach, Lutek kilkanaście metrów za nią, też w dzinsach, w identycznej kurtce, tyle że granatowej, i łudząco podobnych butach. Mieli takie same plecaki, on trzymał swój w ręce, ona na ramieniu.

Oddzielnie podeszli do odprawy paszportowej, każde do innego stanowiska, i po chwili byli już po drugiej stronie. Wszystko przebiegło szybko, bez zakłóceń.

Wyszli z terminalu. Niewielu przechodniów, pusto i bezśnieżnie. Moskwa przywitała ich jednak potężnym mrozem i ostrym słońcem na bezchmurnym niebie. Byli na to przygotowani.

Założyli takie same ciemne okulary i granatowe wełniane czapki.

Spojrzeni na siebie, uśmiechnęli się i dopiero teraz Lutek podszedł do Ewy.

Wskoczyli do pomarańczowej taksówki, która stała obok przy krawężniku.

– Afimall, poproszę – odezwała się czystym rosyjskim Ewa.

Łysy, otyły kierowca o karku byka nawet nie spojrzął w lusterko, tylko skinął niezauważalnie głową i samochód ruszył.

Przejazd do Moscow City zajął im pięćdziesiąt pięć minut. Kierowca wyraźnie się nie spieszył, jakby mu nie zależało na czasie, chociaż szosa leningradzka była tak zatłoczona, że pewnie i tak niewiele by zyskał. Lutek nie naciskał, bo mieli sporo czasu. Musieli jedynie kupić karty SIM do telefonów.

Kiedy Lutek opracowywał w Warszawie założenia do swojego planu, na miejsce rozpoczęcia akcji wytypował nowoczesne centrum handlowe Afimall usytuowane niemal w Moscow City, finansowo-biurowej dzielnicy wieżowców. Wśród nich górował złoty drapacz chmur Mercury, a w nim na trzydziestym szóstym piętrze mieściły się biura niemieckiej firmy Gruber & Bach, w której pracowała Zoja Tokina, cel ich podróży.

Za dziesięć jedenasta wysiedli z taksówki przed wejściem głównym do centrum. Lutek spokojnie zlustrował otoczenie. Możliwość, że przypadkowo zainteresują się nimi rosyjskie służby, była znikoma, a gdyby już wcześniej wiedziały o ich misji, to wtedy na pewno nie zdołałby ich wykryć. Budowanie trasy i aktywna samokontrola wymagały w Moskwie pełnej koncentracji i spokoju, a Lutek nie miał na to czasu, bo plan miał opracowany tylko z grubsza i wiedział, że w razie potrzeby będzie musiał się uciec do spontanicznej improwizacji.

Schodami ruchomymi wjechali na drugie piętro i udali się wprost do butik MTC po karty SIM. Ewa podała swój paszport. Chuda jak tyczka sprzedawczyni o wydatnych karminowych ustach i długich rudych włosach, ubrana w mini, z namaszczeniem wzięła paszport, spisała dane i bez słowa wydała dwa pakiety startowe wraz z doładowaniem.

Udali się na czwarte piętro do kawiarni Wriemia Jest'. Pora lunchu zaczynała się dopiero o dwunastej, więc w lokalu było jeszcze pusto. Zajęli wygodne miejsca, tak by oboje mogli obserwować otoczenie, a jednocześnie nie byli zbyt dobrze widoczni dla personelu.

– Jestem głodna. – Ewa zaczęła przeglądać kartę. – Może ucha... wygląda tak smakowicie. Jak byłam na studiach w Leningradzie, to...

– Zjedz coś słodkiego, jakieś ciastko – przerwał jej Lutek. – Wypij mocną kawę. Na akcję zawsze lepiej iść z lekkim brzuchem...

– Przecież nie mamy broni – oburzyła się Ewa.

– Chodzi o adrenalinę, która pobudza do działania w czasie stresu i uwalnia glukozę, a ona potrzebuje miejsca w organizmie czy jakoś tak. Z pełnym żołądkiem nie myśli się sprawnie. Mamy zresztą czekoladę i wodę.

– Oj tam, oj tam! Pierwszy raz jestem na robocie za granicą i nie skończyłam Kiejkut. Jestem tylko zwykłą sekretarką, więc nie wymagaj za dużo, ale dobrze, zamówię ciastka.

Lutek uśmiechnął się i pogładził ją po policzku. Widział, jak bardzo Ewa się denerwuje i niezdarnie próbuje to ukryć. Dlatego trochę teraz żałował, że zgodził się, by wzięła udział w tej akcji, i to być może w jej najniebezpieczniejszym fragmencie. Mógł przekonać Sarę, że da radę zrobić to sam, ale z drugiej strony nie mógł udawać, że nie widzi zaangażowania Ewy.

Ewa przez wiele lat była niewidocznym dobrym duchem Wydziału, co każdy miał okazję odczuć na co dzień. A oni, zagonieni w pracy i stresie, nie zawsze to doceniali, ale i ona tego nie oczekiwała. Znała ich lepiej niż oni samych siebie i zawsze lepiej wiedziała, czego im potrzeba. Wiedziała o wszystkich akcjach, które przeprowadzali, przeżywała je tak jak oni, a może bardziej, bo choć nie uczestniczyła w nich osobiście, to całym sercem i duszą była z kolegami.

Znała ich życie prywatne, ale nie musiała wysłuchiwać zwierzeń. Wystarczyło bystre oko i kobieca wrażliwość. Jej obecność była tak oczywista, że nikt nie potrafił wyobrazić sobie biurowej

rzeczywistości bez Ewy. Ale teraz, gdy Wydział przestał istnieć i skończyła się jej rola anonimowego reżysera, Ewa chciała pozostać częścią zespołu, jego historii. Zaznaczyć swoje istnienie. Uważała, że jej się to należy za lata parzenia kawy, herbaty, odbierania telefonów i pilnowania, by każdy pamiętał, co ma zrobić, ale przede wszystkim za cierpliwe znoszenie fochów Sary. Tak właśnie powiedziała, gdy okazało się, że chcą ją wyłączyć z operacji. Przypomniała, że jedyna w Wydziale ukończyła filologię rosyjską, i tym zamknęła dyskusję.

Kelnerka postawiła na stoliku szklanki w stylowych podstakannikach i herbatę w mosiężnym dzbanku, po chwili doniosła dwa potężne ciastka pokryte bitą śmietaną i polane sokiem truskawkowym.

Dopiero teraz Lutek wyjął pierwszy telefon i przystąpił do jego aktywacji.

– A jak nie odnajdziemy jej dzisiaj ani jutro, to co będzie? – zapytała Ewa. – Przecież nawet nie wiemy, jak wygląda.

– Znamy jej szczegółowy rysopis. Nie ma takiej możliwości. Moskwa to małe miasto – odparł z uśmiechem, grzebiąc w telefonie. – Odnajdziemy ją. Pytanie, co zastaniemy na miejscu. Mniej więcej wiemy co, ale... – Urwał w pół zdania. – Mamy nie ryzykować niepotrzebnie, jak powiedział Konrad, i nie będziemy – dodał, ale wcale tak nie myślał.

Lutek nieraz był w poważnych tarapatach, wierzył jednak w swoje umiejętności i potrafił chłodno ocenić szanse i zagrożenia. Wiedział, kiedy trzeba się wycofać. Zawsze był gotów do osobistego poświęcenia, ale tym razem odpowiadał za Ewę, kobietę, którą kochał. Rozumiał aż nadto dobrze, że teraz granice ryzyka rozplývają się w moskiewskiej mgłę niewiadomych, za nimi dwojgiem już nie stoi Firma, która zrobiłaby wszystko, by ich ratować, a naprzeciw siebie mają rozjuszony rosyjskie służby, więc po raz pierwszy był zdenerwowany i bał się, że Ewa to zauważy.

– Dwunasta – rzuciła, patrząc na zegarek. – Skończyłeś?

– Tak. – Lutek położył przed nią telefon. – Nasze wzajemne numery są zapisane, czyli wystarczy dwa razy na zielony.

– A cudeńko M-Irka?

– Sprawdzone – odparł pewnym głosem i dopiero teraz sięgnął po widelczyk. – Zjadłaś już? – zauważył zaskoczony i zaczął szybko połykać swoje ciastko.

Kiedy skończył, zapłacił kelnerce i razem z Ewą skierowali się do schodów ruchomych, którymi zjechali na dół. Kilka minut później weszli do holu biurowca Mercury.

Już po pobieżnym obejrzeniu miejsca i sprawdzeniu zabezpieczeń Lutek wykluczył jakąkolwiek próbę obejścia bramek kontrolnych. Heimany, kamery, czujniki, ochroniarze z bronią... Od razu rozpoznał kręcących się po holu emerytów specnazu po cywilnemu. Wszyscy specjaliści na świecie, kiedy nie są w mundurach, poruszają się tak, jakby cywilne ubranie krępowało im ruchy, uwierały niedopasowane buty, a ręce ślepo szukały broni. A zatem i oni mogli go rozpoznać.

Lutek nie był szczególnie zaskoczony, a właściwie to się tego spodziewał, bo już wcześniej wiedział, że Rosjanie dobrze odrobili lekcje po zamachach terrorystycznych. O tym, by niezauważenie dotrzeć do biura Gruber & Bach, właściwie nie miał co marzyć. Zoja Tokina z pewnością była jeszcze pod bezpośrednią obserwacją FSB, więc szansa na bezpieczne wycofanie się spadała do zera. Lutek spokojnie wykreślił ten punkt z planu.

Zbliżała się pora lunchu i z wind zaczęło wypływać coraz więcej ludzi. Dał znak Ewie, która cały czas śledziła go wzrokiem, i wyszli na zewnątrz.

– Tutaj nie mamy szans się do niej dostać – oznajmił całkiem spokojnie i otoczył Ewę mocno ramieniem. – Kierunek Chimki, Ewuniu.

Ewa objęła go wpół i jak para zakochanych studentów ruszyli noga w nogę w kierunku stacji metra Wystawocznaja.

O pierwszej trzydzieści wysiedli na stacji Wodnyj Stadion, skąd mieli pięćset metrów do apartamentowca, w którym mieszkała Zoja. Póki było widno, musieli spenetrować okoliczne tereny, a co najważniejsze – przygotować drogę ucieczki i wytypować miejsca ukrycia. Potem mieli zająć się samym domem, wyłapaniem podstawki

FSB i – o ile to możliwe – znalezieniem sposobu jej obejścia. Lutek dysponował odręcznym planem budynku, znał kod wejściowy i miał pomysł, jak rozegrać sprawę wewnątrz, ale to było stanowczo za mało, by wykonać zadanie. Konrad postawił sprawę jasno: nie wolno pozostawić żadnych śladów, bo Rosjanie nie mogą się zorientować, że wokół Zoi zdarzyło się coś podejrzanego. Wtedy operacja nie miałaby sensu.

Do zmierzchu obeszlili cały rejon. Co jakiś czas wchodzili do kawiarni albo sklepu, by zabić czas i trochę się ogrzać. Lutek kupił też zestaw Leathermana. W końcu dotarli pod dom Zoi.

Lutek starał się prowadzić rozpoznanie tak, by dla Ewy było jak najmniej uciążliwe. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak musi być zmęczona i zdenerwowana. Robiła wszystko, by pokazać, że się trzyma. I to właśnie było dla niego najbardziej bolesne, bo choć wypadało szczerze, wydawało się naiwne. Naiwna Ewa nie mieściła się w jego życiu, więc zaczął się jeszcze bardziej denerwować.

A wiedział też, że to tylko początek. Kumulacja napięcia dopiero się zbliża, a wtedy wszystko będzie możliwe, bo przecież Ewa jest amatorem. Wprawdzie zadanie, które jej przypadło, było dość proste, ale wiadomo, że kiedy człowiek staje twarzą w twarz z największym wyzwaniem swojego życia, może się załamać. Dlatego Lutek miał jeszcze jedną wersję na ten wieczór, o której Konrad nie wiedział.

Ford transit z napisem „Pogotowie wodociągowe” widoczny był jak na dłoni. Jedyne taki w ciągu kilkunastu osobówek różnego typu zaparkowanych przy krawężniku. Lutek stał w małym zagajniku sto metrów dalej, ukryty za drzewem, i obserwował samochód przez lornetkę. Był prawie pewny, że to podstawka obserwacji, ale musiał być pewny na sto procent. Ewa nerwowo spacerowała po chodniku i rozglądała się wokół. Po tej stronie ulicy było pusto.

Apartamentowiec Zoi miał osiem pięter, jedną klatkę schodową i wjazd do podziemnego garażu. Otoczony był ponadtrzymetrowym stalowym płotem, a kamery pokrywały cały teren na zewnątrz, klatkę schodową, dach i garaż. Kamera w windzie była tylko atrapą. Po drugiej stronie ulicy, około pięćdziesięciu metrów dalej, stała

czteropiętrowa chruszczówka z wejściami od podwórza.

– Widzisz tę kawiarnię? – Lutek wskazał ręką na zielony neon.

– Widzę.

– Pójdiesz tam i będziesz czekać albo na mnie, albo na telefon.

– A ty?

– Chyba stoi tam podstawka FSB. Muszę sprawdzić, musimy być pewni...

– Przecież tak zakładaliśmy. Co w tym niezwykłego?

– Muszę wiedzieć, czy to na pewno ten samochód. Ewo, to ważne!

– Lutek trochę podniósł głos, więc postanowiła niczego nie kwestionować.

– Uważaj na siebie – rzuciła tylko i pogładziła go po ramieniu.

Lutek puścił do niej oko i uśmiechnął się, a ona odpowiedziała mu tym samym. Chciała jeszcze unieść rękę, ale była zbyt ciężka. Przebiegł na drugą stronę ulicy. Odprowadziła go wzrokiem, aż znikł między blokami, i dopiero wtedy ruszyła do kawiarni. Pierwszy raz została sama. Poczula się dziwnie, jakby miała go już więcej nie zobaczyć, i nagle zachciało jej się płakać. Niemal natychmiast do rozpacz przyłączyła się złość. Ewa po raz pierwszy pożałowała, że się zgodziła, by Lutek uczestniczył w tym przedsięwzięciu. Była wściekła na Sarę i Konrada, ale najgorsze było poczucie bezsilności, bo wiedziała, że nie mogą się już wycofać.

Weszła do kawiarni, zostawiła w szatni kurtkę, powiesiła na oparciu plecak i zamówiła kawę oraz podwójny koniak.

Tymczasem Lutek dotarł już do chruszczówki. Na podwórku znalazł trzy kamienie wielkości piłeczki golfowej i schował je do kieszeni. Drzwi na klatkę schodową nie były zamknięte i kiedy tam wszedł, uderzył go kwaśny zapach stęchlizny, starych ziemniaków i cebuli smażonej na słoninie. Odpadający tynk i skromne oświetlenie pogłębiały niesamowitą, ponurą atmosferę z innego świata.

Lutek wbiegł na ostatnie piętro i od razu natknął się na drabinę prowadzącą na dach. Już miał się po niej wspiąć, gdy po prawej stronie uchyliły się z chrzęstem drzwi. W wąskiej szparze dostrzegł gniewną twarz staruszki, która zaskrzeczała coś wysokim dyszkantem

i trzasnąwszy drzwiami, skryła się w mieszkaniu.

Kłapa na dach była zamknięta na kłódkę, jednak pod naporem ramienia Lutka spróchniałe zawiasy puściły łatwo i po chwili nad jego głową rozpostarło się granatowe gwiazdziste niebo.

Piękny syberyjski wyż wisiał już nad Moskwą od dwóch dni. Słońce zaszło trzy godziny temu i temperatura natychmiast spadła do minus osiemnastu, ale było bardzo sucho, więc mróz raczej nie dawał się we znaki. Moskwianie lubili taką pogodę. Wzrastało wtedy zapotrzebowanie na wódkę, lody i herbatę.

– Po kiego chuja stoimy tu tyle czasu? – odezwał się chudy, wąsaty Wadim, oficer obserwacji FSB z dziesięcioletnim stażem, otwierając butelkę moskowskiej. – Przecież moglibyśmy równie dobrze siedzieć sobie w domu u tej Tokinej, kulturalnie przy herbatce, konfiturach... i poobracać ją od czasu do czasu. – Nalał wódki do dwóch szklaneczek. – W ciepełku, miło, sympatycznie... Od dawna wie, że stoimy tu na mrozie i czekamy na tego jej fagasa. Tylko się z nas śmieje... Widać nas na kilometr.

– Rozkaz to rozkaz, nie nasza sprawa. Widać tak trzeba – przerwał mu Sasza, ze względu na posturę zwany Szarikiem, ostatni funkcjonariusz pamiętający magnetofony szpulowe w służbie KGB. – Zakąsimy? – zapytał, uchylając pokrywę kartonu z pizzą. – Zimna.

– A może podrzucimy jej oczko do łazienki? – zapytał Wadim, sięgając po pizzę. – Będzie nam milej, co?

Wypili wódkę i zakąsili zimną pizzą.

– Nie napatrzyłeś się jeszcze dość pierdolenia na żywo? Pedalów, lesbijek i wszystkich innych popaprzanych zboków? Pierdzenia, srania, rzygania? I to w wykonaniu gwiazd telewizji i polityki? Ech... Wadim. – Sasza pokręcił głową. – Ile można... Własnej żony już się brzydzę dotknąć. Heheee...

– Pierdolisz, Szarik! – odparł Wadim.

– Pewnie, że pierdołę. W naszym zawodzie trzeba mieć kręgosłup jak z magnitogorskiej stali... pojmujesz? Moralność jest ważna, jak mawiał Pawka Korczagin.

– Kto?

– Nie uczyli cię tego w szkole? Jak będziesz się podniecał, to szybko wtopisz. Tacy jak my muszą być świętsi od popa, a ty chcesz tu, w samochodzie, gruchę walić. Chłop jak nie ma zajęcia, to zaraz łapy do spodni wpycha... – Przerwał na chwilę i zaczął się wpatrywać w jeden z monitorów. – A poza tym nie mamy wolnej kamerki.

– Mówią, że jak zmarł Andropow, to trzy dni piłeś ze smutku. Prawda to?

– Prawda. To był wielki człowiek. Nasz. A jak umrze Gorbaczow, też będę pił, z wściekłości i radości.

Ford transit, w którym znajdował się punkt kierowania obserwacją stacjonarną, stał na ulicy przed domem Zoi Tokinej od trzech tygodni. Wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia do inwigilacji, stanowił ulepszoną kopię supertajnego izraelskiego systemu śledzenia i identyfikacji Guz, skonstruowanego do tropienia terrorystów. Pięć monitorów pozwalało śledzić niemal wszystkie ruchy figuranta bez wychodzenia na zewnątrz. Piętnaście bezprzewodowych kamerek i dziesięć podsłuchów zsynchronizowanych było z systemem identyfikacji osób i głosu oraz nawigacją satelitarną.

Minęła dziewiętnasta, gdy na dwudziestotrzycalowym monitorze pojawił się czerwony baner ostrzegawczy, więc Szarik uderzył palcem wskazującym w klawisz Enter.

– Idzie – oznajmił bez cienia emocji. Wypowiadał to słowo codziennie od trzech tygodni, więc Wadim nawet nie spojrzał w kierunku monitora, zajęty dłubaniem w zębach. – Jaki mamy stan na teraz?

Wadim wlał wódkę do obu szklaneczek i przysunął się do komputera.

– Osiemdziesiąt dwie... brakuje trzydziestu jeden. Obcych brak.

– Skręciła do sklepu. – Szarik obserwował na planie miasta poruszający się powoli zielony punkt i towarzyszące mu dwa czerwone. – Kto z nią dzisiaj chodzi?

– Grisza i chyba Fiedia, nie jestem pewien...

Pół godziny później Wadim już przysypiał na krzeselku, z głową odchyloną do tyłu i rękami złożonymi na piersi.

Sasza tymczasem siedział ze słuchawkami na głowie, wpatrzony w ekrany, na których co chwila zmieniał się obraz. Obserwował każdy ruch Zoi, starając się wyłowić choćby najmniejszą anomalie, odstępstwo od logiki postępowania, coś, co go zastanowi. Taką miał pracę i wykonywał ją dobrze od trzydziestu lat. Bębnił palcami po blacie stołu, naśladując tętent konia, choć sam tego nie słyszał. Kto znał Szarika, ten wiedział, że zawsze tak robi, gdy jest skoncentrowany. Mówiło się, że w takiej chwili spokojnie można byłoby go okraść, a nawet by tego nie zauważył. Sasza lubił swoją pracę, nie lubił za to ludzi, których podglądał, ale z Zoją było inaczej. Nie była szpiegiem ani terrorystą. Była zwykłą ładną czterdziestoletnią kobietą uwikłaną w świat intryg. Dlatego uznał, że nie zainstaluje kamery w jej łazience.

Weszła do mieszkania, rozebrała się w przedpokoju i zaniósła do kuchni dwie torby z zakupami. Potem zniknęła za drzwiami łazienki, gdzie skorzystała z toalety i umyła ręce. Przeszła do sypialni, przebrała się w dres, spięła włosy. Wróciła do kuchni i zaczęła wypakowywać czerwone torby z napisem „Magnit”.

Pomyślał, że to dziwne, by osoba, która mieszka w drogim apartamentowcu, pracuje w Mercury Tower i jeździ audi RS5, robiła zakupy w dyskoncie. Poczul do niej sympatię, bo sam też tam kupował.

Nagle Wadim podskoczył na swoim krzeselku i coś powiedział. Sasza zdjął słuchawki.

– Słyszałeś?

– Nie – odparł Sasza.

– Coś uderzyło w samochód.

– E tam... Może coś ci się przyśniło.

– Nie... chyba nie... Sprawdź.

Sasza przełączył kamery i na monitorze pojawił się widok ulicy. Pomanewrował joystickiem: obraz przesunął się powoli z lewa na

prawo i wrócił w pierwotne położenie.

– Pusto – odparł Sasza. – Nie ma nikogo. Meteor?

– Co ona robi?

– To co zawsze, nic specjalnego... – Sasza nie dokończył, bo w samochód znów coś mocno gruchnęło i obaj zamarli. – A jednak... – przyznał.

– Sprawdź – rzucił pewnym głosem Wadim, otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz.

Ulica była pusta. Gdzieś w oddali jechał samochód, a po drugiej stronie powoli posuwała się staruszka. Wadim wrócił, usiadł na swoim miejscu i na pytające spojrzenie Saszy odpowiedział wzruszeniem ramion.

Lutek schował lornetkę do plecaka. Wślizgnął się do wjazdu dachowego, zamknął go za sobą, zbiegł po schodach i po chwili był już na zewnątrz. W ciągu kilku minut dotarł do kawiarni. Wewnątrz były trzy młode kobiety, siedzące przy jednym stoliku i zajęte ożywioną rozmową, oraz Ewa przy stoliku po przeciwnej stronie. Dostrzegła go, gdy tylko wszedł, a on zauważył na jej twarzy potężny rumieniec.

– No i? – zapytała krótko.

– Zoja jest już w domu, bo pali się światło w jej oknach, a w samochodzie siedzi co najmniej dwóch. To jest ich stanowisko obserwacyjne. Tak jak zakładałem... – Przerwał na moment. – Skąd masz takie wypieki? Piłaś coś? – zapytał, ale kieliszka na stoliku nie zobaczył.

– Tak – przyznała się od razu, bo policzki rzeczywiście ją paliły – podwójny koniak. I od razu mi pomógł.

Lutek pokiwał tylko głową, ale wiedział, że źle zrobiła. Znał Ewę na tyle dobrze, by wiedzieć, jak na nią działa alkohol. Był pewny, że za pół godziny zachce jej się spać.

– Jak się czujesz? – zapytał dla pewności.

– Świetnie! – odparła hardo i uśmiechnęła się. Była wyraźnie pobudzona, nabrała animuszu i pewności siebie, co w sumie przed

akcją mogło się okazać korzystne.

Odrobina alkoholu zmieszana z adrenaliną powinna dać dobry efekt, choć krótkotrwały – ocenił Lutek i uznał, że powinni już zaczynać.

– Ruszamy – rzucił i podniósł się z krzeselka.

Dokładnie o dwudziestej Wadim zmienił Saszę przy monitorach i od razu coś przykuło jego uwagę.

– Co to za jedna? Znamy ją? – zapytał, a Sasza pochylił się, by popatrzeć na krótko obciętą blondynkę w okularach i pomarańczowej kurtce, trzymającą wypchane zakupami czerwone torby z napisem „Magnit”, która właśnie z trudem unosiła rękę, by wcisnąć kod wejściowy.

– Nie znam jej – odparł Sasza. – A włącz identyfikator. Może zwykła wizyta...

– Na to wychodzi – odparł Wadim i po chwili, gdy kobieta przeszła już na drugą stronę ogrodzenia, dodał: – Nie mamy jej w bazie. Ale na wszelki wypadek ją zarejestrujemy... jest pierwszy raz.

– Później i tak ustalimy, do kogo przyszła, też na wszelki wypadek – dorzucił Sasza i usiadł na krzeselku.

Blondynka przeszła kilkanaście metrów między ogrodzeniem i wejściem do budynku, po czym znikła na chwilę, kiedy wkroczyła w martwe pole. Pojawiła się na monitorze dopiero w atrium przy windach. Wadim nie widział jej twarzy, bo kamera była zamocowana zbyt wysoko, a kobieta miała opuszczoną głowę.

– Musimy obniżyć kamerę w atrium. Jest za wysoko – wymamrotał Wadim.

– Tam nie ma gdzie jej dobrze ukryć. Nie da się nic zrobić – odpowiedział Sasza. – Nie nudź.

Otworzyły się drzwi i blondynka weszła do windy. Nacisnęła przycisk z ósemką i stalowe wrota zsunęły się za nią cicho.

– No i co? Gdzie pojechała? – zapytał Sasza.

– Na pewno nie na piąte. – Wadim dotknął ekranu, na którym był

korytarz prowadzący do mieszkania Zoi.

– To dobrze. Przynajmniej nie sprawi nam kłopotu. – Sasza sięgnął po wypełnioną w jednej trzeciej butelkę i postawił ją na stoliku. – Dokończymy?

– Dawaj – zareagował Wadim. – Jeszcze dwie godziny i zmiana...
– Urwał i po chwili rzucił z emfazą: – Nooo... chodź, Szarik, szybko. Zobacz to!

Sasza odstawił butelkę.

– Co jest?

– Widzisz tego tutaj? – Wadim dotknął palcem ekranu po prawej.

Mężczyzna w granatowej puchówce, wełniance na głowie, w rękawiczkach i z plecakiem podszedł powoli do płotu i przystanął, rozglądając się wokół przez chwilę. Stał w zacienionym miejscu, więc nie widzieli jego twarzy. Nagle skoczył na trzymetrowy płot otaczający posesję i sprawnie wspiął się na jego szczyt, zeskoczył lekko po drugiej stronie, podbiegł do ściany i zaczął się skradać w kierunku wejścia do budynku.

– Patrz, jaki skurwysyn! Co za dureń, przecież widzi, że są kamery, a lezie! – niemal zawołał Wadim. – Partacz, nie złodziej! Ja pierdołę, widziałeś kiedyś coś takiego? Nie wierzę własnym oczom. Wzywamy policję? – Sięgnął po radiostację.

– Czeka! Dobry jest! – Rozbawiony Sasza położył mu rękę na ramieniu. – Zobaczymy, co robi. Jeszcze nigdzie się nie włamał. Zabawimy się.

– A może zgubił klucz? – zapytał Wadim.

– Albo chce zaskoczyć żonę...

Lutek wiedział dokładnie, co ma robić. Dotąd wszystko się zgadzało i szło zgodnie z planem. Najbardziej się jednak obawiał, że faceci z obserwacji FSB spanikują i zbyt wcześnie wezwą policję. Zakładał optymistycznie, że będą chcieli zobaczyć, kim jest i co ma zamiar zrobić, licząc, że może mieć to jakiś związek ze sprawą, z powodu której tu siedzą. Ale powiadamanie policji oznaczałoby dla nich dekonspirację. Wkrótce cała ulica by wiedziała, że FSB siedzi

w samochodzie. Lutek znał te zasady i wiedział, jacy są ludzie z obserwacji, wszędzie na świecie podobni do siebie, pełni obaw, że jakimś nieznaczącym, przypadkowym ruchem zniszczą ważną operację, a później będą musieli ponieść konsekwencje. Dlatego byli bardziej ostrożni niż inni.

W najgorszym wypadku – zakładał Lutek – policja będzie potrzebowała kilku minut na dojazd, a tyle czasu w zupełności mu wystarczało.

Ewa czekała na ósmym piętrze, ukryta na schodach przeciwpożarowych. W dłoni ścisnęła komórkę. Czowała, jak krew pulsuje jej w skroniach, serce wali jak dzwon, a telefon parzy. Miała wrażenie, że chwilami robi jej się ciemno w oczach. Zaczęła głęboko oddychać, wciągając równomiernie powietrze do płuc i wypuszczając ustami, tak jak ją uczył Lutek, i co chwila sprawdzała zasięg komórki. Telefon wciąż był mokry, więc wycierała go o kurtkę, a dłoń o spodnie, i przekładała aparat do drugiej ręki. Zaskoczona odkryła, jak bardzo mogą jej się pocić dłonie.

Zegar w telefonie wskazywał, że odkąd weszła do domu, minęło sześć minut. Lutek powinien zaraz zadzwonić – pomyślała i wbrew zasadom wstrzymała na chwilę oddech.

Tymczasem naprzeciw Lutka otworzyły się drzwi windy i wysiadła z niej młoda kobieta w czarnym płaszczu, ciemnych okularach i sobolowej czapie. Za rękę trzymała małą, może pięcioletnią dziewczynkę ubraną dokładnie tak jak ona. Zostawiając za sobą ostrosłodki zapach perfum, przepłynęły obok Lutka, jakby był przezroczysty, i skierowały się do wyjścia. Przez moment pomyślał, że mu się przywidziało. Czy to jakieś przedstawienie? I te ciemne okulary w nocy... u dziecka.

Wsiadł do windy pełnej oparów i nacisnął przycisk minus jeden.

– Złodziej – stwierdził Wadim pewnym siebie głosem. – Jedzie do garażu. Złodziej samochodów jak nic. Dzwonimy na policję?

– Zaczekamy jeszcze – powstrzymał go Sasza. – To jakiś kretyn. Przecież widzi, że są kamery.

– Może wie, że agencja ochrony ma odłączony podgląd? – zasugerował Sasza.

– Rzeczywiście! To by tłumaczyło, skąd ten idiota się wziął. Ma pewnie jakiegoś kumpla w Securitas i ten podrzucił mu pomysł.

Lutek wyszedł z windy i w krótkim korytarzu przeciwpożarowym wyciągnął telefon. Były dwie kreski zasięgu. Odetchnął.

– Zaczynamy – usłyszała Ewa w słuchawce.

– Zrozumiałam.

Wróciła na klatkę schodową i ściągnęła windę. Stała w drzwiach, przesłaniając fotokomórkę. Od razu uderzył ją zapach ostrosłodkich perfum i mimowolnie pomyślała, jak można się czymś takim spryskać. Wyjęła czarne pudełeczko, w drugiej ręce trzymała telefon. Czekala. Miała minutę. Bała się, że z jednego z pięciu mieszkań na piętrze ktoś wyjdzie i cały plan się zawali. Od początku wiedzieli, że to jeden z najsłabszych elementów, ale nie mieli wyboru. Jak zawsze plan zapasowy był jeszcze słabszy.

– Jest! – Wadim dotknął palcem ekranu, na którym pojawił się domniemany złodziej. – Wybiera... nooo... szuka czegoś godnego... Patrz, jaki skurwysyn! Dzwonimy?

– Nie. Nic jeszcze nie ukradł, a my się zdekonspirujemy. Policja zorientuje się, że przejęliśmy monitoring. Po co nam to teraz?

Mężczyzna w granatowej kurtce okazywał wyraźne zainteresowanie samochodami stojącymi w garażu. Zaglądał do środka lepszych marek, brał za klamkę mercedesa i porsche. Nagle usłyszał chyba jakiś ruch, bo przykucnął między chevroletem a jeepem. Po chwili minęło go czerwone bmw. Zakreśliło w lewo do zjazdu na niższy poziom. Nieznajomy spojrział na zegarek, po czym podszedł szybkim krokiem do audi RS5, które stało dwa rzędy dalej. Zajrzał do środka i jednocześnie chwycił za klamkę. Drzwi były zamknięte. Wyjął z kieszeni zestaw Leathermana, ścisnął mocno w dłoni okrytej rękawiczką i z całej siły uderzył w boczną szybę, która rozprysła się na drobne kryształki. Samochód zawył i zabłysnął

światłami. Złodziej błyskawicznie otworzył pokrywę silnika. Nagle zatrzymał się, jakby coś zauważył, obejrzał za siebie i natychmiast rzucił się do ucieczki.

Na ósmym piętrze Ewa wciąż blokowała windę i była coraz bardziej zdenerwowana, aż w końcu telefon zadrżał w jej dłoni. Jeszcze nigdy w życiu nie bała się tak bardzo i wydawało się jej, że nie wie, co robić, że wszystko zapomniała i sparaliżował ją strach. A jednak nacisnęła zielony przycisk i przyłożyła telefon do ucha.

– Cześć, Zoju, tu Wiera z ósmego – odezwała się czystym rosyjskim specjalnie wyćwiczoną frazą. – Idź szybko do garażu, jakiś złodziej chciał ci ukraść samochód, wybił szybę i włączył alarm.

– O Boże! – krzyknęła Zoja. – Pędzę!

Garaż wypełniał ostry dźwięk alarmu samochodowego. Lutek dobiegł do bramy, nacisnął ręczne otwieranie. Drgnęła i powoli zaczęła się unosić. Pochylił się i wybiegł na zewnątrz. Zaczął się oddalać od samochodu obserwacji. Po kilkudziesięciu sekundach znikł za rogiem budynku.

Kilkanaście sekund po telefonie do Zoi na tablicy w windzie zapalił się czerwony trójkąt, wskazujący, że ktoś woła windę z dołu. Ewa odczekała jeszcze dla pewności kilkanaście sekund i zwolniła drzwi. Wstrzymała oddech i odliczała mijane piętra. Po chwili kabina zatrzymała się na piątym, drzwi rozsunęły się i Ewa zobaczyła atrakcyjną wysoką blondynkę z kurtką zarzuconą na ramiona i kluczami od samochodu w dłoni. Na jej twarzy malowało się zdziwienie zmieszane z wściekłością.

– Zoja Tokina? – zapytała drżącym głosem Ewa.

Kobieta spojrzała na nią zaskoczona.

– Tak... a...

– Pozdrowienia od Miszy – dodała Ewa zgodnie z planem i wręczyła jej nieduży pakunek. – To prezent od niego. Proszę otworzyć go tylko w bezpiecznym miejscu, poza domem, a teraz dobrze ukryć. Wewnątrz znajdziesz instrukcję. Nie było żadnego włamania do samochodu. To my... to ja dzwoniłam. Rozumiesz

wszystko?

Z twarzy Zoi znikło zaniepokojenie, a po chwili zastąpił je delikatny uśmiech.

– Rozumiem – odparła spokojnie.

Winda zatrzymała się na poziomie minus jeden i drzwi się otworzyły.

Ewa uśmiechnęła się niewyraźnie i skinęła na pożegnanie głową.

Zoja wysiadła sama.

29

Marcin przyleciał do Sztokholmu pierwszym rannym samolotem i prosto z lotniska udał się taksówką na Sundbyberg. Linda Lund już na niego czekała.

Kiedy otworzyła drzwi, w pierwszym momencie jej nie poznał i chciał już przeprosić za pomyłkę, ale upewnił się, że numer mieszkania się zgadza.

Szatynka zaczesana na mokro do tyłu, średniego wzrostu, o zapadniętych oczach bez makijażu, w ręcznie robionym zielonym swetrze zdobionym różowymi łośiami. Pamiętał atrakcyjną wysoką kobietę o ostrych nordyckich rysach, ale pomyślał, że minęło sporo czasu od ich ostatniego spotkania i może wtedy tylko mu się wydawało, że jest taka ładna. Teraz wyglądała jak samotna, zmęczona życiem, bezrobotna matka dwojga dzieci, a nie nadzieja szwedzkich służb specjalnych.

Była dziesiąta trzydzieści, kiedy wciągnął swoją walizkę do mieszkania. Zostawił ją w przedpokoju. Powiesił kurtkę i zdjął buty.

– Jadłeś śniadanie?! – zawołała z kuchni.

– Nie – odparł Marcin bez namysłu, bo od czasu wyprawy do Iranu nie mógł latać z pełnym żołądkiem. – Nie mogę jeść w samolocie.

– Idź do pokoju, rozgość się. Postawiłam ci kawę na stoliku. Przepraszam za bałagan.

Wszedł do salonu. Rzeczywiście w pomieszczeniu panował bałagan. Kolorowe pisma mieszały się na stoliku z książkami,

przyborami do pisania i mnóstwem innych drobiazgów. Na kanapie i krzesła były rozłożone części garderoby, ale bielizny Marcin nie dostrzegł. Zrezygnował z bardziej wnikliwego oglądu pomieszczenia, bo nie był to widok specjalnie budujący, i usiadł na pustym fotelu, przy którym stała kawa.

– Co u Olafa? – rzucił dosyć głośno i spojrzął na zegarek. – W robocie... no tak.

Stan mieszkania wyraźnie jednak wskazywał na długotrwałą nieobecność mężczyzny. Ponieważ Linda nie odpowiedziała, Marcin miał już wytłumaczenie.

Nic dziwnego – pomyślał, lustrując pokój. Kto by z taką Szwedką wytrzymał! Jak to możliwe, że wydawała mi się wtedy całkiem fajna? Człowiek był na takim hajku, że i Ducha Świętego mógł w lustrze zobaczyć. Gdzie jej do naszej Sary...

Pociągnął łyk kawy i się skrzywił. Jaaa... pier...

Linda postawiła przed nim talerzyk z dwiema grzankami z żółtym serem, obok nich leżało kilka rzodkiewek z zielonymi ogonkami i pokrojony w kostkę ogórek. Marcin przełknął ślinę, bo śniadanie zawsze jadał obfite: kiełbasa, parówki, salceson, szynka, a najlepiej tłusty baleron i nigdy żadnych warzyw, szczególnie ogórka, który działał na niego przeczyszczająco. Wziął sobie kiedyś do serca słowa Konrada, że najważniejszym posiłkiem szpiega jest śniadanie, bo nigdy nie wiadomo, kiedy będzie następny. I tak mu zostało.

Podziękował serdecznie i uśmiechnął się do Lindy najnaturalniej, jak tylko potrafił. Odgarnawszy jakieś przedmioty, zrobiła sobie miejsce na fotelu obok i teraz przyglądała się w milczeniu, jak Marcin je. On zaś dokonywał karkołomnych uników, by ich spojrzenia się nie spotkały. Chciał już odstawić talerzyk, ale pomyślał, że ją obrazi, więc powoli jadł dalej. Myślał też, żeby o coś zapytać, o cokolwiek, byle tylko przerwać to cholerne milczenie zakłóćane chrupaniem rzodkiewek, których nie znosił.

– Pytasz, co u Olafa? – odezwała się w końcu Linda i Marcinowi od razu ulżyło. – Nie żyje. Popełnił samobójstwo. Konrad ci nie mówił?

Przełknął ostatni kęs i powoli odstawił talerzyk, nie odrywając od niego wzroku. Pokręcił głową. Dopiero teraz spojrzął na Lindę i dotarło do niego, że to ta sama kobieta, którą poznał kiedyś w Sztokholmie, pogodną, inteligentną, zakochaną. Zostało po niej tylko smutne wspomnienie, niewyraźny zarys postaci. Siedziała wciśnięta w fotel, z rękami założonymi na piersi i skrzyżowanymi nogami, zupełnie jakby straciła cały kobiecy seksapil. Czekwała na odpowiedź, ale Marcin zapomniał, o co zapytała.

– Znaczy, że ci nie powiedział – rzuciła jakby od niechcienia i pokiwała głową.

– No... nie... nic... – Marcin był wyraźnie zakłopotany, bo Konrad powiedział mu tylko, żeby był wyrozumiały dla Lindy, a resztę sam zrozumie.

– Zastrzelił się przy mnie. – Zawiesiła na moment głos. – Może to źle, że ci o tym mówię, ale lekarze twierdzą, że nie powinnam uciekać myślami od tego, co się stało, bo i tak uciec się nie da. Muszę to zaakceptować i już. – Linda wyciągnęła papierosa i zapaliła. – Mam też obserwować reakcje ludzi, kiedy im o tym mówię. To podobno też pomaga w odnalezieniu swojego miejsca. Nie zanudzam cię? – zapytała, ale i tak wiedziała, co odpowie. Każdy odpowiadał tak samo.

– Ależ skąd – odparł Marcin, ale o lekarzy już nie zapytał, bo domyślił się, na co Linda cierpi. – To bardzo smutne i współczuję ci z całego serca...

– W sumie to nie wiem, czy jest czego – przerwała mu słowami, do których zawsze uciekała się w takiej sytuacji. – Olaf Svensson był rosyjskim szpiegiem i zdradzał mnie z inną kobietą. Śmieszne, groteskowe, głupie, ponure, okrutne... nie wiem, jak to nazwać. Więc właściwie... – Przerwała. – Dobrze, dobrze, nie będę już cię dręczyć. Podobno mam fioła. – Po raz pierwszy się uśmiechnęła i Marcin poczuł się nieco pewniej.

– A co z Hasanem? – zapytał, szczerze zainteresowany.

– Też ci Konrad nie powiedział? Hasan jest w Szwecji. I Anton też.

– Jak to?

– Z więzienia wyciągnęła ich Harriet siłą swojej miłości, najpotężniejszego ze wszystkich żywiołów – rzuciła z wyraźną emfazą i Marcin zrozumiał, co Konrad miał na myśli, mówiąc o wyrozumiałości. – Hasan jest w szpitalu Karolinska, na oddziale psychiatrycznym. Wiesz... przeszedł piekło. Na szczęście jest z nim coraz lepiej. Nie powinnam o tym mówić, ale mam to wszystko gdzieś. – Podniosła się z fotela. – Nie po to tu przyjechałeś, prawda? – Znów się uśmiechnęła, ale teraz jakby pogodnie, zwyczajnie, nawet kobieco. Wzięła ze stolika grubą żółtą kopertę formatu A4. – Wszystko wam przygotowałam. Co potrzebne, znajdziesz w środku. Jest tak, jak prosił Konrad. Samochód stoi przed domem. Wiesz... należał do mojego Olafa.

30

Zoja schowała pakunek do wewnętrznej kieszeni kurtki i wysiadła z windy.

W garażu wył alarm i niósł się wzmocniony echem odbitym od betonowych ścian. Wyłączyła go pilotem i podeszła bliżej, żeby obejrzeć stłuczoną szybę, ale widok ten nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Było jej to zupełnie obojętne. Zamknęła pokrywę silnika. Stała przez chwilę, próbując zebrać myśli.

Właściwie nawet nie mogła powiedzieć, że jest zdziwiona czy zaskoczona, bo cały czas czekała na jakiś sygnał od Miszy. Nigdy jednak nie przypuszczała, że odbędzie się to w taki sposób. Kiedy w windzie patrzyła w oczy zdenerwowanej kobiety, wiedziała, że gdzieś w jej cieniu kryje się Misza. Wszystko to wydawało się zbyt proste i przekonujące, nie wyglądało na podstęp FSB. I nie była to kwestia wiary ani nawet chłodnej kalkulacji. Czują jego obecność całą sobą, jakby Misza był tu przed chwilą i własnoręcznie wybił szybę w samochodzie. Zrobiło jej się miło, nagle życie nabrało barw, sensu.

To nawet zabawne – pomyślała. Czy to życie imituje sztukę?

Pokręciła głową, jakby zaskoczona tą metaforą, odwróciła się i ruszyła w kierunku windy.

Wiedziała, że jest nieustannie obserwowana. Mówił jej o tym nie tylko Michaił w noc przed ucieczką z Moskwy, potwierdziła to również kobieta w windzie, a także mężczyzna, który kilka dni temu dał jej przy śmietniku numer telefonu. Mimo to pragnęła jak

najszybciej zobaczyć prezent. Rozpierała ją radość dziwnie zmieszana z niepokojem, ale radości było znacznie więcej, bo Zoja zrozumiała, że Misza jest bezpieczny i wkrótce będą razem. Chciało jej się krzyczeć ze szczęścia. Ale też zaraz do niej dotarło, że teraz musi być jeszcze bardziej ostrożna niż dotąd, więc ścisnęła ręką kurtkę, w której wyczuwała pakunek, i dotknęła przycisku z piątką.

– No to mieliśmy małe przedstawienie na koniec służby – podsumował Wadim. – Dokończymy? – Pokazał butelkę wódki.

– Czemu nie? – odparł obojętnie Sasza.

W tym momencie z budynku spokojnym krokiem, z rękami w kieszeniach, wyszła jakaś kobieta w granatowej kurtce i głęboko naciągniętej wełnianej czapce. Skręciła w prawo i pogrążyła się w ciemnej toni słabo oświetlonej ulicy.

Wadim i Sasza bez słowa odnotowali jej pojawienie się na ekranie. Nawet przez myśl im nie przeszło, że kurtka może być wywrócona na drugą stronę i że wcześniej widzieli ją jako pomarańczową.

– Musimy teraz sprawdzić wszystko po kolei... – zarządził Sasza.

– Jasne, zacznijmy od raportu – wtrącił Wadim, uzupełniając szklaneczki resztką alkoholu.

– No właśnie. Ale nasz raport zależy od tego, co ustaliliśmy. Jeśli ustaliliśmy coś podejrzanego i napiszemy o tym w raporcie, to będą przeglądać nagranie i wszystko sprawdzać jeszcze raz, tak?

– Nooo... tak, ale...

– A jak będą sprawdzać, to na pewno znajdą coś, co pominęliśmy albo o czym zapomnieliśmy. Wiesz, jakie są zasady. Wszystkie wątpliwości tłumaczy się na niekorzyść funkcjonariusza. Innymi słowy, nasz raport musi być zgodny z faktami, ale jednocześnie taki, żeby nic nam nie mogli zarzucić i nie zaczęli grzebać w nagraniach i nasłuchu. Rozumiesz? Prawda musi być prosta i wiarygodna, a jednocześnie uspokajająca. Szefowie to też ludzie. Słuchaj starszego kolegi, to się dosłużyysz godnej emerytury.

Wadim przytaknął, bo w gruncie rzeczy myślał dokładnie tak samo.

I tak samo myśleli prawie wszyscy jego koledzy z obserwacji FSB.

– Bierz kajet – rzucił Sasza – bo za godzinę przychodzi nocna zmiana. Podyktuję ci raport. – Podparł głowę rękami i wpatrzony w monitor, na którym właśnie pojawiła się wchodząca do mieszkania Zoja, zaczął: – Dzisiaj w obiekcie miała miejsce próba kradzieży samochodu figurantki Zoi Tokinej...

Zoja powiesiła w przedpokoju kurtkę, w której wciąż tkwił pakunek, zdjęła buty i poszła do łazienki umyć ręce. Tak jak zawsze po powrocie do mieszkania. Przeszła do pokoju przez kuchnię, włączając po drodze dzbanek elektryczny na wodę. Zasiadła w fotelu naprzeciwko telewizora plazmowego i zaczęła się zastanawiać, co powinna teraz zrobić. Doskonale wiedziała, że mieszkanie jest pod kontrolą, nawet przyzwyczaiła się już żyć z tą świadomością i nikotynowym smrodem zduszonych na talerzyku petów, które znajdowała co jakiś czas. Chwilami już nawet o tym zapomniała. Teraz jednak było inaczej. Bała się zrobić jakiś niewłaściwy ruch, cokolwiek, co mogłoby im się wydać choćby w najmniejszym stopniu podejrzanym. Ze wszystkich budzących wątpliwość gestów musiała natychmiast się tłumaczyć w willi z łuszczycą na Zamoskworieczju. Profilaktycznie, tak by już więcej ich nie wykonywała, i praktycznie – by poszła na współpracę i pomogła wyłowić Popowskiego.

Włączyła telewizor i zaczęła się zastanawiać, co powinna teraz zrobić. Zadzwoić do matki i opowiedzieć jej o włamaniu do samochodu? Do koleżanki? Szukać w internecie adresu warsztatu? Zadzwoić do ubezpieczyciela? Z kuchni dochodził szum gotującej się wody, ale Zoja nie kojarzyła tego dźwięku. Patrzyła w telewizor, w którym migały jakieś obrazy, kolory, postacie, ale cały czas widziała tylko wiszącą w przedpokoju kurtkę, może nawet czuła jej fizyczną obecność. Jakby był tam ktoś żywy, kto mógłby zniknąć, gdyby na niego spojrzała.

W końcu podjęła decyzję. Najpierw zrobiła sobie herbatę, po czym, wróciwszy na miejsce przed telewizorem, zadzwoniła do matki. W ciągu pięciu minut opowiedziała jej w szczegółach, co się

zdarzyło, nie zapominając o sąsiadce Wierze z ósmego piętra ani o tym, co zamierza zrobić następnego dnia, by naprawić szkodę. Kiedy odłożyła aparat, nie pamiętała już nawet, o czym właściwie rozmawiała.

Wstała z fotela, przeszła przez kuchnię do łazienki, rozebrała się, włożyła szlafrok i poszła do przedpokoju. Wzięła kurtkę za kołnierz, otworzyła szafę po drugiej stronie, wyjęła wieszak i powiesiwszy na nim kurtkę, schowała ją do szafy. Stała tak, by zasłonić sobą uchylone drzwi, i wsunęła rękę do kieszeni. Chwyciła pakunek całą dłonią, po czym miękkim, spokojnym ruchem wyjęła go i przeniósła do przepastnej kieszeni szlafroka. Jednocześnie drugą ręką wyciągnęła zielony płaszcz zimowy i przez chwilę mu się przyglądała, zanim powiesiła go na wieszaku. Potem ustawiła jeszcze pod nim wyjęte z szafy czarne botki.

Pakunek był w kieszeni szlafroka i Zoi wyraźnie ulżyło, choć wcale nie miała pewności, czy udało jej się przenieść go niepostrzeżenie. Było jasne, że im dłużej nie wie, co jest w środku, tym bardziej się denerwuje. I dopiero teraz przypomniała sobie słowa kobiety z windy – że nie może otwierać pakunku w domu. Zoi jednak przyszedł do głowy pewien pomysł. Chyba dobry.

Muszę sprawdzić... chociaż troszeczkę – pomyślała i zobaczyła, że na stoliku stoi nieruszona herbata. A przecież nigdy nie wstawała z fotela, dopóki jej nie wypić. Zdała sobie sprawę, że była o krok od popełnienia błędu. Wróciła więc na fotel i zaczęła spokojnie sączyć napój.

Później położyła się na łóżku zawinięta w szlafrok i przy zapalanej lampce czytała książkę, a właściwie udawała, że czyta. Liczyła, że w ten sposób uspi czujność obleśnych parafilistynów, jak ich nazywała w myślach. Po pół godzinie przewróciła się na bok, wolną ręką wyjęła od spodu pakunek z kieszeni i płynnym ruchem wsunęła go pod poduszkę.

Po omacku otworzyła pudełko i na wierzchu wyczuła kartkę papieru, a pod nią smartfon i zwinięte kabelki. Cały czas leżąc na boku z głową na poduszce, a w drugiej ręce trzymając rozłożoną

książkę, wyjęła kartkę i zostawiła ją pod poduszką. Odczekała jeszcze chwilę i położyła otwartą książkę grzbietem do góry na krawędzi poduszki, dokładnie nad kartką.

Poszła do łazienki i umyła zęby szczoteczką elektryczną. Zrobiła to pobieżnie, dwa razy szybciej niż zwykle. Do sypialni wróciła już w piżamie i wślizgnęła się pod kołdrę. Prawą ręką wzięła książkę, a lewą wymacała kartkę i płynnym ruchem wsunęła ją między kartki.

Położyła się na wznak. Odetchnęła głęboko i przytrzymując palcami kartkę, otworzyła książkę.

Czcionką Georgia, szesnastostopniową kursywą, napisano:

kod

0Kocham9Cię8Bardzo7I6Nigdy5Cię4Nie3Opuszczę2Twój1Michail.

Zapamiętałaś? :)

To teraz zniszcz tę kartkę. Reszty dowiesz się ze smartfonu. Do zobaczenia za chwilę. :)

Zoja ze zdumienia otworzyła usta. Już chciała powiedzieć na głos, że zapamiętała, ale w porę ugryzła się w język. Uśmiechnęła się niepewnie, delikatnie, bo dawno nic jej tak nie rozbawiło jak ten tajny kod do smartfonu, i dotarło do niej, jak bardzo kocha Miszę. Zawsze miał dystans do samego siebie, swojej pracy i poczucie humoru podszyte autoironią. Cechy ludzi inteligentnych – pomyślała i po raz pierwszy od kilku tygodni zrobiło jej się naprawdę miło.

Odłożyła książkę i uśmiechnęła się jeszcze raz, jawnie, szeroko, szczerze, jak tylko potrafiła, oczami i policzkami, całą twarzą, całą sobą, kobieco, namiętnie, tak by parafilistyni mogli to dostrzec i mieli się nad czym zastanawiać. Poczowała nawet wyraźną satysfakcję, bo uznała, że ten uśmiech będzie najlepszą zemstą, jaką mogła im zafundować.

Spojrzała na okładkę, z której patrzyło na nią wielkie chabrowe oko, a pod nim niebieskimi literami wypisany był tytuł – *Zanim*

zasnę.

Kurlandzki zadzwonił do jednego z „lojalnych” oficerów służb już o ósmej rano i oznajmił, że chce pilnie spotkać się z Waławem, i to w cztery oczy. Nie za dzień ani dwa, jak to często bywało, tylko natychmiast. W absolutnie bezpiecznym miejscu. Dorzucił, że sprawa ma wybuchowe znaczenie polityczne, po czym się wyłączył.

„Lojalny” pułkownik od razu poinformował Waławę, który właśnie kończył poranną toaletę i przed lustrem mył zęby szczoteczką elektryczną. Przytoczył dokładnie, słowo w słowo, co powiedział Kurlandzki, i dodał, że nie pamięta, by ten kiedykolwiek był tak zdenerwowany. Zaproponował też, że zajmie się zorganizowaniem spotkania w warunkach pełnego bezpieczeństwa, tak jak prosił „Sroka”.

Waław od razu wyczuł, że w powietrzu wisi coś wyjątkowego, co wkomponowuje się w historyczne wydarzenia, jakie wkrótce czekają Polskę. Że będzie to ten jedyny element puzzli, którego wprawdzie nie potrafił opisać, lecz którego brak wyczuwał całą swoją polityczną duszą. Pociągał już za większość sznurków, kontrolował bieg wydarzeń, kształtując je nawet bardziej, niż ktokolwiek przypuszczał, i to on kierował Tadeuszem, choć wszystkim się wydawało, że jest na odwrót.

– To jak powiedział? „Wybuchowe znaczenie”? – zapytał.

– Właśnie tak – odparł „lojalny”. – Może się szef spotkać u mnie w mieszkaniu. Będzie najbezpieczniej... w końcu jestem dyrektorem w ABW...

– Przywiezie pan go o... – Waław spojrział na zegarek – o dziesiątej... do Powsina.

– Ale ktoś może was zobaczyć. Jest pan znaną twarzą i „Sroka” też, więc...

– Niech pan robi, co mówię – przerwał mu Waław, który doskonale wiedział, że „lojalny” chciałby nagrać jego rozmowę z Kurlandzkim, i wcale go za to nie winił, ale nie miał też zamiaru mu tego ułatwiać. – Proszę mnie poinformować, kiedy będziecie gotowi. I niech się pan sprawdzi... nie chcę niespodzianek, a „Sroka” może nam wykreślić jakiś numer. Rozumie pan?

– Oczywiście, szefie – odparł „lojalny”, ale Waław już się wyłączył.

Przecież takie szmaty jak Kurlandzki zdolne są do wszystkiego, pierdolone polityczne dziwki, ale co zrobić, bez nich polityka nie byłaby lepsza – pomyślał Waław. A już na pewno byłaby nudna, przecież nawet Bóg ma w sobie trochę zła, więc co można powiedzieć o człowieku... Waław często tak myślał, ale siebie wyłączał z tej reguły.

Dopiero po chwili doszedł do wniosku, że powinien przeanalizować, w jakiej sprawie mógł dzwonić „Sroka”, i przygotować sobie schemat rozmowy. Z pewnością BOR szuka już podsłuchów w Pałacu. To było przecież najważniejsze zadanie Kurlandzkiego. Byłaby to rzeczywiście informacja wybuchowa, bo oznaczałaby, że w Gabinetach jest kret Bańkowskiego, a to mogłoby rozwalić całą budowaną z takim trudem strategię wyborów prezydenckich i Lucjan zostałby w domu.

„Godzina 9.15” – zabrzączał SMS od „lojalnego”.

Mówiłem mu, że o dziesiątej – pomyślał Waław, niezadowolony.

Spojrział na zegarek. Miał pół godziny. Postanowił odwołać kierowcę, który odbierał go regularnie o dziewiątej trzydzieści, i pojechać na spotkanie do Powsina własnym samochodem.

Wyjrzał przez okno. Nie padało. Na dole stał jego srebrny mercedes CLS i myślał, że się nim dzisiaj przejedzie, mile polechtała męskie ego Waława. Bardzo lubił prowadzić samochód, ale natłok

wydarzeń i niemal codzienne służbowe picie alkoholu sprawiły, że od co najmniej kilku miesięcy nie miał okazji go odpalić. Choć nigdy nie miewał problemów z alkoholem, był ostatnim człowiekiem w Polsce, który mógłby sobie pozwolić na utratę kontroli nad sobą, swoim otoczeniem czy na jakąkolwiek kolizję z prawem. Zbyt wiele teraz od niego zależało. Właśnie tworzył historię.

Włożył dzinsy i gruby granatowy sweter, sportową kurtkę, impregnowane trzewiki Road Grand. Na zegarze w przedpokoju była dziewiąta pięć. Wyłączył telefon komórkowy i położył go na stoliku w przedpokoju. Z szufladki wyjął cyfrowy dyktafon, sprawdził baterie, potem wziął ciemne okulary, które leżały obok, schował je do kieszeni, do drugiej wcisnął bejsbolówkę z logo NY. Zamknął za sobą drzwi i w ramach porannej gimnastyki zbiegł po schodach. Nigdy nie zjeżdżał windą, zawsze mogła się zaciąć.

O tej porze cały Wilanów i Konstancin ciągnęły ciasnymi rzędami samochodów, ale w przeciwną stronę, dlatego z centrum miasta do parku w Powsinie Waclaw dojechał, tak jak zaplanował, w ciągu dziesięciu minut.

Zaparkował na pustym niemal parkingu obok pętli autobusowej. Od razu zauważył służbowego passata, w którym siedział czterdziestoletni wysportowany pułkownik ABW i jego rówieśnik Kurlandzki, łysiejący pyknik w drogich okularach.

Dochodziła dziewiąta dwadzieścia. Waclaw włożył ciemne okulary, bejsbolówkę, włączył dyktafon w kieszonce na piersi, wysiadł i od razu ruszył w kierunku parku, dając tym samym znać „lojalnemu” i „Sroce”, by podążali za nim.

Było ponuro, szaro, pochmurnie, ale sucho i ciepło. Gdzieś w oddali majaczyły jakieś postacie – kobieta z wózkiem, biegacze, na ławce para emerytów z psem na smyczy.

Powitali się milczącym skinieniem głowy i mocnymi uściskami, które miały świadczyć o ich charakterach.

Pierwszy odezwał się Waclaw.

– Co się stało, panie Arku, że spotykamy się z samego rana? Zakładam, że to musiało się stać już wczoraj, więc dlaczego tak

późno? – próbował ustawić rozmówcę. – Chciał pan przemyśleć, co ma mi powiedzieć? – Poklepał Kurlandzkiego po ramieniu i uśmiechnął się. – Żartowałem, oczywiście – dorzucił, ale wcale tak nie było.

– Musimy porozmawiać w cztery oczy – zaczął Kurlandzki i spojrzał zza okularów na „lojalnego”. – Nooo... nie to... że nie mam zaufania do pana pułkownika, tylko taka jest materia sprawy, niestety. Taką mam dyspozycję.

– Dyspozycję? – zapytał Waclaw i wiedział już, że nie jest to sprawa podsłuchów w Pałacu, zresztą już wcześniej podejrzewał, że może chodzić o coś zupełnie innego, a słowo „dyspozycja” zabrzmiało nadzwyczaj intrygująco, bo wskazywało na osobę trzecią, niewątpliwie ważną. – Dobrze, rozumiem... – Spojrzał na pułkownika, który zrozumiał już, co ma robić, więc skwaszony odwrócił się i ruszył powoli przed siebie.

– Zatem tak... – zaczął niepewnie Kurlandzki. – Jest bardzo poważna sprawa, którą mają teraz na biurku na Miłobędzkiej... w Agencji Wywiadu.

Skierowali się w stronę amfiteatru. Waclaw ustawił rozmówcę po swojej lewej ręce, nie tylko po to, żeby nagranie było wyraźniejsze, ale przede wszystkim dlatego, że po prostu słyszał znacznie lepiej na lewe ucho. Nagranie, jak zwykł mawiać, to nie jest materiał dowodowy dla jakiegoś prokuratora czy sądu, to hak pomocny w późniejszej analizie albo weryfikacji źródła. Jednak o wiele bardziej liczyło się sprawne ucho, które pozwalało na bieżącą ocenę, a przede wszystkim – stawianie odpowiednich pytań w czasie rzeczywistym. Pierwsze wrażenie zawsze było dla niego najważniejsze i nigdy dotąd się nie pomylił.

– Czy ktoś panu wydał dyspozycję? W jakiej sprawie i jaką? – zaczął z wprawą byłego szefa ABW. – Agencja Wywiadu... a konkretnie? Szef?

– Właściwie... to nie jestem jeszcze upoważniony, by zdradzić, od kogo pochodzi informacja... – Kurlandzki wyraźnie unikał odpowiedzi wprost. – Rzecz w tym, że mój znajomy stawia pewne

warunki, zanim cokolwiek ujawni.

– Panie Arku, coś pan za bardzo kręci. – Waław od razu pomyślał, że sprawa musi mieć coś wspólnego z ostatnią informacją o Konradzie Wolskim. – Niech pan przejdzie do sedna, bo tracimy czas.

– Krótko mówiąc, mój znajomy z AW dysponuje pewnym dokumentem... Zaznaczam, że nie wiem, co to za dokument ani czego dotyczy...

– To jest ta dyspozycja? – ironicznie wciął się Waław. – Żartowałem... heheee... Niech pan jednak zacznie od tego, kim jest znajomy. To ktoś z kierownictwa?

– Powiedzmy – odparł Kurlandzki i już było jasne, że to rzeczywiście ktoś z kierownictwa. – Mój znajomy gotów jest w każdej chwili spotkać się z panem i osobiście przedstawić sprawę, ale domaga się wcześniejszych gwarancji.

– Jakich gwarancji, panie Arku? – zdziwił się Waław, intonacją trochę podkreślając napięcie. – Ja nie daję żadnych gwarancji, nie sprzedaję przecież butów. Mogę wyrazić co najwyżej wdzięczność, a to niemało. Ten pana znajomy zachowuje się jak dziecko, a nie szef z wywiadu. Muszę jednak wiedzieć, o co chodzi. Bo na razie to plecie pan coś trzy po trzy. – Przyjął postawę mentora, bo wiedział, że Kurlandzki ma słaby charakter i jeśli czuje but nad sobą, to można z niego wyciągnąć więcej, niż chciałby powiedzieć.

– No... chodzi o to, że mój znajomy w zamian za ten dowód lojalności chce mieć zagwarantowane stanowisko po ewentualnych wyborach.

– A jak przegramy?

– Nooo... właśnie uznaliśmy z moim znajomym, że chcemy pomóc wam wygrać.

– To się nazywa korupcja polityczna albo rzędy służb specjalnych, ale w tym wypadku brzmi rozsądnie, nawet patriotycznie.

– A to, co ma do zaoferowania znajomy, może zdecydować o waszej wygranej. Nawet nie może, zdecyduje. – Kurlandzki wyglądał na pewnego siebie. – Chociaż nie wiem, co to jest.

– A co z podsłuchami w Pałacu? – Waław niespodziewanie zmienił temat.

– Nic nowego. Cisza.

– To dobrze. – Przerwał, jakby się zamyślił, i po chwili dodał: – Proszę powiedzieć swojemu koledze z Miłobędzkiej, że się z nim spotkam i wtedy porozmawiamy o gwarancjach. Zawodowi szpiedzy powinni umieć rozgrywać takie partie. Niech będzie przygotowany do poważnej rozmowy, ale o negocjacjach może zapomnieć. Zrozumiał pan?

W rzeczywistości Waław gotów był negocjować wszystko, bo na tym polega polityka, ale szpiedzy, chociaż znają się na polityce, nie potrafią jej uprawiać. Znał całe kierownictwo Agencji i wiedział, jaki to materiał ludzki, taki jak cała partia Bańkowskiego. Mało tam lwów, a ich deficyt nie podnosi ceny szakali – powtarzał w duchu i nie mylił się.

Musiał postawić sprawę twardo. Wiedział, że Kurlandzki gotów jest sprzedać swoją wersję, byle tylko załapać się na jakąś synekurę. Teraz zrobił minę, jakby wiedział więcej, a nawet chciał pokazać, że jest rozgrywającym, ale wypadł głupio. Tacy nawet jak przegrają, sądzą, że wygrali, bo nie mają pojęcia, że przeciwnik od początku lepiej blefował.

Tak czy inaczej Waław czuł, że szykuje się coś nadzwyczajnego.

– To czekam na sygnał. Miejsce spotkania podam za pośrednictwem pułkownika – rzucił do Kurlandzkiego i ruszyli w stronę wyjścia.

Po drodze zadał mu jeszcze kilka pytań o sytuację w Pałacu i otoczeniu Bańkowskiego, ale nie dowiedział się niczego nowego. Trochę go to niepokoiło, bo miał coraz mniej świeżych informacji, na których mógł budować swój plan, a termin wyborów się zbliżał. Może dlatego tajemnicza sprawa z Miłobędzkiej wzbudziła w nim takie zainteresowanie.

Gdy dochodzili do parkingu, zaczęło mżyć. Przy samochodzie kręcił się pułkownik. Rozmawiał przez telefon, nerwowo paląc papierosa i wypuszczając kłęby dymu. Na ich widok szybko przerwał

połączenie i strzelił petem, który poszybował aż na jezdnię.

Jak tylko Kurlandzki wsiadł do samochodu, Wacław odprowadził „lojalnego” na bok.

– Ta informacja o pułkowniku Wolskim, którą przekazał mi pan kilka dni temu... Pamięta pan?

Pułkownik skinął głową.

– Niech pana ludzie zbiorą wszystko, co tylko uda im się ustalić na temat tej sprawy. I to jak najszybciej. To bardzo ważne – dokończył Wacław.

– On – pułkownik, nieco zdziwiony, wskazał głową w stronę samochodu – ma z tym coś...

– On? Nie... skądże znowu! Dawno miałem już to panu powiedzieć.

Z rękami założonymi za głowę Krugłow siedział w swoim zielonym fotelu i patrzył na bezkresny rosyjski krajobraz, który rozciągał się z jego okna na jedenastym piętrze siedziby SWZ w Jaseniewie. Bardzo lubił ten widok. W końcu szefowie rosyjskiego wywiadu mieli swój gabinet tak wysoko, a do tego wyposażony w największe okno w budynku, z jakiegoś konkretnego powodu. Ten daleki widok miał inspirować, pobudzać do refleksji, zmuszać do rozmyślań nad linią horyzontu i prognozą pogody na przyszłość. Powinien też uspokajać.

Ostatnim, który korzystał z tego gabinetu zgodnie z instrukcją, był generał Aleksander Lebiedz, od pewnego czasu odizolowany już w klinice FSB pod Moskwą od jakichkolwiek widoków na życie. Natomiast generał Krugłow był pierwszym szefem, który ten widok tylko lubił. Niestety, nie potrafił się nim zainspirować do głębszej samodzielnej analizy, mimo że za chwilę miał podjąć ważną decyzję.

Raport, który dostał kilka godzin wcześniej, był tak zagmatwany, a właściwie abstrakcyjny i pełen sprzeczności, że jego zrozumienie przekraczało zdolności Krugłowa.

Dobrze się stało, że Łopatin poleciał na kilka dni do Chin – pomyślał, obrócił się na fotelu w stronę biurka i popatrzył na raport. Mam czas, by rozwikłać tę zagadkę.

Wiedział jednak, że sam jej nie rozwikła, ale nie chciał dawać Łopatinowi okazji do narzucania sobie rozwiązań, na które nie miał potem wpływu. Poza tym Krugłowa zżerały coraz większe ambicje

i dlatego postanowił zredukować po cichu autorytarne zapędy szefa GRU na swoim terenie. Innymi słowy, uważał, że musi częściej stawiać Łopatina przed faktami dokonanymi. Mógł sobie przecież na to pozwolić.

Jak to mówił Lebedź? – zastanowił się Krugłow. Jak to... aaa... Jeżeli chcesz, żeby człowiek coś zrobił, nie trzeba go zmuszać, wystarczy mu ograniczyć możliwości wyboru. O! Fakty dokonane najlepiej określają możliwości wyboru. Taki mądry był Sasza, a poległ. Dzisiaj nie ma już miejsca dla takich naiwnych czekistów, bo mówić mądrze nie jest trudno, ale mądrze robić to dopiero sztuka! – rozmarzył się. Trzeba jednak wziąć tego Siemionowa... wprawdzie zwykły naczelnik, ale niegłupi, z dala od wszelkich towarzysztw, świeży na polskim poletku, nie ma nic wspólnego z „białą drużyną” ani tym bardziej nie doniesie siłowikom. Dostanie obietnicę wyjazdu do Tokio za rok i będzie jadł z ręki. A jak sytuacja niespodziewanie się zmieni, to pójdzie na karmę do zoo. W wywiadzie trzeba działać wielotorowo. Hm...

Wcisnął interkom i rzucił gromko:

– Naczelnik Siemionow do mnie!

W gabinecie naczelnika Wydziału Polskiego na drugim piętrze trwała właśnie narada kierownictwa, kiedy na biurku Siemionowa zadzwonił telefon i zapaliła się lampka z czerwonym napisem „Sekretariat”. Od niedawna we wszystkich telefonach służbowych w departamentach i wydziałach całego SWZ ten kolor i to słowo były zastrzeżone dla sekretariatu generała Krugłowa.

Siemionow podniósł słuchawkę.

– Podpułkownik Siemionow – zameldował się, starannie wymawiając swój stopień i nazwisko, i po kilku sekundach milczenia odłożył słuchawkę. – Towarzyszu Gribojedow – zwrócił się do swojego zastępcy – kontynuujcie. Idę do generała. – Wziął z biurka służbowy notatnik i niemal wybiegł z gabinetu.

Przejdźcie na jedenaste piętro, gdzie mieściły się gabinety szefów, nie było proste, przynajmniej nie dla wszystkich. Śluzy, windy,

bramki tworzyły spójny system bezpieczeństwa i identyfikacji. Każdy funkcjonariusz w zależności od zajmowanego stanowiska miał dostęp tylko tam, gdzie powinien. Siemionow mógł się dostać prawie wszędzie, chociaż były w budynku drzwi, które prowadziły na nieznane mu korytarze.

Do sekretariatu Krugłowa dotarł w ciągu pięciu minut. Sekretarka ruchem głowy wskazała na dwuskrzydłowe drzwi rozmiaru bramy miejskiej i jednocześnie oznajmiła przez interkom:

– Siemionow, towarzyszu generale.

Zapiął marynarkę, poprawił krawat i spoconą prawą dłonią chwycił zdobioną mosiężną klamkę. Dłonie zawsze mu się pocily, kiedy bez powodu wzywano go na jedenaste piętro, ale nie był to objaw strachu, lecz koncentracji, a może nawet ciekawości, o co może chodzić. Ostatnio jednak Siemionow przestał lubić niespodzianki.

– Melduję się, towarzyszu generale – wydeklamował w postawie służbowej, z notatnikiem w jednej dłoni i drugą przyklejoną do szwu spodni. Palcem wskazującym poprawił okulary.

– Proszę, proszę dalej, towarzyszu naczelniku. – Krugłow podniósł się ociężale zza biurka. Był bez marynarki i krawata. – Herbaty? – zapytał jakby od niechcienia.

– Nie, dziękuję.

Krugłow wziął z biurka jakiś papier, przeszedł przez cały gabinet i usiadł w jednym z klubowych foteli, dając Siemionowowi znak ręką, by zajął miejsce naprzeciwko.

– Od dłuższego czasu aplikujecie o wyjazd do Tokio, prawda? – zapytał.

– Tak jest, towarzyszu generale. Od trzech lat.

– Hm... – Krugłow zrobił minę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Tak... – przeciągał nieco naiwnie. – Tak... Hmmm...

Siemionow od razu zrozumiał, że Krugłow będzie czegoś od niego chciał i że na pewno nie jest to jakiś drobiazg, skoro podnosi sprawę jego rotacji, i to zaraz po tak spektakularnym mianowaniu go na naczelnika Wydziału Polskiego. Generał miał niewielkie

doświadczenie operacyjne i nie potrafił zagrać nawet takiej prostej roli. Siemionow pomyślał z ironią, że generał musi mieć głęboko ukryte jakieś inne talenty, skoro doszedł do takiego stanowiska. Więc czekał na ciąg dalszy, który z grubsza mógł już przewidzieć.

– W nocy przyszedł raport od zespołu realizacyjnego oddziału Gamma. Dotyczy spraw polskich i byłego naczelnika wydziału, więc musicie wiedzieć, co się dzieje. To w końcu wasz teren. Przeczytajcie to teraz spokojnie i za chwilę porozmawiamy.

– To może poproszę o herbatę – odezwał się Siemionow tonem klienta w kawiarni, ale Krugłow posłusznie skinął głową.

Raport podpisany kryptonimem „Zwierz” był wyjątkowo szczegółowy. Składał się z trzech części. W pierwszej autor skrupulatnie opisywał przygotowania do operacji. Część druga była znacznie krótsza, ale najważniejsza. W trzeciej „Zwierz” oceniał przeprowadzone działania, proponował dalsze kroki i prosił Centralę o szybką decyzję.

Krugłow nie odzywał się przez piętnaście minut, tylko ukradkiem obserwował Siemionowa, który co chwila poprawiał zsuwające się okulary na coraz bardziej pąsowej twarzy. Czytał trzykrotnie szybciej niż zwykły człowiek, więc część drugą przeczytał trzy razy, a trzecią dwa i miał teraz czas posiedzieć nad raportem dłużej i pomyśleć. W gruncie rzeczy czekał, aż Krugłow zapyta: „I co o tym sądzicie, towarzyszu naczelniku?”, a nie mógł odpowiedzieć, że nie wie. W tym jednak przypadku rzeczywiście nie wiedział, dlatego każda dodatkowa chwila do namysłu była bezcenna, chociaż zawsze mógł improwizować. Tak czy inaczej wszystko, o czym pisał „Zwierz”, było nie tylko zadziwiające, ale i niewytłumaczalne, a w wywiadzie takie sytuacje są najbardziej niebezpieczne.

– I co o tym sądzicie, towarzyszu naczelniku? – odezwał się w końcu Krugłow. – Wygląda na to, że straty agentury w Polsce będą tak duże, że trzeba będzie wydział rozwiązać i pojedziecie w końcu do tej wymarzonej Japonii. – Spojrzał spod krzaczastych brwi i niespodziewanie się roześmiał głębokim, chrapliwym głosem. – Heheee...

– Zdziwiająca – skomentował krótko Siemionow.

– To wiem i ja, więc...

– Wygląda to na jakąś prywatną akcję. Kto to są ten Wolski i Korska? Oficerowie polskiego wywiadu? To Popowski żyje? – Siemionow zadawał pytania, jakby zupełnie nie liczył się z sytuacją, w jakiej się znalazł, i błędnie zapytał o Popowskiego dopiero na końcu. Krugłow jednak tego nie wyłapał. – Myślałem, że został aresztowany... albo zaginął... – Siemionow trochę się gubił, bo właśnie do niego dotarło, że może być obiektem gry generała, a ten raport to fałszywka, która ma go sprowokować.

No bo po co jacyś Polacy mieliby ryzykować życie i prywatnie eksfiltrować ściganego oficera rosyjskiego wywiadu? Dla pieniędzy? Wątpliwe. Kto na świecie podjąłby się takiego zadania? To graniczyło z szaleństwem. Siemionow cały czas był niemal pewny, że Popowski żyje i ukrywa się gdzieś w Rosji, do czego zresztą był świetnie przygotowany. Jeśli jednak nie uciekł z kraju, prędzej czy później może wpaść. A wtedy wydobędą z niego, kto mu pomógł. Najdziwniejsze było jednak to, że Krugłow i Łopatin od początku wiedzieli, że Popowski zbiegł do Finlandii, skoro puścili tam za nim komando. Nie podjęto żadnych decyzji zabezpieczających aktywa ani nie wdrożono nadzwyczajnych procedur bezpieczeństwa dla oficerów w polskich rezydenturach. To wszystko nie trzyma się kupy – pomyślał niemal na głos Siemionow. Muszę teraz być kurewsko ostrożny.

– Na jakiej podstawie twierdzicie, że żyje? – niespodziewanie zapytał Krugłow.

– Ten raport... pośrednio...

– Nie ma żadnych dowodów bezpośrednich na to, że Popowski żyje i został wywieziony do Finlandii przez tych Polaków. Konrad Wolski i Michaił Popowski znali się bardzo dobrze. Spotykali się niejednemu raz. Opowiadał mi o tym kiedyś generał Lebedź. Są poważne przesłanki, by uznać, że Popowski został wywieziony przez tych dwoje Polaków do Finlandii, ale...

– ...polski wywiad nic o tym nie wie – dokończył Siemionow,

z trudem powstrzymując radość. – Czyli nie wie też żaden inny – dodał i zapytał: – Dlaczego to zrobili? Dla pieniędzy? Zostali za to zwolnieni z pracy? Bardzo dziwne to wszystko...

– A w depešach z Warszawy nie pojawiło się nic niezwykłego? – podsunął Krugłow.

– Nic nie zauważyłem, ani nikt z kierownictwa wydziału – odparł Siemionow. – Popowski znał z pewnością nazwiska wszystkich wartościowych źródeł agenturalnych i planowanych operacji.

– Z pewnością – powtórzył Krugłow. – Minęło kilka tygodni, więc gdyby Polacy wiedzieli o Popowskim, coś już by się ruszyło w terenie.

– Niekoniecznie. Wygląda na to, że Popowski jest w Finlandii, ale jeszcze się nie sprzedał. Wiedzę będzie sprzedawał powoli, po kawałku, a skoro nie ma żadnych dowodów na to, co mówi, Polacy będą musieli miesiącami sprawdzać, czy jego informacje są prawdziwe i czy warto za nie zapłacić. Możliwe, że trafi się tam jakiś tchórzliwy mądrała od rosyjskiego wywiadu, bo takich wszędzie pełno, i będą podejrzewać naszą inspirację. Czyli potrwa to jeszcze jakiś czas i nikt nie będzie się spieszył. Myślę, że Polacy... ci dwoje, którzy go wywieźli... chcą zarobić na tym interesie razem z Popowskim i będą się trzymać swojego planu, bo jeżeli nie dobiją targu, to pójdą siedzieć. Krótko mówiąc, nie mają dokąd się wycofać. Ukryli gdzieś Popowskiego, bo wszyscy dobrze wiedzą, że mu nie odpuścimy. Tak to widzę – zakończył Siemionow, całkiem zadowolony ze swojej improwizacji, tym bardziej że Krugłow słuchał z wyraźną uwagą i nie przerywał.

– A skąd przypuszczenie, że Popowski wciąż jest w Finlandii? – zapytał generał.

– Jeżeli to samowolka, to nie ma dokumentów. Jakikolwiek przemieszczanie się, zmiana miejsca pobytu, ruch zwiększają zagrożenie dekonspiracją, nawet przypadkową. Ci dwoje wiedzą, że Popowskiego będziemy teraz szukać nie tylko my. O taki brylant będą konkurować najlepsi. Jeśli Wolski i ta kobieta potrzebują czasu na finalizację planu, powinni siedzieć cicho.

– Aha... To brzmi logicznie... hm... – zadumał się Krugłow. – Pułkownik Wierny, naczelnik oddziału Gamma, też tak uważa, więc wydałem już zlecenie na monitoring satelitarny łączności między Finlandią i Polską. Powinno coś wyjść, jeżeli macie rację.

Siemionow poczuł się znacznie lepiej. Wyglądało na to, że nic mu nie grozi i niczym się nie zdradził. Krugłow sprawiał wrażenie nieco naiwnego, jakby szukał klucza do potwierdzenia swoich chaotycznych myśli. Ruchy jego rąk, spojrzenia, mimika wyraźnie świadczyły, że kupuje tę wersję jako swoją. Trochę go to nawet bawiło, bo sklecona pośpiesznie i napompowana na zamówienie historia miała mnóstwo dziur. Dwie kwestie nie dawały mu spokoju i burzyły logikę opisu.

Jest oczywiste, że Krugłow i Łopatin od początku wiedzieli, że to Polacy wywieźli Popowskiego do Finlandii, a mimo to nie zrobili nic, by zabezpieczyć wydział. Tego nie można wytłumaczyć niekompetencją czy nawet błędem, to było sprowadzenie śmiertelnego zagrożenia. Za coś takiego w każdym wywiadzie świata szef oddaje stanowisko, zastępcy – emeryturę, a reszta głowy. Chyba że... – pomyślał – ta sprawa to matrioszka, a ja robię za kozła, no i... dlaczego ten bałwan tak tanio kupuje moją wersję? A może jest na odwrót i to on próbuje mi coś sprzedać? Przez chwilę rozważał, czy nie powinien zapytać Krugłowa wprost i tym samym uciec do przodu, dać mu wyraźnie do zrozumienia, że nie jest aż tak naiwny, by nie wiedzieć, co się dzieje. Ale zaraz do niego dotarło, że oni też mogą to wiedzieć, więc nic nie zyska i lepiej zostawić sprawę w sferze niedomówień.

– Towarzyszu pułkowniku, proszę jak najszybciej przygotować plan działań zabezpieczających naszą agenturę w Polsce, a w szczególności poinformować wszystkich oficerów w terenie o stanie zagrożenia i podjęciu nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa. Zamrażamy kontakty z agenturą obsługiwaną z pozycji legalnej rezydentury... – Krugłow przerwał na moment i zmarszczył brwi, jakby chciał sobie coś przypomnieć. – Ilu ich tam mamy na kontakcie?

– Sprawdzonych agentów pierwszej kategorii pięciu, drugiej

dwóch, w opracowaniu czterech i we wstępnym rozpracowaniu sześciu – wyliczył Siemionow, choć nie był tego pewien.

– Wszyscy oficerowie naszych rezydentur mają natychmiast... jeszcze dzisiaj... – Krugłow policzył dni do powrotu Łopatina – podjąć działania operacyjne, by sprawdzić stan natężenia inwigilacji ze strony polskich służb. Każdy oficer ma ruszyć w teren na pozoracje. Oczekuję na raport wraz z całościową analizą operacyjną najpóźniej do jutra wieczorem. – Podniósł się na znak zakończenia rozmowy.

– Rozumiem, towarzyszu generale... – zaczął niepewnie Siemionow, wstając z fotela – że jeżeli Popowski przekazał dane agentury, to Polacy będą musieli rzucić wszystkie siły na nasze rezydentury i to wyjdzie w obserwacji? – zapytał na tyle enigmatycznie, by nie urazić generała i zarazem potwierdzić, czego on w rzeczywistości oczekuje.

– A wy myślicie, że co? – odburknął Krugłow. – Trzeba was jeszcze uczyć, towarzyszu pułkowniku? Aha... – Zatrzymał się. – Ile macie spraw stykowych?

– Jedną zaawansowaną, kryptonim „Ogar”, i jedną początkową, „Welon” – odparł wyprostowany Siemionow. – Obie prowadzi major Gribojedow... oficer wyjątkowo doświadczony w grach operacyjnych.

– Proszę wziąć dokumentację tych spraw, majora Gribojedowa i o dwunastej stawić się u mnie na naradę. Tylko żeby major był dobrze przygotowany...

– Zna sprawy na pamięć. Prowadzi je od początku i jest ich autorem.

– Będzie też generał Kożewkin... – Krugłow zawahał się, bo wciąż nie był pewny, co zrobić z generałem odpowiedzialnym za Biuro Europa, którego mianował jeszcze Lebieź. Po chwili jednak machnął ręką. – A o Tokio się nie martwicie, towarzyszu naczelniku. Będzie dobrze. – Uśmiechnął się zimno. – Pojedziecie na to swoje sushi.

– Tak jest! – odparł służbowo Siemionow i skierował się do

wyjścia.

„Będzie dobrze...” – pomyślał, naśladowując chrapliwy głos Krugłowa i zamykając za sobą wrota gabinetu. Tokio? Możesz sobie wsadzić w dupę całą Japonię i Kuryle, towarzyszu pułkowniku.

Rzucił spojrzeniem na wymalowaną sekretarkę.

Martw się, żebyś z tego całego burdelu żywy wyszedł. Ja pierdolę... Jakim trzeba być jebniętym generałem, żeby tak traktować oficera rosyjskiego wywiadu? Czy on myśli, że ja księżę Myszkin jestem? Ja pier...

Spojrzał na zegarek i przyspieszył. Za dwie godziny miał naradę, a nie znał jeszcze sprawy „Ogar”.

Dobrze zrobiłem, bardzo dobrze – pomyślał któryś już raz. Najważniejsze, żeby go nie dopadli...

33

Rano Zoja zadzwoniła do Grubera i poinformowała go, że poprzedniego wieczoru miała włamanie do samochodu i musi jechać do warsztatu, żeby wstawić szybę. Gruber oczywiście był niezadowolony i zaczął mrużyć coś w rosyjsko-niemieckim, ale była już do tego przyzwyczajona i pokazała mu środkowy palec.

Niemiec od ponad trzech tygodni miał jej wszystko za złe. Irytowały go wizyty smutnych facetów z FSB i najchętniej by ją zwolnił, gdyby nie oni właśnie, bo z niezrozumiałych dla niego powodów nalegali, by tego nie robił. Nawet nie wiedział, o co chodzi, i nie chciał wiedzieć. Tak jest łatwiej żyć Niemcowi w Moskwie – uważał i dał Zoi dzień wolny.

Skontaktowała się z serwisem Audi na Chimkach, podała numer nadwozia i numer rejestracyjny i umówiła się na wizytę o dziesiątej trzydzieści. Właściciele audi RS5 byli obsługiwani w pierwszej kolejności. Bez pośpiechu zjadła skromne śniadanie, wypła herbatę przed telewizorem i piętnaście po dziesiątej włożyła na różowy dres zieloną kurtkę puchówkę, a na głowę naciągnęła czerwoną czapkę z wielkim pomponem.

Smartfon włożyła do torebki, nie kryjąc się specjalnie, bo wczorajsze emocje nieco już opadły i zrozumiała, że samo urządzenie, bez kodu, nie jest szczególnie podejrzane. Po dobrze przespanej nocy nabrała więcej dystansu do sprawy i zrozumiała, że jedyne, co może teraz zrobić, by skryć się przed parafilistynami, to nie udawać, ale po prostu być sobą. Wiedziała, że wkrótce zobaczy

się z Michaiłem, i ta świadomość dodawała jej pewności siebie i odwagi. Po raz pierwszy od paru tygodni wstała pogodna, z optymizmem i energią witając nowy dzień. Nawet perspektywa wizyty w willi z łuszczycą na Zamoskworieczju nie mogła jej popsuć humoru.

Młody pracownik serwisu Audi w firmowym kombinezonie wziął od niej kluczyki, dokumenty samochodu i zaproponował kawę z automatu, a na koniec zapowiedział, że wstawienie potrwa około godziny. Zoja z kawy nie skorzystała, tylko usiadła na fotelu, wyjęła z torby książkę, założyła słuchawki i udawała, że czyta. Natomiast dwaj funkcjonariusze FSB, sprawdziwszy wcześniej damską toaletę, wzięli po kawie i z kubkami w dłoniach zasiedli rozluźnieni kilka metrów za figurantką.

Ze wzrokiem utkwionym w książce Zoja odczekała piętnaście minut. Ani razu nie spojrzała w kierunku parafilistynów, których zresztą już знаła. Nie czuła nawet ich pięknego wzroku, co dotąd wręcz ją paraliżowało. Co dziwniejsze, tym razem, wbrew ich aroganckiej i wyzywającej obecności, nabrała jeszcze większej pewności siebie i determinacji.

Podniosła się ociężale, odkładając książkę na stolik obok swojej torebki, i ruszyła w kierunku toalety. Tak jak się spodziewała, obaj funkcjonariusze również się podnieśli, ale usiedli z powrotem, jak tylko się zorientowali, dokąd idzie, i zauważyli, że zostawiła torebkę na stole.

Przekręciła zamek i sprawdziła, czy drzwi solidnie trzymają, bo już się zdarzyło, że parafilistyni z obserwacji złośliwie weszli za nią do toalety. Opuściła klapę, usiadła na sedesie i przełożyła słuchawki ze swojego telefonu do smartfonu. Włączyła go i po chwili na czerwonym okienku z napisem „Code” pojawił się pulsujący kursor. Zajęło jej to trochę czasu, ale wbiła hasło prawidłowo za pierwszym razem, chociaż drżały jej dłonie, nie tyle z powodu zagrożenia, ile na myśl o tym, co spodziewała się za chwilę zobaczyć.

Pojawiły się dwie ikonki. Michaił i Instrukcja. Dotknęła tej z napisem „Michaił”.

– *Witaj, kochana Zojeczko* – odezwał się z monitora uśmiechnięty Misza i pomachał jej ręką.

– Witaj, Miszka! – odparła szybko i w przyływie uczuć pocałowała smartfon. – Gdzie ty jesteś, do cholery...

Nie zdążyła dokończyć, bo ktoś zaczął gwałtownie szarpać za klamkę toalety. Wiedziała, kto to był, więc krzyknęła głośno:

– Pilnuj mojej torebki, palancie, bo jak zginie, to ci łeb urwą.

I intruz przestał.

Dopiero teraz sobie uzmysłowiła, że to przecież nagranie, a nie przekaz na żywo, więc cofnęła je do początku.

– *Witaj kochana Zojeczko, najdroższa. Tak, tak, to ja.* – Michał uśmiechał się i puścił do niej oko, a robił tak tylko wtedy, kiedy miał naprawdę dobry humor, i tylko ona o tym wiedziała. – *Jak widzisz, znalazłem sposób, by do ciebie dotrzeć, i obiecuję ci, że lada moment będziemy razem. Jestem bezpieczny, za granicą, ale dla ciebie będzie lepiej, jeżeli nie wyjawię jeszcze miejsca swojego pobytu. Dowiesz się wkrótce. Zaufaj mi. Ale najpierw musimy razem coś zrobić.*

Misza był spokojny, pogodny, nie udawał i Zoja widziała to doskonale, bo znała go na wskroś, może nawet lepiej niż on sam siebie – mimo że był świetnym oficerem wywiadu, to jej nie potrafił oszukać. Poczuła, że dzięki niemu nabiera siły i odwagi.

– *Przesyłam ci to nagranie, byś miała pewność, że za tym wszystkim stoję ja i nikt inny. Mówiłem ci wtedy, żebyś nikomu nie ufała. Ja wiem, że oni cały czas cię pilnują i inwigilują, nawet w domu i w pracy, więc wymyśliliśmy nowy sposób, który pozwoli nam bezpiecznie do ciebie dotrzeć. I jeśli mnie widzisz, to znaczy, że się udało. Na tym smartfonie, jak zauważyłaś, jest jeszcze druga ikona. Kryje się pod nią aplikacja wejścia do poczty internetowej, która posłuży nam do utrzymywania kontaktu. Pamiętaj jednak, by nie logować się w domu ani w pracy, ani w miejscach, gdzie już kiedyś się logowałaś. Do wysłania i odebrania poczty możesz wykorzystywać jeden adres tylko raz. Wiem, że rozumiesz, o co chodzi. Zojeczko... teraz najważniejsze, posłuchaj uważnie...*

Michał zawiesił na moment głos, jakby coś przeczuwał, i w tym samym momencie ktoś znów szarpnął za kłamekę.

Zoja wyłączyła smartfon. Uznała, że zajmuje toaletę już zbyt długo i nie powinna niepotrzebnie drażnić parafilistynów, szczególnie teraz, kiedy wszystko miało się zmienić i Misza przejął kontrolę nad sytuacją. Nie mogła jakimś głupim, niepotrzebnym ruchem zepsuć tego, co zaplanował. Najważniejsze – pomyślała, nawiązując do jego ostatnich słów – są teraz zimna krew i cierpliwość.

Niemal wysadziła drzwi toalety, pewna, że stoi za nimi człowiek z obserwacji, ale zobaczyła tylko odskakującą na bok przerażoną kobietę w firmowym kombinezonie i z mopem w ręce.

– Przepraszam – rzuciła zmieszana i wróciła na swój fotel.

Warwara Kuzniecka, wzięta malarka, zajmowała trzystumetrowe atelier na ostatnim piętrze siedmiopiętrowej stalinowskiej kamienicy w Lefortowie. Zoję znała od szkoły podstawowej. Była nie tylko jej przyjaciółką, ale także najlepszym doradcą, spowiednikiem, a ostatnio powiernicą.

Była też współpracownikiem FSB i chętnie przekazywała im wszystko, o czym mówi Zoja, a nawet o czym myśli. Przyjęła sugestię pani kapitan, że zagubionej i skrzywdzonej dziewczynie trzeba pomóc, a przy okazji zadbać też o bezpieczeństwo zagrożonej Rosji. Dlatego zgodziła się na założenie w swoim domu podsłuchów, włączanych – jak zapewniała pani kapitan – oczywiście tylko wtedy, kiedy zjawiała się Zoja.

Już po pierwszej rozmowie z funkcjonariuszką FSB Warwara przyznała się Zoi do propozycji współpracy z bezpieką i od tej pory obie traktowały spotkania przy herbacie jako doskonałą zabawę w teatr. Wyreżyserowane pod konkretnego odbiorcę inscenizacje sprawiały im najwięcej przyjemności, gdy herbata była wzmocniona odpowiednią dawką czerwonego wina.

Ledwie Warwara uchyliła drzwi, Zoja wtargnęła do środka, odpychając ją na bok i oznajmiając wymownie przez zaciśnięte zęby, że nie wytrzyma. Zrzuciła kurtkę na podłogę i stukając obcasami,

podreptała pospiesznie do toalety dla gości, gdzie nie było podsłuchu.

Usiadła na sedesie i włączyła nagranie od początku. Bardzo chciała znów zobaczyć Miszę, kiedy mówi do niej o miłości i szelmowsko puszcza oko. A poza tym musiała jeszcze raz wsłuchać się w jego słowa, wyczuć nastrój, emocje. Sprawdzić, czy aby na pewno wszystko dobrze zrozumiała.

– Zojeczko... teraz najważniejsze, posłuchaj uważnie... Prawdopodobnie w najbliższym czasie będziesz miała w domu nalot FSB i ludzi od nas... Ode mnie, kiedyś... z Jaseniewa. Zrobią przeszukanie bardzo dokładne, brutalne, może nawet będą rozbijać meble... Nie przejmuj się, i tak ich przecież nie zabierzesz ani nie sprzedasz przed wyjazdem... w końcu to tylko Ikea. – Pokręcił z ironią głową. – Podchodź do tego spokojnie. Będą szukać czegoś, co podobno zostawiłem w domu, ale ja nic nie zostawiłem, więc się nie bój. Nic nie znajdą. Dla mnie ważne jest jedynie, czy przyjdą i będą szukać. To mi wystarczy. Ale musisz mnie poinformować natychmiast, jak tylko będziesz całkowicie bezpieczna. Dokładnie to samo może zdarzyć się w mieszkaniu Warwary, ale wcześniej nic jej nie mów. O tym też musisz mnie natychmiast poinformować. Jeśli przeszukanie będzie u was obu, ważne jest, u której najpierw. Rozumiesz mnie, Zojeczko? Kiwnij głową, że tak. – Misza uśmiechnął się. – Wybacz mi, ale musimy przez to przejść, potem będzie już koniec i wkrótce się zobaczymy. Zapamiętałaś kobietę, która przekazała ci pakunek? Bądź uważna, ona skontaktuje się z tobą jeszcze raz. Wykonuj wszystkie jej polecenia, a będzie dobrze. Pod ikonką obok znajdziesz resztę ważnych informacji i instrukcję dalszego postępowania. Przeczytaj je jak najszybciej. Szczególnie ważna jest sprawa przesłania do mnie twojego zdjęcia paszportowego. To proste, ale zrób to szybko. Jeśli wydarzy się coś istotnego, to mów i pisz, ale bądź ostrożna. Kocham cię bardzo, Zojeczko. Do zobaczenia za kilka dni. – Michaił uśmiechnął się, pomachał ręką i znikł.

Zoja włożyła rękę do tylnej kieszeni obcisłych dżinsów i nie bez

trudu wyciągnęła z niej zmiętą karteczkę. Rozprasowała ją dłonią na kolanie. Widniał na niej numer telefonu.

Cały czas się zastanawiała, czy spotkanie w garażu z tajemniczym przyjacielem Miszy nie było prowokacją FSB, ale im dłużej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że jednak nie. Myślała nawet, że chcą w ten sposób ustalić, gdzie jest, ale w końcu uznała, że to nedorzeczne. Zresztą od tamtego zdarzenia aż do wczoraj nie zdarzyło się nic, co mogłoby wzbudzać podejrzenia.

A nawet gdyby chcieli mnie podejść, to Michaił będzie wiedział, co robić – pomyślała Zoja i dotknęła palcem drugiej ikonki, która rozdzieliła się na dwie kolejne: Tekst i Głos.

Kurlandzki zadzwonił jeszcze tego samego dnia.

Wacław postanowił wyłączyć „lojalnego” z łańcucha informacji, bo pułkownik zaczynał zbyt mocno interesować się sprawami, które nie powinny go obchodzić. Zadawał za dużo pytań i stawał się coraz bardziej wścibski. Wraz ze zbliżającymi się wyborami on i jego ludzie poczuli, że nadchodzi ich czas, więc przypominali o sobie, demonstrując swoją siłę. Wacław nie mógł jednak pozwolić, by kilku zachłannych naiwniaków z ABW zniweczyło jego dokonania, w które włożył wiele lat pracy.

Sprawa szefa z AW już z daleka pachniała wilgotnym dynamitem i dlatego umówił się z Kurlandzkim i jego znajomym bez pośrednictwa „lojalnych”. Przewornie nie podał miejsca spotkania, lecz tylko godzinę, chociaż lokal miał już wybrany.

Była to mała, nędzna restauracja Pod Brzozami w Miedzeszynie, gdzie na tanie pierogi i wódkę czasami wpadali jedynie okoliczni mieszkańcy, a inni tylko przez przypadek. Wacław znał ten lokal i jego właściciela Józefa Barana jeszcze z czasów, kiedy był szefem ABW. Wiedział o nim wszystko, ale najważniejsze było to, że lokal jest bezpieczny, poza zainteresowaniem operacyjnym ABW, policji czy innych służb. Zresztą ze swoim marnym wyglądem i mdłym jedzeniem nie mógł przyciągnąć niczyjej uwagi. Wacław miał takich miejsc w okolicach Warszawy kilka i wykorzystywał je na zmianę. Był w końcu postacią znaną z telewizji i musiał to uwzględnić. To miało być dopiero jego trzecie spotkanie w tym lokalu.

Dochodziła dwudziesta, kiedy na rogu Mozaikowej i Jaszczurczej zatrzymała się prywatna taksówka. Waław wybrał ją na postoju przy placu Zbawiciela. Nigdy nie zamawiał taksówki przez telefon, kiedy miał ważne spotkanie, które musiał ukryć. Włożył zamszowy kaszkiet i okulary w grubej oprawie. Było ciemno, kierowca wydał mu się mrukliwy, więc miał nadzieję, że nie rozpozna, kogo wiezie.

Wysiadł z samochodu i rozejrzał się. Z rzadka świeciły sodowe latarnie, było ponuro i pusto, ruszył więc spokojnie w kierunku Sielankowej, gdzie za rogiem mieściła się restauracja Pod Brzozami. Miał do przejścia sto pięćdziesiąt metrów.

W lokalu było niemal pusto, unosił się kwaśny zapach gotowanych pierogów, smażonej cebuli i smalcu. W pierwszej salce cztery stoliki, przyćmione światło, sztuczna palma w rogu, a naprzeciwko bufet ubogi w alkohole. Po lewej siedział zgarbiony mężczyzna w średnim wieku z dwójką kilkunastoletnich dzieci, w ciszy konsumując posiłek.

Waław podszedł do bufetu i zamówił setkę wódki oraz piwo. Józef Baran nawet nie zdążył zapytać, jakie piwo sobie życzy, bo Waław natychmiast się odwrócił i przeszedł do drugiej salki. Urządzona była nieudolnie w stylu rustykalnym z dodatkami orientalnymi, wyraźnie amatorskim wysiłkiem właściciela albo jego żony. Pod ścianami stały trzy stoliki, każdy ozdobiony wazonikiem ze sztucznymi nagietkami. Na ścianie wisiała duża makatka: kobieta stojąca przy kuchni i mężczyzna siedzący przy stole, a nad nimi kulfoniasty napis: „Moja żona gotuje smacznie, chwałę ją za to”.

Zanim usiadł, wyciągnął telefon i zadzwonił do Kurlandzkiego, który odebrał po pierwszym sygnale. Podał mu adres restauracji Pod Brzozami w Miedzeszynie i natychmiast się wyłączył. Dopiero teraz zdjął czapkę i kurtkę, a Józef Baran, ze stylowym stuknięciem w blat stołu, postawił przed nim dwie pięćdziesiątki wódki i piwo.

– Co tak zimno? – zapytał Waław. – Niech pan włączy tu jakieś ogrzewanie – dodał surowo.

– Się robi, oczywiście, szanowny panie – odparł gospodarz uprzejmie, chociaż ogrzewanie w tym pomieszczeniu było zepsute od trzech lat. Wiedział, że po setce wódki gość zmieni zdanie albo

zapomni, a może nawet poprosi o powtórkę.

Wacław wypił dwie wódki, popił piwem i rzeczywiście od razu poczuł uderzenie ciepła. Wyjął z kieszeni dyktafon, sprawdził poziom baterii i miejsce na karcie chip, włączył funkcję Recording i kiedy tylko się upewnił, że licznik ruszył, podłączył kabelek i wsunął go do brustaszy brązowej sztruksowej marynarki, którą wkładał jedynie z myślą o nagrywaniu rozmów.

Pierwszy wszedł Kurlandzki i jak tylko zobaczył Wacława, odwrócił się, dając jednocześnie znak głową. Po chwili w drzwiach pojawił się mężczyzna około pięćdziesiątki, średniego wzrostu, z wystającym brzuchem, w czapce z daszkiem i z silnym rumieniem na twarzy. Wacław znał tę twarz, ale nie pamiętał nazwiska.

– Pułkownik Marek Belik... Agencja Wywiadu – przedstawił się mężczyzna i wyciągnął rękę do siedzącego Wacława.

– Witam panów, siadajcie – odparł, nie podnosząc się z miejsca. – Zamawiacie coś? – zapytał na widok wchodzącego Józefa Barana.

– Ważne spotkanie, trzeba przełamać opory... wódeczka zawsze pomoże... – próbował naiwnie zagaić Kurlandzki, kładąc kurtkę na krześle.

Belik złożył zamówienie i przysiadł się do stolika, ale płaszcz nie zdjął.

– Przypominam sobie pana z czasów, gdy byłem szefem ABW... – z pozornym wahaniem zaczął Wacław. – Był pan kiedyś zastępcą w tym waszym tajnym wydziale... tak?

– Zgadza się – odparł Belik.

– A teraz... kim pan jest w Agencji? – Subtelną intonacją i serią pytań Wacław próbował nadać rozmowie odpowiednią atmosferę. Prosta, sprawdzona w praktyce, skuteczna metoda.

– Jestem... – Belik się zawahał – naczelnikiem Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

– Pełnomocnik?

– Tak.

– Cóż to za sprawa, panie pełnomocniku, z którą przychodzi pan do znieawidzonej opozycji? Zdaje pan sobie sprawę z okoliczności

i konsekwencji tego spotkania? Wprawdzie nie wiem jeszcze, z czym pan przyszedł – Waław uśmiechnął się ironicznie – ale sprawa już stała się polityczna... z oczywistymi konsekwencjami dla pana i tej osoby, która pana tu przysłała. Domyśla się pan, że premier Bańkowski nie byłby zadowolony, widząc nas razem w takiej podłej restauracji... o ile sam pana tu nie przysłał. – Waław pojechał nisko, wręcz brutalnie, ale inaczej nie mógł, jeśli chciał szybko coś osiągnąć.

Z góry zakładał, że Belik, Kurlandzki, „lojalny” i pewnie jeszcze kilku cwanych graczy coś sobie zaplanowało, każdy co innego, i przed wyborami będzie próbowało ustawić się na przyszłość. Waław wiedział lepiej niż inni, że w takim okresie bzdurne wydarzenie może dzięki mediom i cynicznym politykom urosnąć do rangi manifestu politycznego, w który ludzie uwierzą bez wahania, jakby to był przekaz jakiegoś mesjasza.

Wystarczy, że wierzą – uważał Waław, bo redukowaniem wiary do poziomu rzeczywistości zajmował się od ponad trzydziestu lat, więc właściwie mógł nawet uznać, że był to jego zawód.

– Słyszał pan o pułkowniku Wolskim? – zaczął Belik. – Z supertajnego Wydziału „Q”? To właśnie tam byłem kiedyś zastępcą...

– Słyszałem – przerwał mu Waław i poczuł nagły napływ krwi do twarzy, bo od początku przypuszczał, że sprawa musi dotyczyć Wolskiego.

Intuicja znów mnie nie zawiodła – pomyślał.

– Tak... pamiętam go – ciągnął nieco znudzonym głosem. – Sprawa tego polskiego terrorysty i akcja na promie. Kojarzę. Ale osobiście nigdy go nie spotkałem. A co z nim?

Belik przymknął na moment oczy, zaczerpnął głęboko powietrza i wcisnął głowę w postawiony kołnierz płaszcza. Waław pomyślał, że jak na oficera polskiego wywiadu gra słabo. Wyraźnie było widać, że przyjął rolę, która go przerasta, więc Waław postanowił czekać, bo było jasne, że Belik pogubi się jeszcze bardziej. A tylko na to czekał. Spojrzał na Kurlandzkiego, który grzebał w swoim

smartfonie, gdy Belik odezwał się ponownie.

– Po pierwsze... – zaczął, jakby wygłaszał kazanie – chciałbym dostać od pana gwarancję, że po wyborach zarówno ja, jak i szef Agencji pozostaniemy na stanowiskach. Po drugie, nie ujawni pan, od kogo uzyskał tę informację, i po trzecie, jej wykorzystanie będzie możliwe tylko za naszą zgodą. Co pan na to? – zakończył, patrząc w stół.

– Hm... – Wacław zmrużył oko i wydał policzki. – Nooo... nie wiem, na razie kupuję kota w worku. – Udawał, że się zastanawia, ale tak naprawdę miał ochotę wybuchnąć śmiechem.

Z takimi szefami wywiadu Polska sama się rozłoży – pomyślał.

– Konrad Wolski i ta jego kochanka Sara Korska są w posiadaniu wiedzy o sześciu rosyjskich agentach wpływu uplasowanych na najwyższych stanowiskach w Polsce... wśród polityków, dziennikarzy, biznesmenów...

Tego Wacław się nie spodziewał. Zakładał, że Wolski wplątany jest w jakieś sprawy wewnętrzne, korupcyjne. Poczł przyspieszone bicie serca i na moment pociemniało mu w oczach. Zaczł bardzo powoli nabierać powietrza przez nos, starając się nie poruszać przy tym nozdrzami. Na szczęście dobrze panował nad mikromimiką twarzy, ćwiczyl to od lat.

Spojrzał na Kurlandzkiego, który wciąż siedział ze smartfonem w dłoni. Miał rozdziawione usta i wpatrywał się w Belika. Wyglądał jak zdekonspirowany głupek i Wacław przez chwilę pomyślał z niepokojem, czy przypadkiem on sam też się w ten sposób nie zdekonspirował.

– To ciekawe... bardzo ciekawe... – z trudem wydobył z siebie kilka prostych słów. – Sześciu rosyjskich agentów wpływu... wśród polityków... dziennikarzy? – powtórzył za Belikiem. – Tak pan mówi? A kim oni są? Jakies nazwiska? Skąd ten Wolski wie to wszystko?

– No właśnie – ciągnął Belik. – Wolski twierdzi, że informacje uzyskał od byłego naczelnika Wydziału Polskiego SWZ, pułkownika Michaiła Popowskiego, który zbiegł z Rosji przy pomocy jego

i Korskiej, ale, jak utrzymują, nie chce przekazać nazwisk, bo swoją wiedzę traktuje jako polisę bezpieczeństwa i chce się ustawić finansowo. Akcję wywiezienia Popowskiego z Rosji przeprowadzili nielegalnie, bez jakiegokolwiek udziału Agencji. Niestety, nie wiemy, gdzie go ukrywają. Nie chcą tego powiedzieć...

– Panie Marku – przerwał mu Waław – czy pan wie, co mówi? Zdaje pan sobie sprawę z absurdalności tej opowieści? Dowody! Dowody! W takim stanie nawet Axel Springer tego nie weźmie...

– Dobrze! – rzucił hardo i trochę tajemniczo Belik. – W takim razie coś panu pokażę.

Sięgnął po torbę, którą cały czas trzymał pod stołem, i wyjął z niej tablet. Włączył go i podsunął Waławowi. Kurlandzki podciągnął krzeselko, by lepiej widzieć, ale i Waław, i Belik jakby tego nie zauważyli. Sprawa przybrała taki obrót, że było już za późno na wyłączenie Kurlandzkiego, i Waław doskonale to rozumiał. Nic nie mógł zrobić.

– Co to jest? – zapytał.

– Notatka Wolskiego i Korskiej w sprawie Popowskiego.

– Ale to jakieś zdjęcie...

– No właśnie. – Belik uśmiechnął się szyderczo. – Bo oryginał zatrzymał premier Bańkowski.

Waław i Kurlandzki pochyłili się nad świecącym ekranem tabletu.

Jagan siedział okrakiem na krzeselku i przyglądał się Doroninowi, który właśnie wrócił z toalety i zajął miejsce naprzeciw niego. Nie wyglądał dobrze, jedynie oczy mu błyszczały, pobudzone mieszanką alkoholową. W każdym razie się nie pocił i Jagan uznał to za obiecujący znak. Najważniejsze było jednak, że mówił jasno, reagował żywo i logicznie, co również mogło świadczyć, że kryzys ma już za sobą.

– To o czym chciałeś pogadać? – zapytał Jagan, zaciekawiony.

– Jesteśmy przyjaciółmi, prawdziwymi towarzyszami broni na dobre i na złe, prawda? – odparł Rudolf.

– No... chyba tak...

– Muszę ci coś powiedzieć, to ważne dla naszej misji. Świetnie się spisales na Kulosaari. Postępowałeś roztropnie i pomysłowo, dzięki temu osiągnęliśmy więcej, niż można było się spodziewać, i to dzięki twojej czystej improwizacji. I widzisz! – Rudolf uniósł brwi i pokiwał znacząco głową. – Nie musieliśmy nikogo zabijać. Wtedy przekonałem się ostatecznie, że wszystko, co o tobie opowiadają, że jakoby jesteś mordercą, to zwykłe bzdury. Postanowiłem ci zaufać, właściwie złożyć życie w twoje ręce, a dzisiejsza rozmowa jeszcze bardziej mnie utwierdziła w przekonaniu, że możesz być pierwszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. I że we dwóch dorwiemy tego Popowskiego.

Jagan spuścił wzrok, jakby się zawstydził. Zaczął się drapać po głowie, grzebiąc jednocześnie drugą ręką w kieszeni. Sprawiał

wrażenie speszzonego chłopca, który nie wie, jak się zachować. Jego ręce, pozbawione koordynacji i związku z myślą, poruszały się nieskładnie. Doronin natychmiast to wychwycił. Zachowanie Jagana nie miało nic wspólnego z mitem nieśmiertelnego żołnierza specnazu, zabójcy i robota. Zdemaskowany, był zwykłym, chwilami nieporadnym człowiekiem.

– Zauważyłeś pewnie, że od dwóch dni źle się czuję...

Jagan podniósł głowę i zamarł, bo właśnie chciał zapytać Rudolfa, jak mu pomóc, co będzie dalej z ich misją. Już wcześniej odniósł wrażenie, że Doronin czyta w jego myślach, jakby z każdym wypowiedzianym słowem wyprzedzał to, co on sam zamierzał powiedzieć. Jakby siedział mu w głowie. Dotąd to on, Jagan, potrafił przewidzieć przyszłość i los innych ludzi. Teraz, po tym wieczornym spotkaniu, kiedy zrozumiał, że ma prawdziwego przyjaciela, gotów był zrobić dla niego wszystko.

– Chciałbym, żebyś mi pomógł – ciągnął Rudolf.

– Właśnie miałem zamiar cię zapytać...

– Wcale nie jestem chory na malarię.

– Tak myślałem...

– Mam silną depresję – przerwał mu Doronin. – I poważne problemy psychiczne. Biorę prozac, a wcześniej brałem też amfetaminę i kokę. Wszystko to razem porządnie wyprało mi wnętrze. Taka robota, brachu...

Urwał na chwilę i zamyślił się, a Jagan ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Podczas akcji na Kulosaari – ciągnął kapitan – przedawkowałem prozac i zużyłem cały zapas, jaki miałem. Teraz mam odbicie, które tak się objawia. Nie sądziłem, że zejdzie nam tutaj tyle czasu... Krótko mówiąc, potrzebuję prozacu albo amfetaminy... i to pilnie. W Moskwie oczywiście nikt nie wie o moich problemach.

– To co? – zapytał niepewnie Jagan. – Jesteś psychiczny?

– Tak jak ty, tylko inaczej – odparł Rudolf ze smutnym uśmiechem.

– Dlatego się rozumiemy. Taką mamy robotę, że nawet nie wiemy,

kiedy przechodzimy do świata świrów. Czysta adrenalina powoduje, że popadamy w stany schizofreniczne, paranoidalne czy co tam jeszcze. Więc ja jestem jak jakiś schizofrenik, a ty paranoik. – Tym razem uśmiechnął się pogodniej. – Najważniejsze, że o tym wiemy, co odróżnia nas od prawdziwych świrów.

– Rozumiem. – Szczerze mówiąc, Jagan nie rozumiał, ale ufał, że Rudolf mówi prawdę. – Czyli potrzebujesz tego lekarstwa, tak?

– Albo amfy. A sam tego tutaj nie zdobędę i wiesz, jakie to ryzyko dla naszej misji.

– Nooo... wiem...

– Pomożesz mi?

– Pewnie! – zdecydowanie rzucił Jagan. – Co mam robić?

Doronin nie zdążył odpowiedzieć, bo w pokoju rozległ się dwukrotnie dźwięk podobny do gwizdu świstaka. Komputer oznajmił, że przyszła wiadomość.

– W Moskwie jest siedem po północy – rzucił szybko nieco zdziwiony Jagan i obaj ruszyli w kierunku stolika, na którym leżał laptop.

Rudolf podciągnął krzeselko, usiadł, podniósł wieko i ekran rozjaśnił się seledynowym światłem. Pojawił się na nim ściśnięty ciąg cyfr i znaków. Jagan stanął za plecami Doronina i obserwował, jak jego palce płynnie pracują na klawiaturze. Spojrzał na ekran, który po chwili zaczął pulsować, by zmienić kolor na czerwony. Dopiero teraz mogli odczytać tekst.

– Nareszcie! – pierwszy skomentował Jagan.

– Wygląda na to, że mamy go – dodał Rudolf, zadowolony.

– Wreszcie coś konkretnego, ale nie byłbym taki pewny.

– To przecież Michaił Popowski. Dorwiemy go. Bez obaw, Andriusza – stwierdził twardym głosem Doronin.

Jagan spojrział na niego z niedowierzaniem. Tknęła go przesadna pewność siebie kapitana, tym bardziej że w takim stanie, bez lekarstwa, bez narkotyków, na niewiele mógł się przydać i powinien zdawać sobie z tego sprawę. W końcu był psem gończym rosyjskiego wywiadu.

Chorąży Trubow postanowił wziąć całą operację na siebie i pomóc swojemu nowemu, a właściwie pierwszemu przyjacielowi.

Dochodziła dwudziesta pierwsza, kiedy Konrad i Sara wyszli z supermarketu Tesco na Kabatach. Chcieli jeszcze przespacerować się przed snem i spokojnie porozmawiać.

Konrada martwiło, że Lutek, od którego działań w Moskwie zależało powodzenie całej operacji, po raz pierwszy uzewnętrzniał swoje emocje. Nigdy taki nie był, wprost przeciwnie. Milcząca sylwetka z rękami skrzyżowanymi na piersi, wpatrzona w widok za oknem, zawsze dodawała im otuchy. Gdyby stało się coś złego, z czym nie potrafiliby dać sobie rady, to wtedy mogliby liczyć na Lutka, który na pewno czuwałby gdzieś w pobliżu. Jego tajemnica miała dla nich znaczenie mistyczne.

Jednak zachowanie Lutka przed wyjazdem do Rosji odbiegało od normy. Konrad, który znał go lepiej niż inni, dostrzegał to najwyraźniej. Wiedział, że Lutek gotów jest do wielkich poświęceń i liczy się z tym, że kiedyś może zapłacić najwyższą cenę, jeśli zajdzie taka potrzeba. Mimo to potrafił doskonale kontrolować swoje emocje i nimi sterować, a jego barometr strachu działał idealnie. Dlatego nigdy nie przegrał. Ale tym razem wydawało się, że zaczyna się bać i nie potrafi sobie z tym poradzić.

Zbliżali się do ulicy Polnej Róży, kiedy pierwsza odezwała się Sara.

– Myślę cały czas o Lutku i Ewie. Lutek był ostatnio bardzo zdenerwowany.

Konrad stanął w miejscu i zaskoczony spojrzął na Sarę, która

wciąż szła i mówiła jakby sama do siebie.

– Nigdy go takiego nie widziałam przed robotą. Przeciwnie... zawsze stawał się wtedy jeszcze bardziej opanowany... bo ja wiem... zdyscyplinowany...

– Niesamowite! – rzucił głośno i dopiero teraz Sara zauważyła, że idzie sama.

– Dlaczego stoisz?

– Dokładnie o tym samym myślałem. Niepokoi mnie, skąd u niego...

– Powinieneś to rozumieć lepiej niż ja – przerwała mu Sara. – To oczywiste. Przecież pojechał z Ewą. Uczucia, drogi Radecku, uczucia. Nie ma mocnych, nawet Lutek nie da rady. – Uśmiechnęła się. – Ale miłość może wyzwolić w człowieku boską moc i jakoś jestem pewna, że tak będzie i tym razem. Lutek nie wtopi, on wykrzesze z siebie jeszcze jednego Lutka... do kwadratu. Jestem pewna – powtórzyła.

– Chyba masz rację – odparł Konrad i ruszył za nią.

– Chyba? – zdumiała się Sara i pokręciła głową ni to z niedowierzaniem, ni to z politowaniem.

Konrad wyglądał groteskowo z torbami pełnymi warzyw, pieczywa i nabiału i z nierozstrzygniętym dylematem moralnym.

Minęli Polnej Róży i weszli w wąski pieszy odcinek między niskimi blokami, po lewej zamknięty stalowym płotkiem i gołymi drzewami, po prawej – murkiem z białej cegły odgradzającym przydomowe ogródki.

Noc była ciemna, bezwietrzna. Temperatura plus pięć. Słabo oświetlone puste uliczki potęgowały przygnębiającą atmosferę, więc znowu zamilkli. To był czas czekania, najtrudniejszy moment operacji, i cisza była najlepszym sposobem na przetrwanie. Bywało, że jedno nieodpowiednie słowo wyzwalalo erupcję emocji, która mogła zniszczyć nie tylko przyjaźń.

Sara szła kilka kroków z przodu, powoli, noga za nogą, z postawionym kołnierzem zielonej kurtki, w wełnianej czapce indiańskiej i z rękami w kieszeniach. Wpatrzona w chodnik,

sprawiała wrażenie zatopionej w myślach, jakby wyalienowanej z szarego pejzażu Kabat albo po prostu zmęczonej.

Konrad posuwał się za nią w tym samym tempie.

Do ulicy Pod Lipą zostało kilkanaście metrów, widać już było zaparkowane samochody, gdy nagle Konrad wyczuł za plecami czyjąś obecność.

Pojawili się niespodziewanie. Doskonale znał to uczucie, miał je niemal w genach. W ułamkach sekund dokonywał oceny sytuacji, jakby jego umysł działał jak sonar. Nie musiał się odwracać, był pewien, że pojawiło się zagrożenie. Zbliżało się coraz szybciej i wiedział, że nie są to amatorzy.

Zatrzymał się. Sara również, jakby wyczuła dokładnie to samo. Wyjęła ręce z kieszeni, nie odwróciła się, czekała. Ci z tyłu też się zatrzymali. W tym samym momencie u wylotu uliczki, kilkanaście metrów przed nimi, pojawiły się dwie postacie. Mężczyźni w ciemnych ubraniach i w kominiarkach na twarzach zablokowali przejście.

Konrad pomyślał instynktownie, że musi bronić Sary. Puścił torby i już miał zrobić pierwszy krok w jej stronę, wychylił się w przód, ale nie zdążył się odwrócić, bo potężne uderzenie w plecy powaliło go na ziemię. Na chwilę zrobiło mu się ciemno w oczach, ale nie poczuł bólu, jedynie paniczny strach o Sarę i złość z powodu własnej bezsilności. Nie mógł sobie darować, że dał się zaskoczyć. Już chciał się podnieść, klęknął, gdy kilka potężnych uderzeń i kopniaków, niczym lawina głazów, znów przygniotło go do ziemi.

Słyszał jakby z oddali stłumiony krzyk Sary, ale nie potrafił się zorientować, skąd dochodzi. Na pewno nie był to głos bólu wzywający pomocy, tylko skowyt wściekłości.

Nagle przestali go kopać.

Mimo ostrego bólu twarzy i pleców Konrad podniósł się dość szybko. Otarł dłonią bolący nos i poczuł, że rozmazuje po twarzy ciepłą krew. Dopiero teraz dostrzegł wszystkich zamaskowanych mężczyzn. Było ich pięciu, stali rozrzućeni w wachlarz, jak do ustawki.

Najpierw spojrział w stronę Sary. Jeden z napastników trzymał ją od tyłu, zaciskając ramieniem szyję. W jego drugiej ręce połyskiwał nóż przystawiony do policzka. Sara bezskutecznie próbowała walczyć z przewyższającym ją o głowę osiłkiem i coś krzyczeć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Bandzior był fachowcem.

Czterej pozostali otoczyli Konrada, potrząsając kijami bejsbolowymi, jakby mieli zaraz rozpocząć drugą połowę meczu.

– Puść ją! – krzyknął Konrad i ruszył w stronę osiłka.

– Posłuchaj uważnie, skurwysynu – odezwał się ochrypłym głosem zamaskowany mężczyzna z prawej i zagroził mu drogę kijem. – To była tylko rozgrzewka. Następnym razem rozpiardolimy was na drobne kawałki, a tę pizdę rozplątamy jak ropuchę od dołu do góry. – Przyłożył kij do twarzy Konrada. – Zamknijcie te swoje śmierdzące ryje albo wypierdalajcie z Polski. Nie ma tu dla ciebie miejsca, komuchu, ani dla ciebie, czerwona pizdo. – Wskazał kijem na Sarę. – Dotarło? Zrozumiałeś przekaz, chuju jeden? Macie przejebane... przejebane na całego.

Konrad nie zareagował. Mężczyzna powoli odsunął kij sprzed jego twarzy, odchylił się do tyłu i złożył w pozycji, jakby chciał go uderzyć. Ale Konrad stał wyprostowany i patrzył na oczy w otworach czarnej kominiarki.

Chwilę wcześniej, gdy poczuł pierwsze uderzenie w plecy, wiedział już, co się dzieje. Od jakiegoś czasu liczył się z tym, że może być celem ataku, choć nie mówił o tym Sarze. Ale ten napad był dla niego zaskoczeniem.

Od razu zauważył, że to wynajęci kibole. Wyuczyli się frazy, którą wypełnili własnym słowotokiem. Ochrypły głos tylko pozornie przemawiał we własnym imieniu.

Jagan potrzebował zaledwie dwóch godzin, by zdobyć w Helsinkach amfetaminę. I nie wydał na nią ani centa.

Moskwa ma dziewięć dużych dworców kolejowych połączonych liniami metra, a każdy z nich jest jak słońce tajemniczej galaktyki, wokół której krążą nędzarskie światy pełne patologii i zła, niedostępne dla zwykłych śmiertelników, lecz żyjące z nimi w idealnej biocenozie. Światy, w których nie ma dni ani nocy, nie ma świąt, nie ma kalendarza ani czasu, nie ma prawa ani religii, są za to drobni handlarze suszonych ryb, przestępcy, dziwki, żebracy, bezdomni, biezprizorni i najgorsi ze wszystkich – siedzący w kucki imigranci. Spoiwem tych światów są narkotyki, alkohol i podróźni, którzy jak nawóz użyźniają dworcową glebę.

Tak jest prawie wszędzie na ziemskim globie, ale najgorzej – w okolicy stacji Sierp i Młot na linii elektryczki w kierunku Pietuszek. W każdym razie tak uważał Jagan, który kiedyś z przyjemnością toczył tam walki z narkotykowymi gangami.

Znał ten świat dobrze, bo dużo podróżował i bardzo lubił Koleje Rosyjskie, które łączą dwa końce jego ukochanej ojczyzny – od Kaliningradu do Władywostoku – nieprzypadkowo tworząc najdłuższą linię na świecie. Dlatego nienawidził całej tej patologii, która obsiadła rosyjskie dworce, stwarzając zagrożenie dla porządných obywateli. Czasami myślał nawet, żeby osobiście zająć się tym problemem, ale uznał, że od zamachów terrorystycznych w moskiewskim metrze i na lotnisku Domodiedowo robią to całkiem

sprawnie chłopcy z FSB, więc chwilowo odpuścił.

Najważniejsze było teraz zdobycie amfetaminy, która siłą rzeczy, jak we wszystkich cywilizowanych krajach, powinna być dostępna w okolicach dworca. A w Helsinkach był tylko jeden dworzec, więc Jagan nie miał żadnego wyboru. I dobrze – pomyślał – bo prawdopodobieństwo zdobycia towaru jest jak jeden do jednego.

Dochodziła północ. Szedł szybkim krokiem przez opustoszałe ulice dzielnicy Lapinlahden Puisto, mijając ściśnięte gęsto kamienice sprzed wojny. Był tak przejęty, że chwilami zaczynał podbiegać i pewnie puściłby się sprintem, gdyby nie status złodzieja, na jaki by się wówczas naraził. Tym bardziej że za pasek miał wetknięty pistolet Giurza.

Równo godzinę wcześniej zrozumiał, że zdobycie amfetaminy dla Rudolfa jest może nie najtrudniejszym, ale na pewno najważniejszym zadaniem, jakie przyszło mu wykonać, kiedykolwiek i gdziekolwiek, i to po raz pierwszy, i właśnie dlatego był tak zdenerwowany. Jeszcze nigdy się tak nie czuł i trochę tego wszystkiego nie rozumiał. Fakty nie pasowały mu do ustalonego obrazu życia. A jednak nie był tym jakoś szczególnie zaniepokojony.

Dotąd uważał narkotyki za zło powszechne, które trzeba tępić jak terrorystów, bandytów i prostytutkę, a teraz, niemal wbrew sobie, biegł w nocy po amfetaminę dla człowieka, na którym zależało mu, jakby w jego ciele ożyła „piątka” z pomnika na cmentarzu Wwiedieskoje. Już samo to było niezrozumiałe, bo kimże w końcu jest narkoman Rudolf Doronin, który przed chwilą stał się jego pierwszym przyjacielem?

Musiał jak najszybciej postawić go na nogi, bo rano powinni ruszyć w drogę. Wiedzieli już, gdzie się ukrywa Michaił Popowski, i odkąd dostali wiadomość z Moskwy, nie mogło być nic ważniejszego niż go dopaść, jakby los samej świętej Rusi od tego zależał. Czyli amfetamina nie musi być zła – kalkulował ryzykownie Jagan.

Zatrzymał się przed monumentalną półokrągłą fasadą z białoróżowego granitu, ozdobioną zegarem i czterema wielkimi

gotyckimi postaciami dzierżącymi świecące kule. Pomyślał, że wyglądają jak piłkarze i zupełnie nie pasują na ozdobę dworca. Nie podobały mu się te rzeźby, bo nie lubił sportu, uważał, że to walka dla mięczaków i leni, strata czasu i sił witalnych narodu.

Bez najmniejszych wątpliwości był to dworzec Helsinki Centralne, chociaż nie było na nim żadnego napisu, który mógł o tym świadczyć. Jagan trafił bezbłędnie, nie musiał nawet sprawdzać w internecie, wystarczył mu rzut oka na plan miasta. I naturalny kompas.

Rozejrzał się uważnie w poszukiwaniu dilerów narkotykowych albo jakiegokolwiek innego elementu spokrewnionego z handlarzami, ale nie dostrzegł nikogo, kto mógł chociaż z daleka przypominać rosyjskiego dilera. Otoczenie helsińskiego dworca w niczym nie przypominało stacji Sierp i Młot. Stało tu sporo zaparkowanych samochodów, lecz poza tym było pusto i tylko gdzieś w oddali przesuwały się pojedyncze ludzkie cienie. Jagan doszedł do wniosku, że w takim porąbanym kraju jak Finlandia dilerzy nie będą stać przed dworcem i że powinien ich poszukać w odludnych ciemnych zakamarkach gdzieś na tyłach albo w jakiejś opuszczonej ruderze. W Moskwie zawsze można było znaleźć takie miejsca.

Po prawej stronie rozciągał się oświetlony plac, więc Jagan ruszył w lewo przez parking, w ciemną perspektywę między ulicą a boczną ścianą dworca, przekonany, że tam właśnie znajdzie potrzebnych mu ludzi.

Przeszedł nieco ponad trzysta metrów i po kilku minutach dotarł na otwartą przestrzeń, która wyglądała jak stepowy parking. Trochę drzew, krzaków, maszyn budowlanych, niedokończona rozbiórka, przyzma gruzu, jakieś rusztowania i wykopy. Sporo zaparkowanych samochodów, spalony wrak, a w oddali kilka autobusów, kamionetek i ciężarówek.

Jagan przystanął, zamknął oczy i zaciągnął się rześkim nocnym powietrzem, aż zaskrzypiały mu płuca. Wstrzymał oddech i od razu poczuł, że trafił idealnie w klimaty z okolic stacji Sierp i Młot. Chociaż nigdy nie kupował narkotyków i miał na rękach trochę krwi

z dilerskich nosów, to ludzką stęchlizną i kurewstwo wyczuwał na odległość.

Przeszedł przez parking i ze zdumieniem zauważył, że sporo samochodów jest na rosyjskich numerach z Karelii i Petersburga, trochę na estońskich i łotewskich. W większości ich stan i marki wskazywały, że musiały już mieć po kilku właścicieli, ale stały też dwa nowe SUV-y Porsche i biały mercedes C.

Po drugiej stronie parkingu, na jego skraju, Jagan zauważył jakiś ruch. Pochylił się natychmiast, by nie wystawać ponad dachy samochodów, i wyciągnął lornetkę. Przesunął się bliżej, żeby mieć lepszy widok. Przyklęknął i zaczął obserwować.

– Bingo! Nasi! – wyszeptał bez specjalnego zdziwienia. – Sierp i Młot jak żywy. Dwie dziwki i trzech alfonsów, jeden oczywiście czarny, i piją. Co za gówno jakieś... – powiedział na głos. – Żeby tak Rosję hańbić za granicą! Dobrze, że jest noc.

Schował lornetkę, nasadą dłoni mocno docisnął giurzę pod kurtką, żeby mu się nie wysunęła, i ruszył prosto w kierunku grupki.

– *Priwiet, riebiata* – zaczął grzecznie po rosyjsku.

– *Priwiet* – odparła z szerokim uśmiechem niższa i grubsza z kobiet, w opiętej skórzanej spódniczce mini.

– Można się przyłączyć? – zapytał trochę bez sensu.

– Skąd tyś się urwał? – rzucił dwumetrowy łysielec z byczym karkiem.

– Towarzystwa szukam na noc. Widzę, że dobrze trafiłem... na rodaków... i piękne rodaczki.

– Może i dobrze... – odezwał się z kaukaskim akcentem ten czarny.

– Wódeczki nie macie? Albo czegoś ekstra na dobre samopoczucie? – ciągnął Jagan. – Napiłbym się w miłym towarzystwie. Spragniony człowiek taki chodzi po nocy.

– Może by się coś znalazło – odparł trzeci, zczesany do tyłu. – A pieniądze masz?

– Mam.

– Czyli chcesz nam postawić? – Byczy kark wybuchnął śmiechem,

ale nikt nie poszedł za jego przykładem. – O tej porze... – wyduł grube usta – flaszka... jak dla rodaka... pięćdziesiąt euro. Ale musisz wziąć od razu dwie, za sto pięćdziesiąt, i pięćdziesiąt za towarzystwo pań... razem dwieście pięćdziesiąt.

– Jak ty liczysz, przyjacielu? – zdziwił się Jagan.

– To chcesz się napić w towarzystwie rodaków czy nie? – niby to żartem obruszył się zaczesany. – Po coś przylazł?

– Nooo... chcę... ale...

– Dawaj kasę i pokaż paszport, czyś nie tajniak jakiś z *poliisi*, albo spierdalaj...

– Wyglądam na Fińczyka? – rzucił pewnym siebie głosem Jagan.

– Wyglądasz jak chuj – skwitował ten czarny z kaukaskim akcentem. – I nie podobasz mi się.

– Kasa jest! – Jagan wyciągnął plik banknotów, a w drugiej dłoni uniósł swój łotewski paszport. – A to paszport.

– Chodź tu! – rzucił byczy kark. – Pokaż!

Jagan podszedł kilka kroków, ale zatrzymał się w bezpiecznej odległości. W rękach trzymał paszport i pieniądze, a pod kurtką ukrywał pistolet, więc miał ograniczone pole ruchu. Nie mógł dopuścić, by ten z byczym karkiem za bardzo się zbliżył, bo wprawdzie taka góra mięsa z pewnością nie miała w sobie za grosz finezji ani lekkości, ale jednym celnym ciosem potrafiłaby wyłączyć go z walki na jakiś czas. Potem uderzenia z boku i z tyłu, wymierzone przez dwóch pozostałych, ani chybi zakończyłyby potyczkę na amen. Nie zdążyłby nawet użyć giurzy.

Na szczęście byczy kark był mocno pijany. Kiedy Jagan podszedł bliżej, dostrzegł to natychmiast w jego mętnych oczach. Opóźniony czas reakcji, zaburzona koordynacja i podrażniony błędnik czyniły z niego łatwy cel. Należało jednak pamiętać, że pijany działa nieracjonalnie, znacznie mniej się boi i potrafi wykrzesać z siebie nadludzką siłę.

Dlatego Jagan uznał, że musi szybko podjąć decyzję. Nie chciał wyciągać broni, bo strzelanina mogłaby zaalarmować policję i cała ich akcja zakończyłaby się przedwcześnie, a Popowski odpłynąłby na

zawsze.

Byczy kark był wyższy o głowę, co z góry wykluczało cios nogą z pełnego obrotu w szczękę, ale wyskok i uderzenie z pięty w splot słoneczny już wchodziły w rachubę. Jagan miał to dobrze przećwiczone w prawdziwej walce, potrafił złamać dwucentymetrową deskę, więc uznał, że z buta skutek powinien być natychmiastowy. Dwaj pozostali już na pierwszy rzut oka nie stanowili zagrożenia.

Zrobił pół kroku do przodu, pochylił się lekko, przygiął w kolanach, sprężył ciało i z całych sił wybił się do góry z lewej nogi, podciągając prawą. Uniósł się w powietrze na pół metra, wykonał nogami nożyce i lewą piętą potężnym ciosem trafił byczy kark centralnie w splot. Potem opadł miękko na ziemię, a świat wokół jakby zamarł ze zdziwienia, zauroczony tym pięknym powietrznym baletem. Byczy kark stał w tym samym miejscu jak zahipnotyzowany, z szeroko otwartymi ustami i oczami, które wyglądały, jakby zaraz miały wypaść z oczodołów. Nim runął na wznak, Jagan zdążył się obrócić i zwykłym ciosem nogi w okolice lewego ucha trafił tego z kaukaskim akcentem, co zakończyło się klasycznym ścięciem. Widok ten sprawił chorążemu dodatkową satysfakcję.

Byczy kark i kaukaski akcent padli niemal równocześnie, chociaż kark leciał dłużej.

Widząc to, zaczesany do tyłu poddał się bez walki i podniósł ręce. Za to obie panie w minispódniczkach, paląc papierosy, obserwowały zajście bez większych emocji, najwyraźniej przyzwyczajone do siłowego rozstrzygnięcia nieporozumień towarzyskich i do walki o władzę.

– Spokojniutko, spokojniutko... – Zaczesany opuszczał powoli ręce i uśmiechał się głupkowato. – Kolega nie musi się denerwować. Firma wyda wódeczkę na swój koszt i dołoży coś jeszcze w ramach promocji...

– Potrzebuję amfetaminy – rzucił Jagan, chowając pieniądze i paszport do kieszeni. – Dużo.

– Oj... oj... przyjacielu drogi... Nie mamy takich usług. Absolutnie... nie mamy... – Zaczesany kręcił głową w jakiś dziwny sposób i Jagan pomyślał, że musi być zdrowo rąbnięty.

– Przecież sam jesteś naćpany, śmieciu jeden. Sam bierzesz, a rodakowi nie dasz? – Podszedł bliżej, ale tamten usunął się, wyraźnie przestraszony. – Mam cię jebnąć w ten szcurzy ryj? – Zrobił ruch nogą, jakby chciał go kopnąć.

– Oj... oj... bracie rodaku! – zajęczał zaczesany. – Nie bij! Za co? Ja niewinny...

– Boria! – wrzasnęła na całe gardło niższa i grubsza. – Na litość boską, daj mu tej amfy, bo ci rozkwasi pysk. Tylko kłopoty na nas ściągniesz... Ooo... Twardy się budzi... – Wskazała głową tego z byczym karkiem, próbującego właśnie usiąść na krawężniku.

– Dobrze... dobrze, przyjacielu rodaku... Chodź, chodź... – Zaczesany ruszył przez parking, dając Jaganowi znak ręką, żeby szedł za nim. – Kawaleczek... bliziutko.

Jagan jednak najpierw podszedł do wielkoluda, który zdołał już usiąść i z trudem łapał oddech. Pchnął go nogą, aż ten znowu rozciągnął się na ziemi.

– Bładź jesteś i śmierdzący śmieć niegodny mówić po rosyjsku. Następnym razem, jak mi się gdzieś nawiniesz, dostaniesz porządny wpierdol jak na Tagance, z pozdrowieniami od specnazu. Mniej żryj anaboli, to ci mózg może urośnie i nauczysz się liczyć, matole zaćpany. To było razem sto pięćdziesiąt euro, oszuście jeden!

Splunął przez zęby, a ślina trafiła prosto w łysy łeb, co uznał za bonus. Za amfetaminę też nie zamierzał płacić, z powodów etyczno-moralnych oczywiście, bo pieniądze przecież miał.

„Teddy” był świetnie zapowiadającym się figurantem. W całej rosyjskiej rezydenturze w Warszawie tylko z nim wiązano realne nadzieje na werbunek bez narażenia się na prowokację. A gdyby się to udało, polski wywiad miałby w końcu wgląd do wnętrza ambasady.

W ostatnich miesiącach, wraz z zaostrzeniem się sytuacji międzynarodowej i wzrostem przedwyborczego napięcia politycznego w Polsce, aktywność rezydentury SWZ wyraźnie wzrosła, więc wszyscy podkomendni Marcela dwoili się i troili, by upilnować rosyjskich szpiegów.

Ponieważ jednak premier Bańkowski, ignorując doniesienia ABW, od lat odmawiał zwiększenia jej budżetu, Marcel prawie nic nie wiedział o działaniach wywiadu wojskowego GRU w Polsce i to właśnie niepokoiło go najbardziej. Chwilami miał wrażenie, że SWZ pozoruje szeroki front działań wywiadowczych, które w istocie są operacją dezinformacyjną, mającą dodatkowo paraliżować szczupłe siły polskich służb. Natomiast główny ciężar działań bierze na siebie niewidzialne GRU, wyjątkowo sprawna, efektywna i szczelna służba, która budowała swój teatr w Polsce na długo przedtem, zanim weszła do niej sowiecka armia.

Marcel zdawał sobie z tego sprawę lepiej niż ktokolwiek. Alarmował, apelował, pisał, protestował, ale jak na złość krótkowzroczni politycy nie chcieli widzieć zagrożenia, licząc najwyraźniej na to, że jakoś przetrwają do końca kadencji,

i wychodząc z założenia, że dobrze jest, jak jest. Polska jest w NATO, UE, rozwija się, więc nie ma się o co martwić. I to właśnie najbardziej martwiło Marcela, bo lista polityków działających na korzyść Rosji była coraz dłuższa i coraz trudniej było mu odróżnić głupców od agentury.

Dlatego taki ważny był „Teddy”, Maksim Wiktorowicz Budrienko, czterdziestoletni major SWZ, prawdziwy inteligent w służbie, człowiek, który czasami potrafił dać się przekonać, a to dobry, obiecujący znak przed postawieniem konkretnej propozycji. Marcel od kilku lat spotykał się z „Teddym” osobiście, a właściwie prowadził z nim dialog operacyjny. Nie mógł pozwolić, by szansa wymknęła mu się z rąk w wyniku błędu jakiegoś oficera.

Im bliżej było do wyjazdu „Teddy’ego” z Polski, tym więcej pojawiało się sygnałów sugerujących, że poważnie rozważa przejście na drugą stronę. Przekazywał informacje, które można było uznać za wrażliwe, i Marcel uważał, że „Teddy” nie może nie zdawać sobie sprawy, jak daleko zabrnął. Zwłaszcza że z niewielkimi oporami przyjmował bardzo drogie prezenty. Oczywiście Marcel podejrzewał, że „Teddy” może być podstawiony. Takie ryzyko jest zawsze. Rosjanin kontrolowany był przez inne źródła, kilkakrotnie sprawdzany konspiracyjnie, z kombinacjami operacyjnymi włącznie, a jednak w tym przypadku najważniejsze wydawało się intuicyjne rozumowanie Marcela, które nigdy dotąd go nie zawiodło.

Kiedy więc Konrad powiedział mu, że major Maksim Wiktorowicz Budrienko od początku jest podstawiony, jego sprawa ma kryptonim „Ogar”, a prowadzi ją doświadczony major Gribojedow, do niedawna jeszcze pod osobistym nadzorem pułkownika Michaiła Popowskiego, Marcel odebrał to jako szczególnie mocny cios. Poczul się, jakby jakiś olbrzym rozdeptał go obcasem. Nie pokazał tego po sobie i starał się trzymać fason, ale Konrad doskonale wiedział, co musiał przeżywać. Nie ma większego wstydu i poniżenia dla oficera, a szefa kontrwywiadu w szczególności, niż dać się podejść przeciwnikowi przez podstawkę.

Poprzedniego wieczoru, gdy w telefonie przeznaczonym do łączności z „Teddym” zabrzączał SMS, Marcel pomyślał z zadowoleniem, że teraz to on poprowadzi rozgrywkę. Tym razem przewidział nie tylko, że „Teddy” odezwie się pierwszy, ale też kiedy i w jakiej sprawie.

I dotarło do niego z całą mocą, choć wiedział to od zawsze, że tak naprawdę o wszystkim na końcu decyduje przypadek. Bo ten sam przypadek, który dla jednych jest zwycięstwem, dla innych musi być porażką. Nawet jeśli się o tym nie wie.

Poczuł, jak wzbiera w nim potężna satysfakcja i wypiera z jego świadomości wstyd, a właściwie rodzaj urazy, jaką miał do siebie, oskarżając się o brak profesjonalizmu i naiwność.

Ostatnie słowo należeć będzie do mnie. Nie ma przyjemniejszej chwili w życiu szpiega niż ta – pomyślał – kiedy patrząc człowiekowi w oczy, znasz słowa, które on dopiero ma zamiar wypowiedzieć.

Potem z radością wydali majora Budrienkę jako persona non grata i osobiście pomacha mu ręką na Okęciu, gdy samolot minie punkt krytyczny.

Tymczasem „Teddy” zaproponował pilne spotkanie następnego dnia o dziewiątej rano, tam gdzie zawsze, czyli na Płycie Czerniakowskiej.

Zapowiadał się piękny słoneczny dzień. Marcel stanął przy oknie z kubkiem parującej kawy w dłoni i poczuł przyływ dobrej energii. Plan Konrada zaczynał się sprawdzać. Na początku, kiedy poprosił go o pomoc, miał poważne wątpliwości, czy ten pomysł ma sens. I to nie dlatego, że był mu przeciwny z powodów politycznych czy osobistych. Po prostu uważał, że jest nierealny, bajkowo śmieszny i groteskowy. Tak skomplikowany plan, oparty na nadziei i sklejonny na ślinę, nie miał prawa się udać – sądził na początku. Teraz wszystko zaczynało się układać w logiczną całość. Konrad mocno go przebił i to też budziło w nim trochę złości.

Marcel dostrzegł „Teddy’ego” już z daleka. Jak zawsze w taką pogodę ubrany był w krótką niebieską kurtkę, dzinsy, brązową

bejsbolówkę z logo NY i miał ciemne okulary. Stał nad samym brzegiem Wisły i nieudolnie, choć z zaangażowaniem, puszczał kaczki. Wyglądał jak rozradowany uczeń na wagarach, a nie oficer rosyjskiego wywiadu. Wystawił się w dobrze eksponowanym miejscu, bo wiedział, że Marcel, idąc na spotkanie, będzie go obserwował. Szpieg gra także plecami. Mała inscenizacja miała powiedzieć Marcelowi: „Jestem pewny siebie, spokojny, skoncentrowany. Kto wie, może dzisiaj zdarzy się coś więcej niż zwykle”.

– Co się stało, Maksimka? – rzucił Marcel wystarczająco głośno, by Budrienko mógł go usłyszeć z odległości kilku metrów. – Tak rano? Odwołali cię? Co się dzieje? – zapytał, kiedy podszedł bliżej, ale tamten dalej puszczał kaczki. – Co się stało, Maksimka? – powtórzył.

– Macie problem, a właściwie dwa problemy... jeden trudniejszy do rozwiązania od drugiego. – „Teddy”, wychylając się mocno w bok, puścił kamień z całej siły i Marcel naliczył osiem odbić.

– Nieźle! Długo ćwiczyłeś? Masz siłę...

– To nie technika ani siła, tylko dobór właściwego kamienia, grawitacja i rodzaj wody. Reszta to przypadek, drgnięcie ręki... wiatr. – Maksim odwrócił się do Marcela. – Spróbujesz sprawdzić swój przypadek? – Wyciągnął rękę z kamieniem. – Znalazłem go dla ciebie... jest idealny. Płaski, lekki i duży.

Spojrzał z niewyraźnym uśmiechem, trochę ironicznie, może nawet złośliwie, szelmowsko, tak przynajmniej odebrał to Marcel, więc też się uśmiechnął, chociaż nie potrafił zagrać tak subtelnie jak „Teddy”. Ale teraz to nie miało znaczenia, bo dobrze wiedział, z czym przychodzi Budrienko.

– O jakich problemach mówisz, przyjacielu? – zapytał.

„Teddy” rzucił kamieniem, który od razu zatonął.

– Wiesz, że Misza Popowski zdezerterował i przeszedł na waszą stronę? Wiesz. Nawet jeśli powiesz, że nie, to ja i tak wiem, że wiesz. Ktoś taki jak ty o czymś takim jak dezercja Popowskiego musi wiedzieć.

Marcel stał nieporuszony i starał się nie uśmiechnąć.

– Wiem, że nic nie powiesz... też bym nic nie powiedział. Więc posłuchaj. Jeśli się wam wydaje, że znaleźliście brylant, to... to jesteście w błędzie. – „Teddy” zrobił poważną minę i pokiwał głową z dużym wyczuciem chwili. – Ucieczka Popowskiego to bluff. Cała sprawa została zaaranżowana przy okazji odejścia generała Lebedzia, a Popowskiego przerobiono na *booby trap*. Nic więcej nie wiem.

– Od kogo ta informacja? – zapytał Marcel.

– Od rezydenta... Gurowa... Mamy w związku z tym stan podwyższonej gotowości...

– A dlaczego Gurow akurat tobie powiedział?

– Szykuje się jakaś duża rozpiarducha w Polsce, nie wiem co, ale mogę się domyślać... i obawiam się, że zlikwidują całą naszą rezydenturę. W końcu Popowski był... jest... naczelnikiem Wydziału Polskiego...

– A czego się domyślasz?

Budrienko rozejrzał się, lecz w oczach miał pustkę. Marcel od razu zauważył, że „Teddy” gra i choć jest bardzo dobrym oficerem, to do tej sceny słabo się przygotował.

Pewnie nie miał czasu albo nie jest przekonany do tego, co robi. Dobry znak – pomyślał.

– Gdyby to ode mnie zależało, to wykorzystałbym go do rozwalenia sceny politycznej w Polsce przed wyborami. Popowski może oskarżać polityków, dziennikarzy, biznesmenów, jak chce, bez żadnych dowodów, bo opozycja i tak to kupi w ciemno i robi gigantyczny show. Obaj dobrze wiemy, że z polskiej polityki zostanie kamieni kupa i władzę weźmie ten, kto wyjdzie na ulicę i się schyli. Ale może się mylę i jest jakiś inny plan.

– A ten drugi problem?

– Zdecydowałem się, zostaję – oznajmił Budrienko z suchym uśmiechem. – Jak dostanę decyzję, zostaję. Po tym, co ci powiedziałem, nie mam już wyboru. Obyś to docenił, bo to nie jest jakiś tam drobiazg. Załatwisz mi naturalizację, ale nie w Polsce,

tylko gdzieś na Zachodzie, wtedy dam wam bardzo ciekawe informacje. Wiesz, major rosyjskiego wywiadu sporo wie. Co ty na to?

– Nooo... świetnie, Maksimka! – Marcel położył mu rękę na ramieniu. – Od dawna wiedziałem, że się zdecydujesz...

– To chyba twój najłatwiejszy werbunek, co? – zażartował „Teddy” całkiem wiarygodnie.

– Chyba tak, ale byłem na to przygotowany. Oczywiście zajmę się wszystkim... No cóż, w takim razie trzeba to oblać! – Spojrzał na zegarek. – Wieczorem?

– Nie mogę, kurwa, nie mogę – odparł natychmiast Budrienko. – Mamy stan gotowości i wszyscy muszą meldować rezydentowi, gdzie są. No kurwa... musisz zrozumieć. Ale przyznaj się, wiedziałeś o Popowskim?!

– Mogliście go nam wysłać lepiej przygotowanego. Dlaczego nie zabrał ze sobą dokumentów na kogo trzeba, co? Przecież w Jaseniewie mogą je zrobić na każdego. Coś mi tu śmierdzi, Maksimka. A tobie nie? – Marcel nie mógł się powstrzymać, by go trochę nie podpuścić, zbadać głębiej, ale zaraz się zorientował, że jednak nie powinien, bo w takim przypadku będzie musiał powiedzieć więcej, a Konrad zabronił mu podgrzewania rozmowy.

Zadanie Marcela było proste. Miał powiedzieć Budrience jedną dobrze przemyślaną frazę, wstawioną w odpowiednim momencie dialogu, którego nie powinien niepotrzebnie rozwlekać. Rozmowa musiała zakończyć się tak, jak zaplanowali, jeżeli mieli przejść do ostatniego etapu.

Wprawdzie deklaracja „Teddy’ego” o gotowości przejścia na drugą stronę była zaskoczeniem dla Marcela i trochę popsła mu szyki, jednak obaj wiedzieli, że została złożona z premedytacją, nie w porę i była pozbawiona rzeczywistej wartości. Ale sama w sobie, przedstawiona w tym, a nie innym momencie, stanowiła mały błąd Rosjan, bo najwyraźniej wskazywała, że są zdenerwowani i brak im czasu. A to by świadczyło, że nie mają dobrego planu, choć nie wiadomo było, w co tak naprawdę grają.

Heheee... Jeśli ktoś umie dobrze grać w szachy – pomyślał z ironią Marcel – to nie znaczy, że wie, czym są szachy. No... ale Rosjan nie można o to podejrzewać, więc co kombinują?

Budrienko podszedł bliżej, stanął tyłem do słońca i zdjął ciemne okulary. Zmrużył oczy i spojrzał spod daszka czapki, jakby chciał powiedzieć coś ważnego. Wyglądał naiwnie, nawet śmiesznie, ale pewnie miał tak wyglądać. Czyżby się zastanawiał, czy nie powiedzieć całej prawdy o Popowskim, i właśnie ważył sens swojej zdrady?

Nooo... Maksim, Maksimka, ty skurwysynu... Zrób to! – pomyślał Marcel, patrząc Budrience w twarz. Zrób to! Teraz! Powiedz prawdę!

– Wiesz, Marcel... – zaczął niepewnie „Teddy”. – Nic więcej nie wiem... ale... ale będę miał na wszystko oko i dam ci znać, jak sytuacja się rozwija, a ty tymczasem zajmij się moimi sprawami. Jesteśmy teraz przyjaciółmi na zawsze, prawda? – Wydał niezdarne usta, wsunął rękę pod kurtkę i wyciągnął piersiówkę whisky The Famous Grouse, po czym spojrzał pytająco na Marcela.

Ten wziął ją od niego bez słowa.

Rozmowa była drętwa, a każde słowo jakby wystrugane z drewna. Obaj grali naiwnie, nawet źle, i doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Nie mieli czasu się przygotować, więc improwizowali, bo po raz pierwszy brali udział w skeczu. Dlatego tym razem zwycięzcą miał być nie ten, który zrobi mniej błędów, lecz ten, który nie zrobi żadnego i rozbawi publiczność.

Marcel odkręcił butelkę i pociągnął spory łyk, tak żeby Maksim docenił jego szczerość. Oddał mu butelkę, a ten bez ocierania gwintu wysuszył ją do końca, chociaż było dopiero piętnaście po dziewiątej.

– Wiem o Popowskim – rzucił pewnym siebie głosem Marcel i poczuł, jak z pustego żołądka odbija mu do głowy potężny opar whisky. – Jest w rękach Konrada Wolskiego. Wiesz kto to?

– Nie. Jak to w rękach? – Budrienko po raz pierwszy był wyraźnie zaskoczony. – Co to znaczy?

– Wolski wywiózł Popowskiego z Rosji bez zgody naszych władz. Czysta samowolka. Teraz ma sprawę karną o nadużycia i takie tam...

– Aha... – wtrącił Maksim. – Ciekawe, bardzo ciekawe. A co to z tymi rękami? Nie rozumiem... że co?

– Ano to, że wiadomość, jaką przekazał ci Gurow, to jakaś prowokacja albo wasi próbują ukryć kompromitację. Popowski uciekał z Rosji w samych gaciach, bo brał udział w spisku Lebedzia...

– Spisku? Co ty mówisz? – Budrienko zrobił zdziwioną minę. – To jakaś totalna bzdura!

– Ja nie wiem, może i tak, więc postaraj się dowiedzieć czegoś więcej, bo ta twoja teoria z pułapką cienko wygląda i albo ktoś cię wpuszcza w kanał, albo ty w tym uczestniczysz i mnie wpuszczasz. – Marcel zbliżał się do finału. – Ustal, jak sprawa ma się naprawdę, a pomogę ci ustawić się na resztę życia. U nas nikt nie wierzy Popowskiemu, ani lewa, ani prawa strona, i szybciej go utopia, niż skorzystają z jego opowieści. Według mnie ten Gurow nie powiedział ci prawdy, bo Popowski ma na pendrivie wszystkie wrażliwe materiały, w tym kopie teczek polskiej agentury, więc koncepcja Jaseniewa nie wypali. Podobno Wolski i Popowski od jakiegoś czasu coś razem kręcili na boku, stąd to śledztwo. I dlatego Popowski zapewnił sobie polisę na życie. Wolski gdzieś go ukrył i razem próbują wycisnąć jakieś pieniądze, żeby ustawić się na przyszłość, ale nic z tego nie będzie, bo premier podobno oficjalnie olewa sprawę, a w gruncie rzeczy to chce wsadzić do pierdła Wolskiego, który miesza mu w polityce. Ustal, jak jest, a nie zginiesz.

– Uff... – Maksim wypuścił powietrze, wyraźnie poruszony. – Zaskoczyłeś mnie. Muszę to wszystko przemyśleć. Bardzo to pogmatwane. Hm... Mówisz, że mają kopie dokumentów?

– Podobno pięciu agentów i kilka rozpracowań.

– Dobra... – „Teddy” się zamyślił i po chwili dorzucił: – Dobra, dobra... Zobaczą, co się da zrobić, i dam znać. Ale swoją drogą to niezły u was burdel, skoro takie informacje wyciekają...

Konrad miał potężny siny okular na prawym oku, wewnątrz krwawy wylew, spuchnięty nos i pękniętą dolną wargę. Plecy przestały go już boleć, chociaż rozlane siniaki zostały. Wyglądał przerażająco, a mimo to czuł się wyśmienicie i był bardzo zadowolony ze swojego nowego wizerunku. Paradoksalnie napad wydarzył się w najlepszym momencie: można go było wykorzystać i w naturalny sposób przejść do końcowego, decydującego etapu rozgrywki.

Oczywiście Konrad nie poinformował policji. Postanowił nadać sytuacji więcej dramatyzmu i potraktować ją jako motyw, który dodatkowo uwiarygodni jego dalsze kroki. Wiedział, że sprawców i tak ustali, bo Sarze udało się dostrzec w świetle latarni numer rejestracyjny samochodu napastników. Jeszcze tego samego wieczoru Konrad przesłał ów numer Marcelowi.

Minęła dziewiąta. Od kwadransa czekał w sekretariacie szefa Agencji na wezwanie, podczas gdy Marcel rozmawiał już nad Wisłą z „Teddym”. Zmasakrowana twarz Konrada robiła szokujące wrażenie na wszystkich, których mijał w drodze na siódme piętro. Ale najbardziej wymowna była zastygła jak w stop-klatce mina sekretarki, do której dopiero po pół minucie dotarło, że powinna zawiadomić Szefa.

Konrad doskonale wiedział, że Apple Tea przyjmie go tylko w obecności Belika, więc czekał spokojnie. Zastanawiał się jedynie, na jakim etapie rozmowy jest teraz Marcel. Wprawdzie nigdy nie widział go w akcji, ale zadanie nie wydawało się skomplikowane,

więc raczej nie czuł niepokoju. To miał być ostatni dzień klejenia operacji, łączenia faktów i ożywiania fikcji. Do tej pory manipulacja okazała się prostsza, niż przypuszczał, chociaż nigdy nad żadną operacją tak się nie napracował. No i bez fantazji i determinacji Sary nie ruszyłby nawet z miejsca.

– No cześć! – usłyszał nad sobą głos i podniósł głowę.

Belik trzymał pod pachą niebieską teczkę. Na sobie miał szary garnitur i zieloną koszulę ozdobioną różowym krawatem. Spod zapuchniętych powiek popatrzył na Konrada z wyraźną satysfakcją i ten od razu zrozumiał, że ochrona już mu doniosła, w jakim jest stanie.

– Ktoś ci spuścił wpierdol? As wywiadu dał się złać jak jakiś gimbus? – Belik z trudem powstrzymywał uśmiech.

Konrad miał chęć przyciąć bydlaka w rumień rozlany na nabrzmiałym lewym policzku, ale nie zareagował, tylko ruszył za nim do gabinetu Szefa.

Apple Tea siedział za biurkiem. Nie wstając, wskazał dwa krzesła, na których przyjmował służbowe wizyty podwładnych.

– Co się panu stało? – zapytał obojętnie, najwyraźniej już powiadomiony o stanie Konrada.

– Zostaliśmy napadnięci wczoraj wieczorem koło naszego domu...

– Panią kapitan też pobito? – wtrącił Szef.

– Nie. Nic jej się nie stało.

– Całe szczęście.

– To nie był zwykły napad rabunkowy ani chuligański...

– To znaczy? – Szef wyprostował się w fotelu, zdradzając autentyczne zainteresowanie. Marny był z niego aktor.

– Zaatakowało nas w pobliżu domu pięciu zamaskowanych kiboli uzbrojonych w kije bejsbolowe i noże. Wiedzieli, kim jesteśmy. – Konrad spuścił głowę.

– Jak to? – włączył się Belik. – Nie rozumiem...

– Nie ma co rozumieć, dupku, zawsze miałeś z tym kłopot... – obruszył się Konrad. – Ktoś ich nasłał. Zakładam, że to nie wy. Jesteście zbyt wielkimi tchórzami, by to zrobić...

– Panie pułkowniku, co pan sobie wyobraża! – wykrzyknął Szeff i poderwał się z fotela, ale nie wyglądał groźnie, raczej śmiesznie. – Jak pan śmie! – dorzucił.

– Niech się pan tak nie sady. Trochę godności, generale. – Konrad spojrział na Belika, który zastygł jak zaklęty w kamień. – Ciekniecie jak stary durszlak. Nasze pobicie zlecił ktoś, kto zna moją notatkę i z jakichś względów poczuł się zagrożony. Nawet nie oczekuję, że się przyznacie, komu ją pokazaliście, ale jestem pewien, że to zrobiliście. Mogę się tylko domyślać.

Belik i Szeff zaniemówili i widać było wyraźnie, że słowa Konrada trafiają bezbłędnie. Tak jak się spodziewał, obaj byli mistrzami naiwnego knucia za plecami, za to w bezpośrednim starciu – bezzębnymi kundlami, które każdy swój gest i każde słowo muszą wcześniej skalkulować, czy aby im nie zaszkodzi.

Postępujący paraliż dupy – pomyślał Konrad i zrobiło mu się wesoło.

– Macie teraz problem, panowie – ciągnął Konrad. – Duży problem. Porucznik Korska wypatrzyła i zapamiętała numer rejestracyjny samochodu kiboli, więc policja z łatwością dojdzie, co to byli za jedni oraz na czyje zlecenie działali. Obdukcję zrobiłem jeszcze wczoraj i zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa mam już gotowe. Przed wyborami ani policja, ani prokuratura nie zamiotą sprawy pod dywan, a ja już tego dopilnuję...

– O co panu chodzi? – odezwał się pojednawczo Szeff. – Czego pan chce?

– Świętego spokoju! – rzucił podniesionym głosem Konrad. – Mamy tego dość!

– Czyli? – włączył się Belik.

– Nie rozmawiam z tobą, śmieciu.

– Czyli? – powtórzył Szeff.

Konrad położył na biurku kopertę, którą cały czas trzymał na kolanach. Nakrył ją dłonią i zwrócił zmasakrowaną twarz w stronę Szeffa.

– W środku znajdzie pan następujące dokumenty. Dwa raporty

o zwolnienie ze służby, Sary Korskiej i mój. Chcemy przejść na emeryturę. Notatkę uzupełniającą do naszego poprzedniego raportu dotyczącą Michała Popowskiego. Znajdzie pan tam informację, gdzie Popowski ukrył pendrive z kopiami akt rosyjskiej „złotej piątki” w Polsce, miejsce, w którym teraz przebywa, jego numer telefonu.

– Dlaczego pan to robi? Czego pan oczekuje?

– Nie chcemy mieć z tą sprawą nic wspólnego. Mamy dość skurwysyństwa polityków i Agencji. – Konrad zawiesił głos, a jego zniekształcona twarz nabrała dziwnie dramatycznego wyrazu. – Chcemy umorzenia postępowania dyscyplinarnego wobec nas i zamknięcia dochodzenia. Podpisania naszych raportów o przejściu na emeryturę jeszcze dzisiaj, tu i teraz, przy mnie. Zaprzeczenia jakichkolwiek szykan wobec oficerów Wydziału „Q”. Krótko mówiąc, proponuję pokój. Wyciągnie pan ten pendrive Popowskiego, da na tacy premierowi rosyjską agenturę w Polsce i Bańkowski ma wybory w kieszeni, a wy dwaj utrzymacie swoje stołki, do tego z nimbem wokół głów. My z Sarą wyjedziemy z Polski, tak jak sobie życzyli patrioci z kijami bejsbolowymi, ale potrzebujemy godnych emerytur. – Konrad wciąż trzymał dłoń na kopercie. – Wszyscy wygrają, czyż nie? Proste?

W gabinecie szefa AW na siódmym piętrze zaległa cisza. Czyli erupcja tych najczęstszych i najbardziej wyrazistych, lecz zupełnie niedostrzegalnych emocji, które najpierw paraliżują mowę. Konrad patrzył krwawym okiem na Szefa, Szef na kopertę, a Belik w przestrzeń. Wreszcie Szef odsunął na bok kubek z herbatą i sięgnął po telefon.

– Niech mnie pani połączy z dyrektorem kadr – zakomunikował sekretarce i czekając na połączenie, spróbował się uśmiechnąć. – Stasiu... – odezwał się po chwili – przygotuj natychmiast rozkazy personalne w sprawie przeniesienia Konrada Wolskiego i Sary Korskiej na emeryturę i przyjdź z nimi do mojego gabinetu. – Odłożył słuchawkę. – Cóż, panie naczelniku... – Spojrzał na Belika. – Niech pan zamknie postępowanie dyscyplinarne. Jak pokój, to pokój.

Konrad zdjął dłoń z koperty.

40

– Jego tam nie ma! – stwierdził pewnym siebie głosem Jagan i splunął przez okno samochodu. – Jestem pewien i nie potrzebuję lornetki.

– Też tak uważam. I nie możemy tu dłużej stać. Nie ma żadnego ruchu... pusto... i nasz samochód widoczny jest jak na dłoni. – Rudolf odłożył lornetkę. – Byle stupajka nas wyłapie – dodał po chwili.

Satelita doprowadził ich z Helsinek do Rösund w ciągu godziny. Teraz dochodziła dziewiąta i od prawie trzydziestu minut kręcili się po szutrówkach cypla Synnernäs na południowych szkiecach.

Sprawdzili wszystkie drogi dojazdu, topografię terenu, zabudowania i zgodnie uznali, że nie jest dobrze. Czyli miejsce kryjówki było wybrane z głową i profesjonalnie. W końcu ścigali Michaiła Popowskiego, asa rosyjskiego wywiadu, a to nie był człowiek, którego można łatwo zaskoczyć. Zwłaszcza że nie wiedzieli, czy jest uzbrojony, ale doskonale zdawali sobie sprawę, że nawet z nożem czy zwykłym prętem może być śmiertelnie niebezpieczny. Osaczony oficer rosyjskiego wywiadu nie zna strachu i walczy do końca. Oni byli tacy sami.

Wśród drzew nad brzegiem morza, rozrzucone na przestrzeni stu metrów, stały trzy prawie identyczne żółte parterowe domki. Dane z GPS dokładnie co do metra wskazywały na ten po prawej stronie, usytuowany najbliżej wody, i Jaganowi od razu przypomniła się akcja w Szwecji sprzed kilku lat, w której zginął Tatar.

Spojrzał na skupioną twarz Rudolfa, od rana tryskającego energią, i pomyślał, że tym razem nie zostawi przyjaciela. Musi o niego zadbać, musi go chronić całym sobą. Nic nie może mu się stać, bo Doronin jest teraz jego bratem. Jagan poczuł, jak leniwy smok spał się na plecach, i bardzo się ucieszył, że on też tak myśli, bo razem mogli wszystko.

– Jego tam nie ma, *komandir* – powtórzył z naciskiem. – Co robimy? Decyduj!

Doskonale wiedział, co trzeba zrobić. Wprawdzie nie czuł w tym miejscu żadnego zagrożenia, nie miał już jednak takiej pewności jak kiedyś, bo ostatnio instynkt kilka razy go zawiódł. Lepiej poczekać na decyzję Rudolfa.

– No to skąd ten sygnał? – zapytał Doronin, patrząc na pulsującą kropkę na ekranie. – Jego telefon jest w środku... Nasi mogą się mylić, oczywiście... Hm... – zastanawiał się na głos.

– Telefon jest w środku, ale jego tam nie ma. Popowski nie dałby się złapać na satelitę. To zbyt proste. – Jagan przerwał i przez chwilę wpatrywał się w okna oddalonego o dwieście metrów domu. – Decyduj!

– Nie mamy wyjścia, musimy sprawdzić i jeśli go nie ma, to trzeba zrobić zasadzkę, a nuż wróci...

– Może jest gdzieś w pobliżu, choć wątpię. Chyba że... – Jagan powędrował spojrzeniem w kierunku domu po drugiej stronie polany – mieszka w jednym domku, a telefon trzyma w drugim... i wystawił go na przynętę.

– O kurwa! – Rudolf uniósł wysoko brwi. – Rzeczywiście, to może być pułapka! Ja pier...! Może nas wystrzelać na tym odludziu jak kaczkę. Czyli musi wiedzieć, że za nim idziemy...

– Oczywiście, że wie. Zna zasady. Jakby mu się udało, toby wygrał i miałby wolną drogę. Decyduj, *komandir*!

– A jaki jest twój pomysł? – zapytał Doronin.

Jagan spodziewał się tego pytania i miał przygotowaną odpowiedź, ale już sam fakt, że w ogóle padło, świadczył, że Rudolf traktuje go z szacunkiem i liczy się z jego opinią. Ostatni raz zapytał

go o zdanie chyba Jura Kosow w Grozonym, ale Jagan nie pamiętał w jakiej sprawie. Oficerowie wywiadu zawsze patrzyli z góry na żołnierzy specnazu, traktując ich jak zwykłych cyngli.

– Zrobimy tak, ty pójdziesz najpierw sprawdzić ten dom na skraju, z lewej. – Jagan wskazał palcem. – Obejrzysz wszystko, a jak się na kogoś natkniesz, to pogadaj, udawaj turystę czy kogoś tam... Popowski ciebie nie zna. Ja zaczekam w samochodzie, tylko cofniemy się głębiej w las. – Znów wskazał palcem, tym razem kciukiem. – Do domu z lewej się nie zbliżaj. Tam pójde ja, jak już ustalimy, co z tymi dwoma obok.

– Miałeś podać pomysł, a nie plan. – Doronin się uśmiechnął. – Tak czy inaczej zgadzam się całkowicie i zatwierdzam do wykonania. – Klepnął chorążego w kolano.

Jagan włączył silnik i zawrócił land roverem ostro w prawo. Odjechał pięćdziesiąt metrów i zatrzymał samochód w gęstym świerkowym zagajniku, obok potężnego głazu, z którego spływał siwy kwietniowy jęzor lodu.

Założyli słuchawki, a Rudolf wciągnął czapkę na uszy, włączył zamontowaną w niej kamerkę i zarzucił na ramię plecak. Przełożył pistolet do prawej kieszeni kurtki.

Jagan uruchomił tablet i kiedy pojawił się na nim obraz z kamerki Rudolfa, szturchnął przyjaciela łokciem i skinął głową.

– Prawdziwy rosyjski turysta z Jaseniewa na spacerze po fińskich szkiecach – rzucił dowcipnie Doronin i otworzył drzwi. – Idę.

– Bądź cały czas włączony, muszę wszystko widzieć i słyszeć – oznajmił Jagan, jakby wydawał rozkaz, i nawet nie zauważył uśmiechu Doronina.

– Tak jest, towarzyszu chorąży! – rzucił kapitan i wyskoczył z samochodu.

Wacław wrócił do domu tuż przed dwudziestą drugą. Czuł, jakby serce utkwiło mu w gardle i rozpaczliwie próbowało wyrwać się na wolność. Pożałował, że wypił tyle alkoholu, który co gorsza zmieszał z potężną dawką czystej adrenaliny. Efekt okazał się zgubny: niepokój, drżenie ciała i mdłości.

Wydawało mu się, że stracił wrodzoną czujność, a przecież dotąd spokój umysłu i chłodna kalkulacja prowadziły go bezpiecznie przez życie. Teraz wyglądało to tak, jakby sprzeniewierzył się wszystkiemu, czego nauczyła go matka.

Nic nigdy nie wstrząsnęło nim tak jak notatka Konrada Wolskiego, którą pokazał mu Belik. Po raz pierwszy Wacław poczuł w ustach gorzki przedsmak zbliżającej się katastrofy.

Był wściekły, że nie wykorzystał wszystkich swoich umiejętności i nie udało mu się wydobyć tej notatki. Okazało się, że Belik nie do końca był taki głupi, na jakiego wyglądał, i wiedział, czym dysponuje, ale cena, którą za ów dynamit wystawił, była śmiesznie niska.

Nie miał pojęcia, do czego można tę wiedzę wykorzystać. Tacy jak on myślą tylko o własnej dupie – ocenił Wacław.

Nawet nie zdjął butów, zrzucił tylko kurtkę i wszedł prosto do salonu. Usiadł w starym klubowym fotelu, który kupiła jeszcze jego matka i który od początku stał wciąż w tym samym miejscu, między oknem a biurkiem. Wacław zasiadał w nim tylko wtedy, kiedy potrzebował kontaktu z matką, dobrej rady, czasem nawet polecenia

lub rozkazu. Jej słowa brzmiały, jakby śpiewała, a śpiewała pięknie. To było ważne tajne misterium, które tylko on miał prawo rozumieć.

Jego związek z Mirą był mocniejszy niż wszystko, co może łączyć syna z matką, ale nie miał nic wspólnego z jakimkolwiek kompleksem i Wacław dobrze o tym wiedział.

Na biurku obok stało jej zdjęcie, młodej pięknej kobiety z rozpuszczonymi blond włosami, która z podwiniętymi nogami i książką na kolanach siedziała w tym właśnie fotelu, spoglądając z uśmiechem w słoneczne okno. To było jej najpiękniejsze zdjęcie – obraz minionego czasu – na którym uwieczniło się pogodne dzieciństwo Wacława.

Tego wieczoru nie potrzebował niczego więcej, chciał tylko poczuć jej obecność.

Najpierw nalał sobie szklaneczkę calvadosu, postawił ją na biurku po prawej stronie i zapalił zieloną lampkę. Następnie wyjął z szuflady kartkę kratkowanego papieru. Przysunął fotelik na kółkach i usiadł.

Jak najszybciej musiał spisać wszystko, co zapamiętał z notatki Wolskiego, a ważne w niej było każde słowo. Jednak decydującą rolę odgrywały jego własne emocje i wiedza. To one jak katalizator powinny pomóc wydobyć esencję z tego, co przeczytał. Musiał skupić się nad tym natychmiast, bo emocje zżerały wiedzę, zatruwały jasność spojrzenia, a przez noc szczegóły mogły gdzieś odpłynąć. Chłodną ocenę postanowił zostawić sobie na rano. Zawsze tak robił, i to z dobrym skutkiem.

Zaostrzył ołówek w temperówce. Dotknął opuszką końcówki grafitu, spojrzął na zdjęcie Miry i sięgnął po szklaneczkę. Po pierwszym łyku calvadosu uspokoił się na tyle, że mógł zacząć pisać.

– Kurlandzki! – niemal wykrzyknął. – Kurlandzki! *Fuck!* Jak mogłem zapomnieć? – Uderzył pięścią w stół.

Dopiero teraz sobie uzmysłowił, że przecież Kurlandzki także przeczytał notatkę Wolskiego. Siedział cały czas obok, nie odzywając się słowem, ale było oczywiste, że wszystko rejestrował.

Kurlandzki, szczer polityki, człowiek lepki, giętki, sprzedajny,

a przez to użyteczny dla innych. Wie wszystko o wszystkich, jest zawsze tam, gdzie trzeba, bo lubi być ruchany. Nie zapraszano go do telewizji ani radia, nie udzielał wywiadów, dzięki czemu jego anonimowa twarz nabrała szczególnej wartości. Męska dziwka polskiego burdelu politycznego, którą wszyscy się brzydzą, ale z której usług korzystają.

Tak Kurlandzkiego postrzegał Waław i dlatego umiał zrobić z niego użytek. Jednak dopuszczenie go do notatki uznał za swój poważny błąd. Czy da się teraz go naprawić, a jeżeli nie – jakie pociągnie za sobą skutki? Czy zagrozi sprawie? Musiał się nad tym wszystkim natychmiast zastanowić.

Wypił calvados do końca, oparł się łokciami o blat biurka i skrył twarz w dłoniach.

42

Było zimno. Gdzieś znad morza, gnane wiatrem, napływały ciężkie chmury, raz po raz gasząc ostre promienie porannego słońca. Leśno-skalisty krajobraz jak w kalejdoskopie zmieniał odcienie między sepią, czernią a chromem, więc Rudolf założył ciemne okulary i od razu poczuł się pewniej.

Żółty drewniany domek kempingowy ze spadzistym dachem stał niemal na samym brzegu. Kilka metrów dalej, przywiązana do kołka, tkwiła unieruchomiona w lodzie drewniana łódka z wiosłami. Obszedł domek szerokim łukiem, by sprawdzić go ze wszystkich stron, i zauważył, że z tyłu pod prowizoryczną wiatą stoi zaparkowany samochód. Podeszedł bliżej. To był stary opel na fińskich numerach.

– W domku ktoś jest – powiedział cicho. – Widzisz?

– Nie za bardzo... – odparł Jagan, który obserwował Rudolfa przez lornetkę.

– Wygląda na domek rybacki pod wynajem. Na pewno nie jest stale zamieszkania. Spokojnie... nie ma ruchu w oknach... Podchodzę bliżej.

– Nie widzę cię już.

– Wejście jest od drugiej strony, mała weranda... dwie pary butów... Nic szczególnego. Widzisz?

– Tak.

Doronin podciągnął plecak, włożył rękę do kieszeni i wyczuł kolbę pistoletu. Odbezpieczył. Wszedł na werandę i nim zdążył

zastukać, drzwi gwałtownie się otworzyły. Od razu zrozumiał, że już od jakiegoś czasu musiał być obserwowany, ale nie dostrzegł w tym niczego niezwykłego.

W drzwiach stał zaczesany do tyłu mężczyzna przed czterdziestką, w grubych okularach opuszczonych na koniec nosa i w dresie. W rękę trzymał śrubokręt.

– *Mitä voin auttaa?* – odezwał się po fińsku.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam – zaczął Doronin po angielsku z silnym australijskim akcentem – ale nie mam zasięgu internetu i nie działa mój GPS... – uniósł smartfon w teatralnym geście – i zgubiłem drogę do... Rösund.

– Do Rösund prowadzi ta sama droga, którą pan przyszedł – odparł nieco zdziwiony mężczyzna. – Innej tu nie ma. – Zdziwiony pokręcił głową. – Musi pan iść z powrotem... w tamtą stronę. – Wskazał kierunek.

– Dziękuję bardzo i przepraszam za najście. – Rudolf skinął głową na pożegnanie i już w półobrocie zapytał: – A tak przy okazji... te domki są do wynajęcia?

– Tak.

– A są wolne? Nie wie pan?

– W tym ostatnim chyba ktoś mieszka, ale musi pan pytać na stacji benzynowej w Rösund.

Doronin machnął jeszcze ręką na pożegnanie i leniwym krokiem wrócił na brzeg morza, odprowadzany wzrokiem drugiego mężczyzny, który wyglądał przez okno.

– Nooo... bładź... – usłyszał głos Jagana w słuchawce. – Podejrzane... podejrzane...

– To co masz dalej w planie?

– Przejdź obok tego domu w bezpiecznej odległości, rzuć z daleka okiem, jak wygląda od morza, i wracaj do samochodu. Zastanowimy się co dalej. Nie podobają mi się faceci z tej pierdolonej chaty. Coś jest nie w porządku.

– Nic nie zauważyłem, ale... – Rudolf zawahał się.

– Zawsze możemy ich odstrzelić... zapobiegawczo, rozumiesz?

Wątpliwości trzeba rozwiązywać zdecydowanie, na bieżąco.

– Tutaj chyba nikogo nie ma. – Kapitan przeszedł obok środkowego domku. – Pusto...

– Zajrzyj przez okno – polecił Jagan i obserwował, jak obraz na ekranie przesuwa się wraz z ruchami Doronina i zbliża do okna.

– Ciemno... żadnego ruchu... nic... – Wewnątrz widać było proste drewniane meble, skromny wystrój, żadnych przedmiotów osobistych.

– Tak... tak... poczekaj jeszcze... Popatrzę.

– Nic. Idę do następnego – odparł Rudolf. – Na razie jest dobrze... nawet za dobrze...

– Nie powiedziałbym – skwitował Jagan. – Nie lubię facetów w okularach, a dwóch naraz w jednym miejscu, gdzie mamy robotę... to już o dwóch za dużo... Tacy, jak coś im się nie podoba, od razu dzwonią na policję. Źle widzą, więc są niepewni tego, co widzą, i przez to sprawiają kłopoty... i ogólnie są tchórzliwi. Dlatego nie bierze się takich do specnazu ani lotnictwa, gdzie masz tylko dwa wyjścia: być albo nie być. Ludzie, jak chcą się zmienić albo coś ukryć, zaraz kupują sobie okulary. Uważaj na siebie, *komandir*... Dobrze, że nie nosisz okularów.

Rudolf uśmiechnął się. Rozbawił go wykład Jagana i chciał nawet zapytać, co ze szklami kontaktowymi, ale darował sobie.

Już wcześniej nabrał przekonania, że teorie Jagana w gruncie rzeczy mają jakiś głębszy sens, mówią więcej, niż się na pierwszy rzut oka wydaje, i nie należy ich bagatelizować tylko dlatego, że są pozornie naiwne. W błahych zjawiskach, na które nikt nie zwraca uwagi, prosty żołnierz specnazu potrafił dostrzec coś, co było decydujące dla jego bezpieczeństwa i przetrwania.

Choć sam o tym nie wiedział, jego umysł dokonywał nieustannej analizy położenia ciała, drogi dojścia i wyjścia, natychmiast oceniając możliwe zagrożenia i przewidując konsekwencje. Dzięki temu właśnie Jagan zawsze unikał zasadzki. Ci, którzy mu nie wierzyli, ignorowali go lub wyśmiewali, ginęli, bo człowiek musi przegrać w starciu z naturą. A Jagan był właśnie jak część natury,

dlatego Doronin, odkąd się zorientował, kim jest chorąży Trubow, postanowił iść jego śladem. Wystarczyło to zrozumieć, zamiast przypisywać mu nadludzkie cechy Nexusa nowej generacji.

– Nic... nic... pusto... nie ma nikogo... – Rudolf cedził słowa powoli, z dużymi odstępami, co kilka kroków, i w końcu oznajmił: – Nic... jestem pewien. Jest... bezpiecznie. Wracam.

– Wracaj – odpowiedział Jagan.

Penetracja terenu zajęła Doroninowi dwadzieścia minut. Wrócił do samochodu zarumieniony i zadowolony. I chociaż Jagan skarcił go od razu, że naniósł błota do środka, czuł się wyśmienicie. Wszystko wskazywało na to, że ich akcja zbliża się do końca.

– Teraz ja – zakomunikował Jagan i nie czekając na reakcję Rudolfa, wyskoczył z land rovera.

Zwinnie, lekko pochylony, obszedł go od tyłu i skierował się w prawo, minął lodową skałę, by po chwili zniknąć w gęstwinie świerkowego lasu.

– Nie wzięłeś kamerki.

– Nie potrzebujesz teraz nic śledzić. A mnie to rozprasza... – Wydawało się, że biegnie, bo głos miał lekko przyspieszony. – Cisza w eterze. Odezwę się, kiedy będzie trzeba. Dobrze, *komandir*?

– Dobrze... jak chcesz.

Jagan nie biegł, tylko szedł szybkim krokiem przez las, uważnie stawiając stopy między gałęziami i korzeniami. Wiedział, jaka będzie droga, więc wcześniej dobrze zawiązał cholewki i ścisnął stawy, bo nie wątpił, że to on będzie musiał dokończyć robotę. Coś tak prozaicznego jak źle postawiona stopa mogło zakończyć ich misję, a może nawet zaszkodzić bezpieczeństwu Rosji, i Jagan zdawał sobie z tego sprawę jak nikt inny.

Podejście do domu Popowskiego zaplanował od strony lasu, a potem wzdłuż wody aż do martwego punktu. Tylko wtedy można było dotrzeć do celu niepostrzeżenie, nie wchodząc w pole widzenia okularników. Oczywiście pod warunkiem, że teren nie był śledzony przez kamery, bo w przeciwnym razie wszystkie plany i tak brały w łeb.

Jagan wiedział, co ryzykuje. Teraz liczyła się precyzja, szybkość i spokój działania, a nade wszystko harmonia tych elementów, a zatem to, co on miał we krwi. Dotarł do domku w ciągu siedmiu minut, przywarł plecami do drewnianej ściany obok okna i zaczął wyczekiwać reakcji smoka.

– I co? – usłyszał w słuchawce. – Widzę cię!

– Nie przeszkadzaj, *komandir*! – odburknął.

Smok nie dał żadnego znaku, ale Jagan już od ostatniej czeczeńskiej akcji, w której zginęli towarzysze, przestał traktować jego rady poważnie. Musiał polegać wyłącznie na sobie. Ale zapytać nigdy nie zaszkodzi – pomyślał. Tym bardziej że to ich ostatnia akcja, bo po powrocie do Rosji obaj idą na emeryturę. Trzeba było jednak załatwić jeszcze sprawę Popowskiego, żeby ten obleśny, mały kremlowski generał wypłacił obiecaną sumę. Nagle Jagan zdał sobie sprawę, że od wyjazdu z Moskwy ani razu nie pomyślał o Popowskim źle, i aż się zdziwił. Stojąc oparty plecami o dom, w którym zdrajca miał się ukrywać, nie czuł żadnych emocji, spięcia, woli walki, idei, nie czuł nic. I smok też nic nie czuł.

Jagan wyjął pistolet i powoli, ostrożnie wychylił się do okna.

Wewnątrz było ciemno, ale nie aż tak, by Jagan nie mógł dojrzeć wszystkich szczegółów. Po lewej rozgrzebane łóżko, a obok zapalona lampka, na środku stół, na nim komputer, talerz z resztkami jedzenia, butelka po wódce, karton mleka, na krześle ubranie, przy drzwiach torba. Jagan nie miał najmniejszej wątpliwości, że ktoś tu mieszka i może to być Popowski, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego ukrywa się sam, bez wsparcia, ochrony i na dodatek używa telefonu komórkowego. To wszystko nie mało sensu. Popowski był zbyt inteligentny, by wyreżyserować dla siebie tak naiwne przedstawienie. Jagan nie potrafiłby tego opisać, ale czuł, że tak właśnie jest. Uznał jednak, że najważniejsze są dyspozycje z Moskwy, więc nie mają z Rudolfem alternatywy.

– Ktoś tu mieszka – wyszeptał. – Wchodzę do środka.

– Zaczekaj na mnie!

– Wchodzę. Nikogo w środku nie ma, ale widać, że ktoś tu był

i niedawno wyszedł... i może wrócić – odparł Jagan. – Nie mamy czasu, *komandir*... Wchodzę, ty pilnuj na zewnątrz. Odezwę się.

Cała czynność zajęła mu zaledwie kilka sekund, aż się zdziwił, bo wyglądało, jakby zamek uwzględnił otwarcie okna z zewnątrz. Dziwna ta Finlandia – pomyślał, przerzucił ciało przez parapet i zsunął się na podłogę, która cicho zaskrzypiała. Dopiero teraz wyjął giurzę.

Przykucnął pod oknem. Wycelował przed siebie pistolet, choć nie rozumiał, dlaczego to robi. Po raz pierwszy mierzył w pustkę.

W słuchawce słyszał głos Rudolfa, ale wyłapywał tylko jakieś niewyraźne dźwięki odpływające w przestrzeń. Ze zdziwieniem spostrzegł, że obraz, do którego mierzy, jest znajomy, że już tu kiedyś był, że zna to miejsce bardzo dobrze. Smok spał się, jakby się czegoś przeraził, i wbił ostre pazury boleśnie w plecy.

Tam jest kuchnia, po prawej drzwi wejściowe, przy nich schody do sypialni na piętrze, po lewej powinien wisieć zegar ścienny – pomyślał. I rzeczywiście wszystko się zgadzało.

Zmrużył oczy i wypatrzył przed sobą otwarty wąż do piwnicy, skąd cienką strużką wydobywał się dym. Ostrożnie podszedł bliżej. Stał nad kwadratowym otworem i zerknął w dół na znikające w ciemności schody. Zawahał się. Pomyślał, że musi tam natychmiast zejść, to bardzo ważne, jakby od tego zależało jego życie, i chciał już zrobić pierwszy krok, gdy zrozumiał, że najpierw powinien popatrzeć w prawo, do kuchni.

Powoli obrócił głowę i zajrzał w głąb zdewastowanego pomieszczenia. Między poprzewracanymi meblami i rozbitym szkłem zobaczył leżące na podłodze, obok lodówki, lekko rozrzucone nogi w niebieskich reebokach.

– *A dla mienia kusok swinca – / On w tielo bietoje wopjotsia, / I slezy gorkije poljutsia. / Takaja żizń, brat, żdiot mienia* – usłyszał w słuchawce znany głos i stanął jak zahipnotyzowany.

– Przestań! – krzyknął z całej siły, a smok boleśnie rozdarł mu ciało. – Skończ już. Przestań – powtórzył ciszej.

Pistolet wysunął mu się z dłoni, obraz zawirował i po chwili

ściemniał.

Jagan poczuł, że zasysa go czarna otchłań, jest słaby, coraz słabszy, prawie bezsilny i nic nie może zrobić, nie ma woli walczyć i pozostaje mu już tylko się poddać.

43

Konrad i Sara przyjechali na spotkanie z piętnastominutowym opóźnieniem. Marcel i naczelnik Roman Grodzki czekali na nich w mieszkaniu konspiracyjnym na Ursynowie już od godziny i omawiali plany na najbliższe dni.

Karuzela wydarzeń rozpędzała się w takim tempie, że trudno było nad nią zapanować i któreś krzeselko mogło się w końcu urwać. Konrad i Sara czuli coraz większe zagrożenie, i to nie tylko ze strony patriotycznych kiboli. Bardziej obawiali się rozpędzonej ciężarówki pełnej gruzu. Dlatego Marcel postanowił włączyć do gry sprawdzonych ludzi z kontrwywiadu i obserwacji.

Po oficjalnej kapitulacji Konrada szef AW formalnie zdjął zlecenie na nich w ABW. Tego samego dnia Marcel zebrał zaufanych naczelników i bez wchodzenia w szczegóły poinformował ich o rozpoczęciu nowej operacji, prosząc, by objęli ochroną i obserwacją nie tylko Konrada i Sarę, lecz także jego. Od razu wyjaśnił, że formalnie akcja jest nielegalna, ale nadzwyczaj ważna dla bezpieczeństwa państwa, i że nie może jeszcze nic więcej o niej powiedzieć. Nie musiał długo mówić ani używać jakichkolwiek argumentów, by ich przekonać. Powiedział prosto i krótko. Wyrósł w kontrwywiadzie, awansował za kompetencje i odwagę, często pod prąd politykom, i wszyscy go znali. Cieszył się autorytetem, o jakim Apple Tea mógł tylko pomarzyć. Dlatego gdy na koniec spotkania poprosił swoich o sto procent szczelności, wiedział, że go nie zawiodą. Naczelnicy skinęli tylko głowami i bez słowa opuścili jego

gabinet.

Obserwacja posuwała się za czarnym saabem 900i cabrio tak dyskretnie, jak tylko pozwalały na to warunki, a jednocześnie wystarczająco blisko, by wkroczyć do akcji, gdy pojawi się jakieś zagrożenie. Zmobilizowano najlepszych oficerów, bo doświadczenie i czujność były teraz szczególnie potrzebne. Tym razem funkcjonariusze byli uzbrojeni.

Wszyscy czuli, że wkrótce ma się wydarzyć coś nadzwyczajnego, i ta atmosfera napięcia, niepewności jeszcze bardziej wzmagala w nich determinację.

– Czyli? – zapytała enigmatycznie Sara, pociągając z e-papierosa.

– Mamy pewność – odparł Grodzki. – To okazało się prostsze, niż sądziliśmy. Patriotyzm kiboli był z rodzaju tych bezmyślnych i nawet nie musieliśmy ich straszyć. Wyśpiewali wszystko sami...

– Sami? – wtrącił się Konrad.

– No tak... – ciągnął Grodzki. – Wystarczyło podstawić im jeszcze większego patriotę i opowiedzieli całą historię. Trudno w tym środowisku być bohaterem, jeśli nikt o tym nie wie. Taki to patriotyzm...

– Podstawiliście? – dopytywał się Konrad.

– To nasz człowiek... Trzeba wiedzieć, co się tam dzieje, tym bardziej że rosyjską rezydenturę też to interesuje...

– Panowie, lądujemy! – zdenerwowała się Sara. – Ego pobitego Konrada nie jest teraz najważniejsze. Co ustaliliście? – Rozłożyła ręce w geście ironicznej dezorientacji.

– Nie ma wątpliwości, że zlecenie wyszło od Bańkowskiego – wyjaśnił Marcel, a Grodzki potwierdził jego słowa delikatnym skinieniem głowy. – Kretyn, tchórz, idiota, pojeb... jest jeszcze jakieś adekwatne określenie na premiera Rzeczypospolitej? Czy ktoś byłby w stanie uwierzyć, że szef polskiego rządu posunie się do tak kretyńskiego pomysłu?

– Może tym razem musiał pomyśleć. Samodzielnie – wtrącił Konrad i wszyscy wybuchnęli śmiechem. – To wcale nie jest śmieszne – odezwał się po chwili, ocierając zasinione oko. –

Powinniśmy dostawać od polityków jakiś specjalny dodatek za to, że musimy na nich patrzeć i słuchać ich gadania, bo to przecież powoduje poważny uszczerbek na naszej psychice...

– Czy on przypuszczał, że tego nie ustalimy? – zapytała Sara. – Uważa nas za takich idiotów? Właściwie... jak spojrzeć na Apple Tea i dobrze się zastanowić, dlaczego mianował go szefem wywiadu, to już przestaje być takie dziwne – stwierdziła z przekąsem.

– Czyli wychodzi na to, że Misza nie tylko się uwiarygodnił, ale co więcej, Bańkowski sam się zdekonspirował. Po prostu boski młotek! – dodał Marcel już całkiem poważnie. – Idiota!

– Nie rozumiem – odezwał się Grodzki. – Czy chcesz powiedzieć, że premier jest rosyjskim agentem? – Potoczył wzrokiem po roześmianych jeszcze przed chwilą twarzach i w końcu rzucił ostro: – W co wy gracie? Co tu się dzieje? – Wstał. Widać było, że jest wzburzony. – O co chodzi? – dopytywał się coraz natarczywiej, a spokojne spojrzenia pozostałych dodatkowo go denerwowały. – O tym nie było mowy, Marcel!

– W porządku, Roman – odezwał się Marcel. – Zaraz wszystkiego się dowiesz... już czas.

– Nie! Nie jest rosyjskim agentem – włączyła się Sara. – W dosłownym tego słowa znaczeniu, oczywiście. Jest fantomem agenta, a to może nawet gorzej. Stąd, niestety, jego naiwne i rozpaczliwe ruchy, które go dekonspirują. Niech pan usiądzie panie Romanie, to potrwa chwilkę. – Uśmiechnęła się chłodno, odstawiając kubek z czerwoną herbatą.

Rudolf podbiegł do otwartego okna z pistoletem w dłoni. Nie miał czasu się kryć. Musiał za wszelką cenę ratować Jagana. To był czysty impuls, który wykluczał kalkulację.

Oparł się plecami o ścianę domu, próbując wyrównać oddech i choć trochę uspokoić przed walką rozszalałe serce i gonitwę myśli. Przez chwilę nasłuchiwał. Starał się wyłowić jakikolwiek dźwięk, który pomoże mu zrozumieć, co się stało, ale jedyną odpowiedzią był irytujący skrzek mew.

Kiedy usłyszał w słuchawce najpierw przeraźliwy krzyk, a potem głuchą ciszę, wiedział już, że musiało się stać coś strasznego, bo Jagan nie należał do ludzi, których można łatwo zaskoczyć i pokonać. Nie sposób przerazić kogoś, kto był w piekle i pił z diabłami, więc Doronin zaczął się zastanawiać nerwowo, kim jest człowiek, który stanął na drodze Jagana. Czy to mógł być Michaił Popowski?

Wyprostował się powoli, by sięgnąć do dolnej framugi okna, i z największą ostrożnością zajrzał do wnętrza. Od razu zobaczył ciało. Chorąży leżał obok stołu na środku pomieszczenia o powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych. Nie było żadnych śladów walki, nic nie zaburzało porządku.

Mierząc z pistoletu, sprawdził pokój metr po metrze, ale wciąż nie mógł dostrzec niczego, co powinno być jego celem, czego powinien się obawiać, i to właśnie zaniepokoiło go najbardziej. Po raz pierwszy w swoim szpiegowskim życiu spotkał się z czymś, czego nie rozumiał, a co musiał ocenić, by podjąć szybką decyzję.

Wszedł do środka. Drzwi do łazienki były otwarte. Nie dostrzegł za nimi żadnego ruchu, mimo to ostrożnie tam zajrzał. Opuścił broń. W domku nie było miejsca, w którym ktoś mógł się ukryć.

Jagan leżał na wznak z zamkniętymi oczami, ale na ciele ani wokół niego nie było żadnych śladów krwi. Wyglądał, jakby spał. Doronin przyklęknął i dotknął palcami jego szyi. Od razu wyczuł potężny, miarowy puls. Uderzył Jagana otwartą dłonią w twarz i ten natychmiast otworzył oczy. Sprawiał wrażenie nieobecnego, patrzył tępo w sufit, by po chwili przerwano wzrok na Rudolfa.

– Co się dzieje? – zapytał. – Co tu robisz? Skąd się wzięłeś...

– Co z tobą, Andriusza? – Doronin był wyraźnie zaniepokojony. – Kurwa mać! Co tu się wyrabia?

Jagan usiadł i zaczął się rozglądać, jakby czegoś szukał.

– Gdzie my właściwie jesteśmy...

– Co z tobą, Andriusza? – powtórzył Rudolf podniesionym tonem.
– Ktoś cię zaatakował? Popowski tu był?

– Nie... nie... – Jagan bez przekonania pokręcił głową.

Kapitan spojrział na niego zdziwiony.

– To do kogo krzyczałeś?

– Do... do... – chorąży znowu się rozejrzał – do Tatara...

– Przecież on zginął w Szwecji kilka lat temu.

– No właśnie... – Jagan wstał, podnosząc swój pistolet. – Zginął przeze mnie. Był tutaj... widziałem go...

– Co ty bredzisz, chorąży? Co z tobą?

– Nieważne. – Wcisnął giurzę za pasek. – Kończmy tę robotę tutaj i wracajmy do domu. Wszystko ci potem wytłumaczę. – Wyraźnie doszedł już do siebie. – Najpierw obejrzyj ten komputer – dorzucił – a ja będę obserwował, czy Popowski nie wraca. Nie zabijemy go chyba? – zapytał nagle. Zabrzmiało to tak, jakby zdecydował się oszczędzić Popowskiego.

– Zobaczmy – odparł Rudolf zaskoczony.

Usiadł przy stole i przysunął do siebie komputer.

Tymczasem Jagan stanął przy oknie, z którego miał widok na drogę prowadzącą do domków. Ale wiedział, że Popowski się nie pojawi.

Tak jak i wiedział, że on tu wcale nie mieszka, a oni wpadli w pułapkę. Teraz pozostało tylko czekać na finał.

Objawienie się Tatara nie było przecież przypadkowe – pomyślał – ale jak to wytłumaczyć Doroninowi?

Cztery kule w pistolecie Tatara. Potrzebował trochę czasu, by to wszystko ubrać w odpowiednie słowa, bo nie chciał skłamać, nawet przypadkowo. W końcu Rudolf był jego jedynym przyjacielem.

– Do komputera podłączony jest telefon – odezwał się Doronin. – To bardzo dziwne... bardzo... Podłączony jest do portu USB i jeszcze jakimś innym kablem z kieszeni karty SIM do drugiego portu USB. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego... Dziwne.

Odkrycie Rudolfa nie zaskoczyło Jagana, więc nawet nie drgnął. Stał przy oknie wpatrzony w linię lasu, w której ginęła szutrówka, i czekał na kolejne rewelacje.

Doronin uniósł pokrywę i monitor natychmiast się rozjaśnił.

– *Dzień dobry, koleczy* – odezwał się po rosyjsku głos z komputera.

To jakiś żart? – pomyślał Rudolf. Kiedy jednak napotkał wzrok Jagana, już wiedział, czyj to głos.

– *Tak, tak, to ja... pułkownik Michaił Popowski... Jestem tutaj z wami...*

Na ekranie pojawiła się uśmiechnięta twarz mężczyzny z brodą. Jagan podszedł do Doronina i stanął za jego plecami. Przez chwilę nie mógł zrozumieć, co się dzieje.

– *Witaj, Andriej* – przemówił Popowski. – *Byłem niemal pewny, że to ciebie za mną wypuszczą, to dla mnie zaszczyt... a kim jest kolega? Chyba się nie znamy...*

– Jak to możliwe? – odezwał się Rudolf, kręcąc głową. – Wciągnąłeś nas w pułapkę?

– *Coś w tym rodzaju. Z kim mam przyjemność?*

– Kapitan Rudolf Doronin z jednostki...

– *Z „cieni”?* No proszę, proszę! – Popowski uniósł teatralnie głos. – *Tajna elita rosyjskiego wywiadu na usługach tego bałwana Krugłowa. Dobrze się czujesz, kolego, w jego towarzystwie? A ty,*

Jagan? Prawdziwy rosyjski żołnierz specnazu daje dupy takiej szmacie jak Krugłow? Naprawdę nie ma już ojczyzny, której chciałbyś służyć? Nie ma Rosja wrogów? – Starął się wykorzystać efekt zaskoczenia i celował w najczulsze miejsca: honor i odpowiedzialność. – *Ciekawe, jak się teraz czujecie... Bo ja nie najlepiej. To dla mnie żadna satysfakcja, że tak łatwo udało mi się wyprowadzić was w pole, a właściwie rosyjski wywiad... Mój wywiad! Tak się zmienił w ciągu tych paru tygodni, odkąd mnie nie ma? Teraz sami widzicie, że wystarczy postawić na czele głupka i karierowicza, by spierdolić prostą operację. Powiedz, Jagan, dałbyś się kiedyś wpuścić w coś takiego? Założę się, że od początku wiedziałeś, że coś tu nie gra.*

– Jesteś mi winien, pułkowniku, trzysta pięćdziesiąt tysięcy baksów, które obiecał generał Lebiedź za archiwum Muhamedowa, a poza tym skłamałeś, przez co zginęli moi towarzysze broni... A teraz jesteś nawet zdrajcą.

– *Nie masz racji, Andriej, ale nie będę się teraz tłumaczył. Nie zrozumiesz tego, choć czasami potrafisz zrozumieć więcej niż inni. Tym razem możesz mieć pretensje do Krugłowa, który wykończył generała Lebiedzia, a wkrótce wykończy Rosję. On jest do tego zdolny, jak widzisz... specjalista od partaniny. Nie wstyd ci teraz, gdy stoisz przed tym komputerem? Jeden z najlepszych żołnierzy specnazu zrobiony jak dziecko... –* Popowski na chwilę przerwał i Jagan musiał przyznać, że rzeczywiście dał się zaskoczyć. – *Nie czujesz się poniżony? Ja bym ci takiej kompromitacji nie zafundował. Widzicie ten telefon podłączony do komputera? Od początku wiedziałem, że SIGINT będzie mnie namierzał, więc ułatwiłem kolegom zadanie, chociaż, jak się domyślacie, jestem w zupełnie innym miejscu.*

– Dobrze, Popowski, wygrałeś. Brawo! Jestem pod wrażeniem – odezwał się w końcu Rudolf. – Ale po co to zrobiłeś? Po co to wszystko, po co zadałeś sobie tyle trudu? Dla kogo to przedstawienie? Przecież i tak cię dopadniemy... to tylko kwestia czasu. Jak nie my, to inni... znasz zasady... Matuszki Rossii nie

można zdradzić. – Uśmiechnął się ironicznie.

– *Znam, wiem... ale Krugłow to nie Rosja. Wy, „cienie”, nie znacie Rosji, więc skąd możesz wiedzieć, czy można zdradzić, czy nie?* – Popowski uśmiechnął się i pokręcił lekko głową. – *Mam dla was propozycję. Musicie mi zaufać, jeśli chcecie pomóc Rosji... – popatrzył pytająco – ale nic na tym nie zarobicie.*

– No świetnie – odparł Doronin. – Czyli można na tym tylko stracić, tak?

– *Tak.*

– Wiesz, Popowski, co jest w życiu najważniejsze? – zapytał Rudolf z widocznym przekąsem.

– *Co?*

– Poczucie humoru... kurwa! Poczucie humoru.

Naczelnik Roman Grodzki od dwudziestu lat był oficerem kontrwywiadu, prawą ręką Marcela do zadań specjalnych i naczelnikiem wydziału. O rosyjskiej rezydenturze w Warszawie wiedział wszystko, do czego tylko można było dotrzeć dzięki inwigilacji. Wiedział znacznie więcej niż Marcel, bo taka jest rola naczelnika, by podawać szefowi tylko te informacje, które coś wnoszą, a resztę chować do czasu, kiedy staną się przydatne. Naczelnik musiał być żywym bankiem danych, by w każdej chwili odpowiedzieć na każde pytanie szefa. I taki właśnie był Roman. Miał pamięć do nazwisk, twarzy, cyfr, miejsc i sytuacji. Nosił w sobie najtajniejsze archiwum danych o rosyjskich szpiegach w Polsce. I nie było takiej kombinacji operacyjnej, której by nie poznał, nie zaplanował, nie zrealizował.

Nigdy jednak nie słyszał o wspomnianym przez Sarę fantomie agenta. Co gorsza, podejrzenia rzucone na premiera były dla niego nie dość, że szokujące, to jeszcze poniżające. Bo gdyby tak było w rzeczywistości, oznaczałoby, że Rosjanie poczynali sobie w Polsce o wiele lepiej, niż przypuszczał. Owszem, zakładał, że może tak być, bo przecież nie wiedział wszystkiego, ale premier agentem?!

Już kiedyś faceci z wywiadu wsadzili Polskę na konia z premierem jako ruskim szpiegiem – pomyślał w przyływie wściekłości. Drugi raz nie dam się nabrać. Widzą świat tak, jakby byli na nim sami, wedle swoich zasad. Egoiści i mitomani. To po co Polsce kontrwywiad? I co w tym wszystkim robi Marcel?

Grodzki miał chwilowy problem z ogarnięciem sytuacji, ale w głębi duszy był ciekaw, kim jest fantom agenta.

– Panie Romanie, tym razem nie będzie tak jak z aferą Zacharskiego – zapewniła Sara, bo wydało jej się, że Grodzki musiał o tym pomyśleć. – Tu chodzi o coś zupełnie innego.

– A o co?

– Fantom – zaczął Konrad – to człowiek, który w każdej chwili, przynajmniej teoretycznie, może stać się agentem, bo są na niego odpowiednie materiały obciążające, ale nie wiadomo, jak zareaguje, gdy taką propozycję dostanie. Wtedy trzeba umieć zważyć wartość potencjalnego agenta i skutki nieudanego werbunku, czyli spalenia materiałów, które by go obciążały. Bywa, że lepsze jest pozostawienie go w przedpokoju, w stanie hibernacji i potencjalnego zagrożenia. W przypadku premiera taka sytuacja może przynieść więcej pożytku niż próba jego werbunku. To stara zasada... ty wiesz, że my wiemy, że ty wiesz. To nie jest fikcja. Dopóki potrzeba, taki polityk, by uniknąć najgorszego, sam będzie pokornie wykonywał ruchy korzystne dla wywiadu. Czyli nie stawiamy go przed dylematem: podjąć współpracę czy wycofać się z polityki? Jeśli cel jest wartościowy, należy pozostawić mu wolność wyboru, a przede wszystkim pozwolić, by pracowała jego wyobraźnia. Można ją delikatnie pobudzać, łechtać, przypominać, ale...

– Oczywiście znam ten model – wtrącił Grodzki. – Nie wiedziałem, że nazywacie go fantomem. Czyli co, Rosjanie mają materiały na Bańkowskiego, tak?

– Właśnie tak! – potwierdziła Sara. – Konrad o tym nie wspomniał, ale ważna jest tu również konstrukcja psychiczna człowieka, jego rozpoznanie operacyjne. Bo przecież nie każdy gotów jest się poddać takiej kombinacji...

– I model systemu politycznego w państwie – włączył się znów Konrad. – To, co jest kompromitujące w Polsce, nie musi być złe w Finlandii czy Indonezji. Pamięta pan zapewne szantaż, jakiego wobec prezydenta Sukarno dopuściło się kiedyś KGB.

– Prawdziwa agentura wpływu promuje w polityce jednostki

słabe, podatne na korupcję, mało inteligentne, ale przebojowe i bezwzględne – ciągnęła Sara. – Nie przechodzą przecież, tak jak my, badań psychiatrycznych i psychologicznych, nie wspominając już o wykrywaczu kłamstw, a mają dostęp do najtajniejszych informacji, a co ważniejsze... to oni podejmują decyzje. W polityce roi się od różnych socjopatów, a socjopaci nie mają wyrzutów sumienia, bo nie mają sumienia. Ale wyborcy nagradzają takich ludzi. To największa słabość polskiej demokracji, a Rosjanie nie od dzisiaj potrafią tę ułomność wykorzystać i Bańkowski jest tego doskonałym przykładem.

– Jeśli można to udowodnić, trzeba go natychmiast aresztować – stwierdził Grodzki, jakby to było oczywiste.

– Nie możemy tego udowodnić, ale możemy go wyeliminować, jak i wszystkich pozostałych, których wystawił nam Popowski. – Konrad oparł się wygodnie i położył dłonie na kolanach. – Nasyłając na nas kiboli, zdekonspirował się, więc mamy pewność. Bańkowski był współpracownikiem SB, bardzo krótko, ale podpisał zobowiązanie i sporządził dwie czy trzy notatki odręczne. Esbek, który miał jego teczkę, podobnie jak kilkanaście innych, został wyrzucony w osiemdziesiątym dziewiątym i zabrał sobie wszystkie te akta, powiedzmy, jako pamiątkę. Nie miał z czego żyć, więc próbował je sprzedać, ale nikogo wtedy nie interesowały, bo dotyczyły ludzi jeszcze nieznanymi, mało znaczących. Rosjanie jednak wiedzieli, że kiedyś nabiorą mocy, i skupywali je za grosze. Oni potrafią patrzeć daleko w przyszłość. Pułkownik Michaił Popowski, który wówczas pracował w rezydenturze rosyjskiej w Warszawie, osobiście się tym zajmował. Przez swoją agencję kupił takich teczek kilkaset, wszystkie oryginalne. Warunkiem było, żeby zawierały odręczne notatki figurantów, współpracowników SB czy służb wojskowych. Stare teczki, jeszcze z czasów UB, też były w cenie, nawet jeśli dotyczyły osób już nieżyjących. Później pozostało tylko czekać, aż ktoś się pojawi w zasięgu zainteresowania wywiadu. Wtedy odpowiedniateczka trafiała do Wydziału Obróbki Dokumentów, czyli Biura Brata Boga, jak go nazywają w Jaseniewie. Tak właśnie

została uzupełniona i przekazana do Wydziału Polskiegoteczka Bańkowskiego, co mu delikatnie zasugerowano wiele lat temu. Bańkowski, który był wtedy szefem gabinetu premiera, został poinformowany o tym osobiście przez Popowskiego na przyjęciu dyplomatycznym w ambasadzie amerykańskiej. Rosjanie obserwowali go dalej, także przez agenturę, i okazało się, że mimo ostrzeżenia, które doskonale rozumiał, nie dość, że się nie wycofał, to jeszcze wybrał drogę dalszej kariery politycznej. Uznali zatem, że podjął wyzwanie i stał się fantomem.

– Ale jak się zdekonspirował? – Grodzki cały czas uważnie słuchał.

– Widać było, że jest zaskoczony. Jednak nie modus operandi rosyjskiego wywiadu był dla niego niespodzianką, bo wiedział o nim prawie wszystko, podobnie jak o skupywaniu teczek, uczestniczył przecież w aresztowaniu Zenona Ruperta z IPN. Nigdy jednak nie uzyskał potwierdzenia, że ta operacja rzeczywiście została przeprowadzona. Zaskoczony był tym, że Konrad i Sara uzyskali tę informację od samego Popowskiego, którego oczywiście doskonale znał, więc wiedział, jakim potencjałem dysponuje.

Grodzki uświadomił sobie rozmiar spustoszeń dokonywanych od lat w polskich elitach politycznych przez rosyjski wywiad. A teraz premier! Cóż można dodać... – pomyślał zrezygnowany. Mógł się tylko domyślać, co jeszcze powiedział Popowski.

– Jednym słowem – rzuciła Sara z ironicznym uśmiechem – spanikował. Stara prawda, którą znają wszyscy szpiedzy: im większa tajemnica, tym trudniej ją ukryć. Ale amatorzy o tym nie wiedzą, więc panikują i wpadają.

– Kiedy przeczytał nasz raport – włączył się Konrad – musiał pomyśleć, że Popowski coś o nim wie, bo z pewnością nie zapomniał rozmowy w ambasadzie USA przed laty. Dlatego też zabrał Belikowi i Apple Tea jedyny egzemplarz naszego raportu, licząc naiwnie, że jakoś ukreśli łeb sprawie... no i chciał nas nastraszyć, żebyśmy się zamknęli. – Konrad uśmiechnął się sinożółtą, opuchniętą twarzą, wzbudzając swoją groteskową mimiką ogólną wesołość. – I bardzo

nam tym ułatwił zadanie.

– To co będzie? – zapytał Grodzki.

– Wyprosimy ich z polityki... a ten, komu udowodnimy szpiegostwo, pójdzie do pierdła...

– Chętnie się nimi zajmę, mam już... – Grodzki nie skończył, bo w pokoju rozległ się stłumiony dzwonek telefonu.

Marcel wstał, wyszedł do przedpokoju i z trudem wygrzebał telefon z kieszeni kurtki.

Konrad spojrział na zegarek. Dochodziła północ. W milczeniu czekali na Marcela. Sygnał służbowego telefonu szefa kontrwywiadu o tej porze oznaczał, że zdarzyło się coś ważnego. A nic nie było teraz w Polsce równie ważne jak sprawa Michała Popowskiego, przynajmniej dla nich i dla tych, którzy za chwilę zostaną w nią wciągnięci, chociaż jeszcze o tym nie wiedzieli.

– Belik chce się spotkać jutro rano z Wacławem! – oznajmił uradowany Marcel, wchodząc do pokoju.

– Bingo! Mamy go! – krzyknęła Sara w swoim stylu, poderwała się z fotela i niemal podskoczyła z rękami uniesionymi w geście triumfu.

Konrad i Marcel pokleпали się radośnie po ramionach. Tylko Roman Grodzki siedział nieporuszony, ze zdziwieniem obserwując ten niezrozumiały wybuch euforii.

Cóż może być ważniejszego niż premier jako fantom? – pomyślał z niepokojem.

46

Korpulentna pani kapitan z FSB, bez makijażu, z końskim ogonem i w szarej garsonce, przysłała o dziewiątej rano, kiedy Warwara w zarzuconym na nagie ciało szlafroku parzyła poranną kawę i rozstawiała sztalugi w atelier.

Pani kapitan zapytała, czy może wejść, i jak zawsze, nie czekając na odpowiedź, weszła. Zdjęła płaszcz i jakby wiedzioną zapachem luwaka, udała się wprost do kuchni. Zajęła swoje ulubione miejsce przy wielkim drewnianym stole i – też tak jak zawsze – oparła się na przedramionach, splatając palce obu rąk, z kciukami sterczącymi do góry.

Wyglądała poważnie i Warwara zrozumiała, że najpierw powinna podać jej kawę. Trochę pożałowała, bo luwak był bardzo drogi i zwykła nim budzić poranne natchnienie, a nie wyglądało na to, by pani kapitan było ono do czegokolwiek potrzebne. Toteż naląła jej małą filiżankę i usiadła naprzeciwko, również splatając przed sobą dłonie.

Pani kapitan, nim sięgnęła po filiżankę, zaczęła rozglądać się po kuchni. Po chwili błędzenia utkwiała wzrok w rozchylonym szlafroku Warwary, który ukazywał szczyty najlepszych w Moskwie czterdziestoletnich piersi, jak się mówiło w artystycznym świecie. Pani kapitan oczywiście o tym słyszała, ale nigdy nie widziała ich na żywo, bo podgląd z kamery się nie liczył, więc chciała sprawdzić sama. Ludzie w FSB nie wierzą, muszą wiedzieć – powtarzał jej szef, a ona stosowała się do tej zasady.

Przeciągającą się ciszę przełamała Warwara.

– Czym mogę służyć o tak wczesnej porze?

– Taaa... – zamruczała pani kapitan. – To mieszkanie wraz z atelier ma ile... ze trzysta metrów?

– Trzysta dwadzieścia jeden... według dokumentów, ale wydaje mi się, że mniej. A w czym problem?

– Dużo masz tutaj różnych obrazów, rzeźb, mebli... oj, strasznie tego dużo...

– Rzeźby to po mężu zostały, a meble... tak... bardzo lubię.

– Wiele to wszystko warte?

– Nie wiem, pewnie tak. Jest trochę antyków i prac różnych mistrzów... naszych i zagranicznych też. Piotr miał smak i oko...

– A ubezpieczone to wszystko?

– Mieszkanie ubezpieczone, ale jak to wycenić... – Warwara rozłożyła ręce w geście bezsilności. – A poza tym wszystko to ma wartość ponadmaterialną... artystyczną, emocjonalną, osobistą...

– Aha! – Pani kapitan opuściła kciuki.

– A o co chodzi? – na poważnie zaniepokoiła się Warwara.

– Tak... Mamy problem do rozwiązania i liczymy, że nam pomożesz... Pomożesz?

– Pomogę, ale co mam zrobić? Rozumiem, że chodzi o Zoję... Nie pije pani kawy?

– Nie, dziękuję... nie podoba mi się ten zapach...

– A co się stało z Zoją? Rozmawiałam z nią wczoraj i nie zauważyłam, żeby coś było nie tak. Na pewno zna pani tę rozmowę, prawda?

– Oczywiście, że znam. – Znów uniosła kciuki do pionu i Warwara pomyślała, że pani kapitan może być lesbijką, bo wciąż wpatruje się to w jej dekolt, to prosto w oczy. – Musimy Zoi pomóc... i to jak najszybciej. Ona jeszcze nie wie, że ma kłopoty, bo to вина tego jej nedorobionego fagasa i zdrajcy.

– O Jezusie Chryste, pani kapitan! Co się dzieje? – zapytała z wielkim niepokojem Warwara.

No, lesba jak nic... – pomyślała. Misza to przecież bardzo

przystojny facet. Z klasą. Ciacho.

– Droga Warwaro Siergiejewna – pani kapitan zmieniła ton – wydaje nam się, że ten Popowski, zanim uciekł z Rosji, mógł coś u ciebie ukryć, tutaj, w tym wielkim mieszkaniu...

– O przenaświęta Bogarodzicielko! – Warwara przeżegnała się. – To on żyje, odnalazł się? – Zrobiła mocno zafrasowaną minę. – Jak to uciekł? Dokąd? Dlaczego? – Dobrze grała naiwną artystkę. – Zoja mówiła, że gdzieś przepadł, ale ani słowa, że uciekł. Ona o tym wie?

– To teraz nieważne, wie czy nie – ucieła pani kapitan. – Chodzi o...

– Aaa... że coś ukryła...

– Że on ukrył! Kojarzysz coś takiego? Mógł to zrobić bez twojej wiedzy?

– Oczywiście, że mógł, ale zależy, co to jest. Ja nic nie zauważyłam.

Warwara była bardzo autentyczna, sypała pytaniami jak z rękawa, a doświadczona pani kapitan bardzo wnikliwie je analizowała, patrząc dyskretnie na dekolt Warwary i obserwując, z jaką częstotliwością unoszą się jej piersi, jak reagują na każde stwierdzenie. Zauważyła, że kiedy po raz pierwszy wspomniała o Popowskim, na moment się zatrzymały, by po słowie „uciekł” zacząć intensywnie falować. Kłamcy amatorzy nie potrafią zapanować nad oddechem, w szczególności gdy czują groźbę, że ich kłamstwo się wyda, bo im więcej tajemnic, tym trudniej je ukryć – tak uczyli na Akademii Andropowa, a przyszła pani kapitan była pilną studentką.

– A Zoja nic nie mówiła? – zapytała.

– Że co?

– Nooo... że Popowski coś... tam... miał sekret...

– Miał masę sekretów, przecież pracował w GRU...

– W SWZ.

– Wszystko jedno, ja tam nie wiem, ale Zoi chyba nic nie mówił. Mnie przynajmniej ani słowem o tym nie pisnęła... Przecież już tyle razy mnie pani wypytywała. – Warwara oburzyła się całkiem serio,

bo wyglądało, jakby pani kapitan celowo robiła z niej idiotkę. – Co to miałyby być?

– Aaa... dyskietka, pendrive, coś małego raczej...

– To sobie mógł schować. Skąd ja mam wiedzieć? W takim wielkim mieszkaniu jest milion skrytek...

– No właśnie... no właśnie... – Pani kapitan zmrużyła oczy. – Nie chcielibyśmy robić przeszukania, bo wiecie, Warwaro Siergiejewna... nie jesteście ubezpieczona, a wiadomo, że...

– O Boże w Trójcy jedyny! Tylko nie to! – Warwara aż podniosła się znad stołu i w ostatniej chwili przytrzymała poły szlafroka, który rozchylił się, ukazując nagie piersi.

– Nooo... bo jak będzie trzeba, to nasi specjaliści przetrząsną mieszkanie centymetr po centymetrze... Co ja mówię, po milimetrze. A tego nie chcemy.

– Bardzo tego nie chcemy! – odparła Warwara szczerze.

– W takim razie zrobimy tak. – Pani kapitan uśmiechnęła się po raz pierwszy. – Pojedziecie do Tokinej jeszcze dzisiaj pod jakimś pretekstem i wysondujcie ją, czy coś o tym wie. Ale trzeba to zrobić mądrze, inteligentnie, przebiegle, tak żeby nic jej nie zasugerować. Zaprosicie ją do kawiarni, damy wam pluskwę do kołnierza i wszystko nagracie. To ważne! Rozumiecie, Warwaro Siergiejewna? Zaraz wam powiem, jak macie rozmawiać. Jak nic z tego nie wyjdzie, to, niestety, mamy plan zapasowy. Rozumiecie? – powtórzyła.

– Tak jest! – odparła zasmucona Warwara.

Tym razem Belik przyniósł oryginalną notatkę Konrada Wolskiego i pozwolił Waławowi ją sfotografować.

Zawsze to jakiś krok do przodu – pomyślał Waław, ale wcale nie poczuł się spokojniejszy. A nuż kryje się za tym jakaś perfidna niespodzianka...

Od dwóch dni nie wiedział, co ma robić. Po raz pierwszy, odkąd musiał samodzielnie podejmować decyzje i wydawać rozkazy, nie potrafił określić, gdzie się znajduje, na jakim etapie swojego przeznaczenia. Po raz pierwszy też zaczął się bać, nie o siebie, ale o to, że przez brak prostej decyzji może zmarnować swoje życie, które jest przecież nie tylko jego własnością, lecz także częścią losów świata. Choćby nawet i drobną częścią.

Jednego był prawie pewien: premier Bańkowski nie widział dokumentów, które mogły mu zaszkodzić. To było nadzwyczaj ważne, decydowało o sensie dalszych planów. Belik zarzekał się – i Waław nie miał podstaw, by mu nie wierzyć – że Agencja Wywiadu przygotowuje operację wydobycia pendrive'a, który Popowski ukrył w Moskwie u swojej przyjaciółki. Dokładny adres Rosjanin miał podać dopiero wtedy, gdy Agencja potwierdzi warunki umowy. Wtedy też gotów będzie się spotkać i przekazać nazwiska pięciu agentów. Na razie utrzymujemy z Popowskim tylko kontakt telefoniczny. Niewykluczone, że wywiad brytyjski udzieli Agencji pomocy w realizacji działań na terenie Moskwy. Do Polski ma przylecieć kontroler MI6 George Gordon, żeby omówić szczegóły

współpracy.

Wacław doskonale wiedział, kim jest Popowski, ale Popowski nie wiedział, kim jest Wacław. Tak przynajmniej było do tej pory. Ostatnio jednak zaczęły dziać się rzeczy, które wzbudziły w nim wątpliwości. A wątpliwości to już o jeden problem za dużo. Właściwie Wacław nie mógł powiedzieć nic konkretnego, nie miał żadnych dowodów, nawet poszlak czy przesłanek, jednak nie dało się zaprzeczyć, że dotychczasowy rytm zdarzeń, porządek rzeczy uległ zaburzeniu.

Myślał o Kurlandzkim. Ale nie o jego fizycznej likwidacji, tym zajmowali się inni. Męczyła go świadomość, że ten podły człowieczek dostał się w tryby szwajcarskiego zegarka i zgrzyta, a on nie może go wyłuskać.

Podszedł do okna i wyjrzał na drugą stronę podwórka. Popatrzył na bramę wejściową do swojego domu, samochód stojący na parkingu. Potem przeniósł wzrok na uchylone okno salonu, w którym stał fotel Miry.

Mieszkanie przy Natolińskiej 2 było jego domem rodzinnym i nie trzymał w nim nic, co mogło wzbudzać jakiegokolwiek podejrzenia. Odwiedzało go tam wiele osób – politycy, dziennikarze, ludzie ze służb – i nie mógł żyć w zagrożeniu, że jakiś przypadek zdradzi jego tajemnicę. To w tym mieszkaniu, pod okiem Miry, dyskutowali z Tadeuszem nad przyszłością Polski, tu rodziły się ich pierwsze pomysły polityczne, tu podjęli decyzję o powołaniu partii i tu zapadały ważniejsze uzgodnienia. Natolińska 2 była najbezpieczniejszym miejscem w Warszawie.

Wszystko, co było mu potrzebne – komputer do łączności, dokumenty i bezpieczne telefony – miał w małej kawalerce pięćdziesiąt metrów dalej, w domu przy alei Wyzwolenia 14. Był to jego *safe house*. Mógł się tam przenieść w ciągu minuty i z okna obserwować swój dom, kontrolować jedyne wejście, które do niego prowadziło. Co więcej, brama przy alei Wyzwolenia 14 była przejściowa i dawała możliwość bezpiecznej ucieczki na drugą stronę budynku. Krótko mówiąc, idealne miejsce, gdzie mógł się

ukryć i skąd miał być ewakuowany w sytuacji zagrożenia.

Komputer odezwał się przeciągłym niskim sygnałem podobnym do gwizdu lokomotywy i zamilkł. Waław wiedział, że program nic nie znalazł, więc nawet nie podszedł, by sprawdzić, czy na pewno wszystko jest w porządku. Kiedyś stosował proste metody zabezpieczenia, które wprawdzie na co dzień były bardzo uciążliwe, ale wystarczająco skuteczne. Cztery lata temu dostał kamerkę w figurce rzymskiego wojownika i nowe oprogramowanie do komputera. Nie musiał już nagrywać rozmów na dyktafon w kamuflażu. Teraz miał nowoczesną niewykrywalną pluskwę, która od razu przekazywała sygnał do komputera w bezpiecznej kawalerce.

Odkąd Waław zaczął działać samodzielnie, nie zauważył, by ktokolwiek próbował go śledzić. Mimo to był tak zdyscyplinowany, a do tego sumienny i odpowiedzialny, że nigdy nie lekceważył ustalonej procedury. Nawet jeśli ktoś z jego znajomych, telewizorów czy słuchaczy spostrzegł, że Waław jest zdenerwowany, gwałtowny, czasem nawet nieobliczalny, to nie zdawał sobie sprawy, że to wyłącznie dobrze zaplanowana gra pozorów. W końcu Waław całe życie grał tylko siebie.

Tym razem jednak czuł, że dzieje się coś niezwykłego. I to właśnie Kurlandzki uosabiał ten niepokój. Waław bowiem doskonale wiedział, że ów mały człowiek jest tylko fasadą, a prawdziwe drapieżniki kryją się w jego cieniu.

Wrócił do biurka i usiadł przed komputerem. W okienku Odebrane wciąż widniała wczorajsza wiadomość: „Przyjęliśmy. Proszę czekać na instrukcje”. Przyciągnął bliżej klawiaturę i zaczął się zastanawiać, co powinien napisać. W Centrali wiedzieli, że jest odpowiedzialny, spokojny, pilnuje porządku i jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by monitował odpowiedź. Przez chwilę wydawało mu się, że jeżeli napisze jeszcze raz o tym samym, to tak, jakby dał znak, że się boi, albo uważał, że Centrala nie pracuje jak trzeba.

Wpisał kolejny numer depechy i przerzucił kursor na pole tekstowe. Wystukał krótki tekst: „Moja 34532/E/2016. Proszę o pilną odpowiedź”. I miał już uderzyć w klawisz Enter, gdy zadzwonił jego

telefon widmo, którego oryginał leżał w mieszkaniu na Natolińskiej.

Wyświetlił się numer komórki, ale bez właściciela. Waław pomyślał, że to pewnie jeden z dziennikarzy, którzy w związku z sytuacją w kraju stali się ostatnio wyjątkowo agresywni, ciągle gdzieś go zapraszając i domagając się wypowiedzi. Miał już odrzucić prośbę o kontakt, gdy wbrew sobie nacisnął Odbierz.

– Dzień dobry, panie ministrze – odezwał się znajomy głos w słuchawce.

– Dzień dobry... – odparł niepewnie Waław, szukając w pamięci konkretnej osoby. – Ach... to pan... – przypomniał sobie. – Nie poznałem pana.

Dokładnie o pierwszej w nocy Lutek dostał od Konrada umówiony sygnał. Usiadł na łóżku i przez moment zastanawiał się, czy powinien od razu pójść na Małą Nabierieżną, gdzie w hostelu 24 zatrzymała się Ewa, i powiedzieć, że zaczynają, czy jednak poczekać do rana.

Od akcji w domu Zoi minęły dwa dni. Ewa nabrała pewności siebie, uwierzyła we własne siły, więc i Lutek uspokoił się na tyle, że przestały mu się pocić dłonie. Dotąd nigdy nie miał podobnych objawów, bo zawsze potrafił tak skalkulować niebezpieczeństwo, by wyeliminować strach będący pierwszym krokiem do porażki. Udział Ewy zaburzył mu ten niemal genetyczny porządek wartości.

Tym razem to Zoja będzie musiała wykazać się odwagą. Taki był plan i ona o tym wiedziała. Wszystko było związane na ostatni guzik. Lutek miał przećwiczony w myślach każdy punkt, każdy krok, godzina po godzinie, a Ewa jako najważniejszy element mechanizmu funkcjonowała już idealnie. Był o tym przekonany. Dlatego położył się z powrotem do łóżka. Uznał, że Ewa powinna się teraz dobrze wyspać, bo za kilka godzin zacznie się jej ostatni dzień w Moskwie.

Z rękami pod głową zapatrzył się w sufit, mimowolnie śledząc skoki różnokolorowych zajączków z potężnego neonu „Prazdnik”, który po drugiej stronie ulicy Tuszyńskiej zapraszał do kasyna, i obmyślając różne wersje nadchodzących wydarzeń. Każda kończyła się tym samym: gotów był zabić, by ratować Ewę. Ale akurat tego nie mógł sobie wyobrazić, więc nie mógł też zaplanować finału. I to właśnie niepokoiło go najbardziej.

Wbrew temu, co myślał Lutek, Ewa nie spała i prawie całą noc przewracała się z boku na bok. Miała uporczywą gonitwę myśli i nie mogła oddzielić scen, które właśnie przeżyła, od projekcji obrazów dopiero mających nastąpić. Wszystko mieszało jej się w szarą, ciężką, denerwującą masę.

O szóstej rano usłyszała potrójny dzwonek telefonu i dopiero po chwili dotarło do niej, że to sygnał od Lutka. Otworzyła oczy, poderwała się i zaczęła nerwowo szukać ubrania, choć dobrze wiedziała, że nie musi się spieszyć.

Lutek miał czekać po drugiej stronie kanału, niecałe sto metrów od hostelu, na przystanku tramwajowym Wostocznyj Most, który widziała ze swojego okna. Wyjść mogła jednak dopiero wtedy, kiedy Lutek da jej znak, że jest czysty.

Minęła dziewiąta. Właśnie skończyli śniadanie w prawie pustym McCafé na ulicy Marosiejka. Korzystając z wolnego czasu, powtórzyli po raz kolejny wszystkie punkty procedury dnia, jak Lutek nazywał plan działań. Ostatnie minuty spędzili w milczeniu, trzymając się pod stołem za ręce.

Pierwszy podniósł się Lutek. Spojrzał na zegarek. Pogładził Ewę po policzku, a ona delikatnie wtuliła się w jego dłoń. Spojrzeli sobie w oczy.

– Będzie dobrze – wyszeptała i uśmiechnęła się trochę niepewnie, a widząc, że Lutek to zauważył, dodała: – Nie denerwuj się... będzie dobrze.

Skinął głową i uśmiechnął się tak pogodnie, jak tylko potrafił, bo czuł, że Ewa nie potrzebuje już słów wsparcia, tylko uczucia, ciepła najbliższego człowieka, i chciał ją pocałować. Wiedział, jak bardzo jest wyczerpana psychicznie i fizycznie, i nic na świecie nie martwiło go bardziej. Nie potrafił jednak udawać, więc przez moment pomyślał, że Ewa mogła źle odczytać jego uśmiech, który pewnie wypadł sztucznie. Lutek nie miał zbyt dużo uśmiechów do wyboru i Ewa doskonale o tym wiedziała.

Przez ostatnie dni przeszli razem najtrudniejszy sprawdzian

wierności i oboje czuli, że stali się sobie bliżsi niż najgorętsi kochankowie czy najwierniejsi przyjaciele. I kiedy patrzyli na siebie w tym moskiewskim McDonalddie, wiedzieli, że to ich ostatnie spojrzenie, dotknięcie, ostatni uśmiech tutaj. Następnym razem mieli się zobaczyć dopiero w Warszawie, w innym już świecie, gdzie zaczną nowe życie.

Zoja Tokina siedziała przed gabinetem lekarskim w przychodni MiedPomoszcz na czterdziestym drugim piętrze Mercury Tower, wycierając nos w chusteczkę i pokaszując cicho. Kilka krzesełek dalej jej anioł stróż kartkował beznamietnie najnowszy numer „Forbesa”, który znalazł na stoliku obok. Nawet nie podniósł głowy, gdy pielęgniarka zaprosiła ją do środka.

Zoja od dwóch dni była chora i robiła wszystko, by każdy – zarówno w pracy, jak i w FSB – mógł się o tym przekonać. Najpierw zaczęła ostentacyjnie, wręcz irytująco kaszleć, pociągać nosem, głęboko wzdychać, potem kupiła kosz leków i przeleżała całe popołudnie pod kołdrą. W końcu Gruber, niemiecki higienista z syndromem Lady Makbet, polecił jej opuścić biuro i udać się do przychodni, w której wszyscy pracownicy mieli wykupione ubezpieczenie, nie lubił bowiem, kiedy się ono marnowało.

Doktor Wiktor Wiktorowicz Pupow, internista z długoletnią praktyką, dokładnie Zoję zbadał i orzekł, że złapała wyjątkowo paskudnego wirusa grypy, który kilka dni temu zaatakował Moskwę, siejąc teraz spustoszenie w świecie biznesu Mercury Tower. Wypisał zwolnienie na pięć dni, bezwzględnie zalecił jej łóżko i wydał kategoryczny zakaz wychodzenia na zewnątrz.

Zoja opuściła gabinet z receptą w dłoni. Rozbawiona, nie mogła wyjść z podziwu, jakie to postępy poczyniła ostatnio medycyna. A kiedy przechodziła obok swojego smutnego anioła z FSB, który podrywając się niezgrabnie do pionu, właśnie upuścił „Forbesa”, o mało nie wybuchnęła śmiechem.

Uczony głupiec jest jeszcze większym głupcem niż nieuczony dureń – pomyślała z zadowoleniem. Książę Myszkina, ale dzięki niemu

pierwszy punkt dnia zrealizowany.

Wytarła nos, a chusteczką ostentacyjnie nie wcelowała do kosza.

Anioł podszedł do chusteczki, trącił ją butem, ale nie podniósł. Zamiast tego wszedł bez pukania do gabinetu, machnął legitymacją w powietrzu i od razu uzyskał od doktora Pupowa informację o stanie zdrowia Zoi. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku szybko sporządził notatkę służbową.

Zoja zamówiła taksówkę i wprost z Mercury Tower udała się na Chimki do apteki w pobliżu swojego domu po pakiet antygrypowy. Zaraz potem wstąpiła jeszcze do sklepu Magnit, gdzie kupiła chleb, mleko i dwie rolki ręczników jednorazowych. Gdy tylko wyszła z torbami w rękach, samochód obserwacji ruszył ostro z miejsca, zawrócił, przecinając podwójną ciągłą, i z piskiem opon pognął w kierunku szosy leningradzkiej. Zoja chciała im nawet pomachać ręką, ale się powstrzymała, uznając, że to zbyt aroganckie, więc tylko się uśmiechnęła i wolnym krokiem, zgarbiona, ruszyła do domu.

Minęła stojący po drugiej stronie ulicy ford transit pogotowia wodociągowego i kartą magnetyczną otworzyła bramkę w ogrodzeniu.

Plan dnia знаła na pamięć. Kiedy przeczytała go po raz pierwszy, wydało jej się, że to jakieś żarty, i gdyby nie to, że pochodził od Miszy, nigdy nie zgodziłaby się go zrealizować. Nie przypuszczała, że praca w wywiadzie może być tak niezwykła, wręcz teatralna, nawet zabawna, a przecież stale towarzyszyło jej najwyższe ryzyko. Teraz zrozumiała, dlaczego Misza tak bardzo się różnił od wszystkich innych jej partnerów.

Wiedziała, że w domu śledzą ją kamery i kto siedzi w fordzie transit, ale już się nie denerwowała. Tego dnia wszystko to ją śmieszyło. A jeszcze większą radość odczuwała na myśl o tym, co będzie się działo nazajutrz.

Weszła do budynku, sprawdziła swoją skrzynkę na listy, wyrzuciła do kosza reklamy, lecz nie znalazła żadnej korespondencji. Stała przy windzie, opierając się plecami o ścianę. Po chwili drzwi się otworzyły i wysiadła sąsiadka z piątego piętra, gwiazda prognozy

pogody na kanale Rossija. Nigdy się Zoi nie kłaniała, chociaż swoje volvo parkowała obok jej audi. Zoja uważała, że bardziej odpowiedni byłby dla niej jakiś program porno, a Rosji i tak nie oglądała, choć raczej ze względów politycznych.

Wsiadła do windy wypełnionej lepkiem oparami perfum nieznanego pochodzenia, zakryła dłonią nos i zjechała do garażu. Wewnątrz było cicho i pusto, parkowało tam niewiele samochodów, mimo że mieszkańcy w większości korzystali z metra. I zgodnie z planem nie rozglądała się, tylko spokojnym krokiem – dokładnie takim, jakim poruszała się cały dzień, symulując chorobę – przeszła przez garaż i pilotem otworzyła swoje audi, które głośno jęknęło.

Odchyliła drzwi i usiadła na fotelu, nogi pozostawiając na zewnątrz. Torby z zakupami położyła na siedzeniu obok. Otworzyła schowek. Przez chwilę czegoś tam szukała, potem rozglądała się po samochodzie, zajrzała za przednie siedzenia. Wyprostowała się i zepchnęła na podłogę czerwoną torbę z logo sieci Magnit, a chwyciła torbę z lekami. Wysunęła się na zewnątrz i jakby niechcący obróciła ją tak, by leki mogły wysypać się na podłogę przy drzwiach samochodu.

Wiedziała, że kamera w garażu rejestruje samochód z prawej strony, więc miała dużą swobodę ruchów, a mimo to reżyseria tej prostej sceny była bardzo ważna. Tak napisał Misza i Zoja nie mogła postąpić inaczej, dlatego trochę się bała, czy zrobi wszystko jak trzeba.

Kłęknięła i zaczęła zbierać rozrzucone leki. Schyliła się i od razu zobaczyła pod samochodem charakterystyczną czerwoną torbę z logo Magnit. Zawahała się przez moment. Pomyślała, że z chwilą gdy jej dotknie, wszystko się zmieni, jakby świat miał zacząć się kręcić w drugą stronę, i nie była pewna, czy tego chce. Ale zwięźczeniem tych marzeń było przecież spotkanie z Miszą. Więc zaczerpnęła głęboko powietrza, wsunęła rękę pod samochód i szybko wyciągnęła na zewnątrz wypchaną plastikową reklamówkę.

Wjechali na czerwono-biały prom Gabriella punktualnie o szesnastej czterdzieści pięć. Jagan od razu się zorientował, że to ten sam prom, którym płynął kiedyś jako Siergiej Pietrow z FSB. Nazwa uleciała mu z głowy. Jak przez mgłę pamiętał tylko, że stoczył tutaj walkę z Rustamem Bogajewem i odzyskał swojego kizlyara.

Darował Czeczenowi życie, chociaż o niczym nie marzył wówczas bardziej niż o tym, by poderżnąć mu gardło, co i tak zrobił później jakiś Serb w szwedzkim więzieniu. Dobrze chociaż, że prawosławny – pomyślał wówczas Jagan.

Ale dzisiaj nie miało to dla niego znaczenia. W ogóle od spotkania z Tatarem w fińskim domku czuł się dziwnie. I nie chodziło wcale o zdrowie. Cała przeszłość powoli stawała się coraz mniej ważna, obojętna, jej obraz odpływał gdzieś w dal i Jagan nie mógł odnaleźć szczegółów, które wcześniej pamiętał. Jeszcze niedawno dostrzegłby w takim stanie zagrożenie dla własnego bezpieczeństwa i powodzenia misji, ale teraz nie czuł się winny. Ten dziwny dystans do przeszłości budził w nim chwilami nawet miłą satysfakcję. Jakby pozbył się zbędnego, uciążliwego wspomnienia, jakby dopiero teraz do niego dotarło, że jest przecież człowiekiem, nie maszyną, że Rosji nie zatruwa zło, a on nie musi jej ciągle ratować. Dziś liczyła się Gala.

Miał też prawdziwego przyjaciela, który pomógł mu zrozumieć, kim tak naprawdę jest, i dla którego gotów był do poświęceń. Potrafił zdobyć dla niego narkotyki, ufał mu bezgranicznie, wierzył, że ma

rację, gotów był wykonać każdy jego rozkaz. Nie mógł tylko zdobyć się na to, by powiedzieć mu o spotkaniu z Tatarem i trzech pustych pociskach. Właściwie to nie wiedział, dlaczego tak wtedy postąpił, i miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał tego tłumaczyć. Tłumaczenie czegokolwiek nie było jego mocną stroną, wołał słuchać.

O tym, co się zdarzyło na promie Gabriella dwa lata wcześniej, też nie zamierzał opowiadać. Nie pamiętał szczegółów, a nie chciał kłamać.

Wzięli kabinę na piątym poziomie, z oknem na prawą burtę. Zostawili torby i wyszli na zewnątrz. Od morza wiał porywisty wiatr, smagając po twarzy kroplami deszczu ostrymi jak szpilki. Naciągnęli kaptury i stali sami na otwartym deku, obserwując, jak pod nimi przesuwały się tonące w spienionej wodzie skalne wysepki.

Od rozmowy z Popowskim Rudolf odpowiadał półsłówkami, zrobił się opryskliwy i nerwowy. Musiał czuć się dotknięty tym, że wyprowadzono go w pole. To było mocne uderzenie, szczególnie dla oficera „cieni”. Dlatego Jagan też milczał, solidaryzując się z Rudolfem w jego rozdrażnieniu, ale w rzeczywistości było mu obojętne, co się będzie działo dalej. Współczucie dla przyjaciela nie miało tym razem nic wspólnego z odpowiedzialnością za operację.

Stali oparci o barierkę, a wiatr szarpał kapturami, nadymając je jak balony. Jagan co chwila strzelał przez zęby śliną, która zamiast opadać, ku jego rozbawieniu leciała do góry.

Płynęli do Sztokholmu, by następnego dnia w porcie Nynäshamn wejść na prom na Gotlandię.

– Wiesz, dlaczego niebo przegrywa z piekłem? – zapytał niespodziewanie Rudolf.

– Nie – odparł Jagan.

– Bo w piekle można robić wszystko to, co w niebie jest zakazane.

– Aha...

– Rozumiesz?

– Oczywiście.

– Dlatego płyniemy na Gotlandię.

– Aha...

50

Był słoneczny poranek, za pięć ósma. O dziewiątej miała przyjść zmiana. Wadim, nakryty kocem na głowę, spał na rozkładanej polówce, a Sasza ze słuchawkami na uszach resztkami sił oglądał reklamy na NTV. Zostało mu jeszcze pięć minut dyżuru.

Trzy monitory ukazywały poranny ruch w bloku. Co chwila na klatce schodowej, w garażu, przed wejściem pojawiali się mieszkańcy, którzy spieszyli do pracy. Nie działo się nic szczególnego.

Na czwartym monitorze, w sinoszarej poświacie dnia, widać było szczelnie zasłonięte storami wewnątrz sypialni Zoi. W centrum obrazu niewyraźny zarys jej ciała nakrytego kołdrą i rozrzucone na twarzy blond włosy. Czujnik w kamerze nie rejestrował żadnego ruchu, więc Sasza nawet nie zerkał na monitor.

– Podkreć. – Wadim trącił nogą Saszę, kiedy na monitorze pojawił się napis „Wiadomości” i czerwony pasek „Kryzys na Ukrainie”.

– Twojego brata jeszcze nie wyrzucili z tej ukraińskiej bezpieki? – zapytał Sasza.

– Nie – odparł krótko Wadim i usiadł na łóżku, przecierając oczy.

– A dlaczego?

– No właściwie... mój kumpel jest tam naczelnikiem w kontrwywiadzie i mówi, że i tak nikogo nie szpiegują oprócz konkurencji do żłobu... Ech... te pierdolone chachły!

– Nie mów tak, też jestem Ukraińcem.

Zamienili się miejscami. Sasza położył się na polówce, a Wadim

usiadł na foteliku przed monitorami i wziął się do przeglądania raportu dotyczącego obrazu z mieszkania.

Po chwili pochylił się do przodu, jakby chciał zajrzeć do wnętrza sypialni Zoi, i zaczął nerwowo uderzać w klawiaturę. Kiedy drugi raz wypuścił głośno powietrze, Sasza usiadł na łóżku.

– Co jest? – zapytał, ale Wadim nic nie odpowiedział, tylko głośno sapał, i Sasza już był pewny, że jest bardzo źle. Poderwał się i stanął pochyłony za kolegą.

– Dzwon do szefa! Ona nie żyje! – krzyknął Wadim.

– Pierdolisz! Pierdolisz! Przecież leży! – Sasza dotknął palcem monitora. – Poczekaj! Najpierw sprawdzmy...

– Kurwa mać! Umarła! Nie poruszyła się od północy! Zobacz raport.

– Jak to umarła? No tak, przecież była chora, no przecież! Na gripę zmarła? A może to gaz. Może czujnik nawalił.

– Jak umarła, to jesteśmy w czarnej dupie. Zadzwoń do niej! Może tylko mocno śpi. – Wadim podał Saszy komórkę, nie odrywając wzroku od komputera. – Jest w pamięci...

Sasza zaczął grzebać nerwowo palcem w telefonie.

– Dawaj, kurwa! – ryknął Wadim i wyrwał mu komórkę z ręki.

Od razu wybrał numer Zoi, przyłożył słuchawkę do ucha i obaj zamarli, wpatrzeni w ekran monitora. W napięciu czekali na pierwsze takty koncertu fortepianowego Czajkowskiego, które znali bardzo dobrze, bo Zoja dużo dzwoniła, ale z jeszcze większym napięciem wpatrywali się w jej kształtne ciało. Drgnie czy nie drgnie? Po chwili z ekranu doleciała znajoma melodia, a na stoliku przy łóżku zapaliło się seledynowe światełko telefonu. Wadim odstawił słuchawkę od ucha.

Czekali. Przebrzmiało pięć taktów koncertu Czajkowskiego, a Zoja się nie poruszyła.

– No i trup – oznajmił cicho Sasza.

Jak zahipnotyzowani wpatrywali się w nieruchome ciało, które pod cienką kołdrą wyglądało niczym sarkofag okryty całunem. I obaj pomyśleli to samo: Dlaczego mnie to spotkało, dlaczego? Wadim

wciąż trzymał w dłoni telefon, a z głośnika wydobywał się cichy głosik automatycznej sekretarki: „...po sygnale zostaw wiadomość”.

– Co robimy? – zapytał Wadim.

– Chuj jeden wie – odparł Sasza całkiem zbity z tropu. – Nigdy nic takiego mi się nie przydarzyło... A tobie, wcześniej?

– Nie. I nie znam żadnej procedury na okoliczność śmierci obiektu...

– Tyyy... Wadim! A może ona tak, wiesz... Nasi?

– Chuj jeden wie! Może. Tak czy inaczej trzeba zadzwonić do Walczenki. Gdzie są klucze do jej mieszkania?

– W kasetce. – Sasza wskazał na szufladę. – Zadzwoisz?

– Kurwa, a kto? Ty? – Wadim był naprawdę wściekły, bo czujnik wskazywał, że to on miał dyżur w chwili śmierci Zoi.

Walczenko, naczelnik Biura Obserwacji FSB, odebrał natychmiast, tak że Wadim nawet nie zdążył sobie ułożyć, co i jak ma mu powiedzieć. Z początku nawet trochę przeciągał, wpatrzony w monitor, licząc na to, że Zoja się poruszy, ale Walczenko w końcu ryknął do słuchawki: „Co się dzieje?!”, więc Wadim możliwie spokojnie zdał relację z ostatnich wydarzeń. Odpowiedź naczelnika była krótka: mają obserwować monitor, nic nie robić, nie wychodzić z samochodu i czekać na jego przyjazd.

Zastosowali się do poleceń. Sytuacja była oczywista, więc siedzieli w milczeniu i czekali. Nie musieli nic kombinować, bo nie mieli wątpliwości, że zostanie powołana komisja, która i tak wszystko ustali. W końcu każdy może umrzeć, a jak jest chory, to nawet szybciej – myśleli Wadim i Sasza, ale nie mówili tego głośno.

Po kilkunastu minutach ciszę przerwał początkowo niewyraźny ciągły sygnał. Radiowóz był jeszcze gdzieś daleko w mieście, lecz oni wiedzieli, dokąd zmierza, i wiedzieli, że to nie policja. Kiedy zatrzymał się tuż obok, kierowca wyłączył koguta. Otworzyły się drzwi transita i do środka wtargnął zwalisty Walczenko, a za nim jego zastępca Kryłow. Dwóch funkcjonariuszy zostało na zewnątrz.

– Pokaż! – rzucił ostro. – To ona? – Wskazał ręką na monitor.

– Tak – odparł Wadim.

- Od której się nie rusza?
- Od północy mniej więcej...
- Klucze macie?
- Tak. – Sasza pokazał pęk.

– Czekamy na ludzi z Jaseniewa. Jedzie tu Bagrationow, szef ich wewnętrznej bezpieki. Trzeba uważać, bo to przydupas Krugłowa. Zaraz będą. – Walczenko opadł na krzeselko, które głośno zaskrzypiało. – No to mamy problem. – Pokiwał wielką głową z zaczeską. – Będzie awantura, że nie dopilnowaliśmy. Ale nie martwcie się... – Znów pokiwał głową. – Wiem, że to nie wasza wina... nie damy się... tym... ważniakom z wywiadu, co... – Nie dokończył, bo na zewnątrz z piskiem opon zatrzymało się czarne bmw X6.

Czterdziestoletni pułkownik Bagrationow w granatowym garniturze i żółtym krawacie niemal wskoczył do transita, demonstrując sprawność i determinację. Jednocześnie dał palcem znak zastępcy Walczenki, by zwolnił miejsce i wyszedł na zewnątrz.

- To ona? – rzucił krótko, patrząc na monitor.
- Tak – odparł Walczenko. – Leży tak od północy...
- Klucze?

– Mamy.

– Idziemy – zakomenderował Bagrationow i wyszedł z samochodu.

- Weź klucze, Wadim... ty, Sasza, zostajesz i pilnujesz monitorów.
- Walczenko ściszył głos. – Wszystko ma się nagrywać, tak jak zawsze... Rozumiesz?

Sasza przytaknął.

Pierwszy szedł Wadim, za nim Bagrationow, ostatni Walczenko. Podeszli do drzwi mieszkania Zoi i Bagrationow bez wahania nacisnął przycisk. Z wnętrza dobiegł głośny metaliczny dźwięk dzwonka przypominający turkot śmigła. Trwało to kilkanaście sekund. Wszyscy trzej w milczeniu czekali na efekt, reakcję, ludzki głos, jakiś ruch, chrzęst zamka. I nic.

Wadim wybrał numer telefonu Zoi i po chwili usłyszeli zza drzwi

stłumioną melodię jej komórki. Po trzydziestu sekundach odezwała się automatyczna sekretarka.

– Wchodzimy – rzucił Bagrationow, odpinając kaburę pistoletu przy pasie.

Wadim wyjął klucz od zamka podklamkowego, włożył delikatnie, jakby był nocnym włamywaczem, i przekręcił w lewo dwa razy. Następnie wsunął duży klucz z podwójnym piórem do zasuwy. Po pierwszym obrocie ruszyły stalowe blokady i drzwi jęknęły głośno. Wadim powtórzył ten ruch jeszcze trzy razy. Wyjął klucz i usunął się z przejścia, wyczuwając, że Bagrationow będzie chciał wejść pierwszy.

– Wy, towarzyszu, zaczekacie tutaj – rzucił pułkownik do Wadima jakby od niechcenia i zwrócił się do Walczenki: – Wchodzimy tylko my dwaj... i proszę niczego nie dotykać i nie chodzić po mieszkaniu, proszę być koło mnie... blisko. Rozumiecie, naczelniku? – zakończył aroganckim tonem.

Walczenko dobrze wiedział, że to wybuch wściekłości spowodowany bezsilnością, bo najwyraźniej coś poszło im nie tak, a sprawa Zoi miała przecież najwyższy priorytet, więc wolał się posłusznie pokłonić. W końcu robił tajne penetracje od trzydziestu lat i wiedział, jak nie zostawiać śladów.

Przez chusteczkę nacisnął klamkę. Stawiła lekki opór. Docisnął mocniej i pchnął drzwi, które majestatycznie otworzyły się na ciemny korytarz. W całym mieszkaniu okna były zasłonięte nieprzepuszczającymi światła storami. Zoja nigdy tego wcześniej nie robiła, na szczęście dla Wadima, bo kamery podglądu były słabej jakości i miały niską czułość. Mimo to w szarej poświacie ludzkie oko dobrze wyłapywało obraz.

Walczenko mimo zwalistej postury zgrabnie wsunął się do mieszkania, a Bagrationow tuż za nim, jakby chciał się skryć za jego plecami. Obejrzeliby przedpokój pobieżnie, ale nie zauważyli niczego niezwykłego, żadnych śladów walki. Nie wyczuli też podejrzanego zapachu gazu. Wprost przeciwnie, mieszkanie pachniało elegancką kobietą.

Drzwi do sypialni znajdowały się po prawej stronie, obok starego sekretarzyka z empirowym krzeselkiem, które Misza przywiózł kiedyś z Francji. Podeszli bliżej. Były niedomknięte. Walczenko pchnął je delikatnie przez chusteczkę, którą wciąż trzymał w dłoni.

Ukazało im się duże pomieszczenie pogrążone w półmroku, który rozcinały pojedyncze promienie światła przebijające się przez szpary w kotarach. Na środku stało rozłożyste łóżko, a na nim pod granatową atlasową kołdrą spoczywała Zoja.

Leżała na wznak, z lekko rozrzuconymi nogami, twarzą zwróconą w stronę okna i zatopioną w poduszce, na której kłębiły się jasne włosy. Walczenko pomyślał przez moment, że to jakiś niezwykle obraz ukazujący niesprawiedliwy majestat śmierci, bo Zoja wyglądała, jakby spała, i trudno było uwierzyć, że to piękne ciało pozbawione jest duszy, więc na wszelki wypadek przeżegnał się dwukrotnie trzema palcami.

Bagrationow spojrział na niego ze zdziwieniem, a właściwie niesmakiem.

– Pop się znalazł – rzucił pod nosem.

Od razu było widać, że powaga i aura śmierci nie robią na nim żadnego wrażenia. Walczenko nie wiedział, że pułkownik jeszcze niedawno był „cieniem” i stykał się ze śmiercią nie tylko jako świadek.

Bagrationow obszedł sypialnię, stanął przy łóżku i pochylił się na ciałem Zoi. Wyciągnął rękę, by dotknąć jej szyi, i nagle odskoczył do tyłu, jakby się czegoś przeraził. Stanął wyprostowany, z lekko otwartymi ustami, i spojrział zdziwiony na Walczenkę.

– Rozsuń zasłony – rozkazał zduszonym głosem.

Walczenko nie rozumiał, co się dzieje, ale od razu zauważył, że Bagrationow jest bardzo zdenerwowany, wręcz agresywny, więc bez słowa komentarsza mocnymi ruchami ramion szerokich jak konar dębu rozsunął zasłony i pozwolił, by jasne światło dnia wlało się do wnętrza, rozpuszczając szary obraz śmierci.

Bagrationow pochylił się nad Zoją, chwycił za róg granatowej kołdry i szarpnął nią tak gwałtownie, że poszybowała do góry jak

płaszcz iluzjonisty. Odgarnął też włosy z jej twarzy.

W pierwszym momencie Walczence wydało się, że ciało Zoi uległo jakiejś dziwnej metamorfozie, może nawet mumifikacji, ale zaraz dotarło do niego, jak niedorzeczne są to myśli. Przybliżył się i wtedy dostrzegł jej nagość w pełnej okazałości. Przez chwilę jego wzrok błędził po całym ciele, by zatrzymać się dopiero na jednym szczególe.

– Neeee... nie... nie... to niemożliwe... – powiedział na głos.

– No to macie przejebane, towarzyszu naczelniku – przerwał mu ostro Bagrationow. – Na całej linii. – Spojrzał na Walczenkę z głęboką pogardą i wyjął telefon.

Naczelnik stał jak zahipnotyzowany, wpatrzony w intymne miejsce Zoi, ale już o niej nie myślał. Myślał o sobie i układał skład komisji dyscyplinarnej, która osądzi Saszę i Wadima.

– Melduję się, towarzyszu generale... – odezwał się Bagrationow do słuchawki. – Tokina jest jak najbardziej żywa... – Urwał, przez chwilę słuchał, po czym, spoglądając na Walczenkę, dodał: – Po prostu uciekła i pewnie zabrała archiwum Popowskiego ze sobą... Nie dopilnowali... Choć trzeba przyznać, towarzyszu generale, że uciekła w sposób wyjątkowo... zmyślny, nawet imponujący, muszę przyznać. Nooo... sama tego nie zrobiła, czuć profesjonalizm MI6 i pomysłowość Mosadu, na pewno nie CIA, nie ta finezja... – Znów przerwał, wsłuchując się w telefon. – Nooo... wstyd dla całej służby... tak... Najlepiej, jak zrobię zdjęcie i zaraz prześlę towarzyszowi generałowi... Tak jest! Odmeldowuję się.

Bagrationow włączył w swoim smartfonie aparat fotograficzny i stanął w miejscu, z którego mógł skadrować całe łóżko.

Na jego środku leżała dmuchana sekslalka z rozrzuconymi blond włosami, o wydatnych piersiach i czerwonych, szeroko otwartych ustach.

Epilog

Poprzedniego wieczoru prezydent w orędziu telewizyjnym oznajmił, że z powodu pogarszającego się stanu zdrowia zmuszony jest do rezygnacji i rozpisania nowych wyborów. Czyli powiedział głośno to, co od kilku miesięcy było tajemnicą poliszynela.

Ogłoszenie decyzji prezydenta nie miało większego wpływu na plany Konrada i Marcela, ale był to dobry moment, by sfinalizować sprawę Popowskiego. Media i politycy z pewnością uznają ten dzień za formalny start kampanii wyborczej, więc wszystkie redakcje i partie ruszą z impetem do walki. Zdaniem Sary właśnie teraz należało zdetonować bombę, która urwie łeb rosyjskiej agenturze w Polsce.

Wszystkie osoby zaproszone na dziewiątą do siedziby ABW na Rakowieckiej potwierdziły swoją obecność. Nikt nie mógł odmówić szefowi kontrwywiadu, tym bardziej że, jak zaznaczono, sprawa dotyczyła bezpieczeństwa państwa. Co więcej, każdemu z wybrańców powiedziano, by fakt otrzymania zaproszenia zachował wyłącznie dla siebie jako „ściśle tajny”. Nikt zatem nie wiedział, kto jeszcze będzie uczestniczył w spotkaniu.

Najbardziej obawiano się, że premier Bańkowski może robić trudności z przyjazdem, więc zaproszenie dla niego zostało specjalnie wyreżyserowane, i to tak, by nie mógł odmówić. Z domieszką patosu w głosie, czyli tak jak szef rządu lubił najbardziej, Marcel poinformował go, że sprawa jest najwyższej wagi państwowej i wymaga jego natychmiastowej decyzji. Nie

zajmie mu więcej niż piętnaście minut, ale jego obecność w centrali ABW jest nieodzowna.

– Pan premier powinien osobiście coś zobaczyć – rzucił pewnym głosem Marcel.

Konrad był przekonany – i absolutnie się nie mylił – że znając treść jego raportu, Bańkowski koniecznie będzie chciał sprawdzić, czy zaproszenie do ABW nie ma jakiegoś związku ze sprawą Popowskiego. Zbyt dużo miał ostatnio na sumieniu, by zapanować nad nerwami.

Premier dla przyzwoitości pomruczał kilkanaście sekund do słuchawki, ale zaproszenie przyjął. Oznajmił ostentacyjnie, że będzie miał tylko piętnaście minut i ani chwili więcej. Co najciekawsze, nie zapytał, dlaczego nie zadzwonił do niego osobiście szef ABW. Według Konrada był to kolejny wyraźny sygnał, że Bańkowski nie do końca się kontroluje i działa emocjonalnie. Wszyscy przecież wiedzieli, że nie znosi własnych służb i zawsze robi wszystko, by trzymały się od niego z daleka. Teraz było już wiadomo dlaczego.

Sala konferencyjna na drugim piętrze gmachu ABW przy Rakowieckiej mogła pomieścić ponad trzydzieści osób. Odbywały się w niej oficjalne spotkania i narady, wręczano odznaczenia i urządzano bankiety dla zagranicznych delegacji. Nie była więc chroniona przed podsłuchami. Scenariusz, który zaplanowali, nie uwzględniał konieczności zastosowania nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa czy utajnienia spotkania lub treści rozmów. To, co wkrótce miało się tam wydarzyć, i tak nie powinno być tajne, nie tylko dla polskiej opinii publicznej, lecz także dla Rosjan. A może nawet przede wszystkim dla nich.

Konrad, Sara i Marcel solidarnie brali na siebie całą odpowiedzialność. Byli w pełni świadomi zarówno bezprawności swoich wcześniejszych i obecnych działań, jak i przede wszystkim konieczności decyzji, którą podjęli, a która była naturalną konsekwencją tamtych czynów. Owszem, mieli jeszcze jedno wyjście: nie robić nic, ale dla nich to był żaden wybór. Tak uważał cały zespół Wydziału „Q” i dla jego członków nie było to kwestią

zaufania, tylko efektem chłodnej oceny faktów.

Pułkownika Romana Grodzkiego i pięciu pozostałych naczelników z Departamentu Kontrwywiadu ABW dręczyło sporo trudnych pytań. Nie wypowiedali ich jednak na głos, przekonani, że w tej sprawie, chociaż całkowicie opartej na faktach, nie ma prostych odpowiedzi, i woleli zdać się na zaufanie do Marcela i własną intuicję.

Było za dwadzieścia dziewiąta. W pokoju wypoczynkowym przy sali konferencyjnej siedziało w klubowych brązowych fotelach dziewięć osób: sześciu naczelników, Sara, Konrad i Marcel. Nie pili kawy ani nawet wody, chociaż wszystko stało na stole. Znali się dobrze od lat, a jednak w pomieszczeniu panowała cisza.

– Nastrój, jakbyśmy się szykowali do zamachu stanu... co najmniej – odezwał się z ironicznym uśmieszkiem jeden z naczelników, ale nikt nie zareagował, bo wszyscy czuli podobnie.

– Szykujemy się do rozminowania Polski – odpowiedziała po chwili Sara i podniosła się z fotela.

Miała na sobie granatowy kostium i białą bluzkę ze stójką, do tego czarne czółenka na słupku. Jeszcze nigdy nie ubrała się tak oficjalnie i to nie był jej styl, chciała jednak wyglądać możliwie poważnie, trochę prowokująco, wręcz teatralnie. Kostium kupiła kilka lat temu, kiedy była odznaczana przez szefa BND, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i włożyła coś innego. Dopiero teraz, z lekką niechęcią, zaprezentowała się w nim po raz pierwszy. Nie zrobiła makijażu, włosy zaczesła za uszy, zrezygnowała z biżuterii.

Kiedy rano niemal marszowym krokiem wyszła z sypialni i Konrad zobaczył, jak poprawia strój przed lustrem, od razu pomyślał, że chyba celowo wcieliła się w postać pułkownik Rosy Klebb, szefowej organizacji Smiersz z filmu *Pozdrowienia z Moskwy*. Uznał, że akurat na ten dzień to całkiem dobry pomysł, ale nie dał po sobie poznać, że ją rozszyfrował.

Podeszła do okna. Na zewnątrz wokół dużego klombu stały gęsto samochody służbowe ABW, ruch jednak był niewielki. Pojedyncze osoby zmierzały do budynku, ktoś na kogoś czekał, granatowy samochód szukał miejsca do zaparkowania. Zwyczajny widok z okna

na drugim piętrze.

Ostatni taki dzień w życiu? – pomyślała z mieszaniną niepewności i euforii. Spojrzała na Konrada, który stał zamyślony z rękami w kieszeniach. To ostatni taki dzień w naszym życiu... tylko jeszcze o tym nie wiesz, mój kochany Radeczku.

W jej dłoni zawibrował telefon. Zanim zdążyła spojrzeć na wyświetlacz, w drugim końcu pokoju głośno zadzwoniła komórka Marcela.

– Uwaga! – Marcel uniósł rękę, w której trzymał telefon. – Zaczynamy, szanowni państwo! Mamy pierwszego klienta piętnaście minut wcześniej. Właśnie przyjechał pan prokurator generalny.

Dzień wcześniej o siódmej trzydzieści na lotnisku Arlanda pod Sztokholmem wylądował turbośmigłowy dash Q400 z Rygi należący do linii Air Baltic. Pierwszy z samolotu wyszedł Lutek z plecakiem, za nim kobieta z identycznym ekwipunkiem, w pomarańczowej puchowej kurtce, dzinsach i brązowych butach. Nie mieli innego bagażu, więc po kilkuminutowym marszu korytarzami opuścili terminal.

Znaleźli ławeczkę. Po chwili kobieta wyciągnęła paczkę papierosów kupioną w Rydze. Trzęsącymi się rękami włożyła jednego do ust, a Lutek jej przypalił. Podał butelkę coca-coli, do której przed lotem dolał wódki, i usiadł obok. Wypiła połowę. Otarła ręką usta i oddała butelkę Lutkowi, który łyknął resztę.

Szarzało. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc przed siebie, jakby czekali, aż zacznie działać alkohol. Przechyliła się na bok i oparła o Lutka, który objął ją ramieniem. Wtuliła głowę w jego kurtkę i po chwili zatrząsa się od płaczu. Przycisnął ją mocniej, jakby chciał zgasić ten szloch, objął jej głowę drugą ręką i pocałował.

– Jesteśmy już w Szwecji – powiedział cicho po rosyjsku. – Rozumiesz?

– Tak... – Zoja potrzebowała chwili, by wyrównać oddech. – Wszystko rozumiem. – Wyprostowała się i pociągnęła z papierosa. –

Co teraz? – zapytała, grzebiąc ręką w kieszeni. – Masz może chusteczki?

– Mam. – Lutek, jak zwykle przygotowany, podał jej paczuszkę.

– A Ewa?

– Jest na Szeremietiewie. – Spojrzał na zegarek. – Ósma. Właśnie wylatuje do Warszawy.

– Martwię się, czy wszystko się uda. Bardzo się martwię. – Zoja była autentycznie poruszona, nerwowo wycierała nos w chusteczkę. – Tyle wam zawdzięczam... Ewa... Tak się dla mnie poświęciła, a nawet jej nie poznałam. Wspaniała, odważna dziewczyna.

– Normalna sprawa – odparł Lutek, trochę skrepowany. – Wszystko jest w porządku, przysłała SMS-a. Wkrótce się poznacie.

W chwili gdy Lutek rozmawiał z Zoją na lotnisku Arlanda, Bagrationow z SWZ i naczelnik Walczenko z FSB właśnie wchodzili do jej mieszkania w Moskwie.

Poprzedniego dnia, po rozstaniu z Lutkiem w McCafé na ulicy Marosiejka, Ewa udała się taksówką prosto na Bolszoi Tiszynski Pierieułok, gdzie mieścił się polski konsul. Chwilę wcześniej tam zadzwoniła, przedstawiła się i przeprowadziła krótką rozmowę z niejaką panią Haliną, którą poinformowała, że właśnie zgubiła paszport. Poprosiła o pilną pomoc, gdyż miała wykupiony bilet powrotny do Polski na następny dzień. Pani Halina, jak przystało na osobę zaprawioną w trudnych sprawach konsularnych, powiadomiła Ewę oficjalnym tonem, że jeśli przyjedzie natychmiast i nie będzie żadnych przeszkód formalnych, otrzyma paszport tymczasowy jeszcze tego samego dnia.

Ewa dotarła do konsulatu w ciągu dwudziestu minut. Nie wiedziała, że pani Halina, która okazała się znacznie sympatyczniejsza, niż mogłoby to wynikać z rozmowy przez telefon, jest żoną radcy ambasady Henryka, przyjaciela Konrada ze szkoły średniej. O trzynastej nowy paszport był już gotowy do odbioru.

Pozostał jeszcze ostatni punkt operacji, jak mówił Lutek. Najprostszy.

O godzinie dwudziestej trzeciej na monitorach Wadima i Saszy

pojawiła się znana im już kobieta w pomarańczowej puchowej kurtce, dżinsach, granatowej czapce i brązowych butach. Szła powoli, obwieszona pękatą reklamówką z logo Magnit.

Ewa wjechała windą na ostanie piętro i nacisnęła przycisk Stop. Szybkimi ruchami zdjęła czapkę, pomarańczową kurtkę, wyciągnęła z torby długi pikowany zielony płaszcz i włożyła go na siebie. Z kieszeni wyjęła zieloną bejsbolówkę. Puchówkę wepchnęła do torby. Wcisnęła przycisk Garaż. Zjechała na sam dół, w niemal kompletnej ciemności skierowała się do śmietnika i wrzuciła torbę do kontenera.

Po minucie przeszła obojętnie obok stojącego w tym samym miejscu od kilku dni forda transita i rozplynęła się w mrocznej toni ulicy.

Godzinę później z domu wyszła kobieta w pomarańczowej puchowej kurtce, dżinsach, granatowej czapce i brązowych butach. Wadim rzucił wzrokiem na monitor i wrócił do rozwiązywania krzyżówki.

– „Inaczej metamorfoza” – przeczytał na głos. – Na... dziewięć liter... Hm... – Spojrzał na Saszę, który wzruszył tylko ramionami.

Zbliżała się dziewiętnasta. Szybki prom SF 1500 robił ostry zakręt w lewo, ale na pokładzie manewr nie był wyczuwalny.

W świetle słońca tonącego za morskim horyzontem strzeliste dachy Visby wyglądały, jakby zapłonęły czerwienią. Jagan, z rękami za głową, siedział wyciągnięty w fotelu i z obojętnością obserwował widok, który w panoramicznym oknie powoli przesunął się z prawa na lewo. Bolała go głowa i czuł silne dreszcze. Wiedział, że przeziębził się na poprzednim promie, ale nie warto było o tym myśleć.

Tymczasem Rudolf, który siedział obok, nieustannie komentował ten widok, ubarwiając go swoimi opowieściami ze świata. Jagan nie wiedział, gdzie leży Nepal czy Urugwaj, i wcale go to nie interesowało. Uważał, że najpierw trzeba poznać Rosję, w której jest wszystko, a to już samo w sobie było zadaniem przekraczającym

możliwości ludzkiego umysłu. Poza tym Rudolf przyjął właśnie amfetaminę i miał lekki odlot, więc Jagan czekał, aż zejdzie z fazy, jak on sam o sobie mówił.

Kiedy Doronin przyjął propozycję Popowskiego, również Jaganowi wydawało się, że tak jest najrozsądniej. W końcu byli na przegranej pozycji, więc nic nie szkodziło sprawdzić Popowskiego *va banque*. Na pieniądze od Krugłowa i tak nie było już żadnych szans. Jagan podjął już decyzję, że po powrocie zwalnia się ze służby, ale dopiero teraz uzmysłowił sobie, że nie pomyślał, co będzie robił potem. Pieniądze, które obiecał oddać mu Popowski, praktycznie już wydał na Griszę, Galę, pomnik, ale nigdy nie pomyślał o sobie. Zawsze sądził, że pozostanie w specnazie do śmierci, która była naturalnym końcem służby żołnierza, ale – o dziwo – dotyczyła wszystkich, tylko nie jego. Nigdy jej nie oszukiwał, zawsze patrzył prosto w twarz, i to ona schodziła mu z drogi. Jeśli nie śmierć, to co dalej? – zastanawiał się i po cichu liczył, że Doronin pomoże mu odnaleźć odpowiedź. Tak przynajmniej zrozumiał jego propozycję przyjaźni.

Patrzył teraz na średniowieczne Visby, słuchał słowotoku Rudolfa i zastanawiał się, co właściwie będzie z tego miał. Wydawało mu się, że przyjaciele zawsze myślą o sobie nawzajem i podejmując decyzje, przestrzegają tej zasady. Kiedy Rudolf go zapytał, czy on dla niego też sprzeniewierzyłby się rozkazom i poszedł na układ ze zdrajcą Popowskim, Jagan zgodnie z prawdą odpowiedział, że tak. W końcu sprzeniewierzył się nawet sobie, dostarczając Rudolfowi narkotyki.

Teraz jednak nie był taki pewien, czy przyjaźń to najważniejsze uczucie, jakie może łączyć dwóch mężczyzn. Doronin tak twierdził, ale w końcu da się to sprawdzić tylko w walce, a cały ten pościg za Popowskim to był przecież spacer – uważał Jagan – w dodatku zakończony poniżającą klapą.

Przez moment pomyślał nawet, żeby machnąć ręką na te wątpliwości, przecież Doronin wie, co mówi, i jest rosyjskim patriotą, mimo to postanowił się zabezpieczyć, na wypadek gdyby się

mylił. Z Tatarem, który ukazał mu się na pewno w jakimś celu, jednak się pomylił, a gdyby się nie pomylił i nie zabezpieczył, rozbijając mu trzy pociski, to dzisiaj nie miałby takich dylematów, bo zgodnie z przeznaczeniem żołnierza specnazu zakończyłby służbę razem ze współtowarzyszem broni w płonącym domu.

„Dopóki broń jest na scenie, zawsze może wystrzelić”. Tak kiedyś powiedziała Gala, a on jako żołnierz specnazu uznał to spostrzeżenie za bardzo prawdziwe.

A jak się czegoś nie wie, to zawsze trzeba się na taką okoliczność zabezpieczyć – uważał.

Prom wszedł do portu i zacumował. Spiker poinformował przez megafon, że dek samochodowy jest już otwarty.

Zjechali jedni z ostatnich, chociaż samochodów i tak było niewiele. Prowadził Jagan.

Do hotelu Clarion Wisby, który znajdował się w centrum starego miasta, mieli w linii prostej trzysta metrów, ale GPS poprowadził ich okrężną trasą omijającą uliczki jednokierunkowe, więc dojazd zajął im prawie pięć minut. Rudolf zarezerwował dla nich dwie jedyńki i kiedy załatwiał formalności meldunkowe, Jagan poszedł odprowadzić samochód na hotelowy parking.

Była dziewiętnasta trzydzieści, kiedy weszli do swoich pokoi. Za pół godziny mieli spotkać się w westybulu i poszukać jakiejś restauracji. Przy okazji chcieli sprawdzić miejsce spotkania, które wyznaczył im Popowski. Było już jednak późno i ciemno, więc dokładne sprawdzenie Rudolf zaplanował dopiero na rano. Spotkanie miało się odbyć o dziewiętej trzydzieści przy ruinach kościoła Świętego Olafa, nieopodal ogrodu botanicznego.

Jagan nie czuł się dobrze, i to wcale nie z powodu przeziębienia. Odkąd zjechali na ląd, smok zaczął się nerwowo wiercić, a nie robił tego już od dawna. Wyglądało to tak, jakby się tej okolicy bał. Jagan też czuł niepokój. Wprawdzie nie mieli tutaj żadnej ostrej roboty do wykonania, jedynie pozaregulaminowe spotkanie z Popowskim, to jednak wyspa sprawiała klaustrofobiczne wrażenie, a co najgorsze, nie było z niej ucieczki.

Nabierał coraz więcej wątpliwości i wołał się zabezpieczyć. Wizja, która nawiedziła go w drewnianym domku, tkwiło w nim, jakby miało się spełnić. Bo o czymkolwiek teraz pomyślał, to zawsze wracał pamięcią do Tatar.

Obejrzeni miejsce spotkania, które nie wyróżniało się niczym szczególnym, potem przeszli wąskimi uliczkami do bramy Österport, by w pobliskim centrum handlowym zjeść pizzę i wypić piwo.

Miasto było opustoszałe, wymarłe, jakby mieszkańcy uciekli przed zbliżającym się kataklizmem, i choć było to tylko nic nieznaczące wrażenie, to jednak budziło w Jaganie niepokój. Rudolf natomiast wydawał się nieobecny duchem. Szedł z opuszczoną głową i od czasu do czasu rzucał niewyraźnie jakieś obojętne komentarze na temat tego, co widzi. Jagan nawet go nie słuchał, ale zauważył, że jego zachowanie odbiega od normy. Chciał sobie, jak poprzednio, wytłumaczyć, że to skutek choroby, ale teraz nie był pewien, czy się nie myli. Znowu pojawiły się wątpliwości, ale zagrożenia jeszcze nie czuł. Tatar taki nie był – pomyślał.

Wrócili do hotelu po dziesiątej. Umówili się na śniadanie o siódmej i rozeszli do swoich pokoi.

Kiedy był szefem ABW, przez dwa lata codziennie jeździł do pracy samochodem służbowym z kierowcą. Teraz po raz pierwszy miał przejść z Natolińskiej na Rakowiecką pieszo. Wydawało mu się, że droga zajmie mu parę minut, bo w takim czasie pokonywał ją zwykle samochód. W rzeczywistości przejście trwało kwadrans, musiał też odczekać swoje w biurze przepustek, więc spóźnił się prawie dziesięć minut.

Wczoraj odebrał telefon od Marcela z zaproszeniem na spotkanie w siedzibie ABW. Zgodził się od razu, chociaż miał w tym czasie zaplanowaną ważną rozmowę z kierownictwem swojej partii. Nie wysłał też do Centrali monitu i nie otrzymał żadnej wiadomości. Uznał, że zaczeka do następnego dnia, bo z pewnością pierwsza wizyta w siedzibie ABW po dziesięciu latach, i to na zaproszenie szefa kontrwywiadu, musi mieć swoją wartość. Będzie więc miał

dobry powód, by przy okazji wysłać monit.

Był niemal pewny, że zostanie poruszona sprawa Popowskiego. Nie było teraz w Warszawie nic ważniejszego, więc wszystko musiało się z nią łączyć. Taka jest mechanika wydarzeń.

Zastanawiał się tylko, dlaczego właśnie on został zaproszony. I jakkolwiek kalkulował, za każdym razem wychodziło mu, że kierownictwo ABW chce się z nim skonsultować w sprawie Popowskiego jako z byłym szefem służby, a teraz ważnym politykiem. W końcu zbliżały się wybory i każdy szukał dla siebie jakiegoś spokojnego miejsca. Działo się tak szczególnie w służbach, gdzie zgodnie z rozkazami Waclaw planował po wyborach kolejną czystkę. Jeszcze większą niż ta, którą zrobił poprzednim razem.

Marcela pamiętał bardzo dobrze z czasów, kiedy był jeszcze zastępcą naczelnika w kontrwywiadzie, i nie zdziwił się, że dotarł tak wysoko. Co więcej, wcale nie był z tego zadowolony. Uważał, że ktoś taki jak Marcel jest dla niego największym zagrożeniem. Już po odejściu z ABW kilkakrotnie próbował go wysadzić ze stanowiska szefa kontrwywiadu, ale jakoś nic z tego nie wyszło, a nie mógł posunąć się za daleko, żeby się nie zdekonspirować. Po tych wyborach Marcel miał jednak zakończyć służbę, a na jego stanowisko Waclaw upatrzył jednego z „lojalnych”.

Z biura przepustek odebrała go sekretarka Marcela. Przeszli przez dziedziniec i głównym wejściem wkroczyli do gmachu Agencji. Wewnątrz, przy bramkach, dwóch oficerów ochrony na widok Waclawa wyprostowało się służbowo i zasalutowało.

Głównymi szerokimi schodami weszli na drugie piętro. Sekretarka, stukając szpilkami, doprowadziła go do wysokich dwuskrzydłowych drzwi, ukloniła się i dyskretnie znikła.

Paszport Ewy z pozoru nie różnił się niczym od wszystkich innych nowych dokumentów tego typu. Był jak najbardziej autentyczny, wystawiony w Urzędzie Gminy Ursynów, gdzie mieszkała jego właścicielka.

Technologia, którą przygotowali M-Irek, nie była sprawdzona

i mogła tylko uchodzić za odważny eksperyment. Nigdy nie została zastosowana, bo dotąd nie było takiej potrzeby. Konrad już dawno zlecił M-Irkowi opracowanie metody szybkiego przerabiania paszportów na wypadek ratowania życia oficerów, ale dopiero eksfiltracja Zoi nasunęła mu myśl, by jednak zaryzykować i wykorzystać ten pomysł.

Wydostanie Zoi z Rosji było warunkiem współpracy Michaiła.

Za pomocą specjalnego delikatnego pędzelka Lutek pokrył zdjęcie w paszporcie Ewy bezbarwną cienką warstwą światłoczułej emulsji cynkowo-wodorowej, którą M-Irek podpatrzyli u kolegów z Mosadu i udoskonalili.

Zgodnie z poleceniem Michaiła Zoja zrobiła sobie wcześniej zdjęcie paszportowe i przesłała przez internet. Następnie powędrowało ono w postaci negatywu do Lutka, który wydrukował je na folii w zwykłej drukarce fotograficznej zakupionej w Moskwie. Wystarczyło teraz przycięte zdjęcie Zoi dokładnie przyłożyć na zdjęcie Ewy i naświetlić lampą błyskową ze smartfonu. Ale można było to zrobić tylko raz. W wypadku choćby niewielkiej pomyłki paszport ulegał zniszczeniu.

Największa jednak niedoskonałość systemu polegała na tym, że zdjęcie było bardzo nietrwałe. Obraz utleniał się szybko pod wpływem światła i po kilku godzinach w miejscu twarzy zostawała czarna plama.

Przed wyjazdem Lutek nie miał zbyt wiele czasu, by przećwiczyć schemat, ale po kilku udanych próbach M-Irek uznali w końcu, że opanował technikę wystarczająco dobrze i będzie mógł działać samodzielnie.

O pierwszej w nocy w paszporcie Ewy pojawiła się twarz Zoi, a o czwartej pięćdziesiąt wylecieli samolotem Air Baltic z Moskwy do Rygi.

Poranek był pochmurny i deszczowy. Temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni, a od zachodu wiał silny wiatr, niosąc ze sobą morską bryzę, więc na nadbrzeżnej promenadzie było niemal pusto.

Tylko nieliczni przechodnie i rowerzyści zatrzymywali się na widok odzianego jedynie w spodenki gimnastyczne atletycznego blondyna, który bosy biegł kamienistym brzegiem morza i cicho śpiewał:

*Cziczen mołodaj,
a kienżał nowyj,
U cziczena
busy zdorowy.*

*Ojsia, ty ojsia,
Ty mienia nie bojsia,
Ja tiebia nie tronu,
Ty nie biespokojsia.
Ojsia, ty ojsia,
Ty mienia nie bojsia,
Ja tiebia nie tronu,
Ty nie biespokojsia.*

W Szwecji poranny jogging jest bardzo popularny, nawet w tak brzydki i zimny dzień jak ten, ale takiego biegacza jak Jagan nikt tu wcześniej nie widział.

Po powrocie do hotelu odwiedził jeszcze saunę i kiedy wrócił do pokoju, od razu poczuł się lepiej. Przeziębienie ustąpiło, jak uważał, pod naporem siły i determinacji organizmu.

Punktualnie o siódmej rano zjawił się na śniadaniu. Zjadł górę jajecznicy na bekonie i pięć kromek czarnego chleba z masłem. Popił trzema kubkami mocno osłodzonej herbaty. Pozwolił sobie na obfite śniadanie, bo tego dnia nie przewidywał walki.

Minęła siódma dwadzieścia. Doronin dotąd się nie zjawił i Jagan pomyślał, że przyjaciel musi źle się czuć. Przeciął więc bułkę wzdłuż, posmarował grubo masłem, nałożył kilka plasterków szynki, żółtego sera, ogórka, po czym ścisnął całość dłońią i zawinął w serwetkę.

Niecałą minutę później zastukał do drzwi pokoju kapitana.

Doronin otworzył z ociąganiem. Od razu było widać, że jest z nim kiepsko. Był wyjątkowo blady, oczy miał przekrwione i podkrążone, a w pokoju roznosił się dziwny kwaśny zapach, który Jagan znał, ale nie potrafił go przypisać do konkretnego miejsca.

– Wzięłeś lekarstwo? – zapytał zaniepokojony, otwierając okno, ale Rudolf tylko pokręcił głową. – Idź się wykup. Masz tu kanapkę i weź lekarstwo. Mamy dwie godziny do spotkania z Popowskim. Pójdę do samochodu... sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

– Przynieś mój pistolet – odezwał się Rudolf zachrypłym głosem.

– Po co ci? – zdziwił się Jagan. – Przecież skończyliśmy robotę.

– Nie nudź, tylko przynieś.

To była kolejna wątpliwość, ale tym razem przeważyła szalę. Jagan zrozumiał, że Rudolf planuje coś, o czym nie chce mu powiedzieć. I złota myśl Gali o broni, która może jeszcze wystrzelić, nabrała teraz nowego znaczenia. Wyraźnie poczuł, że zbliża się jakieś niebezpieczeństwo, a kiedy pomyślał, że nie wie skąd ani jakie, zaniepokoił się jeszcze bardziej. Nawet smok zadrżał nerwowo. Coś Jaganowi podpowiadało, że to Rudolf stwarza zagrożenie, ale jakoś nie chciał w to uwierzyć. Wszystko sobie mówili, był jego przyjacielem i należało pomóc mu w chorobie. Najgorsza jednak była świadomość, że są na wyspie, z której nie można uciec. Po raz pierwszy w życiu Jagan poczuł się jak uwięziony w klatce zwierzę. Wydawało mu się nawet, że jest gorzej niż pod podłogą u Bogajewów w Czeczenii.

Otworzył skrytkę w samochodzie. Wyjął giurzę i wcisnął ją z tyłu za pasek. Wziął też dwa zapasowe magazynki, które włożył do kieszeni kurtki.

Pięćdziesiąt dwa pociski dziewięć milimetrów – pomyślał. Można się przebić przez linię frontu.

Lewą ręką chwycił sig-sauera P226 Doronina i przerzucił do prawej. Potrzymał chwilę, jakby chciał go zważyć, i do lewej dłoni upuścił magazynek. Spojrzał na połyskujący mosiężny pocisk Parabellum i pogłodził go palcem. Lubił ten widok. Odłożył pistolet na siedzenie obok i kciukiem wypchnął z magazynka wprost do

prawej dłoni trzy pierwsze pociski.

Wacław miał już dotknąć klamki, kiedy zdał sobie sprawę, że sekretarka przyprowadziła go pod drzwi sali konferencyjnej. Znał to miejsce doskonale, bo odbywały się tu prawie wszystkie oficjalne uroczystości Agencji. Przypiął w niej kilkaset odznaczeń i wręczył równie wiele awansów, ale co miałby teraz tu robić na zaproszenie szefa kontrwywiadu? W niezabezpieczonym pomieszczeniu? Poczul niepokój i niespodziewanie przeleciało mu przez myśl, że właśnie wchodzi na zaminowany teren, z którego nie ma powrotu, jakby dał się wciągnąć w pułapkę.

Wielokrotnie miał przecucie, że wokół niego zaciska się niewidzialna pętla, że to już tylko kwestia czasu, kiedy wpadnie, ale nigdy nic się nie wydarzyło. Tak było przez prawie czterdzieści lat. Otaczała go kompletna cisza i nieraz nawet mu się wydawało, że musiał zatracić zdolność obiektywnej oceny faktów, bo tylko w ten sposób mógł sobie tłumaczyć własne lęki.

Tym razem jednak było inaczej. Stał chwilę przed wielkimi dwuskrzydłowymi drzwiami i był niemal pewien, że po drugiej stronie ktoś zbiori swoją armię do ostatniej bitwy. I nie pomyślał, że przecież może uciec. Musiał przyjąć to wyzwanie i sprawdzić.

Wszedł, zatrzymał się i rozejrzał po sali. W pomieszczeniu było kilkanaście osób stojących w trzech grupach. Widok był trochę sprzeczny z tym, co zapowiadał Marcel, mimo to Wacław nieco się uspokoił. Pomyślał, że musiał go źle zrozumieć. Odetchnął i wszedł dalej.

– Witam pana ministra – usłyszał nagle z boku oschły głos Marcela. – Dziękuję, że pan przyszedł. To dla nas bardzo ważne.

– A o co właściwie chodzi? Co to za zebranie? Miała być przecież jakaś konsultacja...

– Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości. Zaraz wszystko się wyjaśni. Czekamy tylko na premiera, który już jedzie, a bez niego...

– Marcel uśmiechnął się ironicznie. – Sam pan rozumie.

– Bańkowskiego? – zapytał Wacław, zaskoczony, i pokiwał

delikatnie głową. – Ciekawe... ciekawe... – dodał i ruszył, by się przywitać z pozostałymi osobami.

Zaczął od prokuratora generalnego i jego zastępcy, potem podszedł do szefa BBN, szefa kontrwywiadu wojskowego, szefa Agencji Wywiadu, Belika i prezesa Sądu Najwyższego. Zauważył jeszcze dwóch oficerów ABW. Pozostałych osób nie znał, ale one znały jego.

Wacław był dobrym politykiem, znał socjotechnikę salonowej rozmowy, więc wystarczyło mu pięć minut, by się zorientować, że nikt nie wie, po co został tutaj zaproszony, chociaż słowo „zaproszony” wydawało mu się coraz mniej zrozumiałe.

Była dziewiąta dwadzieścia pięć, kiedy otworzyły się drzwi i do sali wszedł premier Bańkowski w towarzystwie szefa swojego gabinetu i Marcela. Niemal stanął w miejscu na widok zebranych osób. Ale wzrok utkwiał w Wacławie, jakby chciał zapytać, co tutaj robi opozycja, i zwrócił się w stronę Marcela. Ten jednak szybko się oddalił i wysunął do przodu, tak by wszyscy mogli go widzieć i słyszeć.

– Rozumiem wasze zaskoczenie – zaczął donośnym głosem. – Szczególnie pańskie, panie premierze. Tak, z czystą premedytacją zastosowałem ten fortel, można nawet powiedzieć oszustwo, by ściągnąć was wszystkich razem w jedno miejsce w tym samym czasie. Za chwilę dowiecie się, w jakim celu to zrobiliśmy...

– Gdzie jest szef Agencji? – zapytał oburzony premier. – Co tu się dzieje? Co pan wyprawia?

– Szef Agencji jest na urlopie w Turcji, więc nie może być obecny, a obaj zastępcy nie są zainteresowani tym spotkaniem – odparł Marcel z lekką ironią, co nie uszło uwagi zgromadzonych i jeszcze bardziej podgrzało emocje. – Zapraszam wszystkich. – Wskazał ręką na długi stół konferencyjny. – To pana miejsce, panie premierze. – Odsunął środkowe krzesło.

– Panie pułkowniku, to skandal, co pan wyprawia. Proszę się stawić za godzinę w mojej kancelarii z ministrem Tadkiem. Wraz z raportem o zwolnienie ze służby – odparł hardo premier i ruszył

energicznie w stronę wyjścia.

Gdy doszedł do drzwi, dwóch mężczyzn zastąpiło mu drogę. Bańkowski uniósł rękę, jakby chciał ich odsunąć, ale się cofnął i powiedział coś cicho do szefa gabinetu. Ten odszedł kilka kroków na bok i próbował gdzieś zatelefonować.

Wszyscy obserwowali tę scenę w ciszy, z widocznym zaaferowaniem, nawet prokuratorzy i sędzia. Wyczuwali już, że to premier Bańkowski jest tematem ich spotkania, więc w napięciu czekali na rozwój wydarzeń.

Jedynie Waław, szef Agencji Wywiadu i Belik poważnie się zaniepokoiłi, każdy z innego powodu.

– Nie ma zasięgu, niestety. Sieć wyłączona – rzucił Marcel do szefa gabinetu. – Nikt nie opuści tego pomieszczenia, dopóki nie poinformujemy o celu spotkania. A właściwie... myślę, że nikt nie chce opuścić, bo wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za losy kraju. Właśnie przyszedł taki moment, że musimy zdecydować, co robić dalej. Polskę czeka najcięższy kryzys polityczny od... – Marcel urwał na moment, ale to nie było zamierzone i zebrani poczuli powagę chwili. – Zresztą być może nie tylko Polskę, więc nie możemy zostawić tej sprawy wyłącznie politykom i dziennikarzom.

W sali zaległa cisza. Głos Marcela brzmiał wyjątkowo poważnie. Nikt nie był przygotowany na te słowa, rzucone w tym miejscu do takich osobistości w taki sposób. Nikomu więc nawet przez myśl nie przeszło, że może wyjść.

– Proszę usiąść – powtórzył Marcel i wszyscy zajęli miejsca wokół wielkiego stołu.

Premier Bańkowski usiadł ostatni.

Dochodziła dziewiąta dziesiąta. Visby zalane było deszczem. Gotlandia wyglądała jak tonąca arka. Miejscowi nie widzieli w tym nic nadzwyczajnego, znikli jedynie turyści, których o tej porze roku i tak było niewielu.

Jagan włożył nieprzemakalną pelerynę, naciągnął kaptur i wyszedł przed hotel. Stał na środku Strandgatan i wystawił przed siebie

dłonie.

– Piękny deszcz, piękny, takiego jeszcze nie widziałem... piękniejszy niż na Kaukazie... – wymamrotał pod nosem i zaczął rozcierać wodę w dłoniach. – Ciężki, czysty, zimny, gęsty... – Uniósł twarz do nieba, a wielkie krople uderzyły w nią z impetem, rozpryskując się na boki.

Deszcz daje schronienie – pomyślał i poczuł się lepiej, bo poranne spotkanie z Doroninem nie nastrojało go optymistycznie.

Zaczął się ostatni dzień ich misji, a właściwie prywatnej już wycieczki na Gotlandię.

Przyjechali pogadać z pułkownikiem Michailem Popowskim, bo chcieli się dowiedzieć, jaką ma dla nich propozycję. Jagan już zdecydował, że odchodzi ze służby w specnazie, więc był otwarty na wszelkie oferty z wyjątkiem Ukrainy, ale Syria wchodziła w grę jak najbardziej. I tak to starcie z Popowskim przegrali, więc nie było nad czym się zastanawiać. Dobrze, że Rudolf też tak uważa – myślał Jagan. Oczywiście było, że Jaseniewo wystawi im odpowiedni rachunek, a oni wiedzieli, czym go będą musieli zapłacić, i nie czuli się winni, bo robotę spartoliła Centrala.

Zanim Jagan poczuł mocne klepięcie w plecy, już wiedział, że zbliża się Rudolf.

– Mamy dwadzieścia jeden minut do spotkania – rzucił do Doronina, kiedy ten stanął obok. – Na dojsście sześć minut, piętnaście na sprawdzenie miejsca. – Poczował się, jakby wróciła mu dawna moc. Znow potrafił przejrzeć czas i przestrzeń.

Jednak to wrażenie spokoju i bezpieczeństwa trochę go niepokoiło, tym bardziej że wczoraj smok dawał wyraźne sygnały o jakimś zagrożeniu.

To może przez ten deszcz dzisiaj – pomyślał i się uspokoił.

Spojrzał na Rudolfa, który wciąż marnie wyglądał.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Bardzo dobrze – odparł Rudolf niepewnie. – No to co? Idziemy?

– Idziemy.

Wąska średniowieczna Strandgatan zalana potokami rwącej wody

prowadziła ich wprost do ogrodu botanicznego i kościoła Świętego Olafa.

Szli ramię w ramię, ale patrzyli pod nogi. Robili raz dłuższe, raz krótsze kroki, a Jagan próbował nawet przeskakiwać kałuże. Chcieli uniknąć zbyt głębokiej wody, chociaż i tak buty mieli już przemoknięte.

To był zły znak, bo mokre nogi to przekleństwo dla żołnierza i zapowiedź klęski. Ostatni raz przemoczył buty, kiedy uciekał po górach przed ludźmi Muhamedowa. Aż w końcu znalazł się w niewoli u Bogajewów. Ale takiego deszczu nie ma nawet na Kaukazie, więc zawsze to jakieś usprawiedliwienie – myślał Jagan, chociaż impregnowane botki szturmowe nie powinny przemięknąć.

Minęli po prawej hotel Strand. Przed nimi ukazała się strzelista baszta prochowa. Stąd mieli skręcić w Fiskargränd i przejść kilkadziesiąt metrów krętymi uliczkami do furtki prowadzącej wprost do ogrodu botanicznego. Ruiny kościoła Świętego Olafa były kilkanaście metrów dalej, tuż obok altany z rododendronów.

Tam mieli się spotkać z pułkownikiem Michałem Wiktorowiczem Popowskim.

Marcel odsunął krzesło i stanął przy końcu stołu, gotowy do obsługi laptopa i projektora do prezentacji w PowerPoincie. Dał znak, żeby zasłonić okna. Następnie jeden z naczelników przeszedł po sali i zebrał od wszystkich telefony komórkowe.

– Uzyskaliśmy informację – rozpoczął Marcel formalnie – że rosyjski wywiad, a dokładniej SWZ, zorganizował operację mającą zdestabilizować sytuację w Polsce przed wyborami i doprowadzić do kryzysu politycznego w naszym kraju, a tym samym w Unii Europejskiej. Uderzenie miało też ugodzić w naszą wiarygodność jako członka NATO...

– Skąd kontrwywiad ma takie informacje? – przerwał mu szef AW.

– O tym za chwilę, ale proszę nie przerywać, panie generale – odparł twardo Marcel. – Operacja została zaplanowana już wiele lat temu i dopracowana bardzo szczegółowo, wyjątkowo przebiegle,

mądrze. Jej celem miała być kompromitacja zarówno polskich elit politycznych, i to nie tylko w oczach własnych obywateli, ale też w Brukseli czy Waszyngtonie, jak i naszych służb specjalnych, szczególnie kontrwywiadu. – Przerwał na moment i rozejrzał się po sali, jakby szukał właściwych słów. – Zebrane przez nas informacje uzasadniają podjęcie nadzwyczajnych kroków w celu zapobieżenia nieszczęściu... a właściwie katastrofie. Tym razem, panie sędzio... panowie prokuratorzy – zwrócił się do trzech mężczyzn siedzących po jego prawej stronie – być może będziecie musieli wybrać, czy ważniejsza jest litera prawa, czy bezpieczeństwo i przyszłość Polski. My wciąż musimy dokonywać takich wyborów, więc może i wy sobie z tym poradzicie.

– Może do rzeczy, panie pułkowniku... – odezwał się Bańkowski, udając zatroskanego sprawą.

– Rzeczywiście, panie premierze, nie wychodzi mi udawanie polityka. – Marcel odwrócił się i zniknął za drzwiami prowadzącymi do sąsiedniego pomieszczenia.

W sali konferencyjnej znów zaległa cisza. Trzej naczelnicy stali nieporuszeni i niejednemu z obecnych mogło się wydawać, że jest pilnowany przez więziennych strażników. Drzwi były zamknięte, a w pomieszczeniu obok czekał uzbrojony oddział realizacyjny. Od pierwszych chwil spotkanie było też rejestrowane.

W końcu z prawego rogu dobiegł wyraźny szept. Prokuratorzy i sędzia zaczęli o czymś rozmawiać. Reszta milczała. Szef AW nie odzywał się do Belika, szef BBN twardo wpatrywał się w jakiś punkt przed sobą, Bańkowski gorączkowo szukał czegoś w kieszeniach. Już od dwóch minut czekali na powrót Marcela. Każda chwila jego nieobecności potęgowała nerwowość, która jak zła aura roznosiła się po sali, a którą każdy próbował od siebie odepchnąć.

Tymczasem w pokoju obok Konrad, Sara i Marcel stali nad monitorem i obserwowali, co się dzieje w klatce. Zwykła metoda: wrzucasz kość i patrzysz, kto jest głodny, kto nie, kto jest głody, ale udaje, że nie jest. Parę minut oczekiwania, niepewności, jak przed egzekucją, kiedy pękają najtwardsze charaktery.

Pierwszy wszedł Marcel, po chwili Sara i za nią Konrad z posiniaczoną twarzą. Kiedy się zatrzymali, celowo spojrzeli na szefa AW, Belika i Bańkowskiego. I widząc ich reakcję, poczuli, że to najpiękniejszy moment w ich życiu. Ale największą satysfakcję miała Sara, kiedy z zimnym uśmiechem wpatrywała się w pąsowiejącą twarz Belika. Wiedział, co się zaraz stanie, i Sara też wiedziała, bo tę scenę wyreżyserowała sama. Dobrze się czuła w roli Rosy Klebb.

– Zarówno pan... – zwróciła się w stronę szefa AW, ignorując Belika – jak i pan, panie premierze... – przeniosła wzrok na Bańkowskiego – i pan... – spojrzała na Wacława – wszyscy doskonale wiecie o naczelniku Wydziału Polskiego rosyjskiego wywiadu, pułkowniku Michaile Popowskim, który przeszedł na naszą stronę. Tym z panów, którzy nie wiedzą, o co chodzi, powiem krótko, że kilka tygodni temu wraz z Konradem Wolskim wywieźliśmy Popowskiego z Rosji, ratując go przed więzieniem, a może nawet śmiercią. W rosyjskich służbach doszło do cichego zamachu stanu i Popowski uczestniczył w nim po stronie generała Lebedzia. Przegrali, a w służbach, szczególnie w Jaseniewie, nastąpiła czystka. Popowski w tym czasie się ukrywał i zwrócił się do nas z prośbą o pomoc w jego eksfiltracji. Teraz jest pod naszą opieką w bezpiecznym miejscu...

– To skandal! – odezwał się szef AW, wstając z miejsca. – Ujawnia pani informacje klauzulowane, ściśle tajne, osobom nieuprawnionym! – uniósł głos. – Dobrze, że jest z nami prokurator generalny...

– Niech się pan zamknie, generale! – twardo zareagowała Sara. – Jeszcze nie skończyłam.

– Pani jest... – zapiszczał Szeff i nie dokończył.

– Niech pan się tak nie pcha przed szereg – upomniała go arogancko. – Dojdziemy do pana we właściwym czasie.

Spojrzała na Konrada, który miał teraz przejąć inicjatywę.

Wysunął się zza stołu, gdzie dotąd stał obok Marcela, i przeszedł na środek sali, więc Wacław, Bańkowski i prokuratorzy, którzy siedzieli do niego tyłem, musieli się odwrócić. Włożył nonszalancko

ręce do kieszeni i zakołysał się, przenosząc ciężar ciała z pięt na palce. Spojrzał pod nogi i przygryzł dolną wargę. Konrad najlepiej potrafił zagrać siebie.

– Znam Miszę Popowskiego od ponad dwudziestu lat. – Był wyraźnie rozluźniony. – Zna go prawie każdy oficer polskiego kontrwywiadu, bo na nim uczył się fachu. Popowski dał nam ostro w kość, i kiedy pracował w warszawskiej rezydenturze, i kiedy był w Jaseniewie. Prawda, Marcel? – Spojrzał w drugą stronę, a Marcel niewyraźnie pokiwał głową. – Mówi po polsku jak pan... – wskazał palcem na szefa BBN – czy nawet pan – wskazał na Wacława. – Właściwie gdyby nie był Rosjaninem, śmiało mógłby być Polakiem. Powiem więcej, zna Polskę i Polaków znacznie lepiej niż większość naszych polityków czy dziennikarzy. A może powinienem powiedzieć raczej, że wie o Polsce więcej. Popowski to rosyjski patriota oddany bezgranicznie swojej ojczyźnie, chociaż ostatnie wydarzenia wystawiły go na ciężką próbę. Dla Rosjan to jednak tylko epizod i on o tym wie. Misza nie jest moim przyjacielem, ale jest taki sam jak ja. – Dał znak Marcelowi. – A tak wyglądał kapitan Popowski w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, kiedy pracował w Warszawie. – Na ekranie pojawiło się wyblakłe zdjęcie młodego Popowskiego. Stał w towarzystwie kilku osób: garnitur z wąskimi kłapami, cienki krawat, włosy zaczesane na uszy. – To akurat fotka z przyjęcia w Łazienkach zorganizowanego przez ambasadę USA. A to drugie... – Konrad urwał w pół zdania. – O, jacy wszyscy młodzi! – Na zdjęciu pojawiło się kilka twarzy znanych z przeszłości. – To pan, panie premierze? – zwrócił się z wyraźną ironią do Bańkowskiego. – Ten tam, po prawej?

– A co to ma do rzeczy? Do czego pan zmierza? – zapytał premier z lekkim zniecierpliwieniem. – Coś pan insynuuje?

– Nie – odparł Konrad. – O tym za chwilę. Pułkownik Michaił Popowski to syn nieżyjącego już generała KGB Wiktora Mironowicza, legendy sowieckiego wywiadu pionu „S”, czyli nielegalnego. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych mieszkał w Polsce. Tu też urodził się Misza Popowski.

Wacław siedział nieporuszony, z obojętnością słuchał, co mówi Konrad, który nawet nie zerkał w jego stronę, bo koncentrował się wyraźnie na Bańkowskim. Ale w głębi duszy czuł, do czego Wolski zmierza. Sprawa Bańkowskiego była oczywista, bo znał ją Popowski, ale dlaczego on tu jest? Był szefem ABW przez dwa lata, to prawda, ale czemu teraz został wezwany? Czy to ustawka przedwyborcza starej ekipy ABW i tego Wolskiego? Czy kluczem jest generał Wiktor Mironowicz? Wacław zmagął się z tymi myślami i miał wrażenie, że musi wyglądać jak nabrzmiały od emocji. Ale tak naprawdę cały czas był spokojny i Konrad zerkał na niego ze szczerym uznaniem. Za to szef AW i Belik dekonspirowali się każdym ruchem.

– Jak słusznie podejrzewacie, Popowski jako naczelnik Wydziału Polskiego SWZ znał wszystkie aktywa rosyjskiego wywiadu cywilnego w naszym kraju. – Konrad zaczął chodzić, co oznaczało, że nakręca się coraz bardziej. – Przekazał nam informacje o pięciu regularnych agentach, sześciu w trakcie zaawansowanego dialogu operacyjnego i ośmiu w rozpracowaniu...

– Podał nazwiska? – wtrącił się wyraźnie poruszony sędzia.

– Tak, znamy wszystkie nazwiska i wszystkie okoliczności współpracy czy rozpracowania. Agencja to znani politycy, dziennikarze, biznesmeni... nie ma sędziów ani prokuratorów, ale w rozpracowaniu jest jeden prokurator i adwokat... Są też dwa fantomy.

– Fantomy? – zainteresował się jeden z prawników.

– To rodzaj agentów wpływu, którzy nigdy nie zostali formalnie zwerbowani do współpracy, ale działają na rzecz Rosji – wyjaśniła Sara. – Reprezentują typ dobrze zamaskowanego cynika i hipokryty z silną domieszką arogancji, jakich w polityce jest pełno. Wywiady wyłapują ich i obrabiają, ale zwykle nie werbują od razu, często nawet nie jest to wskazane. Daje się im po prostu do zrozumienia, kim są, i to najczęściej wystarcza. Gdyby coś się stało, nie można takim osobnikom nic udowodnić. Funkcjonują w niektórych mediach jako idioci, a w innych, odpowiednio inspirowanych, jako wyważeni i rozsądni politycy. Czasami są nazywani „użytecznymi idiotami”, co

wyborcom nie przeszkadza na nich głosować. Co więcej, taki fantom, by mógł sprawnie i wydajnie działać, obłożony jest agenturą wsparcia, o której nawet nie wie.

– Niezwykłe! Nieprawdopodobne! – odezwał się w końcu prokurator. – W sensie czysto prawnym to absolutne kuriozum... Jak to udowodnić?

– No właśnie! To jest największa siła fantoma, jego... bezkarność – skwitowała Sara. – Ale my to zmienimy... można ten problem rozwiązać... pozaprawnie... – Urwała, spoglądając wymownie na Bańkowskiego. – Po to jest nasze spotkanie.

Zaległa cisza. Nie padło żadne pytanie. Każdy unikał wzroku innych i nikt nie spojrział w kierunku Bańkowskiego, jedyne polityka w tej sali, którego Sara właśnie oskarżyła.

– Tym fantomem jest premier Rzeczypospolitej Robert Bańkowski – oznajmił Konrad w absolutnej ciszy. – Pytania?

– Co za bzdury! – Bańkowski poderwał się, ale zbyt późno, by wypadło to wiarygodnie. – Proszę mnie natychmiast wypuścić! Panie prokuratorze, panie sędzio... to pozbawienie wolności! Jakie macie dowody? – miotał się, ale nikt nie stanął w jego obronie. – To prowokacja rosyjskiego wywiadu! To zamach stanu! – niemal krzyknął.

Wacław poczuł miły przypływ satysfakcji i wyraźne rozluźnienie. Nigdy chyba nie miał większej ochoty na szklaneczkę calvadosu i głos Marii Callas niż w tej chwili. Powoli endorfiny wypełniały mu mózg i spływały w dół ciała. Wyglądało na to, że sprawa właśnie się wyjaśniła. Celem był Bańkowski, a on został zaproszony jako polityczne alibi albo wentyl bezpieczeństwa. To było oczywiste. Nigdy by nie przypuszczał, że grupa oficerów polskich służb może spróbować wysadzić premiera i dokonać zamachu stanu, licząc na rozpętanie kryzysu politycznego na ogromną skalę.

Misja Popowskiego zaczyna przynosić efekty – pomyślał, chociaż intencje spiskowców nie były jeszcze jasne.

– To nie jest zamach stanu – odparł Konrad. – A dowody, panie premierze, mamy. Nie tylko dokumenty rosyjskiego wywiadu, które to

potwierdzają i których autentyczności potrafimy dowieść, ale też materiały polskiego kontrwywiadu, całkiem dobre i pasujące do pana, panie premierze.

– Jestem zaszokowany – wtrącił się Wacław i wstał niemal majestatycznie. – Znam dobrze świat służb specjalnych, byłem przełożonym pana Wolskiego i Marcela i doskonale rozumiem, co chcą nam przekazać. To świetni, bardzo doświadczeni oficerowie. Ale powiedzmy sobie szczerze, i to jest teraz najważniejsze, że właśnie rozpoczyna się największy kryzys państwa od roku dziewięćdziesiątego. Musimy być mądrzy, ale nie mamy ani chwili. Reprezentuję odpowiedzialną opozycję, więc właśnie dzisiaj, w tej sali, powinniśmy ustalić, w jaki sposób w ten kryzys wkroczymy, bo dzięki temu będziemy też wiedzieli, jak z niego wyjść.

Wacław wypadł świetnie, bardzo autentycznie i przekonująco, więc wszyscy oprócz Bańkowskiego ochoczo pokiwali głowami, uspokojeni, że szanowany polityk wziął sprawy w swoje ręce i zdjął z nich odpowiedzialność, tym bardziej że w takiej sytuacji jasne było, że to on zostanie nowym premierem.

– Co pan pierdoli?! – zachnął się Bańkowski.

– Ale to jeszcze nie koniec, panowie... spokojnie – wtrąciła się Sara. – Proszę o cierpliwość. Już za chwilę akt drugi.

O tej porze roku zieleń dopiero zasysała soki ziemi, więc altana z wiecznie zielonych rododendronów była idealną kryjówką. Lutek wybrał ją dla siebie, bo wyszedł z założenia, że jeżeli Jagan jest tak przebiegły, jak mówi Popowski, to z pewnością uzna, że zasadzka musi być w najmniej nadającym się do tego miejscu. A jeśli jest też ostrożny, to najpierw sprawdzi właśnie altanę.

Na szczęście cały czas lało, a w deszczu też można się ukryć – uważał Lutek. Tak czy inaczej nie jest łatwo zaskoczyć żołnierza specnazu – uznał i wcisnął się głębiej między skórzaste liście rododendronu. A że nie miał broni, liczył na to, że do żadnej walki jednak nie dojdzie. Tak przynajmniej obiecał Popowski, nie zgadzając się na ochronę służb szwedzkich. Uważał, że tacy ludzie

jak Rudolf Doronin z oddziału „cieni” i Jagan nigdy nie dadzą się pokonać w walce i prędzej zginą, pociągając za sobą wiele ofiar, niż się poddadzą.

Przejście tych dwóch na drugą stronę byłoby dla reszty, która została w Jaseniewie, sygnałem, że generał Lebedź miał rację. Także to, co się stanie w Warszawie, powinno mocno uderzyć w kremlowskich wojowników i przypomnieć prezydentowi, że musi zadbać o każdego oficera i Rosję. Popowski chciał mu przypomnieć słowa Stalina, że aby wygrać wojnę, potrzeba wielu dywizji wojska, ale żeby zmarnować zwycięstwo, wystarczy kilku szpiegów.

Zoja była już bezpieczna w Szwecji, warszawski plan wszedł w etap realizacji – wyglądało na to, że wszystko układa się po jego myśli. Popowski był wybitnym oficerem wywiadu, o chłodnym umyśle i stalowym kręgosłupie, ale po raz pierwszy był też bardziej człowiekiem niż szpiegiem. A przede wszystkim był Rosjaninem.

Gdyby jeszcze udało mu się namówić Doronina i Jagana, by przeszli na jego stronę! Nie wyobrażał sobie skuteczniejszego i przyjemniejszego sposobu na uderzenie w Krugłowa i odsunięcie go od władzy. Miał ze świńskim ryjem rachunki do wyrównania – za Zoję, za Lebedzia, za Rosję i za to, że już nigdy nie będzie mógł do niej wrócić. Rosjanin nawet jak jest na wygnaniu, pozostaje Rosjaninem i choćby chciał, nie może wyrzec się ojczyzny. Dlatego nie mógł tego tak zostawić, nie chciał zacząć nowego życia, nie rozliczywszy starych rachunków.

Wiedział, że Konrad jest zdecydowanie przeciwny spotkaniu z Doroninem i Jaganem, ale jeśli chciał mocno uderzyć w Krugłowa, nie mógł ustąpić. Rosja była dla niego ważniejsza niż Polska i cała reszta świata. Dlatego postanowił zaryzykować i nie powiedział Konradowi, że umówił się ze swoimi rodakami w ogrodzie botanicznym.

O tym, co zamierza zrobić, poinformował Lutka dopiero w samochodzie, kiedy jechali już do Visby, i pozostawał głuchy na jego argumenty, uwagi i groźby, gotów nawet go wysadzić i pojechać dalej samemu. Nie mogąc nic wskórać, Lutek postanowił zadzwonić

do Konrada i Sary, którzy akurat jak na złość nie odbierali. Nie wiedział, że oboje są w sali konferencyjnej na Rakowieckiej, gdzie sieć jest wyłączona. A zatem nie było innego wyjścia: to on będzie musiał zdecydować o powodzeniu całej operacji. Dodzwonił się w końcu do Ewy, która sama próbowała przebić się przez ścianę martwych telefonów, aż w końcu ruszyła na Rakowiecką, mając nadzieję, że zdąży. Lutek uruchomił wszystkich: Marcina, M-Irka, Elę, Witka, ale i tak wiedział, że jest już za późno, bo do spotkania pozostało dwadzieścia minut. Zresztą gdyby nawet Konrad się odezwał, to Popowski i tak nie dałby się przekonać. Lutek był tego pewien i kombinował teraz, jak mądrze wybrnąć z tej paskudnej sytuacji.

Jechał na spotkanie z dwoma zawodowymi zabójcami z rosyjskiego wywiadu i nie miał broni.

Marcel wyszedł z sali do pokoju gościnnego. Prokuratorzy i sędzia żarliwie o czymś dyskutowali. Szef AW i Belik też prowadzili rozmowę, lecz od razu było widać, że ostro się ze sobą ścierają. Konrad przyglądał się tej scenie z przyjemnością. Był więcej niż przekonany, że zamiast szukać rozwiązania, obwiniają się wzajemnie.

Wacław, wyraźnie zbudowany swoim wystąpieniem, od niechcenia odpowiadał szefowi BBN, który coś szeptał, zakrywając usta dłonią. Jedyne Bańkowski wyglądał na prawdziwie przybitego, choć nieudolnie starał się to ukryć.

Minęły dwie minuty, otworzyły się drzwi i pierwszy wszedł Marcel. Za nim mężczyzna średniego wzrostu, przed czterdziestką, ubrany w stalowy garnitur, bez krawata.

Tylko prokuratorzy i sędzia nie wiedzieli, kto to jest. Pozostali znali go bardzo dobrze i nie był to dla nich miły widok. Gorzej – wiedzieli już, co się za chwilę stanie.

– Przedstawiam państwu kapitana Arkadiusza Kurlandzkiego, oficera drugiej linii Departamentu Kontrwywiadu ABW – ogłosił z satysfakcją Marcel, jakby czytał manifest. – Zaskoczeni?

– Ty chuju! – rzucił całkiem odważnie Belik. Był zszokowany.

Tyle lat znał Kurlandzkiego i nie wiedział, że jest oficerem!

Bańkowskiego nic już nie mogło zaskoczyć ani tym bardziej poruszyć, bo obchodziła go wyłącznie jego własna sytuacja.

Jednak największym ciosem pojawienie się Kurlandzkiego na scenie było dla Waławia. I to nie dlatego, że pomylił się w jego ocenie, że traktował go wcześniej jak zwykłego dupka, którego, jak widać, tamten dobrze udawał, lecz dlatego, że cała koncepcja, którą stworzył sobie kilka minut wcześniej, pięknie się zawaliła. Wiedział, co dla niego oznacza ta pomyłka.

Kurlandzki przyjął inwektywę Belika z uśmiechem politowania, ale wzrok utkwiał w Waławie. I nagle stało się oczywiste, że to właśnie on będzie bohaterem ostatniego aktu.

Od tej chwili obowiązywała go święta reguła milczenia. Nie mógł zrobić nic więcej. Skapitulował, walka się skończyła, skończyła się również jego misja i zrobiło mu się żal, że nie doprowadził jej do triumfalnego finału. Ale poczuł też ulgę i było to dziwne, nieznanne mu wcześniej doznanie. Zawsze się zastanawiał, jak się zachowa, kiedy to się stanie, co wtedy zrobi, co powie. Ale nigdy nie przypuszczał, że odczuje ulgę i żal.

Teraz najbardziej go ciekawiło, co Polacy wiedzą o nim, Waławie Marskim, pułkowniku armii rosyjskiej.

– To, co dotąd usłyszeliście, stanowi zaledwie wierzchołek góry lodowej – zaczął Konrad. – Mamy podstawy, by uznać, że Kreml zaplanował potężną operację wywiadowczą mającą zmienić obraz polityczny Polski i Europy. Miała to być operacja dwustopniowa... taka, w której jeden plan wydarzeń ukryty jest w drugim, na wzór matrioszki... – Konrad znowu zaczął chodzić po sali. – W bardzo rosyjskim stylu, gdy cel uświęca środki. Sprawa fantoma Bańkowskiego i pięciu wspierających go agentów to tylko część planu, choć bardzo ważna. Prowadzona była pod bezpośrednim nadzorem Michaiła Popowskiego w Wydziale Polskim SWZ. Przez wiele lat gros decyzji politycznych i gospodarczych Bańkowskiego zapadało po myśli Moskwy, ale z umiarem, by go nie dekonspirować. Aktywa operacyjne Wydziału Polskiego miały dla Kremla ogromną

wartość, każde źródło przynosiło Rosji realne korzyści. Ale był też plan B, o którym Michaił Popowski nie wiedział. Co najwyżej podejrzewał, że coś takiego może wchodzić w rachubę. Dopiero kiedy zbiegł, generał Krugłow, szef SWZ, i generał Łopatin, szef GRU, pod presją zaistniałego stanu rzeczy pospiesznie uruchomili następną operację. Zresztą sytuacja polityczna w Polsce już do tego dojrzała. Postanowili, że wszystkie aktywa Wydziału Polskiego zostaną poświęcone i użyte jako zasłona dymna dla właściwego uderzenia. Słusznie zakładali, że ujawnienie premiera w roli fantoma i zdemaskowanie pozostałej agentury wywoła w skłóconej Polsce trzęsienie ziemi, doprowadzi do upadku rządu, nowych wyborów... – Konrad przystanął i znów się zakołysał, przygryzając wargę. – Jednak tempo wydarzeń ich zaskoczyło – podjął po chwili zastanowienia – i próbowali nam wmówić, że Popowski został podstawiony. Ale jak to najczęściej bywa, w pośpiechu się wyłożyli, potwierdzając tym samym wiarygodność Popowskiego. Tak, musieliśmy działać bardzo szybko, by wytrącić Rosjan z rytmu i uniemożliwić im przygotowanie solidnego planu. Czas nam sprzyjał i wcale się nie przeliczyliśmy...

Dokładnie tak! – pomyślał Waław. Dokładnie... jestem na to najlepszym dowodem. Na swój monit już się nie doczekam. Nawet jeśli przyszedł, to o parę godzin za późno.

– Sprawa Bańkowskiego i „złotej piątki” – kontynuował Konrad – miała wywołać histerię medialną i polityczną, a na jej fali miał dojść do władzy przewodniczący partii opozycyjnej Tadeusz Konarzewski, uległy mu we wszystkim kandydat na prezydenta Lucjan Górski i obecny tu Waław Marski, skądinąd założyciel Ligi Antymoskiewskiej, jako nowy premier, już nie fantom, „użyteczny idiota”, tylko regularny pułkownik GRU. Prawdziwy rosyjski oficer zająłby miejsce jakiegoś miernego pseudoagenta, który niemal wprowadziłby go na ten urząd. Genialne! – To był punkt kulminacyjny spotkania i Konrad przerwał, żeby dać wszystkim czas na oswojenie się z tą wiadomością.

– Czy to możliwe? Nie myli się pan? – Sędzia z niedowierzaniem

kręcił głową. – Możecie to wszystko udowodnić?

– Mylę się, panie pułkowniku Marski? – Konrad odwrócił się w stronę Waława, wyciągając rękę, jakby prosił o jałmużnę, ale ten odpowiedział tylko ironicznym uśmiechem. – Otóż to, panie sędzio. Pułkownik Waław Marski odezwie się do nas dopiero po przekroczeniu granicy, a jedyne, co wtedy usłyszymy, to... – Zgiął palce wyciągniętej dłoni, pozostawiając wyprostowany środkowy – „Pierdolcie się, Polaczki!”. Takie mają zasady.

– Ale jak mu cokolwiek udowodnimy, jeżeli nie będzie współpracował? – Prokurator zwrócił się do sędziego, który tylko wzruszył ramionami.

– Złapać i osądzić nielegala nie jest łatwo. W tym jednak wypadku sprawa wydaje się dość prosta – powiedział Konrad. – Przyjrzyjmy się dokładniej pułkownikowi Waławowi Marskiemu.

Sara przesunęła się bliżej Konrada i stanęła tak, by znaleźć się na linii wzroku szefa AW i Belika, którzy już dawno zamilkli, rozglądając się nerwowo po sali. To, co dotąd powiedzieli Konrad i Marcel, eliminowało ich z dalszej rozmowy i obaj doskonale o tym wiedzieli. Zdawali sobie sprawę, że Konrad wszystko zaplanował z Marcelem i Sarą, a oni dali się zwyczajnie wmanewrować. Nie mieli już żadnych wątpliwości, że ani teraz, ani po wyborach nie znajdą miejsca w służbie.

Wpatrując się w oczy Belikowi, który nie potrafił ukryć zawstydzenia i jak skarcone dziecko uciekał wzrokiem gdzieś w bok, Sara czuła wyjątkową satysfakcję. Miała przygotowane dla niego jeszcze kilka mocnych słów, ale tę przyjemność zostawiła sobie na koniec.

– Ojciec Michaiła Popowskiego, niedawno zmarły generał Wiktor Mironowicz, był legendą pionu „S” Pierwszego Zarządu Głównego KGB, czyli nielegalów. Przez pewien czas, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, jako młody oficer rezydentury służył w Warszawie. Tu też urodził się Michaił, a wcześniej jego brat Konstantin. – Konrad na chwilę zawiesił głos i znowu zrobił kilka kroków. – Generał Wiktor Popowski był przystojnym mężczyzną,

podobał się kobietom i nie był też obojętny na ich wdzięki. Prowadził w Warszawie kilku nielegalów, których przygotowywano do dalszego przerzutu na Zachód. Wśród nich była jedna kobieta, wyjątkowo piękna, nieco starsza od Wiktora, którą nazywał Polką. Mimo że Wiktor był żonaty i miał już pierwszego syna Konstantina, między nim a Polką zrodził się gorący romans. Z tego związku, który Wiktor utrzymywał w tajemnicy nie tylko przed żoną Lubą, ale również przed przełożonymi w Moskwie, przyszło na świat dziecko. – Znów przerwał, bo doszedł do najważniejszego punktu tej opowieści i chciał, żeby wszyscy go zapamiętali. – Już wcześniej Wiktor Mironowicz postarał się, by Polka została wycofana z planu przerzucenia na Zachód i została w kraju. Wiedział, że gdyby wyjechała, straciłby ją bezpowrotnie. Jednak nim dziecko się urodziło, została przejęta przez GRU. Otrzymała nowe zadania i nowego oficera prowadzącego, więc oboje z Wiktorem bali się, że ich związek może wypłynąć na światło dzienne. To nie były łatwe czasy w ZSRR. Spotykali się jeszcze jakiś czas, ale Polka, która ryzykowała znacznie więcej, bo była już w zaawansowanej ciąży, zerwała kontakt z Wiktorem. On początkowo nie mógł się z tym pogodzić, ale że czas leczy rany... – Urwał w pół zdania i zamilkł. Spojrzał tylko na Sarę, jakby chciał jej powiedzieć coś ważnego.

Wszyscy zauważyli, że Konrad jest świetnie przygotowany, a jego wystąpienie zostało wręcz wyreżyserowane. Cały czas chodził, mówił płynnie, logicznie, przekonująco. Dobrze modulował głos, starał się oszczędnie posługiwać akcentem i intonacją. Przerzucał wzrok z jednej osoby na drugą, ale nikogo nie wyróżniał. Czasami robił ruch prawą ręką, ale z umiarem, bez egzaltacji. Gdy zawieszał głos, patrzył pod nogi, jakby chciał sobie coś przypomnieć albo szukał odpowiedniego słowa. Słuchacze rozumieli, że nie jest to tylko romantyczna historia z życia sowieckich szpiegów, i przeczuwali, że opowieść zmierza do ważnego finału. O nic nie pytali, bo wiedzieli, że zasadnicze pytanie zada sam Konrad.

I właśnie do niego doszedł.

– Zastanawiacie się, skąd to wszystko wiem. – Odczekał chwilę,

unosząc lekko brwi. – Tak, dobrze się domyślacie... Wiem to od Michaiła Popowskiego, syna Wiktora Mironowicza. Wiktor umierał długo i w cierpieniach, więc kierowany zapewne sobie tylko znanymi motywami opowiedział Michaiłowi o Polce i zdradził mu, że ma jeszcze przyrodniego brata. Starszego syna Konstantina, który był alkoholikiem, uznał za niegodnego takiej tajemnicy. Nie miał do Michaiła żadnych próśb ani nie wyznaczył mu żadnych zadań. Chciał tylko, by syn poznał tę historię. Wydaje się jednak oczywiste, że nie powiedział mu wszystkiego. Może choroba i czas zatarły prawdę i stępiły pamięć, a może pewnych rzeczy po prostu nie chciał mówić.

Konrad znów przerwał. Stukając obcasami, podszedł do Waclawa, który siedział jak granitowy posąg, i stanął za jego plecami, kładąc dłonie na wysokim oparciu krzesła.

– Waclaw Marski jest synem generała Wiktora Mironowicza i przyrodnim bratem Michaiła. Synem Polki, a właściwie Białorusinki... Miry Skibinieckiej-Tarnowskiej-Marskiej, kryptonim „Lana”, nielegalnie przerzuconej do Polski tuż przed wybuchem wojny. Wprawdzie generał powiedział na ten temat niewiele, ale resztę odtworzyliśmy sami. Ujawnił jednak, że Waclaw, syn Miry, również jest nielegalnym, tyle że w służbie GRU. Wiktor Mironowicz zdradził to najmłodszemu synowi, naczelnikowi Wydziału Polskiego SWZ, ale nie wiemy, czy postanowił go w ten sposób ostrzec, czy też chciał, żeby Michaił zadbał o brata. Młody Popowski oczywiście wiedział, że GRU prowadzi w Polsce własne działania, w końcu był blisko generała Lebedzia, ale nie przywiązywał do tego wagi. Sprawą Waclawa też się specjalnie nie przejął i nie zamierzał nic z nią robić, przede wszystkim przez pamięć o ojcu i dla dobra matki, która wciąż żyje. Uważał, że byłoby to niekorzystne także dla niego samego. Nie wspominał o niczym Konstantinowi, po prostu uznał to za zdarzenie z zamierzchłej przeszłości, które nie ma już żadnego znaczenia. Nic nie czuł do przyrodniego brata, nie znał go. – Konrad zwrócił się do Waclawa. – Wiedział pan o tym? Matka powiedziała panu, kim jest ojciec?

Waclaw wciąż siedział nieporuszony, ale wydawało się, że to nie

jest już ten sam człowiek co kilka minut wcześniej. Granitowy monument zaczął topnieć od środka i chociaż nie było tego widać, to wszyscy sądzili, że inaczej być nie może. Rosyjski szpieg, nawet nielegal, to też człowiek.

I nie mylili się, bo Wacław rzeczywiście resztkami sił powstrzymywał się przed wybuchem. Gardło mu się zacisnęło, jakby ktoś zarzucił na nie pętlę, a oczy nabrzmiały od łez i było już tylko kwestią czasu, kiedy eksploduje.

Był nielegalnym w drugim pokoleniu. Najważniejszym w Polsce, a może nawet w Europie. Miał zmienić bieg historii, losy Rosji, a został zdekonspirowany przez brata, o którym nigdy nie słyszał, i ojca, którego nie znał. Wpadł przez genetyczny błąd swojego poczęcia. Jak to możliwe?

– Nie znał pan ojca, ale matkę znał – powiedział Konrad. – Skoro pan milczy, to może ja przedstawię jej historię. I tak jest już pan osobą publiczną, więc ludzie powinni wiedzieć, kto miał nimi rządzić. W sumie trudno mieć do pana pretensję. Służył pan swojemu krajowi pewnie najlepiej, jak potrafił, z poświęceniem, ale nigdy nie był pan Rosjaninem i nie był pan też Polakiem. Taki bywa los nielegala. W sumie wiemy jeszcze niewiele o pana matce, ale ustalimy wszystkie szczegóły, to tylko kwestia czasu. Mira Skibiniecka w czasie wojny była łączniczką Komendy Głównej AK. W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku wyszła za mąż za Tadeusza Tarnowskiego, „cichociemnego”, który zginął w powstaniu warszawskim. Przyjęła jego nazwisko. Oficjalnie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku ponownie wyszła za mąż za Krzysztofa Marskiego, który zmarł rok później. Prawie nic o nim nie wiemy, co jest całkowicie zrozumiałe z uwagi na ówczesny związek Miry z Wiktorem. W rzeczywistości Krzysztof Marski nigdy nie istniał, a jego dokumenty zostały słabo przygotowane. Pewnie dlatego, że było już po Październiku i z polskich służb zniknęli Rosjanie, a może z innego powodu. Nie wiemy, ale się dowiemy. Z łatwością ustaliliśmy pana tajne lokum na alei Wyzwolenia i właśnie robimy tam przeszukanie.

Konrad przeszedł znów na środek sali. Wszyscy w ciszy i napięciu czekali na jego ostatnie słowa.

Jedynie Waław nie czuł już żadnego napięcia i nie obchodziło go, co powie Konrad. Nie miał już ucisku w gardle, przeciwnie – pętla puściła i oddychał pełną piersią. Czuł dumę, że jest synem Miry Skibinieckiej, wielkiej nielegalki, pułkownika radzieckiego wywiadu.

– Co pan na to, panie Marski? – zapytał Konrad. – Złamię pan przysięgę? Odpowie pan? To jeszcze nie sąd. Ostatnia okazja.

Po sali poniósł się przeciągły zgrzyt krzesła trącego o parkiet i nad stołem wyrosła wysoka postać. Waław rozejrzał się wokół, ale w jego spojrzeniu nie było żalu, zaskoczenia czy rozczarowania, żadnego smutku. Było zupełnie coś innego i za chwilę mieli usłyszeć co. Wyprostował się dumnie, uniósł głowę i oznajmił donośnym głosem:

– Nazywam się Waław Marski, jestem rosyjskim pułkownikiem i służę mojej ojczyźnie Federacji Rosyjskiej.

Usiadł, założył ręce na piersi i patrzył przed siebie.

– Wydaje wam się, że to jakiś sen? Nie wierzycie w to, co słyszycie i widzicie? – odezwał się Konrad. – W świecie wywiadu wszystko jest możliwe, granicą jest wyobraźnia, a tajemnice... tajemnice to tylko sprawy, o których ludzie jeszcze nie wiedzą.

Pod wielkim czarnym parasolem, w zielonych kaloszach i skórzanym kapeluszu, które znalazł w domu Lindy na wyspie Fårö, gdzie się cały czas ukrywał, Popowski wyglądał, jakby zaraz miał zaśpiewać *Singing in the Rain*, a nie spotkać się twarzą w twarz z dwójką rosyjskich zabójców. Stał na samym środku małego placyku obok ruin kościółka, zwrócony w stronę furtki, skąd spodziewał się nadejścia Rudolfa. Było oczywiste, że Doronin będzie ubezpieczony gdzieś z boku, i Lutek liczył na to, że z ukrycia zdąży dostrzec Jagana wcześniej.

Punktualnie o dziewiątej trzydzieści w furtce pojawił się mężczyzna w zielonej przeciwdeszczowej pelerynie z kapturem.

Przeszedł trzy metry i zatrzymał się przy altanie, mniej niż dziesięć metrów przed Popowskim.

– Doronin... Rudolf? – zapytał dość głośno Michał.

– Tak – usłyszał po dłuższej chwili.

Lutek stał tuż obok Doronina, ale nigdzie nie mógł wypatrzeć Jagana. Sytuacja była coraz bardziej niepokojąca. Zaczął się obawiać, że dzieje się coś dziwnego, nad czym nie panuje. Doronin zachowywał się podejrzanie, nerwowo, sprawiał wrażenie, jakby szykował się do ataku, czegoś obawiał. Lutek czuł, jak napięcie gwałtownie rośnie.

Doronin nie podszedł do Popowskiego i wyraźnie starał się zachować dystans, dokładnie te kilka metrów, których potrzebuje strzelec, by mieć pewność, że trafi.

Nie widzę jego rąk... peleryna... peleryna... – powtarzał w myślach Lutek, odkąd go zobaczył. Gdzie jest Jagan?

Mijały sekundy i bał się, że za chwilę straci jasność obrazu i decyzji. Zaatakować czy nie? No i gdzie ten Jagan?

Doronin ruszył powoli w stronę Popowskiego, który stał nieporuszony i przyjaźnie się uśmiechał, ale Lutek od razu zauważył, że coś jest nie tak. Ten uśmiech był fałszywy.

Rudolf przeszedł powoli dwa metry.

Jeszcze jeden i stracę możliwość skoku, uderzenia, nie zdołam go powalić... – myślał gorączkowo Lutek. Bo jeśli ma broń, zdąży się odwrócić i strzelić, a Popowski nie dobiegnie i... Gdzie jest Jagan?

Nagle Doronin gwałtownie przyspieszył i Lutek stracił bezcenny metr. Jednocześnie zobaczył, jak zielona peleryna unosi się na wysokości biodra, a spod niej wysuwa się ręka przedłużona o broń.

Był na to gotowy. Wybił się z całych sił w stronę Doronina i w tej samej chwili padł cichy wystrzał. Lutek dostrzegł, jak Michał upuszcza parasol i przechyla się na bok. Nie wiedział, czy został trafiony. Miał pewne wątpliwości co do odgłosu strzału, lecz uznał, że był to pistolet z tłumikiem. Wysunął się z altany i już miał Doronina w zasięgu skoku, gdy ten najwidoczniej poczuł za sobą jakiś ruch i odwrócił się do tyłu. Błyskawicznie podrzucił pelerynę

i Lutek zobaczył, jak przeładowuje pistolet.

Wystrzelony wcześniej pocisk koziołkował w powietrzu. Lutek zrozumiał, że to niewypał. Spiał się z całych sił, by dopaść Doronina przed drugim strzałem, bo wiedział, że pocisk jest w komorze, i już czuł w rękach mokłą pelerynę, gdy usłyszał następny głuchy odgłos.

Twarz Rudolfa była spięta, blada, brwi ściągnięte, oczy żywe, płonące, pełne nienawiści, ruchy pewne, spokojne, płynne. Działał sprawnie jak doskonała maszyna, więc od razu zadał Lutkowi z półobrotu precyzyjny cios kolbą w kość jarzmową.

Lutek poczuł lekkie zamroczenie i osunął się na kolana. Usłyszał dwa szybkie wystrzały.

Po chwili się ocknął, ale nie czuł trafienia. W tej samej chwili zobaczył, jak przed nim upada w wodę pistolet Doronina. Kątem oka dostrzegł pochylonego Popowskiego i leżący obok niego parasol.

Intuicyjnie pojął, że strzały oddał Jagan. Chwycił pistolet Doronina i przeładował.

Wciąż klęczał u stóp Doronina i w ułamku sekundy dostrzegł, jak zaczerwieniła się przed nim deszczowa woda. Zrozumiał, że to krew Rosjanina, i jednocześnie w oddali, pod murem kościółka, wypatrzył sylwetkę mężczyzny w zielonej pelerynie, który mierzył w jego stronę.

Strzelili w tym samym momencie, aż dwa dźwięki złąły się w jeden. Lutek usłyszał, jak kula przechodzi koło jego głowy i uderza w Doronina, który osunął mu się na plecy, przygniatając go do ziemi. Lutek strzelił jeszcze dwa razy w stronę mężczyzny, aż szarpnęło jego peleryną, a ciało odskoczyło do tyłu.

Zepchnął z siebie krwawiącego obficie Doronina. Spojrzał na Popowskiego, który właśnie podnosił się z ziemi. Poczuł ulgę i jednocześnie coraz większą wściekłość, bo wiedział, że tak się to skończy i że zginą ludzie.

Podniósł się z wciąż wycelowanym pistoletem i spojrzał w prawo.

Pod ścianą kościoła Świętego Olafa, w strugach deszczu, z szeroko rozrzuconymi ramionami i pistoletem w dłoni, nakryty

zieloną peleryną, w wielkiej kałuży krwi leżał Jagan.

Gotlandia

Konrad przyleciał na Gotlandię ostatnim opóźnionym lotem z Arlandy o dwudziestej pierwszej.

Dobrze, że samolot w ogóle wystartował, bo prognoza pogody była więcej niż zła. Na pokładzie turbiniowego saaba 200 było pięciu pasażerów, ale tylko Konrad dobrze zniósł prawdziwe rodeo, jakie fundowano im przez czterdzieści pięć minut lotu. I to nie dlatego, że był bardziej odporny od innych, ale dlatego, że wydarzenia ostatnich dni ciążyły mu bardziej niż cokolwiek, czego dotąd doświadczył. Chwilami miał wrażenie, że to, co zapoczątkował, wymknęło się spod kontroli, przerosło jego możliwości i że na koniec zupełnie się pogubił. Czymże więc mogły być nawet najgorsze powietrzne turbulencje wobec trzęsienia ziemi, które wywołał w Polsce, Szwecji i Rosji?

Kiedy odlatywał z Warszawy kilka godzin wcześniej, miał nadzieję, że chwile spędzone w samolocie pozwolą mu uporządkować myśli i zaplanować chociaż jeden następny krok.

Teraz wychodził na zalane deszczem lotnisko w Visby i miał wrażenie, że stracił czas na jałowe mielenie wrażeń i faktów i nie posunął się nawet o pół kroku, a gonitwa myśli nawet przyspieszyła. W gruncie rzeczy dlatego, że wciąż nie wiedział, co wydarzyło się rano na Gotlandii.

Oficjalna informacja, jaką Agencja Wywiadu otrzymała od Säpo, i to, co powiedział Marcin, nie pozwalało Konradowi ogarnąć sytuacji. Tym bardziej że depesza ze Sztokholmu utrzymana był

w ostrym, nieprzyjemnym tonie, pełna półsłówki i insynuacji, jakby miała posłużyć za pretekst do wojny.

W odczuciu Konrada władze szwedzkie były co najmniej niezadowolone, a tak naprawdę wściekłe, że Polacy prowadzili na ich terytorium nielegalne działania, w których uczestniczyli obywatele Federacji Rosyjskiej. Dla podkreślenia wagi sprawy depeşe osobiście podpisał szef Säpo Johan Wallin.

W obecnej sytuacji politycznej w Szwecji – po aferze irańskiej i pojawieniu się pogłosek, jakoby gubernator Gotlandii Kurt Lövenström miał ambicje polityczne – konflikt z Kremlem byłby dla Rosenbadu zabójczy.

Konrad wyszedł przed terminal i od razu natknął się na Marcina, który zjawił się nie wiadomo skąd.

– Narobiło się, szefie – oznajmił na powitanie. – Tam jest samochód. – Wskazał ręką stojącego nieopodal saaba 95. – Pechowy... bo Olafa... ale prowadzi Gunnar. To niedaleko, ledwie parę kilometrów. Pan gubernator już czeka. – Marcin rozłożył parasol i obaj ruszyli biegiem w kierunku auta.

Przejazd na Strandgatan 1 do rezydencji gubernatora Gotlandii zajął im ledwie kilka minut, więc Konrad zdążył się tylko przywitać z Gunnarem i zamienić kilka grzecznościowych uwag o pogodzie. Nie chciał na razie nawiązywać do ostatnich wydarzeń, bo inicjatywa rozmowy wyszła od gubernatora Kurta Lövenströma i to on był gospodarzem spotkania. Zresztą inspektor Gunnar Selander nigdy nie był specjalnie rozmowny.

Zatrzymali się przed dwupiętrowym pomarańczowym domem z siedemnastego wieku. Nic szczególnego jak na Visby. Od trzystu lat była to rezydencja namiestników króla, a dziś funkcję tę sprawował Kurt Magnus Lövenström, czterdziesty siódmy gubernator Gotlandii i były zastępca szefa Säpo.

W niedużym owalnym holu ozdobionym wielkim gustawiańskim lustrem i morskim pejzażem czekał Kurt.

Stał na środku w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, bez krawata, w spodniach na szelkach wysoko podciągniętych na

okrągłym brzuchu. Obrazu dopełniała siwa, rozczochrana, niemal kwadratowa głowa i grube okulary. Kto nie znał Kurta, mógł pomyśleć, że to postać żywcem wyjęta z komedii dell'arte, a nie królewski namiestnik na wyspie. Obok Kurta stał wysoki, szczupły mężczyzna około sześćdziesiątki w niemodnym zagniecionym garniturze, z rękami w kieszeniach, o cienkich, wykrzywionych z niesmakiem ustach.

– Witam, panie pułkowniku Wolski, w rezydencji gubernatora Jego Królewskiej Mości Karola XVI Gustawa – zaczął Kurt uroczyście. – Taką formułkę wygłaszamy, kiedy przyjmujemy w tym miejscu oficjalnych gości, ale nie będzie źle, jeśli wprowadzimy dzisiaj także trochę pozaurzędowej powagi. – Uśmiechnął się szeroko, pokazując zadbane białe zęby. – Sprawa jest tak trudna, że wymaga pogody ducha i dystansu, jeśli chcemy z niej szybko wybrnąć. – Spojrzał na mężczyznę obok. – To mój przyjaciel, szef policji województwa Gotlandia, nadkomisarz Kjell Vern... przez „v”, nie przez „w”, nie mylić z komisarz Marią Wern. – Znow pokazał białe jak śnieg zęby, ale to nie był pogodny uśmiech. – Pomoże nam, jeśli my mu pomożemy. Trzeba sobie jasno powiedzieć, że od czasów króla duńskiego Waldemara Atterdaga, to jest od tysiąc trzysta sześćdziesiątego pierwszego roku, mury Visby nie widziały tak krwawej bitwy. Myślę też, że to zdarzenie stanie się inspiracją dla nowego kryminału Mari Jungstedt – rzucił ironicznie i wskazał ręką drzwi do salonu.

Weszli do dużego pomieszczenia, na którego środku stał stół konferencyjny przykryty zielonym sukniem, a otaczało go trzydzieści barokowych krzesel. Z sufitu majestatycznie zwisały dwie wielkie kristallkrony. Ściany ozdobione były obrazami w bogato rzeźbionych ramach, a pod nimi na empirowych szyfonierach stały mosiężne pięcioramienne kandelabry Skultuny. Oprócz elektryczności nie było chyba w całym pomieszczeniu nic współczesnego.

Kurt zaprosił wszystkich do stołu, na którym stały już filiżanki. Weszła służąca, postawiła na środku talerzyk z ciasteczkami Ballerina i rozlała wszystkim kawę. Konrad poprosił o wodę,

a Gunnar o herbatę.

Po kilku minutach grzecznościowej rozmowy Kurt postanowił przejść do rzeczy.

– Od kogo powinniśmy zacząć? – zapytał, popatrując to na Verna, to na Konrada, ale odpowiedziała mu cisza. – Oczywiście... ja powinienem zacząć.

– Chciałbym wyjaśnić... – odezwał się Konrad, ale Kurt go uciszył, lekko unosząc dłoń.

– Zakładam, że mieliście poważne i obiektywne powody, by nas ominąć, bo nie chcę nawet myśleć, że to z powodu braku zaufania ani tym bardziej braku sympatii. Mam nadzieję, Konradzie, że od tego zaczniesz. Wybacz, że mówię tak obcesowo, ale jeśli mamy rozwiązać problem, który ściągnąłeś nam na głowę, musisz najpierw wyczyścić scenę. Nasz premier ma ostatnio mnóstwo kłopotów i z prawdziwym niesmakiem przyjął informację o strzelaninie, do której tutaj doszło. Media już węszą i prędzej czy później jakąś prawdę sobie wywęszą. Mam też do ciebie osobistą uwagę... – Kurt zamyślił się na moment. – Nie... nie uwagę! Jestem wściekły, że wciągnąłeś w to Lindę.

– Nie miałem pojęcia, co ją spotkało. Zwróciłem się do niej o pomoc właśnie dlatego, że nie utrzymuje kontaktów z Rosjanami. Wiedziałem o tym od Michaiła Popowskiego, który ostatni kontaktował Olafa Svenssona.

– To już wiemy – wtrącił się Gunnar.

– Ale o tym, że Olaf popełnił samobójstwo na jej oczach, dowiedziałem się dopiero od samej Lindy. Tak, to prawda, że nie powiedziałem, kogo chcę ukryć w jej domu na Fårö, ale ona też nie chciała tego wiedzieć. Kiedy połączyłem fakty, Popowski już tam był. Uznałem, że nie powinienem jej o tym mówić, i miałem nadzieję, że dziś lub jutro zabiorę go w inne miejsce i sprawa sama się rozwiąże dla dobra wszystkich.

– Popowski miał wiedzę o agenturalnej działalności Olafa Svenssona? – zapytał mocno zaskoczony Gunnar, który prowadził śledztwo w tej sprawie.

– To prawda? – dopytał Kurt.

– Popowski przekazał nam pełną informację na temat Olafa, którą otrzymacie...

– Hm... – zamyślił się Kurt. – Tak, to daje inną perspektywę, ale dlaczego tak się baliście oficjalnej współpracy?

– Pułkownik Michaił Popowski był naczelnikiem Wydziału Polskiego SWZ i znał aktywa agenturalne tylko w Polsce. Nie orientował się, jak jest spenetrowana wasza służba, ale wiedział, że oprócz Olafa są też czynni inni agenci. – Konrad zdawał sobie sprawę z siły swoich słów i kiedy spojrzał na Szwedów, miał już pewność, że zrozumieli, dlaczego postąpił tak, a nie inaczej. – I chociaż nie zna ich nazwisk, to może pomóc w identyfikacji. Ale polską agenturę znał całą i jeśli rosyjski wywiad planował zgotować wam to co nam, to jest się czym martwić. Dzisiaj z tego powodu mamy w Polsce najgłębszy od trzydziestu lat kryzys polityczny, który niewątpliwie dotknie też Unię, a więc i was. Wkrótce będzie o tym głośno.

Właściwie Konrad mógł tutaj zakończyć, bo w tym gronie wszyscy potrafili sobie wyobrazić, co się właściwie stało, przewidzieć konsekwencje i przynajmniej spróbować zrozumieć jego motywacje. Dlatego kiedy na chwilę zamilkł, nikt nie zadał żadnego pytania. Nawet Kurt, który miał ich najwięcej, ale nie wiedział, od czego zacząć.

Konrad jednak mówił dalej. W ciągu kilkunastu minut zrelacjonował krok po kroku wszystko, co się zdarzyło od pierwszego telefonu Popowskiego. Pomijał mało ważne szczegóły, ograniczając się wyłącznie do tego, co miało zasadnicze znaczenie dla zrozumienia istoty wydarzeń oraz podstaw podejmowanych decyzji.

Mówił jasno i logicznie, kontrolując emocje. Starał się, by przekaz był czytelny i nie budził wątpliwości.

Kawa wystygła i nie znikło ani jedno ciasteczko.

– Wygląda na to, że wypadki, do których doszło w Visby, są tylko fragmentem większej całości – podsumował Kurt i delikatnie

pokiwał głową. – Musimy zatem połączyć nasze siły, by wyjść z tego klinczu. – Wychylił się do przodu i spojrzał w lewo. – Kjell, twój ruch – zwrócił się do szefa policji, który siedział przy końcu stołu i z uwagą przysłuchiwał się rozmowie. – Opowiedz, co ustaliliście.

Nadkomisarz Kjell Vern wyjął z kieszeni marynarki mały kołnotatnik i otworzył go sprawnym ruchem ręki, jakby był zwykłym śledczym na przesłuchaniu, a nie szefem wojewódzkiej policji.

– Około dziewiątej trzydzieści w ogrodzie botanicznym doszło do zajścia z użyciem broni palnej, zakończonego śmiercią jednego z uczestników i ciężkim zranieniem drugiego. Miało się tam odbyć spotkanie czterech osób. Michaiła Popowskiego... Lutosława Górskiego, obywatela polskiego, Jewgienija Parafianowa i Wiktora Kozłowa. Dwaj ostatni posługiwali się dokumentami estońskimi, lecz jak szybko ustaliliśmy, były one fałszywe. Przebieg wydarzeń odtworzyliśmy głównie na podstawie zeznań Lutosława Górskiego. – Kjell prawidłowo wymawiał polskie litery i nawet nie zerkał do notatnika, więc Konrad od razu pomyślał, że to musi być dobry policjant. – Pierwsi na miejsce przybyli Popowski i Górski. Górski ukrył się w altanie z rododendronami, natomiast Popowski czekał w umówionym miejscu kilka metrów dalej. Po chwili od strony bramy wejściowej nadszedł Parafianow. Zbliżył się i zatrzymał obok altany, w której ukrywał się Górski, a ten, jak twierdzi, w pewnym momencie zauważył, że Parafianow ma pod peleryną broń, której zamierzał użyć przeciwko Popowskiemu. Popowski i Górski byli nieuzbrojeni. Gdy Górski rzucił się na Parafianowa, ten obrócił broń w jego stronę i próbował oddać strzał, ale pistolet nie wypalił, o czym za chwilę. Wywiązała się między nimi krótka walka, a właściwie to Parafianow zdążył zadać Górskiemu cios kolbą w głowę. W tym samym momencie, jak podaje Górski, pojawił się uzbrojony Kozłow, który zaczął strzelać w jego stronę. Górski uznał, że Kozłow strzela do Popowskiego, i w tym momencie Parafianow upuścił pistolet. Przejął go Górski, który zauważył też, że Parafianow został trafiony, i z pozycji leżącej, przygnieciony jego ciałem, oddał trzy strzały, w tym dwa celne, w kierunku Kozłowa.

– Nie rozumiem. – Konrad wydawał się zaskoczony. – A Popowski? To kto zastrzelił Parafianowa?

– I tu zaczyna się zagadka, której nie potrafimy rozwiązać – włączył się Gunnar. – Kozłów nie strzelał do Popowskiego ani nawet do Górskiego, tylko do Parafianowa. Oddał wręcz modelowe trzy strzały, dwa w pierś i jeden w głowę, zabijając go na miejscu. Natomiast Górski trafił Kozłowa dwukrotnie w pierś.

– Dlaczego Kozłów zabił Parafianowa? – zapytał Konrad, jeszcze bardziej zaskoczony. – Powinien Popowskiego... albo Górskiego, który miał już broń, jak rozumiem.

– Tego właśnie nie wiemy – odparł Vern. – Ale jest coś jeszcze bardziej zadziwiającego. Na miejscu znaleźliśmy trzy pociski dziewięć milimetrów z sig-sauera Parafianowa, z których ktoś wcześniej usunął proch. Usunął celowo, są widoczne ślady, jakby chciał mu przeszkodzić w zabiciu Popowskiego, co właściwie się udało. Nie zrobił tego przecież Parafianow, bo wystawiłby się w ten sposób na samobójczą śmierć, musiał to zrobić Kozłow. Dlaczego? Zbadamy, czy zachowały się odciski palców, chociaż pociski były zanurzone w wodzie.

– On nie nazywa się Kozłow – oznajmił Konrad. – To chorąży specnazu Andriej Trubow zwany Jaganem, żołnierz do zadań specjalnych. Legenda rosyjskiego wywiadu i częsty gość w Szwecji. Pamiętasz, Kurt, sprawę Safira as-Salama i rodzeństwa Bogajewów... zamach na promy?

– Tak. Oczywiście. W midsommar.

– To on gołymi rękami obezwładnił Rustama Bogajewa. Tego drugiego nie znamy, wiemy tylko, że występuje jako Rudolf Doronin i jest z oddziału „cieni”. Popowski ściągnął ich na Gotlandię wbrew mojej woli. Chciał ich namówić do dezercji. Na niczym tak mu teraz nie zależy jak na uderzeniu w generała Krugłowa, nowego szefa SWZ, który usunął generała Lebedzia i zmasakrował „białą drużynę”. Popowski zrobi wszystko, by go zniszczyć... – Konrad przerwał i po chwili zadumy dodał: – Nie rozumiem... co się właściwie stało?

W trzystuletniej rezydencji gubernatora Gotlandii zaległa cisza. Nie było takich słów, które mogłyby oddać myśli uczestników spotkania. Żaden z nich nie wiedział, dlaczego Rosjanie strzelali do siebie. Czy mogli zatem zrozumieć, co się dzieje? Może wszystko, o czym przed chwilą usłyszeli, było tylko rosyjską iluzją...

Odkąd Konrad odebrał wiadomość od Popowskiego, wydarzenia układały się w logiczną całość, na której mógł zbudować swój plan. Od początku się obawiał, że swoimi działaniami doprowadzi do politycznego wstrząsu w Europie, ale teraz mogło się okazać, że sprawa ma kolejne dno, a on stał się tylko pionkiem w grze Rosjan. Czy znów miało się ziścić przekleństwo szpiegów, że nigdy nic nie jest tym, na co wygląda? A może to zwykły przypadek, którego nie zaplanował?

– Przeżyje? – zapytał krótko, licząc na odpowiedź, która da nadzieję na odkrycie prawdy.

– Według naszych lekarzy żaden człowiek nie miał prawa przeżyć po utracie takiej ilości krwi, ale on wciąż żyje. Mówią, że to wbrew naturze, jednak medycyna zrobiła ostatnio ogromne postępy... wiadomo... Kozłowi ma niezwykley tatuaż na plecach. Wygląda, jakby należał do jakiejś sekty. – Vern pokręcił głową. – Wciąż jest nieprzytomny i jeśli tylko pogoda się poprawi, przewiozą go śmigłowcem do szpitala w Huddinge. Nieprędko będzie można go przesłuchać, o ile w ogóle z tego wyjdzie.

– Wyjdzie – rzucił cicho Konrad po polsku, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. – Co z Lutkiem... znaczy Górkim? – dopytał już po angielsku.

– Jest zatrzymany... tymczasowo... – odpowiedział Gunnar. – W końcu strzelał do Kozłowa, wprawdzie w obronie własnej, ale nie tak do końca. No... prokurator chce to sprawdzić.

– Co powiedział Popowski? – zapytał Konrad, chociaż sam zakazał mu rozmawiać ze Szwedami do jego przyjazdu.

– Nic – odparł Vern. – Odmawia zeznań. Powiedział, że będzie rozmawiał tylko w twojej obecności. Nie jest już zatrzymany, chociaż pozostaje pod strażą. W końcu przebywa w Szwecji nielegalnie,

podobnie jak jego partnerka Zoja Tokina. Są w domu Lindy na Fårö.

– W pokoju Parafianowa – włączył się Gunnar – znaleźliśmy komputer, którego na razie nie potrafimy uruchomić, jakieś dziwne, dobrze zamknięte pudełko niewiadomego przeznaczenia i sporo amfetaminy. Wszystko wysyłamy jutro do Sztokholmu, może tam sobie z tym poradzą. Mamy też ich samochód i rano zaczniemy go sprawdzać.

– Już późno – odezwał się Kurt. – To był ciężki dzień, ale jutrzejszy może być jeszcze cięższy, bo z pewnością dowiemy się więcej.

To był sygnał do zakończenia spotkania. Wszyscy podnieśli się do wyjścia, oprócz Kurta, który wciąż siedział rozparty za stołem. Na pożegnanie uniósł tylko ciężką dłoń i pokiwał głową. Wyglądał ponuro, jak człowiek zatroskany coraz to nowymi pytaniami, na które nie zna odpowiedzi. Układał już sobie w myślach scenariusz rozmowy z premierem, która czekała go następnego dnia, i próbował znaleźć sposób na ominięcie Wallina. Szef Säpo nie był zainteresowany wyjaśnieniem sprawy. W sytuacjach kryzysowych zamykał wszystkie drzwi i czekał, aż wróg podejdzie pod mury, bo najlepiej czuł się w oblężonej twierdzy.

Widząc, że Konrad jako ostatni zmierza do wyjścia, Kurt zdecydował się jeszcze o coś go zapytać.

– Waclaw Marski naprawdę był nieślubnym synem generała Popowskiego? Czy to błąd, który miał go zdekonspirować?

Ale Konrad nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się dwuznacznie.

Właściwie to powinienem mu współczuć ogromu odpowiedzialności, jaką wziął na siebie – pomyślał Kurt. Zawsze przecież jest jakaś prawda gorsza od tej, którą właśnie poznajemy.

Konrad włożył kurtkę i opuścił rezydencję gubernatora. Przestało padać. Noc była pogodna, z niebem pełnym gwiazd. Kjell Vern pożegnał się oschle i oddalił w stronę parkingu, gdzie czekał na niego policyjny radiowóz.

– Hotel, szefie, jest dwieście metrów stąd... – Konrad usłyszał głos Marcina, który cały czas mu towarzyszył, ale aż do tej chwili

w ogóle się nie odzywał. – Gunnar i ja w nim śpimy... no i ci dwaj Rosjanie też tam nocowali. Zrobimy sobie spacerek?

– Dobrze – rzucił Konrad i włączył telefon.

– Jutro przyjedzie Linda – wtrącił się Gunnar, uruchamiając swoją komórkę.

Ruszyli Strandgatan, która początkowo była dosyć szeroka, lecz po stu metrach zaczęła się zwężać. Kiedy doszli do pomalowanego minią drewnianego spichlerza, odezwał się telefon Konrada. Minęła północ.

– Włącz kodowany – zarządziła Sara, gdy tylko odebrał.

Konrad wyjął z kieszeni telefon do łączności specjalnej. Po kilkunastu sekundach się zalogował. Odszedł na bok, a Marcin i Gunnar przystanęli przed wejściem do hotelu. Odczekał chwilę i wyświetlacz się rozjaśnił, pokazując zabezpieczony numer Sary.

– Godzinę temu zadzwonił do mnie jakiś gość mówiący po angielsku, który przedstawił się jako przyjaciel Miszy i poprosił o natychmiastowe spotkanie. Wyjaśnił, że dostał od niego numer mojego telefonu. Właśnie wyszłam na korytarz... siedzę z nim w jego pokoju hotelowym. To Rosjanin, który twierdzi, że nazywa się Iwan Siemionow. Przywiózł kopie dokumentów Wydziału Polskiego, o które prosił Popowski. Wiesz coś o tym?

– Nie... nic...

– To jakiś kabaret? Ten Siemionow utrzymuje, że ma ważne informacje o północnokoreańskim programie atomowym i chce rozmawiać z CIA... – Sara była wyraźnie poruszona. – Co jest grane?

– Aaa... – przypomniał sobie Konrad. – Tak... to jest kolega Miszy, który go ukrywał. Tak! Był naczelnikiem Wydziału Północnokoreańskiego. – Konrad roześmiał się. – Cały Popowski! Nie mógł darować Krugłowowi. I dopiął swego. Świński ryj wyleci z roboty. Nooo... Misza pięknie to rozegrał.

Na wyspie Fårö, na którą można się dostać wyłącznie małym promem samochodowym przez cieśninę o tej samej nazwie, mieszkało

zaledwie kilkaset osób i wszyscy znali się przynajmniej z widzenia, bo był tam tylko jeden kościół.

Wszyscy też wiedzieli, że dom komandora Magnusa Christiana Lunda stoi w Ajkesvik nad brzegiem morza, dokąd prowadzi jedna szutrówka. Dlatego do ochrony obiektu, w którym chwilowo mieszkał Michaił Popowski, a właściwie ukrywał się razem z Zoją Tokiną, wystarczyło dwóch mundurowych policjantów.

W rzeczywistości po terenie wyspy kręciło się w samochodach służbowych jeszcze kilku oficerów Säpo po cywilnemu, bo o ile prawdopodobieństwo ucieczki pary Rosjan było niewielkie, o tyle ich życiu wciąż zagrażało niebezpieczeństwo. Tak czy inaczej po wczorajszym spotkaniu z Konradem Wolskim Kurt uznał, że na razie Fårö to świetne miejsce na kryjówkę, i to nie tyle przed rosyjskimi służbami, ile przed szwedzkimi mediami. Obiecał bowiem telefonicznie premierowi, że strzelanina w Visby pozostanie utajniona tak długo, jak to tylko będzie możliwe.

Po kilku dniach ciepłego deszczu temperatura gwałtownie spadła do zera i nad Gotlandią na czystym niebieskim niebie zawisło ogniste słońce. Wiosna zamarzła na środku Bałtyku.

Rano śmigłowiec zabrał Jagana do specjalistycznego szpitala w Huddinge, a w tym samym czasie Kurt Lövenström siedział już w samolocie do Sztokholmu. Z Rosenbadu wysłano po niego limuzynę.

Konrad obudził się z przeświadczeniem, że to będzie najważniejszy dzień w jego życiu. Myślał tylko o jednym i czuł nieznany mu dotąd przyływ euforii, radości i szczęścia. I żadne wydarzenia w Polsce, Rosji czy Szwecji nie mogły tego zmienić. Nie był w stanie się skupić i mówiąc, wciąż powtarzał to samo. Sam Gunnar zauważył podczas śniadania w hotelu dziwne pobudzenie Konrada, a Marcin nawet je skomentował.

– Co się dzieje, szefie? – zapytał, spoglądając na niego podejrzliwie. – Będę do czegoś potrzebny?

Na razie musiał zabrać z parkingu pod rezydencją gubernatora saaba Olafa i odwieźć Konrada z Gunnarem do Ajkesvik, a sam

wrócić do Visby, bo o dziesiątej miał wyznaczone przesłuchanie w prokuraturze. Tego dnia przesłuchani mieli być także Lutek i Linda. Potem we troje zamierzali się udać do domu komandora, gdzie oczekiwali ich Konrad, Gunnar i Popowski. Wieczorem, po spotkaniu z premierem, miał do nich dołączyć Kurt.

Na wielkim stojącym zegarze Mora zdobionym ludowym motywem konika z Dalarny wybiła dwunasta. Od strony morza przechadzał się uzbrojony w automat policjant, a drugi stał obok radiowozu przed wejściem do domu.

Michał i Zoja byli w swoim pokoju na piętrze, więc mogli rozmawiać swobodnie, mimo to woleli wspominać spędzone wspólnie lata niż próbować rozwikłać tajemnicę zdarzenia w ogrodzie botanicznym. Wiedzieli, że rozwiązać ją będzie mógł tylko Jagan, jeśli kiedyś zdoła dojść do siebie. Pod warunkiem, rzecz jasna, że w ogóle zechce rozmawiać.

Konrad i Gunnar, w samych koszulach, siedzieli na oszklonym tarasie i popijali herbatę, bo choć na dworze utrzymywało się zimno, wewnątrz było nagrzane przez słońce. Gunnar relacjonował wydarzenia po śmierci Olafa Svenssona i jego wersja mocno różniła się od tego, co powiedziała Linda, szczególnie kiedy mówiła o swoim stanie zdrowia. Dopiero teraz Konrad zrozumiał, że popełnił wielki błąd, namawiając ją do współpracy. Nie zdawał sobie sprawy, że była w aż tak głębokiej depresji. Mógł jedynie pocieszać się myślą, że w żaden sposób nie ucierpiała na tym, w co ją wciągnął. Użyczyła mu wprawdzie domu i samochodu, ale nie miała pojęcia, do czego ich potrzebował. Poczul się lepiej, kiedy się okazało, że Gunnar też tak uważa.

Rozmawiali, ale Konrad raz po raz zerkał na telefon, który położył przed sobą. Trochę to Gunnara denerwowało, uznał jednak, że psychiczny ciężar ostatnich wydarzeń w znacznej mierze usprawiedliwia takie zachowanie, i po jakimś czasie przestał zwracać na nie uwagę.

Konrad opowiedział Gunnarowi o swojej ostatniej operacji

w Iranie. Trochę ubarwił zwariowaną podróż antonowem do Azerbejdżanu, parę drobiazgów pominął, ale na ogół starał się trzymać prawdy. Gunnar z kolei, jak przystało na wzorowego policjanta, dla którego prawda była tylko jedna, wiernie opisał wypadki na KTH w Sztokholmie, porwanie Antona i uwięzienie Hasana Mardana. Ale najwięcej uwagi poświęcił Harriet. W najdrobniejszych szczegółach opowiedział o jej szaleńczym wyjeździe do Iranu i uwolnieniu Antona i Hasana.

– Czyli Hasan był torturowany? Długo? – zapytał Konrad.

– Przez pewien czas w więzieniu Ewin – odparł Gunnar. – Przestali, gdy osiągnęli cel, ale dokładnie nie wiemy, jak długo to trwało i dlaczego przestali. Potem przenieśli go do obozu pod Teheranem.

– A co to za obóz?

– Nic bliżej nie wiemy. Nie znamy nawet jego dokładnej lokalizacji. Według naszego rozpoznania Hasan nie wytrzymał tortur i poddał się...

– I dobrze zrobił! – ocenił Konrad. – Powinien od razu się poddać. Nikt jeszcze nie wytrzymał ich tortur, nie warto nawet sprawdzać.

– Oczywiście. Nikt nie ma mu tego za złe. Chociaż są u nas tacy, którzy woleliby, żeby nie przeżył. Dlatego Harriet ma zapiekłych wrogów wśród niektórych szefów służb i polityków.

– A w tym obozie był sam? – dopytywał się Konrad. – Siedział z kimś w celi? Poznał kogoś? Może jakichś Polaków?

Gunnar nie zdążył odpowiedzieć, bo z przedpokoju dobiegł ich hałas i po chwili usłyszeli pobudzony głos mężczyzny mieszający się z niskim dyszkantem kobiety.

Pierwszy do salonu wszedł Lutek, pozdrowił Konrada uniesioną dłonią i zamiast na werandę skierował się do kuchni. Następnie w drzwiach pojawiła się Linda. Dostrzegła Konrada i Gunnara siedzących na werandzie i z uśmiechem ruszyła w ich stronę.

Wyglądała świetnie w obcisłych spodniach i luźnym czerwonym golfie. Zadbane, uśmiechnięta, atrakcyjna, jakby czas się cofnął.

Konrad nie mógł uwierzyć, że to ta sama Linda, którą jeszcze niedawno widział w zapuszczonym mieszkaniu w Sundbybergu.

Objęła go mocno, chyba mocniej, niż powinna, a on poczuł kształt jej ciała i aromat perfum. Stali tak chwilę, aż Konrad pomyślał, że trwa to zbyt długo, i zauważył, że Linda drży. Gunnar też to dostrzegł i wiedział, dlaczego tak zareagowała. Konrad był jej dobrym wspomnieniem, które wróciło z jasnego świata baśni, nieskażonego niczym, co kojarzyłoby się z niezasłużonym bólem, niesprawiedliwością i cierpieniem.

– Polaków nie! – rzucił Gunnar stanowczo za głośno.

Musiał coś zrobić, by przygasić tę słoneczną aurę, którą wniosła Linda, a która mogła się okazać dla niej równie groźna jak płomień świecy dla ćmy.

– Trzymali w obozie Amerykanina, Francuza i dwóch Białorusinów... – zniżył głos, kiedy Linda odsunęła się od Konrada.
– Ale Polaków... nie.

– Białorusinów, powiedziałaś? – zapytał niepewnie Konrad.

– Mówisz o Hasanie... o obozie? – włączyła się Linda.

– Tak... Konrad pytał...

– Dzień dobry państwu! – rozległo się po angielsku i wszyscy obrócili się w stronę salonu, skąd dobiegał głos.

Z pierwszego piętra po szerokich drewnianych schodach zstępował Michał Popowski, a tuż za nim szła Zoja, trzymając rękę na jego ramieniu. Oboje pogodni, z błyszczącymi radością oczami. Szczęśliwi – pomyślał Konrad i przypomniało mu się, jak jeszcze niedawno wyglądał Misza, kiedy wskoczył do jego samochodu w Petersburgu. A teraz ma wszystko, czego chciał: Zoję, pokonanego Krugłowa, dumę, szacunek i pieniądze. Oto człowiek, któremu się udało.

W tym samym momencie na stoliku kawowym odezwał się telefon Konrada, ogłaszając przychodzącego SMS-a.

Linda od razu poznała Popowskiego. To był człowiek, którego widziała z Olafem w gmachu policji na Polhemsgatan. To o nim mówił jej przed śmiercią. Więc popatrzyła mu w oczy tak jak wtedy,

a kiedy on spojrział na nią, nie miała wątpliwości, że to oczy człowieka, który odpowiada za śmierć Olafa. I nagle usłyszała śpiew Dona Percivala: *One more kiss, dear, one more sigh...* Ten głos, ta melodia znikły z jej pamięci wraz z Olafem. A nie było drugiego takiego utworu, który powstał wyłącznie dla nich, był częścią ich miłości, a teraz powrócił jak cios w jej złamane bólem serce. Linda pomyślała, że jeżeli zaraz czegoś nie zrobi, zamieni się w wapienny rauk i zostanie tu na zawsze. Patrzyła na Zoję czule dotykającą uśmiechniętego Popowskiego i czuła, jak nabrzmiewa w niej czysta, gorąca nienawiść do tych dwojga ludzi, którzy stali parę metrów od niej. I nagle zrozumiała, że wreszcie ma szansę wyzwolić się z tej nienawiści, z tego smutku i zakończyć swoje cierpienia.

Ruszyła przez salon, minęła, omal nie potrącając, zaskoczonego Michaiła i Zoję i przeszła do aneksu kuchennego, gdzie urządzone był gabinet. Otworzyła szufladę biurka i od razu znalazła klucze, chociaż nigdy ich nie używała. Podeszła do zakratowanej dwuskrzydłowej szafki, sprawnie otworzyła ryglowany zamek, rozchyliła drzwiczki i drugim kluczem odpięła blokadę. Na stojaku, w rzędzie, stał sztucer Remington i dwie dubeltówki, Bock Browning i Bock Merkel – broń komandora Magnusa Christiana Lunda. Wzięła merkela, bo pamiętała, że w dzieciństwie strzelała z niego do butelek rzuconych w morze. Złamała broń, przełożyła przez ramię, jak ją uczył komandor, i załadowała dwoma nabojami, które wyjęła z paczki.

Zatrzasnęła broń jedną ręką i ruszyła w stronę salonu.

„Pierwszy trymestr”. Konrad przeczytał właśnie SMS-a ozdobionego mnóstwem emotikonów i nieco oszołomiony stał jeszcze obok Michaiła i Zoi, kiedy zobaczył wchodzącą do salonu Lindę z dubeltówką.

4.08.2016

Wydział Obróbki Dokumentów, zwany częściej Biurem Brata Boga, nie znajdował się nawet w Jaseniewie, ale był częścią jednostki prowadzącej operacje inspiracyjne i dezinformacyjne na rzecz wszystkich pionów operacyjnych. Gdzie się mieścił, nie wiedział nikt spoza ścisłego kierownictwa służby, ale wszyscy wiedzieli, że istnieje, bo na co dzień czuli oddech jego działań. Na świecie działy się różne rzeczy, często niezwykle, nieuzasadnione, nielogiczne, które kształtowały oblicze polityki, i choć na pozór nie miały żadnego związku z Rosją, wpływały korzystnie na jej pozycję, czasem tylko przez pogorszenie kondycji innych. Jedynie wprawione zmysły rosyjskiego wywiadowcy mogły wyłapać, że coś jest na rzeczy. Ale co – tego udowodnić nie potrafił nikt.

WOD produkował wszystko, co było potrzebne, by rosyjski nielegal mógł spokojnie i wydajnie służyć ojczyźnie. Istotą Wydziału była jego nieśmiertelność, która narodziła się dzięki księciu Michaiłowi Barclay de Tolly w czasie wojen napoleońskich. To on stworzył nowoczesny rosyjski wywiad, a w nim jego serce, czyli Wydział Obróbki Dokumentów. Od tego czasu do dzisiaj trwa nieprzerwanie zbiórka wszystkiego, co jest niezbędne do fałszowania dokumentów.

W klimatyzowanym tajnym magazynie, zabezpieczonym przed światłem i wilgocią, leżały na półkach starannie posegregowane i skatalogowane akta, druki, formularze. Był też czysty papier kolekcjonowany przez wywiad od najdawniejszych czasów. Papier, czyli nośnik informacji. Papier z każdego zakątka ziemi, z opisanym rokiem produkcji i rodzajem przeznaczenia. Był papier, na jakim pisała szlachta francuska w XVII wieku i holenderscy bankierzy w następnym stuleciu, papier używany przez brytyjską Admiralicję i dwór szwedzki. Tysiące arkuszy i druków znaczonych gryfem, logo firmy, nazwą ministerstwa czy gazety, pisma prywatne i służbowe, lecznic i kancelarii adwokackich, biur pogrzebowych i firm transportowych. W magazynie WOD było prawie wszystko, na czym się pisało niegdyś i pisze dzisiaj. Osobny regał zajmował zbiór

pocztówek z całego świata, papeterii i znaczków. Za nim stały szafy pełne niewypełnionych formularzy, druków i dokumentów. W drugim magazynie znajdowało się wszystko to, co służyło do pisania, równie starannie posegregowane i opisane. Stalówki z Portugalii, Włoch i Niemiec używane we Francji, pióra Izby Lordów i kancelarii Bismarcka, ołówki, pisaki, mazaki, długopisy popularne w Białym Domu w pierwszej i drugiej połowie XX wieku. Atramenty i tusze z najdalszych zakątków świata i we wszystkich kolorach, zabezpieczone przed wysychaniem i utlenianiem. Największe zaś pomieszczenie zajmowała hala maszyn do pisania.

W tym tajemniczym, odizolowanym od rzeczywistości świecie żyło kilkunastu czarodziei, artystów, wizjonerów, którzy potrafili połączyć te wszystkie elementy w całość i stworzyć każdy dokument, tchnąc w niego życie, by mógł zmienić bieg historii, a nawet losy świata, stworzyć człowieka lub go zabić, zbudować mit lub obalić go innym mitem. Żeby wygrać wojnę, potrzeba wielu dywizji wojska, ale by zmarnować zwycięstwo, wystarczy kilku szpiegów, a czasem tylko czarodziej z WOD.

Przypisy końcowe

1. Biblia Warszawsko-Praska, Mt 1:20–23. ↵

Spis treści

[Okladka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

50

Epilog

Gotlandia

Przypisy końcowe

Spis treści

Okładka	1
Strona tytułowa	2
Spis treści	342
1	4
2	7
3	19
4	25
5	31
6	35
7	41
8	44
9	53
10	59
11	64
12	71
13	78
14	86
15	90
16	95
17	102
18	105
19	110
20	115
21	121

22	128
23	131
24	134
25	140
26	145
27	149
28	157
29	174
30	178
31	184
32	191
33	200
34	206
35	212
36	216
37	220
38	227
39	235
40	239
41	242
42	245
43	252
44	255
45	260
46	265
47	269

48	273
49	278
50	281
Epilog	288
Gotlandia	324
Przypisy końcowe	341